



*Emily Giffin*



*Dziecioodporna*

Tytuł oryginału: *Baby Proof*

*Dla mojego ojca, z wdzięcznością*

RS

# ROZDZIAŁ 1

Nigdy nie chciałam być matką. Nawet jako mała dziewczynka, bawiąc się lalkami z moimi dwiema siostrami, przyjmowałam rolę dobrej cioci Claudii. Kapałam, przewijałam i kołysałam ich plastikowe dzieci, po czym szłam w swoją stronę, ku bardziej interesującym zajęciom na podwórku albo w piwnicy. Dorośli określali moje podejście do macierzyństwa jako „słodkie”, posyłając mi ten sam znaczący uśmiech, którym obdarzali małych chłopców usilnie twierdzących, że wszystkie dziewczynki roznoszą zarazki. Dla nich byłam tylko kolejną zadziorną chłopczycą, która pewnego dnia się zakocha – i wszystko wróci do normy.

Okazało się, że dorośli mieli trochę racji. Rzeczywiście, wyrosłam z etapu chłopczycy i rzeczywiście, zakochałam się – nawet wielokrotnie, zaczynając od mojego chłopaka o imieniu Charlie z czasów liceum. Kiedy jednak po balu absolwentów Charlie spojrzał mi głęboko w oczy i zapytał, ile pragnę mieć dzieci, zdecydowanie odpowiedziałam:

– Zero.

– Nie chcesz mieć dzieci? – Charlie wydawał się zdumiony, jak gdybym właśnie wyjawiała mu jakiś straszliwy, mroczny sekret. – Dlaczego?

Było wiele powodów, które wyłożyłam mu tamtego wieczoru, lecz żaden z nich go nie zadowolił. Pod tym względem Charlie nie był odosobniony. Ani jeden spośród licznych chłopców, którzy później zajmowali jego miejsce, nie rozumiał i nie akceptował moich uczuć. I chociaż kolejne związki kończyły się z przeróżnych powodów, zawsze miałam wrażenie, że dzieci odgrywają w tym jakąś rolę. Mimo to nadal szczerze wierzyłam, że pewnego dnia znajdę właściwego faceta, tego jedyne, który

pokocho mnie taką, jaka jestem, bez żadnych warunków i obietnic dotyczących rodzenia dzieci. Byłam gotowa poczekać.

Kiedy jednak zaczęłam zbliżać się do trzydziestki, pogodziłam się z tym, że w końcu mogę zostać sama. Że mogę nigdy nie doświadczyć tego dziwnego uczucia w żołądku, które pojawia się, gdy już wiesz, że oto znalazłaś tego jedynego. Zamiast się nad sobą uzalać lub zadowolić się czymś mniej wyjątkowym, skupiłam się na sprawach, które łatwiej kontrolować – na karierze redaktorki w dużej firmie wydawniczej, na fascynujących wycieczkach, wspaniałych chwilach w gronie serdecznych przyjaciół i interesujących pisarzy, na wieczorach przy dobrym winie i porywających dyskusjach. Ogólnie rzecz biorąc, byłam zadowolona z życia i powtarzałam sobie, że nie potrzebuję męża, aby czuć się dowartościowana i spełniona.

Wtedy poznałam Bena. Przystojnego, miłego i zabawnego Bena, który wydawał się zbyt wspaniały, aby mógł być prawdziwy – zwłaszcza gdy dowiedziałam się, że na dodatek podziela moje poglądy w sprawie dzieci. Temat wypłynął już podczas pierwszego spotkania, na randce w ciemno zorganizowanej przez naszych wspólnych przyjaciół, Raya i Annie. Siedzieliśmy w Nobu, gawędząc przy sashimi z serioli i tempurze z krewetek, gdy nagle naszą uwagę zwrócił mały chłopczyk w wieku co najwyżej sześciu lat, który siedział przy stoliku obok. Wyglądał ultramodnie: miał na sobie mały czarny kapelusz Kangol i polo Lacoste z postawionym kołnierzykiem. Siedział nienagannie wyprostowany i dumnym głosem zamawiał swoje sushi, prezentując nieskazitelną wymowę i nie czekając na pomoc rodziców. Najwidoczniej nie była to jego pierwsza wizyta w Nobu. Tak naprawdę miałam wrażenie, że jadał sushi częściej niż grillowane kanapki z serem.

Ben i ja obserwowaliśmy go, uśmiechając się w sposób, w jaki ludzie często uśmiechają się do dzieci i szczeniactków, gdy nagle wypaliłam:

– Jeśli ktoś już naprawdę musi mieć dziecko, to z pewnością powinien zdecydować się na takie.

Ben pochylił się nad stołem i szepnął:

– Z fryzurą na pazia i modnie ubrane?

– Nie. Na takie, które po szkole można zabrać do Nobu –powiedziałam rzeczowo. – Nie interesuje mnie jedzenie skrzydełek z kurczaka w KFC. Za nic w świecie.

Ben odchrząknął i znacząco się uśmiechnął.

– Nie chcesz mieszkać na przedmieściach i jadać w KFC czy nie chcesz mieć dzieci? – zapytał, a ja zauważyłam, że jego broda seksownie wysuwa się do przodu.

– Ani tego, ani tego. Jednego i drugiego. Żadnego z powyższych – powiedziałam. Po chwili, na wypadek gdybym nie wyraziła się dostatecznie jasno, dodałam: – Nie chcę jadać w KFC; nie chcę mieszkać na przedmieściach i nie chcę mieć dzieci.

Jak na pierwsze spotkanie było tego dosyć sporo, zwłaszcza dla ludzi w naszym wieku. Obydwoje mieliśmy po trzydzieści jeden lat – wystarczająco dużo, aby kwestia dzieci znalazła się na liście tematów tabu, zakazanych podczas większości pierwszych randek. Tabu zakładało, że pragniesz dzieci. Jeśli ich nie pragnęłaś, wspomnianie o tym równało się ze stwierdzeniem, że Anna Kurnikowa to twoja bliska przyjaciółka i obie uwielbiacie trójkąty, zwłaszcza na pierwszej randce. Inaczej mówiąc, twój towarzysz prawdopodobnie uznałby cię za kiepski materiał na żonę, lecz z pewnością gorąco zapragnąłby umawiać się z tobą na randki. Wszystko dlatego, że

trzydziestojednoletnia kobieta, która nie chce dzieci, oznacza bezstresową sytuację, a większość kawalerów uwielbia bezstresowe sytuacje – toteż najczęściej interesują się kobietami przed trzydziestką. To daje im poczucie bezpieczeństwa i swobody.

Z drugiej strony wiedziałam, że mogę zostać automatycznie skreślona z listy poważnych kandydatek, czego w niedawnej przeszłości doświadczyłam wielokrotnie. W końcu okazuje się, że wszyscy – kobiety i mężczyźni – uważają niechęć do płodzenia dzieci za złamanie umowy. W dodatku ryzykowałam to, że zostanę uznana za oziębłą i samolubną, a takie cechy z pewnością nie figurują na szczycie listy „tego, czego pragnie każdy mężczyzna”.

Jednak w zagmatwanym świecie randek nauczyłam się cenić szczerą kosztowność póź i pozerstwa. To, że nie chcę mieć dzieci, dawało mi subtelny przewagę. Nie walczyłam z osławionym upływem czasu. Nie zbliżałam się też do chwili, w której trzeba dokonać podsumowania dotychczasowego życia. W rezultacie mogłam sobie pozwolić na całkowitą uczciwość. Pełna odsłona nawet na pierwszej randce.

Zatem poruszywszy kwestię dzieci w rozmowie z Benem, wstrzymałam oddech w obawie przed znajomym krytycznym spojrzeniem. On jednak uśmiechnął się szeroko i wykrzyknął:

– To zupełnie jak ja! – tym radosnym i zdumionym tonem właściwym ludziom, którzy przypadkiem natykają się na zadziwiający zbieg okoliczności. Całkiem jak wtedy gdy w londyńskim pubie spotkałam nauczyciela z trzeciej klasy podstawówki. Być może szanse na to, że podczas pierwszej randki obie strony odkryją, iż nie chcą mieć dzieci, są równie marne jak to, że siedząc przy barze po drugiej stronie oceanu i sącząc piwo,

podniesiesz wzrok i ujrzysz nauczyciela, którego nie widziałaś od dwudziestu lat. W każdym razie nie co dzień spotyka się człowieka, który pragnie stworzyć monogamiczny poważny związek, lecz jednocześnie rezygnuje z pozornie automatycznej decyzji o wkroczeniu w magiczny świat rodzicielstwa. Mina Bena świadczyła o tym, że doskonale to wszystko rozumie.

– Zauważyłaś, jak pary porównują zalety wczesnego i późnego rodzenia dzieci? – zapytał mnie poważnym tonem.

Pokiwałam głową, próbując określić kolor jego oczu – przyjemną kombinację jasnej zieleni i szarości otoczoną ciemną obwódką. Był przystojny, lecz oprócz ładnego nosa, gęstych włosów i muskularnego ciała miał jeszcze to nieuchwytnie coś, pewien rodzaj olśniewającego czaru, który moja najlepsza przyjaciółka Jess zwykła kwitować stwierdzeniem: „Ma w sobie ogień”. Coś w jego twarzy elektryzowało. Należał do tego typu mężczyzn, których widzisz w metrze, żałując, że ich nie znasz, a twój wzrok bezwiednie zmierza w kierunku obrączki na palcu ich dłoni.

Ben ciągnął dalej:

– Wszystko kręci się wokół słowa „wolność”. Czy być wolnym teraz czy też za kilka lat.

Ponownie pokiwałam głową.

– No cóż – powiedział, przerywając, aby napić się wina. – Jeśli największą zaletą wczesnego rodzenia dzieci jest to, że szybciej masz je z głowy, a największą zaletą późnego rodzenia dzieci jest odwleczenie tej mordęgi, to czyż zupełna rezygnacja z dzieci nie stanowi najlepszego rozwiązania?

– Zgadzam się w stu procentach – powiedziałam, podnosząc kieliszek, aby wznieść toast za jego życiową filozofię. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak wspólnie walczymy z siłami natury (łącznie z historiami o mężczyźnie, który zasiewa ziarno, i o kobiecie, która pragnie pielęgnować życie kiełkujące w jej łonie) i opieramy się regułom społecznym, których ślepo przestrzega większość moich przyjaciół. Wiedziałam, że trochę się zagalopowałam, wyobrażając sobie taki scenariusz z udziałem poznanego przed chwilą mężczyzny, lecz kiedy stuknie ci trzydzieści jeden lat, od razu czujesz, czy facet rokuje, czy nie.

Rzeczywiście, dalsza część kolacji przebiegła wyjątkowo dobrze. Żadnych kłopotliwych przerw w rozmowie, żadnych przykrych niespodzianek ani irytujących nawyków. Zadawał trafne pytania, udzielał właściwych odpowiedzi i wysyłał sygnały świadczące o zainteresowaniu, które jednak nie były zbyt nachalne. Zaprosiłam go zatem do siebie na drinka – coś, czego nigdy nie robię na pierwszej randce. Ben i ja nie całowaliśmy się tamtego wieczoru, lecz dotykaliśmy się ramionami, przeglądając album fotograficzny na moim stoliku do kawy. Bliskość jego ciała działała na mnie elektryzująco i za każdym razem, kiedy przewracał stronę, musiałam wstrzymać oddech.

Następnego dnia zadzwonił – tak jak obiecał. Gdy jego imię wyświetliło się na ekranie mojej komórki, poczułam, że kręci mi się w głowie, a świat zawirował jeszcze bardziej, kiedy Ben oznajmił:

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że to zdecydowanie najlepsza pierwsza randka, na jakiej kiedykolwiek byłem.

Roześmiałam się i powiedziałam:



– Zgadzam się. Tak naprawdę była lepsza niż większość moich drugich, trzecich i czwartych randek.

Nasza rozmowa ciągnęła się prawie dwie godziny, a kiedy w końcu się pożegnaliśmy, Ben powiedział coś, co i mnie przyszło do głowy – że ma wrażenie, iż minęło zaledwie pięć minut. Że mógłby ze mną rozmawiać bez końca. Pamiętam, jak pomyślałam: miejmy nadzieję.

Potem w naszym wspólnym życiu pojawił się seks. Czekaliśmy zaledwie dwa tygodnie, na przekór wszystkim standardowym radom przyjaciół, rodziny i czasopism. I wcale nie chodziło o to, że nie mogłam już wytrzymać i musiałam zaspokoić z nim swoje żądze (choć po części pewnie tak było). Po prostu nie widziałam żadnego powodu, dla którego mielibyśmy rozstawać się na całą noc. Jeśli coś jest dobre, należy do tego dążyć pełną parą. I rzeczywiście, nasz pierwszy raz nie był ani pospieszny, ani niezręczny, ani nieśmiały – w przeciwieństwie do większości pierwszych razów. Zamiast tego nasze ciała idealnie się do siebie dopasowały, a Ben wiedział, co lubię, i nie musiał o to pytać. Nasz seks należał do rodzaju tych, które sprawiają, że człowiek pragnie pisać piosenki albo wiersze. A przynajmniej prowadzić pamiętnik, czyli coś, z czym nie miałam do czynienia od czasów dzieciństwa, lecz co zaczęłam robić już na drugi dzień po tym, jak się kochaliśmy.

Szybko odkryliśmy, że łączy nas o wiele więcej niż tylko poglądy na temat dzieci i że przyciąga nas do siebie dużo więcej niż tylko zwariowana chemia. Pochodziliśmy z podobnych rodzin. Obydwoje dorastaliśmy w Nowym Jorku wraz z dwiema starszymi siostrami i rodzicami, którzy później wzięli rozwód. Obydwoje ciężko pracowaliśmy i wiele osiągnęliśmy w życiu zawodowym, a kariera była naszą pasją. Ben pracował jako architekt i uwielbiał budynki równie mocno jak ja książki. Lubiliśmy podróżować do

mało znanych zakątków, jadać egzotyczne potrawy i odrobinę zbyt dużo pić. Kochaliśmy nieco nietypowe filmy i zespoły, lecz nie zależało nam na zyskaniu miana intelektualistów. W weekendy z lubością spaliliśmy do późna, a potem aż do wieczora czytaliśmy w łóżku gazetę i piliśmy kawę. Każde z nas było połączeniem wielbiciela porządku i bałaganiarza, uczuciowości i pragmatyzmu. Obydwoje wierzyliśmy, że związki pozbawione odrobiny magii nie są warte zachodu.

Krótko mówiąc, zakochaliśmy się w sobie i wszystko znalazło się na właściwym miejscu. W dodatku nie było to jednostronne złudne szczęście kobiety, która rozpaczliwie pragnie uwierzyć, że znalazła właściwego mężczyznę. Nasz związek był tak udany, szczery i prawdziwy, że w którymś momencie uwierzyłam, iż Ben jest moją bratnią duszą, człowiekiem, z którym powinnam spędzić życie. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że ktoś taki w ogóle istnieje.

Pamiętam dzień, w którym to wszystko do mnie dotarło. Stało się to stosunkowo wcześnie, lecz upłynęło już sporo czasu od chwili, gdy po raz pierwszy wyznaliśmy sobie miłość. Wybraliśmy się na piknik do Central Parku. Ze wszystkich stron otaczali nas ludzie – opalali się, czytali, rzucali frisbee, śmiali się – a mimo to czułam się tak, jakbyśmy byli zupełnie sami. W towarzystwie Bena zawsze miałam wrażenie, że cały świat znika. Właśnie skończyliśmy jeść lunch złożony z pieczonego kurczaka na zimno i sałatki ziemniaczanej. Leżąc na plecach, patrzyliśmy na bardzo błękitne letnie niebo i trzymaliśmy się za ręce, gdy rozpoczęła się ta szczerą, lecz ostrożną rozmowa o naszych dawnych miłościach. O ludziach i doświadczeniach, które sprawiły, że znaleźliśmy się tu i teraz.

Zdawkowe nawiązania do przeszłości zdarzały się nam już wcześniej i doskonale wiedziałam, że obydwójce w milczeniu dokonujemy nieuniknionych porównań, umieszczając nasz związek w pewnym kontekście. „Ona jest bardziej taka, ale mniej owaka. On jest lepszy w tym, a gorszy w tamtym”. Takie myślenie stanowi nieodłączną część ludzkiej natury – chyba że chodzi o pierwszy związek, który być może właśnie z tej przyczyny wydaje się szczególny i na zawsze pozostaje świętością. Jednak wraz z upływem lat człowiek staje się bardziej cyniczny, a wspomniana czynność bardziej skomplikowana i zawiła. Zaczynasz zdawać sobie sprawę, że nic nie jest doskonałe, że istnieje coś takiego jak kompromisy i poświęcenia. Najgorzej jest wtedy, kiedy ktoś z przeszłości przewyższa aktualnego partnera, a ty powtarzasz sobie: „Gdybym wtedy o tym wiedziała, to może nie pozwoliłabym mu odejść”. Ja długo myślałam w ten sposób o moim chłopaku z college'u Paulu. Związek z Paulem daleki był od doskonałości, a mimo to przez dziesięć kolejnych lat nie znalazłam nikogo, kto potrafiłby stłumić wcale nie sporadyczną tęsknotę za tym, co nas łączyło.

Jednak z Benem było inaczej. Byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej. Powiedziałam mu o tym i pamiętam, jak spytał, dlaczego jest inaczej, dlaczego jestem szczęśliwsza. Długo się zastanawiałam, pragnąc, aby moja odpowiedź była trafna i kompletna. Z lekkim zakłopotaniem zaczęłam wymieniać przyczyny, które doprowadziły do rozstania z Paulem, i sporo czasu poświęciłam na przypomnienie sobie jego wszystkich szczególnych zalet i atrybutów. Następnie wyliczyłam Benowi obszary, w których był lepszy – i, co ważniejsze, lepszy dla mnie.

Powiedziałam:

– Lepiej całujesz. Jesteś bardziej zrównoważony. Jesteś wielkoduszny. Jesteś bystrzejszy, bardziej odczytany i sprawiedliwy.

Ben pokiwał głową i wydał mi się taki poważny, że dla rozładowania napięcia dodałam:

– W dodatku jesteś zwolennikiem recyklingu. – (Paul rzeczywiście nie segregował odpadów, co, moim zdaniem, wiele o nim mówiło). Kończąc tę wyliczankę, miałam wyraźne wrażenie, że tak naprawdę nie uchwyciłam istoty sprawy, a już z pewnością nie udało mi się wiernie oddać tego, co czułam. Ogarnęła mnie frustracja, gdyż chciałam, aby Ben wiedział, jak wiele dla mnie znaczy.

No więc w pewnym sensie się poddałam i zadałam Benowi to samo pytanie o jego byłą dziewczynę Nicole. W mojej głowie zaczynał się już tworzyć całkiem wyraźny obraz tej kobiety ukształtowany na podstawie skrawków rozmów. Wiedziałam, że jest w połowie Wietnamką i wygląda jak porcelanowa lalka. (Możliwe, że kiedyś zdarzyło mi się pomyszkować w jego szufladach i znaleźć parę zdjęć). Pracowała jako projektantka wnętrz i poznała Bena podczas realizacji dużego projektu w Brooklynie. Jej ulubioną książką było *Sto lat samotności*, którą uwielbiał również Ben (co w irracjonalny sposób mnie rozdrażniło]. Palila – długo palili razem, aż w końcu Ben przestał. Mieszkali ze sobą trzy lata, a spotykali się prawie przez sześć. Łączył ich intensywny związek – wspaniałe wzloty i sromotne upadki. Rozstali się zaledwie zeszłej zimy. Nadal do końca nie wiedziałam dlaczego. Z tego powodu prześladowały mnie oczywiście wizje powrotu. Imię Nicole przepelniało mnie wściekłą zazdrością.

– Dlaczego nasz związek jest dla ciebie inny? – spytałam Bena, po czym zawahałam się, czy przypadkiem nie oczekuję zbyt wiele. – O ile oczywiście jest inny.

Nigdy nie zapomnę sposobu, w jaki Ben na mnie spojrzał. Jego jasne oczy były szeroko otwarte i niemal przezroczyste. Przygryzł dolną wargę, co stanowiło jeden z jego bardziej seksownych nawyków, po czym powiedział:

– Tak naprawdę to pytanie wcale nie jest trudne. Po prostu bardziej cię kocham. To wszystko. I nie mówię tak tylko dlatego, że ona należy już do przeszłości, a ty do teraźniejszości. Po prostu tak jest. W kategoriach absolutnych. To znaczy kochałem ją. Tak było. Ale ciebie kocham bardziej. Trudno to nawet porównywać.

Była to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam, a to z jednej przyczyny: czułam się dokładnie tak samo. Osoba, która kochała mnie w taki sposób, była osobą, którą kochałam równie mocno, co może się wydawać absolutnym cudem. To jest absolutny cud.

Kiedy zatem kilka tygodni później Ben poprosił mnie o rękę, nie byłam zaskoczona. Po siedmiu miesiącach, w rocznicę naszej pierwszej randki, uciekliśmy do St. John i na idyllicznej białej plaży w kształcie półksiężyca połączył nas węzeł małżeński. To posunięcie nie spotkało się z aprobatą naszych rodzin, lecz w takim dniu chcieliśmy być tylko we dwoje. Pamiętam, jak po złożeniu przysięgi spojrzałam na morze i pomyślałam, że teraz jesteśmy już razem i mamy przed sobą całe życie! Nic nigdy się nie zmieni, z wyjątkiem tego, że przybędzie nam zmarszczek, siwych włosów i uroczych, przyjemnych wspomnień.

Rzecz jasna po ślubie temat dzieci pojawiał się dosyć często, lecz tylko w związku z odpowiadaniem na wścibskie pytania dotyczące naszych planów

rozrodczych, które zadawali dosłownie wszyscy: rodzina Bena, moja rodzina, przyjaciele, przypadkowo spotykane w parku matki, a nawet pani z naszej pralni chemicznej.

– Nie zamierzamy mieć dzieci – rzeczowo odpowiadało jedno z nas, po czym znosiliśmy nieunikniony wykład o tym, jak bardzo dzieci wzbogacają ludzkie życie.

Pewnego dnia, podczas przyjęcia dla księgarzy, podeszła do mnie jakaś redaktorka i powiedziała, że jeśli nigdy nie zdecyduję się na dzieci, moje życie „będzie pozbawione znaczenia”. Mocno mi wtedy przygadała! Chyba odparłam coś w stylu:

– Ojej, no cóż, w takim razie równie dobrze mogę już teraz palnąć sobie w łeb, prawda? – Udała, że nie słyszy, i zaczęła opowiadać o swoich dzieciach.

Większość osób reagowała pełnym współczucia kiwaniem głowy, uważając, że tak naprawdę skrywamy bolesną prawdę: bezpłodność. Pewnego razu na przykład przyjaciółka Bena z college'u wsunęła mi w dłoń wizytówkę z nabazgranym na odwrocie adresem swojego ośrodka leczenia bezpłodności. Wręczyłam ją Benowi, który natychmiast oznajmił, że kilka miesięcy po ślubie poddał się wazektomii. Nie była to prawda – brałam pigułki – lecz babka wyraźnie się zmieszała i raz na zawsze zamknęła.

Ostatnio w modzie było pytanie: „Kto się wami zaopiekuje na starość?”. Mówiliśmy wtedy: „Zaopiekujemy się sobą nawzajem”. Oni (z niedowierzaniem) odpowiadali: „A co będzie, jeśli któreś z was umrze?”, i w tym momencie robiło się naprawdę wesoło. Czasami wspominałam o tym, że w domach opieki roi się od ludzi, których dzieci nigdy nie odwiedzają, że

posiadanie dzieci wcale niczego nie gwarantuje. Twoje dziecko może zostać biednym artystą, który będzie wiecznie walczył o uznanie, albo równie dobrze może wyrosnąć na samoluba, któremu nic nigdy nie wychodzi. Samo może wymagać szczególnej opieki i nie będzie w stanie zająć się sobą, a co dopiero starzejącymi się rodzicami. W rezultacie zgodziliśmy się z Benem co do tego, że tak czy siak, troska o zapewnienie sobie opieki jest głupim i egoistycznym powodem prokreacji. Woleliśmy ciężko pracować i odkładać pieniądze, niż być balastem dla przyszłego pokolenia.

Nauczyliśmy się jednak milczeć na ten temat. Tak było znacznie lepiej. Wymienialiśmy tylko znaczące spojrzenia i o całej sprawie rozmawialiśmy później. Irytowało nas ślepe założenie, że dzieci stanowią dar od losu, i jednocześnie ceniliśmy sobie przynależność do antydziecięcego frontu. Nasz związek opierał się na wolności, swobodzie wyborów i poszukiwaniach. Byliśmy razem dlatego, że chcieliśmy być razem. Nie dlatego że potrzebowaliśmy partnera do wychowywania dziecka ani dlatego że połączyły nas dzieci i osiemnaście lat obowiązków.

Mimo to jakieś dwa lata po ślubie coś się zmieniło.

Z początku zmiana była subtelna, podobnie jak wszystkie zmiany w związkach, więc trudno dokładnie określić, co stanowiło jej źródło. Jednak spoglądając wstecz, myślę, że wszystko zaczęło się podczas wyprawy na narty z Annie i Rayem, parą, która umówiła nas na pierwszą randkę. Znałam Annie od szalonych czasów college'u, zatem od razu zauważyłam, że uparcie sączy wodę Perrier. Z początku twierdziła, że bierze antybiotyki na infekcję zatok, lecz w przeszłości żadna kuracja antybiotykowa nie powstrzymywała jej od picia alkoholu, więc w końcu wyciągnęłam z niej prawdę. Była w ósmym tygodniu ciąży.

– Planowaliście to? – palnęłam, sądząc oczywiście, że był to wypadek. Annie uwielbiała pracę reżyserki filmów dokumentalnych, a oprócz tego pochłaniał ją milion innych spraw. Nigdy nie mówiła, że interesuje ją rodzenie dzieci, i nie wyobrażałam sobie, żeby mogła znaleźć czas na macierzyństwo.

Annie i Ray klasnęli w dłonie i jednocześnie pokiwali głowami.

– Myślałam, że nie chcecie mieć dzieci – powiedziałam.

– Nie chcieliśmy ich tak od razu – powiedziała Annie. – Ale teraz czujemy się gotowi. Chociaż z drugiej strony chyba nigdy nie jest się na to do końca gotowym! – Wybuchnęła piskliwym śmiechem uczennicy, a jej policzki oblały się rumieńcem.

– Że co? – spytałam.

Ben kopnął mnie pod stołem i powiedział:

– W takim razie gratulujemy, kochani! To cudowna wiadomość. – Następnie posłał mi surowe spojrzenie i powiedział: – Prawda, że to wspaniała wiadomość, Claudio?

– Tak. Rzeczywiście wspaniała – powiedziałam, lecz nie opuszczało mnie wrażenie, że zostałam zdradzona. Właśnie traciliśmy naszych ulubionych towarzyszy podróży, jedynych bliskich przyjaciół, którzy nie byli skrepowani dziećmi i różnymi ograniczeniami wynikającymi z ich posiadania.

Dokończyliśmy kolację, a naszą rozmowę zdominował temat dzieci i posiadłości w Westchester.

Później, kiedy byliśmy już sami w pokoju, Ben zbeształ mnie za tak jawne okazywanie braku wsparcia.



– Mogłaś przynajmniej u d a w a ć, że cieszysz się ich szczęściem – powiedział – zamiast maglować Annie i Raya z metod kontroli narodzin.

– Po prostu byłam w szoku – powiedziałam. – Podejrzewałeś coś?

Ben potrząsnął głową i z przelotnym wyrazem zazdrości na twarzy powiedział:

– Nie. Ale uważam, że to wspaniałe.

– Chyba nie powiesz, że teraz ty też chcesz mieć dzieci? – zapytałam, raczej w formie żartu.

Odpowiedział pospiesznie, lecz jego słowa wydały mi się pozbawione przekonania i nieszczerze:

– Oczywiście, że nie – powiedział. – Nie bądź śmieszna.

W ciągu kolejnych kilku miesięcy sytuacja stawała się coraz bardziej niepokojąca. Ben zdecydowanie za bardzo interesował się przebiegiem ciąży Annie. Podziwiał zdjęcia z USG i nawet przyczepił jedno z nich do naszej lodówki. Powiedziałam mu, że nie jesteśmy typem rodziny, która przyczepia różne rzeczy do lodówki.

– Jezu, Claudio. Wyluzuj – powiedział Ben i wydawał się poruszony, gdy odklejał niewyraźny czarno-biały obrazek, aby wrzucić go do szuflady. – Naprawdę powinnaś bardziej cieszyć się tym, co ich spotkało. To nasi najlepsi przyjaciele, na Boga.

Niedługo po tym, tuż przed narodzinami dziecka Annie i Raya, w ostatniej chwili zdecydowaliśmy się na weekendowy wypad do kurortu, w którym wzięliśmy ślub. Był początek stycznia, kiedy nagle zniknięcie świątecznych ozdób i turystów sprawia, że Manhattan wygląda goło i szaro, a Ben oznajmił, że nie może się już doczekać początku marca i naszej wstępnie zaplanowanej wycieczki do Belize. Pamiętam, jak wrzucając do walizki kilka

par szortów i nowe czerwone bikini, zauważyłam, że spontaniczność i możliwość zaplanowania wakacji w jednej chwili stanowią bardzo przyjemny element naszego związku.

Ben powiedział:

– Tak. Nasze wspólne życie ma kilka cudownych stron.

Zdumiała mnie pobrzmiewająca w tym stwierdzeniu melancholia – nieco złowieszcza – lecz nie drażyłam tematu. Nie próbowałam nakłonić Bena do rozmowy nawet podczas lotu na Karaiby, kiedy przejawiał nietypową dla siebie małomówność.

Tak naprawdę zaczęłam się martwić dopiero wieczorem, kiedy urządzaliśmy się w pokoju, wypakowując ubrania i kosmetyki. Przerwałam na chwilę, aby spojrzeć na widniejący za oknem ocean, a kiedy ponownie odwróciłam się w stronę walizki, w lustrze dostrzegłam odbicie Bena. Na jego twarzy malował się wyraz skruchy. Wpadłam w panikę, przypominając sobie to, co moja siostra Maura mówiła kiedyś o mężczyznach, którzy zdradzają żony. Była ekspertką w tej dziedzinie, ponieważ z tego, co wiedziała, jej mąż Scott zdradził ją co najmniej z dwiema kobietami.

– Uważaj, jeśli staną się naprawdę wredni lub naprawdę mili. Na przykład kiedy bez żadnego powodu zaczną przysyłać ci kwiaty albo biżuterię – powiedziała. – Albo gdy zabiorą cię na romantyczną wyprawę. To poczucie winy. W ten sposób próbują ci coś wynagrodzić. – Usiłowałam się uspokoić, powtarzając sobie, że zachowuję się jak paranoiczka. Ben i ja zawsze lubiliśmy spontaniczne wycieczki. Nigdy nie potrzebowaliśmy konkretnego powodu.

Mimo to nadal pragnęłam pozbyć się uporczywych myśli o Benie obściskującym się z jakąś spoconą artystką, więc usiadłam na łóżku, rzuciłam japonki i powiedziałam:

– Ben, porozmawiaj ze mną. Co cię gryzie?

Głośno przełknął ślinę i usiadł obok mnie. Łóżko lekko podskoczyło pod jego ciężarem i ten ruch sprawił, że zaczęłam się denerwować jeszcze bardziej.

– Nie wiem, jak to powiedzieć – zaczął łamiącym się głosem. – No więc po prostu to z siebie wyduszę.

Pokiwałam głową, czując, jak ogarniają mnie mdłości.

– Mów.

– Chyba jednak chcę mieć dzieci.

Poczułam przypływ ulgi i nawet głośno się roześmiałam.

– Przestraszyłeś mnie. – Ponownie parsknęłam śmiechem, tym razem głośniejszym, po czym otworzyłam jamajskie piwo wyjęte z minibarku.

– Mówię poważnie, Claudio.

– Skąd taki pomysł? Chodzi o Annie i Raya?

– Możliwe. Nie wiem. Ja... Ja po prostu to czuję – powiedział Ben, przyciskając pięść do serca.

Przynajmniej mnie nie zdradza, pomyślałam. Nigdy nie potrafiłabym zapomnieć mu takiej zdrady. Chwilowe pragnienie dziecka z pewnością mu minie. Kiedy jednak Ben nadal wyliczał powody, dla których dziecko może być czymś dobrym – wspominając między innymi o pokazywaniu dzieciom świata i robieniu wszystkiego lepiej niż nasi rodzice – moja ulga ustąpiła miejsca czemuś innemu. Zaczęłam mieć wrażenie, że tracę kontrolę, że coś wymyka mi się z rąk.

Próbowałam zachować spokój, wygłaszając dosyć elokwentną przemowę. Powiedziałam mu, że całe to rodzicielstwo zupełnie do nas nie pasuje. Powiedziałam, że stworzyliśmy związek oparty na nas dwojgu i na przekonaniu, że troje lub więcej to już tłok. Podkreśliłam, że w przeciwnej sytuacji nie moglibyśmy w ostatniej chwili wybrać się na wycieczkę. Bez przerwy bylibyśmy uziemieni w domu.

– Ale mielibyśmy inne powody do radości – powiedział Ben. – A jeśli rzeczywiście omija nas coś naprawdę wspaniałego? Nigdy nie słyszałam, żeby ktokolwiek żałował posiadania dzieci.

– Czy powiedziała by o tym, gdyby rzeczywiście żałował? – zapytałam.

– Być może nie – powiedział Ben. – Ale moim zdaniem nikt tego nie żałuje.

– Kompletnie się z tobą nie zgadzam... Po co są w takim razie szkoły z internatem? Samo ich istnienie już czegoś dowodzi, prawda? – zapytałam. Po części był to żart, lecz Ben wcale się nie śmiał.

Westchnęłam i postanowiłam zmienić temat, skupić się na przyjemnościach. Pokazać Benowi, co by nas ominęło, gdybyśmy mieli dzieci.

– Przebierzmy się i chodźmy na kolację – powiedziałam, nastawiając *One Love* na naszym przenośnym odtwarzaczu płyt kompaktowych i myśląc, że nikt tak skutecznie jak Bob Marley nie wprawia człowieka w daleki od spraw rodzicielstwa, nieskrępowany nastrój.

Jednak pomimo moich najszczerzych starań o dobrą zabawę pozostała część weekendu upłynęła pod znakiem rosnącego napięcia. Miałam wrażenie, że nasza radość z bycia razem jest wymuszona, a nastrój Bena przeszedł z przygaszonego w smętny. Trzeciego i zarazem ostatniego wieczoru na wyspie

wzięliśmy taksówkę do Asolare, restauracji z fantastycznym widokiem na zatokę Cruz. Jedliśmy w milczeniu, komentując jedynie zachód słońca i doskonale przyrządzonego homara. Kiedy kelnerka przyniosła nam kawę i sorbet, spojrzałam na Bena i powiedziałam:

– Wiesz co? Mieliśmy umowę.

Gdy tylko te słowa padły z moich ust, poczułam, że zabrzmiały idiotycznie. Żadne małżeństwo nie jest umową, której nie można zerwać. Nawet wtedy kiedy macie wspólne dzieci, choć to z pewnością komplikuje sytuację. Tkwiąca w tym wszystkim ironia wydała mi się przytłaczająco smutna.

Ben pociągnął się za ucho i powiedział:

– Chcę być ojcem.

– Jasne. Jasne – powiedziałam. – Ale czy pragniesz dziecka bardziej niż bycia moim mężem?

Wyciągnął dłoń i położył ją na mojej.

– Chcę jednego i drugiego – powiedział i ścisnął moje palce.

– No cóż, nie możesz mieć jednego i drugiego – powiedziałam, próbując stłumić nutę wściekłości pobrzmiewającą w moim głosie.

Czekałam, aż powie, że bez względu na wszystko wybrałby mnie. Że to jedyna rzecz na świecie, której jest naprawdę pewny.

– No więc? Co wybierasz? – zapytałam.

Nie zamierzałam poddawać go żadnemu testowi, lecz nagle właśnie tak to zabrzmiało. Ben długo wpatrywał się w swoje cappuccino. Następnie cofnął dłoń i powoli wrzucił do kubka trzy kostki cukru.

Kiedy w końcu na mnie spojrzał, w jego szarzielonych oczach malowały się poczucie winy i smutek, a ja wiedziałam, że właśnie otrzymałam odpowiedź.

RS

## ROZDZIAŁ 2

Po powrocie do domu Ben i ja postanawiamy dać sobie trochę czasu i wszystko przemyśleć. Przynajmniej tak zdecydował Ben. Gryzę się w język, żeby nie powiedzieć, że ja nie muszę się nad niczym zastanawiać. To on radykalnie zmienił zdanie na temat podstawowej sprawy w naszym związku. Zatem to on powinien się zastanowić.

Codziennie wykonuję te same rutynowe czynności, chodzę do pracy, a wieczorem wracam do domu, do Bena. Ja czytam, on szkicuje, aż w końcu idziemy spać. W międzyczasie próbuję przekonać samą siebie, że mój mąż przechodzi tylko taki etap, coś w stylu przeciwieństwa kryzysu wieku średniego. Niektórzy mężczyźni żałują, że się ustatkowali i wcześniej zdecydowali na dzieci. Ben po prostu kwestionuje naszą decyzję, aby zupełnie z nich zrezygnować. Powtarzam sobie, że to normalne – może nawet zdrowe – gdy człowiek dokonuje ponownej oceny swojego życia i podjętych decyzji. Ben potrzebuje trochę czasu, żeby się z tym wszystkim uporać, a potem z pewnością wróci mu rozum i ponownie uzna nasze wcześniejsze decyzje.

Opieram się potrzebie omówienia tej sytuacji z rodziną lub przyjaciółmi, ponieważ w pewnym sensie wierzę, że rozmawianie o niej ugruntuje rozdźwięk w naszym związku. Zamiast tego ignoruję problem, mając nadzieję, że to minie.

Nie mija.

Pewnego sobotniego popołudnia Ben wskazuje na ulicy bladą niebieskooką dziewczynkę o jasnorudych włosach i mówi:

– Podobna do ciebie. – Następnie, na wypadek gdybym nie zrozumiała, o co mu chodzi, dodaje: – Gdybyśmy mieli córkę, wyglądałaby tak jak ona.

Posyłam mu tylko wymowne spojrzenie.

Kilka dni później, oglądając w telewizji mecz koszykówki, Ben mówi, że chce mieć syna – do czego w przeciwnym razie przydadzą mu się te wszystkie bezużyteczne informacje na temat sportu, których uczył się na pamięć od czasów dzieciństwa.

– Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że nie będę opowiadał o sporcie naszej córce – dodaje.

Ja znowu milczę.

W następnym tygodniu oznajmia, że posiadanie jednego dziecka mogłoby być czymś w rodzaju kompromisu.

– Jak to? – pytam.

– Ponieważ ja chciałbym mieć dwoje dzieci, a ty myślisz, że nie chcesz ich wcale – mówi, jakbyśmy byli parą sześciolatków rozmawiających o tym, ile kupić pączków.

– Ja w i e m, że nie chcę ich wcale – mówię, po czym podchodzę do umywalki i otwieram opakowanie z pigułkami antykoncepcyjnymi.

Ben marszczy brwi i mówi:

– A może przestałabyś je brać? Może po prostu zobaczymy, co się stanie? Zobaczymy, czy dzieci są nam pisane?

Mówię mu, że jego plan przypomina podejście konserwatystów do współczesnej medycyny. Ben patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Mam lepszy pomysł – mówię. – Złapmy się za ręce, wyskoczmy przez okno i zobaczymy, czy jest nam pisane umrzeć.

Następnie połykam pigułkę.



Najbardziej bezczelna uwaga Bena pada pewnej niedzieli, kiedy jemy w Rye'u lunch z Lucindą, matką Bena, jego dwiema siostrami, Rebeccą i Megan, oraz ich mężami i dziećmi. Gdy kończymy posiłek i przenosimy się do salonu domu, w którym dorastał Ben, zastanawiam się nad tym, co nurtuje mnie podczas każdego spotkania z jego najbliższymi: czy nasze rodziny – a zwłaszcza matki – mogłyby różnić się jeszcze bardziej? Moja rodzina jest wybuchowa – rodzina Bena jest spokojna. Moja matka jest raczej pozbawiona matczynego ciepła i ekscentryczna – matka Bena jest opiekuńcza i całkiem zwyczajna. Obserwując Lucinę, która sączy herbatę z porcelanowej filiżanki, myślę, że jest kompletnym reliktem lat pięćdziesiątych, typem matki, która czekała z ciasteczkami, kiedy dzieci wracały ze szkoły. Ona żyła dla swoich dzieci – i to tak bardzo, że pewnego razu Ben uznał to za prawdopodobną przyczynę rozvodu jego rodziców. Byli klasycznymi ofiarami syndromu pustego gniazda, które zdały sobie sprawę, że nie łączyło ich nic z wyjątkiem dzieci.

Jak to często bywa, ojciec Bena rozpoczął więc nowe życie u boku znacznie młodszej kobiety, a Lucinda nadal żyje dla swoich dzieci – a teraz również dla wnucząt (każda z sióstr Bena ma dwie córki). Jednak wyraźnie widać, że jej ulubieńcem jest Ben, być może dlatego że to jej jedyny syn. W związku z tym Lucinda rozpaczliwie pragnie, abyśmy zmienili zdanie na temat posiadania dzieci, lecz jest o wiele za grzeczna, żeby wyłożyć kawę na ławę i skrytykować naszą decyzję. Zamiast tego sypie jak z rękawa pozornie niewinnymi uwagami na ten temat. Kiedy na przykład kupiliśmy samochód i usiadła na tylnym siedzeniu, powiedziała:

– Macie tu mnóstwo miejsca na dziecięcy fotelik!

Zawsze odnoszę wrażenie, że kieruje swoje komentarze do mnie i że to mnie wini za naszą decyzję. Ben nieustannie powtarzał, że zachowuję się jak paranoiczka, lecz teraz mam oczywiście rację.

Obydwie siostry Bena, Rebecca i Megan, należą do typu matek domatorek, a to wcale nie polepsza mojej sytuacji. Wykazują autentyczne zainteresowanie wydawniczym światem i często wybierają moje powieści do swoich klubów czytelnika, lecz wiem, że tak naprawdę wolałyby, abym przystopowała z karierą i dała ich małemu braciszкови własnego dzidziusia.

Zatem chociaż rodzina Bena jest niezwykle uprzejma i bardzo łatwo się z nią dogadać, nie cierpię spędzać z nią czasu, ponieważ zawsze wprawia mnie w defensywny nastrój. Rzecz jasna, od kiedy Ben wykruszył się z naszego wspólnego frontu, czuję się jeszcze bardziej zagrożona. Poza tym mam niepokojące wrażenie, że wywęszą, co się święci, i zapragną wtrącić swoje trzy grosze.

Zgodnie z przewidywaniami, gdy dorośli rozmawiają i patrzą, jak siostrzenice Bena bawią się lalkami Barbie, Rebecca napomyka coś o tym, że przydałby się mały kuzyn dla lekkiego urozmaicenia towarzystwa. Przystępuję do szybkiego ataku i patrząc na Megan, mówię:

– No cóż, Meg, zatem bierz się do roboty! Mąż Megan Rob kręci głową i mówi:

– Do diabła, nie! My już swoje zrobiliśmy! A Megan wtrąca:

– Dwoje dzieci w zupełności wystarczy. Z dwójką jest i d e a l n i e. Poza tym... Nie miałabym pojęcia, co robić z chłopcem!

Lucinda przygląda spódnicy i posyła Benowi i mnie leciutki, pełen nadziei uśmiech.

- Wygląda na to, że chłopiec to zadanie dla was – swiergocze niewinnie.
- Poza tym to jedyny sposób na przetrwanie rodzowego nazwiska!

Czuję, jak ogarnia mnie złość, kiedy zastanawiam się, jak to możliwe, że tak bardzo zależy jej na nazwisku, które należy do jej byłego męża. Mimo to mówię tylko:

– Ja też nie miałabym pojęcia, co robić z chłopcem... Zresztą podobnie jak z dziewczynką! – Potem wybucham śmiechem, jak gdybym właśnie opowiedziała błyskotliwy dowcip.

Wszyscy się dołączają, grzecznie chichocząc.

Wszyscy oprócz Bena, który ściska mnie za kolano i mówi:

– Jeszcze się dowiesz, Claudio. Oboje się dowiemy.

W pokoju wyczuwa się radość. Jego rodzina praktycznie bije brawo, komentarz jedyne go brata i syna przyprawia ich o zawrót głowy.

Lucinda pochyla się i mówi:

– Chcecie nam coś powiedzieć? Ben uśmiecha się i mówi:

– Jeszcze nie.

Powstrzymuję się do chwili, w której zostajemy sami w samochodzie.

– Jeszcze nie? – krzyczę. Potem oświadczam mu, że nigdy dotąd nie czułam się tak zdradzona.

Ben mówi, żebym nie dramatyzowała, że to było tylko takie wyrażenie.

– Wyrażenie? – pytam z oburzeniem.

– No tak – odpowiada. – Rany, Claudio. Uspokój się, dobrze?

Wtedy dochodzę do wniosku, że nadszedł czas, aby porozmawiać z jedną z osób tworzących lojalny wobec mnie triumwirat – albo z którąś z moich dwóch starszych sióstr, Daphne lub Maurą, albo z moją najlepszą przyjaciółką, Jess. Po krótkim namyśle wykluczam siostry, przynajmniej

wstępnie. Chociaż zawsze mają na uwadze moje dobro, jestem najzupełniej przekonana, że w tej sprawie nie mogę liczyć na ich poparcie.

Motywacja Maury bardziej skupi się na tym, żeby uchronić mnie od rozstania z Benem, i na myśleniu, że powinnam urodzić dziecko. Maura szanuje moją decyzję o bezdzietności. Sama ma trójkę dzieci, które kocha całym sercem – które ja kocham całym sercem – lecz myślę, że w pewnych bardzo cichych chwilach introspekcji może wręcz żałować, że zdecydowała się je urodzić. A przynajmniej że zdecydowała się urodzić je Scottowi. Często słyszałam, jak mówi, że najważniejszą decyzją, jaką podejmuje w życiu kobieta, nie jest to, za kogo wyjść za mąż, lecz to, kto powinien zostać ojcem jej dzieci.

– Tego nie można cofnąć – mówi. – Dzieci zwiążują was na całe życie.

Tak naprawdę myślę jednak, że Maura podjęła złą decyzję na obydwu frontach. Jest dobrym przykładem kobiety, która za bardzo przejmuje się namiętnością, podnieceniem i urokiem zewnętrznym, nie zważając na wiernych, dobrych i uczciwych mężczyzn. Nazywam to „syndromem licealistki”. Większość licealistek odrzuca miłego, spokojnego i odrobinę kujonkowatego chłopca i zamiast niego pragnie przebojowego popularnego sportowca. Jeśli jakimś cudem uda im się dopaść tego drugiego, szczerze wierzą, że stały się najszczęśliwszymi istotami na ziemi. Zdobyły główną nagrodę. Kiedy jednak po dwudziestu latach przybywają na zjazd absolwentów, dostrzegają błędność takiego myślenia. Miły, cichy i odrobinę kujonkowaty chłopiec rozkwitł w idealnego męża, dobrego ojca i lojalnego opiekuna, podczas gdy przebojowy popularny sportowiec zaszywa się w jakimś kącie i obmacuje Lalunię, zdzirowatą byłą cheerleaderkę.

Tak mniej więcej brzmi skrócona wersja historii chybionych związków Maury. Przed trzydziestką spotykała się z facetem o imieniu Niles i bardzo niewiele brakowało jej do decyzji o ślubie. Kiedy jednak Niles zaczął pytać ją o pierścionki, coś jej odbiło i doszła do wniosku, że jest „zbyt nudny i przewidywalny”. Powiedziała, że nie może poślubić kogoś, kto nie zapewnia jej nieustannych palpacji serca. W tamtym czasie bardzo popierałam tę decyzję. Sama właśnie odnalazłam prawdziwą miłość, która nie wymagała rodzenia dzieci – zresztą nadal całym sercem wierzę w jej istnienie. Jednak z perspektywy czasu myślę, że tak naprawdę Maura pomyliła miłość z pożądaniem i byciem miłym z byciem nudnym. Niles dobrze ją traktował i pragnął podjąć trwałe zobowiązanie. W związku z tym uznała, że w jakimś sensie jest bezwartościowy – a przynajmniej zupełnie niegodny zainteresowania. Szczerze mówiąc, myślę również, że w podjęciu tej decyzji odegrał rolę wygląd Nilesa, chociaż sama Maura nigdy by się do tego nie przyznała. Niles jej się podobał, lecz nie należał do tego typu facetów, którzy w barze przyciągają spojrzenia kobiet. A Maura pragnęła ogiera. Chciała imponować. Dlatego też nie byłam zaskoczona, gdy jej pierwszym chłopakiem po Nilesie został wysoki, przystojny i rozrywkowy Scott. I chociaż jestem pewna, że istnieje mnóstwo wysokich, przystojnych i rozrywkowych facetów, którzy ponadto pozostają wierni żonom, to tak się składa, że moim zdaniem znaczna większość takich facetów to oszuści.

W każdym razie Scott jest oszustem i myślę, że opinia Maury na temat mojego związku będzie zabarwiona tym, że ona sama dokonała złego wyboru. Że, mówiąc językiem Daphne, zdecydowała się na „przebojowego Scotta”, a nie na „miłego Nilesa”. Maura przez całe lata zazdrościła mi

małżeństwa, które jest absolutnie idealne wewnątrz i dzięki temu wygląda jeszcze bardziej idealnie z zewnątrz.

Nigdy nie ma mi za złe szczęścia, lecz Ben nieustannie przypomina jej o tym, co mogła mieć – a ona rozpaczliwie pragnie, żebym to doceniła i chroniła. Zatem jestem pewna, że powie, iż powinnam urodzić dziecko, aby zatrzymać przy sobie Bena. Że powinnam zrobić wszystko, aby go przy sobie zatrzymać. A to jest coś, czego naprawdę nie chciałabym usłyszeć.

Powody, dla których Daphne powie mi, żebym została z Benem, będą miały niewiele wspólnego z moim związkiem i całkowicie skupią się na jej obsesji na punkcie dzieci. Jest to pryzmat, przez który patrzy na otaczający ją świat. Daphne i jej mąż Tony starają się o dziecko już prawie dwa lata. Przez jakiś rok stosowali starą metodę: wypić butelkę wina, wskoczyć do łóżka i modlić się o brak okresu. Potem zwrócili się ku bardziej zaawansowanym środkom: kupili urządzenia do monitorowania płodności, sporządzali wykresy owulacji i bzykali się w szczytowych okresach każdego miesiąca. Teraz Daphne bierze clomid i sprawdza wszystkie kliniki płodności w promieniu trzech stanów. Czuję ból, patrząc, jak co miesiąc mojej siostrze pęka serce z chwilą nadejścia okresu, i widząc, jak bardzo odmieniła ją ta walka – że robi się coraz bardziej zgorzkniała, gdy jej kolejne przyjaciółki rodzą dzieci. Szczególnie rozdrażniona jest wtedy, gdy innym ludziom przychodzi to bez trudu, i posunęła się nawet do tego, że zupełnie zerwała kontakty ze swoją przyjaciółką Kelly, kiedy ta już podczas miesiąca miodowego sprawiła sobie bliźnięta. Gdy Maura powiedziała Daphne, że powinna cieszyć się razem z Kelly (i mogła mieć rację, lecz wtedy taki komentarz z pewnością nie był konieczny), pomiędzy moimi siostrami wybuchła wielka kłótnia. Daphne odłożyła słuchawkę i od razu wystukała

mój numer, próbując przekabacić mnie na swoją stronę. Kiedy Maura zadzwoniła na drugi telefon, pragnąc natychmiast podzielić się swoimi wrażeniami ze sprzeczki, Daphne wrzasnęła:

– Nie waż się odbierać! – po czym gorączkowo przedstawiła własne zdanie. Upierała się, że kłótnia z Kelly nie miała nic wspólnego z faktem, iż Bóg pobłogosławił ją bliźniętami, i chodziło wyłącznie o to, że Kelly zamierzała dać córeczce imię Stella.

– To moje imię – Daphne powtórzyła to chyba z dziesięć razy. Powstrzymałam się od wtrącenia: „Nie, tak naprawdę masz na imię Daphne”, i zamiast tego zapewniłam moją siostrę, że i tak nie jestem wielką fanką aliteracji w nadawaniu imion (Daphne ma na nazwisko Sacco). Powiedziałam, że Stella Sacco brzmi jak pseudonim jakiejś striptizerki i że jeśli w pracy dostałabym CV Stelli Sacco, odrzuciłabym je bez mrugnięcia okiem i nigdy bym nie zauważyła, że była stypendystką Fulbrighta. Wywiązała się długa rozmowa na temat nadawania dzieciom imion, której temat uważam za śmieszny i męczący, chyba że za dziewięć miesięcy upływa termin wykonania tego zadania. Dyskutowanie o imionach dla dzieci, kiedy nawet nie jesteś w ciąży, jest prawie tak śmieszne jak zgłaszanie pretensji do jakiegoś imienia. Rzecz jasna, podzieliłam się tymi spostrzeżeniami z Maurą, kiedy w końcu do niej oddzwoniłam, lecz powiedziałam, że mimo wszystko powinniśmy próbować wspierać Daphne. Zdążyłam już przywyknąć do delikatnego pośredniczenia w godzeniu moich sióstr, chociaż one to samo mogą powiedzieć o sobie. Być może jest to po prostu naturalny układ sił pomiędzy trzema siostrami. Jesteśmy ze sobą bardzo zżyte, lecz często występujemy w układzie dwie przeciwko jednej, a sojusze ulegają nieustannym zmianom.

W każdym razie sama myśl, że moje siostry mogą poprzeć Bena i próbować namówić mnie na dziecko, jest nie do zniesienia. Potrzebuję bezwarunkowej, niezachwianej sojuszniczki. Kogoś, kto odsunie na bok swoją stronniczość. Właśnie wtedy do akcji wkracza moja najlepsza przyjaciółka Jess.

Poznałam Jess na pierwszym roku w Princeton, gdzie połączyła nas odraza do ówczesnych współlokatorek: wojowniczych studentek teatrologii noszących to samo imię, Tracy. Pewnego wieczoru, tuż przed przerwą z okazji Święta Dziękczynienia, Jess uraczyła obydwie Tracy wódką z sokiem porzeczkowym i namówiła je na zamianę współlokatorek. Zrobiła to tak sprytnie, że w rezultacie obydwie Tracy były przekonane, że same wpadły na ten pomysł. Moja Tracy napisała mi nawet liścik z przeprosinami – pismem kaligraficznym. Nazajutrz Jess przytaszczyła swoje ubrania, książki i kołdrę zapakowane w plastikowe skrzynki i worki na śmieci i zamieszkałyśmy razem na kolejne czternaście lat (prawie tyle samo, ile w rodzinnym domu), które upłynęły w college'u, a potem w naszym pierwszym nędznym mieszkaniu na Manhattanie, przy skrzyżowaniu Dziewięćdziesiątej Drugiej i York.

W ciągu tych lat kilkakrotnie zmieniałymy mieszkanie na lepsze, aż w końcu zajęłyśmy przestronne słoneczne poddasze na Park Avenue South, które za sprawą kiczowatego gustu Jess wywoływało wiele porównań do mieszkania z serialu *Przyjaciele*. Każda z nas miała w międzyczasie kilku chłopaków, lecz żaden z nich nie był w stanie nas rozdzielić.

Dopóki nie zjawił się Ben.

W dniu, w którym przeprowadziłam się do Bena, obydwie miałyśmy smętny nastrój, a potem żartowałyśmy, że nasze rozstanie przypomina



rozwód. Nadal codziennie ze sobą rozmawialiśmy – czasami nawet kilkakrotnie – lecz nasza przyjaźń zdecydowanie się zmieniła. Po części chodziło o to, że po prostu rzadziej się widywałyśmy. Nie prowadziłyśmy już tych nocnych ani wczesnoporannych rozmów, których tak naprawdę nie można powtórzyć przez telefon. Po części nastąpiła nieuchronna zmiana w kwestii lojalności. Ben stał się osobą, z którą najwięcej rozmawiałam – tą, do której zwracałam się na pierwszym miejscu w wypadku jakiegoś kryzysu lub sukcesu. Czasami spotykam mężatki, które przedkładają koleżanki nad mężów, i chociaż podziwiam ten rodzaj kobiecej wierności, wierzę również, że może on stworzyć niebezpieczny układ sił. W małżeństwie pewne rzeczy powinny pozostać święte. Nigdy nie rozmawiałam z Jess na temat zmian w naszych wzajemnych relacjach, ale czułam, że ona to rozumie. Myślę, że nawet sama odrobinę się wycofała – przez szacunek dla mojego związku i być może ze względu na własną dumę. Miała teraz nowy krąg przyjaciół – same kobiety po trzydziestce poszukujące miłości.

Czasami czuję ukłucie nostalgii, kiedy Jess wychodzi z dziewczynami na sangrię w Village albo robi to, co dawniej robiłyśmy razem. Jednak generalnie nie zazdroszczę jej sytuacji. W tym roku kończymy trzydzieści pięć lat i widzę, że ta graniczna data bardzo ją stresuje. Nie pragnie rozpaczliwie męża, lecz pewnego dnia chciałaby mieć dzieci. Poza tym doskonale zdaje sobie sprawę, że jej jajeczka mają określony termin ważności (jej słowa, nie moje).

To wszystko jest jeszcze bardziej frustrujące, kiedy patrzę, jak moja najlepsza przyjaciółka nieustannie wplątuje się w coś, co byłoby idealnym materiałem na powieść Jackie Collins. Cały czas ciągnie ją do nieosiągalnych typów – wyrachowanych podrywaczy, żonatych mężczyzn lub facetów z

Zachodniego Wybrzeża, którzy nie chcą nawet myśleć o zamieszkaniu na Manhattanie. Od dwóch lat jest uwikłana w związek z gościem o imieniu Trey, który spełnia wszystkie powyższe warunki. Wiem, ciężko być wyrachowanym żonatym podrywaczem, lecz Treyowi ten wyczyn udaje się znakomicie. W obronie Jess dodam tylko tyle, że Trey powiedział jej o żonie dopiero wtedy, gdy zdążyła się w nim zakochać. Jednak od tamtego czasu miała już cały rok, żeby przetrwać tę wiadomość i ruszyć własną drogą.

Co najważniejsze, Jess zawsze miała okropny gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Nawet w college'u kochała się w pozerze z bractwa, należącym do tej kategorii facetów, którzy z pewnością wylądują przed sądem honorowym za gwałt podczas randki. To dziwne, ponieważ nad wszystkimi innymi aspektami swojego życia Jess ma pełną kontrolę. Jest pewną siebie, zabawną i najbardziej inteligentną kobietą, jaką znam. Princeton ukończyła z wyróżnieniem, choć wcale zbyt dużo się nie uczyła, a potem zdobyła MBA na Columbii. Teraz pracuje jako specjalistka od inwestycji dla Lehman Brothers, idzie jak burza przez świat zdominowany przez mężczyzn i zarabia forszę, o którą wcześniej podejrzewałam jedynie zawodowych sportowców i gwiazdy filmu. W dodatku wygląda jak modelka z wybiegów. Według mojej siostry Maury jest to spory problem, bo byłoby lepiej, gdyby nie miała tak gibkiej figury i przypominała modelkę prezentującą bieliznę.

– Mężczyznom nie podobają się kobiety z wybiegów – mówi. – One podobają się kobietom. – Maura ma całą kolekcję powierzchownych teorii na temat związków. Oto niektóre perełki: bardziej atrakcyjna osoba w związku zawsze skupia władzę; kobiety powinny wychodzić za mężczyzn co najmniej siedem lat starszych, żeby nie było widać różnicy wieku; lepiej, żeby niscy łąsi mężczyźni byli wyposażeni w grubą forszę.

W każdym razie postanawiam zwierzyć się Jess.

Zatem następnego dnia umawiamy się na lunch w delikatesach położonych w połowie drogi między naszymi biurami. Zamawiamy kanapki przy ladzie, a potem bierzemy torby z chipsami i butelki z wodą Evian i siadamy przy stoliku pod oknem. Za nami siedzi pięciu robotników budowlanych i kiedy jeden z nich wstaje, Jess zauważa, że ma „idealny tyłek”. Jej niepohamowane komentarze na temat różnych części ciała płci przeciwnej przypominają zachowanie faceta. Zerkam na odziany w lewisy tyłek, zgadzam się, że jest diabelnie urodziwy, a następnie przedstawiam swój problem.

Jess słucha z uwagą i współczującym wyrazem twarzy. Od dawna nie potrzebowałam od niej prawdziwej porady w sprawach sercowych. Widzę, że z radością porzuca temat ostatnich niepokojących wyczynów Treya, gdy mówi ze swoim akcentem z Alabamy, którego nie pozbyła się pomimo wielu lat spędzonych na północnym wschodzie:

– Jakoś sobie z tym poradzicie. Nie panikuj.

– Jeszcze nie panikuję – mówię. – No, może tylko trochę... W końcu dzieci nie są sprawą, w której można pójść na kompromis, prawda?

Jess kiwa głową i krzyżuje swoje długie nogi.

– Trafna uwaga.

– Mam więc nadzieję, że to tylko przejściowe – mówię.

Jess otwiera swoją kanapkę z sałatką z kurczaka i wpycha do środka kilka chipsów.

– Jestem pewna, że to tylko przejściowe – mówi. – Jakaś drobna, tymczasowa sprawa.

– Tak – mówię, gapiąc się na moją kanapkę z indykiem. Od czasu naszego powrotu z Karaibów nie dopisuje mi apetyt.

– Pamiętasz jego gitarę? – pyta, przewracając oczami. Uwielbia nabijać się z Bena, a on nie pozostaje jej dłużny, co odbieram jako oznakę ich wzajemnej sympatii. Jess śmieje się i mówi: – Stary dobry Benny Van Halen miał na jej punkcie fioła przez kilka miesięcy, prawda?

Śmieję się, przypominając sobie dzień, w którym wraz z Benem przeszliśmy obok małego sklepiku w Village, zwanego Salonem Gitarowym. Sklepik był ukryty w uroczej kamienicy z elewacją z piaskowca, cały rozświetlony i kuszący w deszczowy dzień. Zatem weszliśmy do środka i rozejrzeliśmy się wokół, a po kilku minutach Ben postanowił, że po prostu musi mieć starą gitarę. Pierwszy raz w życiu wykazał choćby najmniejsze zainteresowanie jakimś instrumentem muzycznym, lecz wtedy byłam już przyzwyczajona do nagłych fascynacji Bena różnymi sprawami. Ben należy do tych ludzi, którzy potrafią zachwycić się wieloma, wieloma rzeczami – astronomią, filmami, kolekcjonowaniem starych zegarków i czym tylko zechcecie. Zatem obserwowałam to wszystko z czułością i cierpliwie czekałam, podczas gdy on zasypywał sprzedawcę pytaniami. Potem wypróbował całe mnóstwo gitar i przebiegając palcami po strunach, próbował nawet grać. Godzinę później wydał małą fortunę na hiszpańską gitarę z pięćdziesiątego szóstego roku wykonaną z palisandru oraz na serię lekcji u nauczyciela cieszącego się umiarkowaną sławą w nowojorskim świecie gitary klasycznej.

Przez kilka miesięcy Ben ćwiczył z ujmującym zapalem, szybko opanowując podstawy i dorabiając się imponujących zgrubień na palcach. W moje urodziny zaśpiewał serenadę, idealnie interpretując *I Can't Help Falling*

*in Love with You* – piosenkę, która, wyznając z zakłopotaniem, sprawia, że robi mi się miękko na sercu, zwłaszcza że zawsze utrzymywałam, iż Ben przypomina odrobinę młodą, nieco rudawą wersję Elvisa.

Jednak wkrótce potem Ben stracił zainteresowanie swoim nowym hobby i odstawił gitarę w ciemny kąt pod naszym łóżkiem. Ostatnio wystawił ją na sprzedaż na eBayu. Jess zapewnia mnie teraz, że jego obecna obsesja na punkcie ojcostwa będzie równie krótkotrwała.

– Jedyne problemy polegają na tym – mówię – że Ben miał gitarę, zanim porzucił myśl o karierze znanego muzyka.

– To prawda – mówi, czytając e-mail ściągnięty na komórkę. Jess jest mistrzynią w wykonywaniu kilku czynności naraz. Z furią pisze odpowiedź i mówi: – A nie istnieje sposób na tymczasowe posiadanie dziecka, prawda?

– W tym celu można by wykorzystać dziecko Raya i Annie – mówię, myśląc o tygodniowych pobytach w domu mojej siostry Maury po narodzinach każdego z jej trojga dzieci. Początkowo wszystkie trzy wizyty były poruszające, gdyż nie ma nic równie znaczącego lub szczególnego jak poznanie nowego członka rodziny. Poza tym uwielbiałam spędzać te ciche intymne chwile z moją siostrą, która zazwyczaj jest strasznie zajęta swoimi rozlicznymi społecznymi obowiązkami w Bronxville. W kameralnym klimacie towarzyszącym pojawieniu się nowego dziecka przeprowadziłam z Maurą kilka z naszych najlepszych rozmów, podczas których obydwie siedziałyśmy w szlafrokach i kapciach, z nieumyętymi zębami. Mimo to nocny koszmar karmienia, którego doświadczałam na ochotnika, był okrutny i zawsze opuszczałam jej dom, czując śmiertelne zmęczenie, które graniczyło z prawdziwym bólem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, w jaki sposób tyle kobiet wytrzymuje to bez przerwy przez długie tygodnie i miesiące.

– Dzieciak już się urodził czy jak? – pyta Jess.

Uśmiecham się, słysząc ten język. Skoro tak desperacko pragnie zostać matką, będzie musiała odrobinę popracować nad słownictwem.

– Urodzi się lada dzień – mówię. – Zatem miejmy nadzieję, że nie jest to przypadek, którego nie może wyleczyć kilka godzin spędzonych w towarzystwie prawdziwego żywego noworodka.

Jak gdyby na znak, następnego popołudnia, po czternastogodzinnej akcji porodowej i przeprowadzonej w ostatniej chwili awaryjnej cesarce, przychodzi na świat Raymond Gage Junior. Ben dzwoni do mnie do pracy, żeby przekazać tę wiadomość.

– Annie i Ray zapraszają nas do szpitala – mówi podekscytowany.

To zaproszenie jest dla mnie zaskoczeniem. Annie i Ray są naszymi bliskimi przyjaciółmi, ale nie sądziłam, że jesteśmy aż tak blisko. Myślałam, że stopień naszej zażyłości ogranicza się raczej do poziomu: „Przyjdźcie zobaczyć dziecko, gdy tylko wyjdziemy ze szpitala”. Mimo to, bez względu na obecną kontrowersyjną sytuację, nie mogę się doczekać, żeby poznać dziecko naszych przyjaciół.

Zatem po pracy jadę metrem do szpitala Rooseveltą, gdzie spotykam się z Benem w sklepiku z upominkami. Wybrał już kilka balonów i kartkę, którą podpisujemy w windzie jadącej na oddział położniczy. Idziemy do sali numer trzysta dwanaście. Drzwi zdobi duży jasnobłękitny bocian trzymający szyld z napisem „To chłopiec!”, a jego podobizny widnieją na mniej więcej połowie drzwi w korytarzu.

Biorąc pod uwagę ciężki poród, spodziewam się spokojnego zgromadzenia, lecz w środku czeka na nas huczne i hałaśliwe przyjęcie. W pokoju jest pełno kwiatów, prezentów i co najmniej dziesięcioro przyjaciół i

członków rodziny, którzy pstrykają dziecku zdjęcia i głośno domagają się pozwolenia na potrzymanie noworodka. Jest tam nawet kilka butelek szampana. Za każdym razem, kiedy pojawia się pielęgniarka, Ray zasłania je plecami.

Ray i Annie promienieją, opowiadając ze szczegółami, jak Annie odeszły wody, jak jechali taksówką do szpitala i o tym, jak się pokłócili, zanim Annie podano epidural, gdyż Ray zostawił w domu kamerę wideo. Śmiejemy się, słuchamy i podziwiamy Raymonda Juniora, który wygląda zupełnie jak jego ojciec (a nie należę do osób dostrzegających takie podobieństwa).

Wszyscy wspaniale się bawimy, lecz doskonale wiem, jak ta impreza wpłynie na Bena. Ogarnęły go silne emocje i wyraźnie wzrusza go szczęście naszych przyjaciół, ale czuję, że poza tym jest niespokojny i rozrzewniony. Nie do końca smutny, lecz tak bliski smutkowi, jak można być, nie będąc smutnym. Jego mina przypomina minę jedynej druhny na weselu, która słucha dwudziestego toastu wieczoru.

Kiedy zbliża się nasza kolej na trzymanie Raymonda Juniora, do pokoju zagląda konsultantka do spraw laktacji i Ray grzecznie prosi wszystkich o opuszczenie pokoju. Dziwię się, że Annie, która, gdyby tylko urodziła się kilka lat wcześniej, paliłaby staniki, tak bardzo dba o swoją prywatność, lecz z drugiej strony, czyż nie mówi się, że dziecko wszystko zmienia? Składamy Annie i Rayowi ostatnie gratulacje i mówimy, że niebawem się do nich odezwiemy.

Jadąc metrem do domu, mam nadzieję, że Ben rozumie, iż taka impreza trwa tylko chwilę. Że kiedy przyniesie się dziecko do domu i minie kilka

tygodni, strumień szampana i świątecznych potraw wysycha, nadchodzi środek nocy i człowiek jest zdany tylko na siebie.

Na wypadek gdyby tego nie zrozumiał, pozwalam, aby upłynęło kilka tygodni, po czym dzwonię do Bena i niewinnie proponuję, abyśmy zaoferowali Annie i Rayowi, że popilnujemy ich dziecka. Żeby dać im szansę wyjść tylko, we dwoje.

Ben uznaje to za wspaniały pomysł. Przeprowadzamy konferencyjną rozmowę z naszymi przyjaciółmi, którzy z wdzięcznością przyjmują propozycję.

Następnego piątkowego wieczoru jedziemy z Benem do Annie i Raya i wdrapujemy się po schodach na ich drugie piętro (zauważam wtedy, jak ciężko będzie taszczyć wózek w górę i na dół). Mam nadzieję zastać tam parę wymizerowanych rodziców, nieposprzątany dom i odór skwaśniałego mleka pomieszany ze smrodem brudnych pieluch. Jednak drzwi otwiera nam starannie ogolony i radosny Ray i z przerażeniem zauważam, że całe mieszkanie lśni. *Good to See You* Neila Younga rozbrzmiewa nieco głośniej, niż można by oczekiwać w domu noworodka, który śpi jak aniołek w swoim samochodowym foteliku.

– Dokąd się wybieracie? – pytam, pragnąc, żeby ruszyli w drogę. Żeby zostawili dziecko ze mną i z Benem. Żeby wyszedł na jaw nasz wielki brak kompetencji.

– Zmiana planów – szybko odpowiada Annie. Zauważam, że wygląda pięknie. Jej włosy są uczesane w kształtny koczek, a skóra nadal emanuje blaskiem właściwym ciężarnej kobiecie.

– Słucham? Jesteście zbyt zmęczeni, żeby wychodzić? – podpuszczam ich.



– Nie. Wychodzimy razem. Czeka na nas stolik dla czworga w Pastis!

– mówi Ray.

W duchu przeklinam, że zdecydowałam się włożyć wygodne dżinsy, czarną koszulkę do ciężkich zadań i buty na płaskim obcasie. Mogłabym zaprotestować, że nigdzie nie idę, bo mam na sobie strój opiekunki do dzieci. Nie sądzę jednak, aby moi przyjaciele zaakceptowali wymówkę typu: „Jestem w tenisówkach”.

– Jesteście pewni? – pytam. – Zależało nam na tym, żebyście mogli pobyć chwilę sami.

– Nie! Brakuje nam was, kochani! – mówi Annie, ściskając mnie.

– Kto w takim razie popilnuje Raya Juniora? – pyta Ben.

– On idzie razem z nami – świergocze Annie.

– Poważnie? – pytam. Annie kiwa głową.

– Cały czas śpi. Nic mu nie będzie! – mówi Ray, podnosząc fotelik swojego syna, jak gdyby chciał udowodnić, że to prawda. – Hej, chcecie go potrzymać, zanim wyjdziemy? Mamy jeszcze kilka minut... To go nie obudzi.

– Pewnie. Pozwólcie, że najpierw umyję ręce – mówię, pamiętając o obsesji mojej siostry na punkcie zarazków po narodzinach jej pierwszego dziecka.

Podchodzę do kuchennego zlewu i szoruję ręce, obmyślając strategię. Może odrobinę nim potrząsnąć i spróbować go obudzić? Może udać, że nie potrafię go kołysać, dowodząc, że nie jestem stworzona do dzieci? Wycieram ręce i dochodzę do wniosku, że takie chwytaki mogłyby być zbyt oczywiste. Zatem delikatnie biorę dziecko z wyciągniętych rąk Raya. Przytrzymuję jego małą główkę wolną dłonią i siadam na kanapie obok Bena. Obydwoje wpatrujemy się w Raya Juniora, który ma na sobie białe śpioszki i

dopasowaną czapeczkę. Głęboko śpi i od razu widzę, że zamierza mnie wyrolować i odegrać rolę idealnego dziecka.

Po kilku minutach rozmowy Ben pyta:

– Mogę?

Annie rozpromienia się.

– Oczywiście.

Ben zachowuje się zupełnie naturalnie. Swobodnie bierze Raya z moich sztywnych rąk. Raymond Junior otwiera jedno oko i spogląda na Bena. Następnie ziewa, kopie nóżkami w jego pierś i ponownie zapada w sen. Mam wrażenie, że Ben kompletnie się w nim zakochał.

– Prawda, że słodko razem wyglądają? – pyta Annie.

Kiwam głową, złoścąc się na nią w duchu za użycie słowa s ł o d k o. To pierwszy znak, że się zmieniła. Dawna Annie nigdy nie użyłaby takiego słowa jak słodko – chyba że z sarkazmem.

Ben delikatnie przesuwa palcem po policzku Raymonda.

– Nie do wiary, ależ on ma gładką skórę.

Jasne, przecież nie może mieć dziecięcej egzemy ani trądziku, myślę.

Ben nadal rozpływa się w zachwytach.

– Popatrz, Claudio. Popatrz, jakie ma malutkie paluszki.

Raymond Junior łapie Bena za kciuk, a ja zastanawiam się, w jaki sposób mam konkurować z takim chwytem. Dzieciak jest dobry.

– Czy on kiedykolwiek płacze? – pyta Ben.

Annie mówi, że niewiele, to bardzo spokojne dziecko. Jasne.

– Mamy prawdziwe szczęście – mówi Ray. – Tak naprawdę to my musimy go budzić na nocne karmienie.

– To rzadko spotykane – mówię, nerwowo zerkając na Bena.

Wszyscy ignorują mój komentarz, gdyż Ray podnosi syna, wkłada go z powrotem do fotelika i znosi na dół, gdzie niemal natychmiast łapie taksówkę. Mam nadzieję, że dziecko liczy się jako piąta osoba – więc nie mieści się w przepisowych limitach taksówkarskich – lecz nasz kierowca wcale nie protestuje.

Reszta wieczoru upływa gładko. Ray Junior spokojnie drzemie w gwarnej restauracji. Nasza rozmowa jest zwyczajna i zabawna. Prawie zapominam, że pod stołem śpi niemowlę. Gdy wszystko inne zawodzi, trzymam kciuki za ukazanie się nad stołem mało apetycznego cycka, lecz Annie wydobywa dyskretną buteleczkę modyfikowanego mleka i wyjaśnia, że doszła do wniosku, iż nie jest stworzona do karmienia piersią.

Zatem, nie licząc słowa słodko, nie mam nic, co mogłabym zarzucić Annie, Rayowi lub dziecku.

Wieczorem w drodze do domu Ben pyta, co sądzę o Raymondzie Juniorze.

Mówię, że jest naprawdę śliczny, bardzo uroczy.

– Ale? – pyta Ben, ponieważ mój ton sugeruje jakieś ale. Zaczynam rozwodzić się nad tym, jak rzadko się zdarza,

aby dziecko tyle spało. Przypominam Benowi, że wszystkie dzieci mojej siostry miały kolkę i że nawet bez kolki większość niemowląt hałasuje znacznie bardziej niż Raymond. Mój monolog nie jest zbyt subtelny, lecz to samo można powiedzieć o argumentach Bena: akwizytorskiej przemowie skupionej na wzniosłych i niepraktycznych ofertach wzięcia „pełnej odpowiedzialności za nocne wstawanie” do naszego dziecka, w przypadku gdybyśmy jakimś cudem wyprodukowali bardziej uciążliwy typ. Czuję się tak, jak gdyby myślał, że jedyną rzeczą, która powstrzymuje mnie od rodzenia

dzieci, jest pragnienie pełnych ośmiu godzin snu. Kontynuuje ten wątek w przemowie na temat liberalnej polityki jego firmy w zakresie urlopów rodzicielskich oraz uroków bycia ojcem domatorem.

– Chcesz być ojcem domatorem? – pytam. – Przecież uwielbiasz swoją pracę.

Ben wzrusza ramionami.

– Nasze dziecko również bym uwielbiał... Chodzi o to, że ty nie musiałabyś wcale zmieniać swojego rozkładu dnia, Claudio – mówi. Następnie powtarza to oświadczenie z identycznym naciskiem na ty i wcale.

– Zrozumiałam za pierwszym razem – mówię.

Tej nocy około trzeciej nad ranem leżę zupełnie rozbudzona i martwię się. Poważnie myślę o tym, żeby potrząsnąć Benem i powiedzieć: „Twoja kolej ukołysać dziecko, kochanie”, jednak w rzeczywistości rozmawianie o wstawaniu w środku nocy to jedna rzecz, a robienie tego, kiedy tak naprawdę pragniesz jedynie spać, jest czymś zupełnie innym.

Postanawiam jednak nie korzystać z tej taktyki. W końcu biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, Ben prawdopodobnie wstanie, zacznie pogwizdywać pod nosem i zastanawiać się nad imieniem dla dziecka.

## ROZDZIAŁ 3

Komentarze Bena dotyczące dziecka graniczą z przekupstwem i spadają na mnie niczym seria z karabinu maszynowego przez kolejnych kilka dni. Powtarzam sobie, żeby się nie poddawać, nie wybuchać, jakoś to przetrwać. Powtarzam sobie, że powinnam mu dać przynajmniej tyle czasu, ile trwała jego gitarowa fascynacja, na wypadek gdyby dzieci stanowiły jedynie aktualną fiksację Bena. A może jest tylko trochę zniecierpliwiony, znudzony lub szuka czegoś, co mogłoby wypełnić pustkę. Takie rozwiązanie pasowałoby do jednej z moich teorii na temat tego, dlaczego niektóre pary –nawet te, które kompletnie nie nadają się na rodziców – mają dzieci. Teoria opiera się na twierdzeniu, że urok posiadania dzieci wiąże się z tym, iż nasze społeczeństwo ma obsesję na punkcie „pierwszych razów”. Skupia się na przełomowych punktach w życiu i rytuałach przejścia. Jest pierwszy pocałunek, pierwszy związek, kończymy liceum, idziemy do college'u, kończymy college, mamy pierwszą pracę, ślub, pierwszy dom. Posiadanie dziecka wydaje się jedynie kolejnym etapem w życiu, ostatnim doniosłym krokiem, jaki pozostało wykonać. A może pary chcą po prostu jeszcze raz doświadczyć tych wszystkich wspaniałych pierwszych razów za pośrednictwem swoich dzieci. Znowu przeżyć wzloty i wyeliminować błędy. Nie twierdzę, że wszystkie pary mają dzieci z takich powodów – większość szczerze pragnie rodzicielstwa – lecz wydaje mi się, że w niektórych przypadkach tak właśnie jest.

Na wypadek gdyby Ben zaliczał się do tej kategorii, postanawiam nieco mniej pracować i dopilnować, aby nasze wspólne życie było tak pełne i zabawne, jak to tylko możliwe. Staram się, żebyśmy robili to co zawsze, lecz

intensywniej i z większą częstotliwością. Rezerwuję stoliki w nowych restauracjach, zabieram nas na wspaniałe koncerty i fantastyczne wystawy. Planuję weekendowe wypady do Berkshires i Hamptons.

Co najważniejsze, korzystam z rady Jess i bardzo dbam o nasze życie erotyczne. Jess głęboko wierzy, że seks stanowi panaceum na wszelkie problemy – właśnie dlatego jest przekonana, że lada dzień Trey zostawi żonę (Jess twierdzi, że jest aż tak dobra).

Pewnej nocy wkładam moją najlepszą bieliznę i inicjuję grę miłosną, która zasługuje na miano najlepszego wydarzenia w życiu. Cały czas czuję tę szaloną chemiczną więź, część naszego związku, której brakowało mi od czasu wycieczki do St. John. Jestem pewna, że dzięki temu wysiłkowi los znów się do mnie uśmiechnie.

Kiedy jest już po wszystkim, w moim umyśle panuje błoga pustka. Po chwili wracam myślami do dzieci. Powstrzymuję się od zwrócenia uwagi na oczywistą rzecz – na to, że dziecko mogłoby narazić na szwank nasze życie erotyczne. Że mielibyśmy mało czasu i energii na seks. Że nie bylibyśmy w stanie nadal stawiać naszego związku na pierwszym miejscu. Jestem pewna, że Ben myśli o tym samym, kiedy całuje mnie w czoło i mamrocze:

– Kocham cię, Claudio... Słodkich snów.

– Ja ciebie też – mówię, czując, że powoli odpływam.

Właśnie wtedy Ben obraca się w moją stronę i mówi:

– Claudio, jeśli będziemy mieli to dziecko, obiecuję, że zostaniesz pierwszą kobietą w historii, która nie straci ani chwili snu.

Rozmawianie po seksie zupełnie nie jest w jego stylu, więc to, że porzuca swój typowy męski zwyczaj, objawiając mi taką rewelację,

wyjątkowo mnie irytuje. Czuję, jak napinają się wszystkie moje mięśnie, kiedy mówię:

– Na miłość boską, Ben. Przecież nie rozmawiamy o jakimś szczeniaku.

– Co masz na myśli? – pyta.

– Zachowujesz się tak, jak gdybyś proponował wyprowadzanie jakiegoś cholernego beagle'a w środku nocy! Przecież rozmawiamy o dziecku!

– Wiem – mówi Ben.

– O dziecku, które zupełnie zmieni moje życie. Nasze życie.

– Wiem – powtarza Ben. – Ale nasze życie zmieni się na lepsze.

Obiecuję ci to.

– Nie możesz obiecać czegoś takiego – mówię. – Taka obietnica jest niedorzeczna i niemożliwa do spełnienia. Nie masz pojęcia, jaki wpływ będzie na nas miało posiadanie dziecka. Poza tym jest wiele, wiele innych powodów, dla których nie chcę mieć dzieci, nie licząc tego, że uwielbiam spać.

– Dobra. Na przykład jakie? – mówi Ben.

– Rozmawialiśmy o nich już wcześniej – mówię, nie chcąc ponownie wymieniać moich powodów ani poddawać ich ocenie. – Wiele razy.

On jednak tak bardzo naciska, że zaczynam od łatwego, choć nieco płytkiego argumentu. Mówię mu, że nie chcę być w ciąży.

– Kobiety w ciąży są piękne – mówi. Przewracam oczami.

– Poza tym będziesz w ciąży zaledwie dziewięć miesięcy. To tylko mały punkcik na mapie życia.

– Łatwo ci mówić. Nie chcę doświadczać takiej inwazji, bez względu na to, jak krótko będzie to trwało... Poza tym lubię trenować – mówię. Wiem,

że ten powód trochę kuleje, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę to, że przez kilka ostatnich tygodni miałam w pracy takie urwanie głowy, że nawet nie zajrzałam do siłowni.

– No wiesz, w ciąży też możesz trenować – mówi.

– Tak, jasne. Widuję takie kobiety, pocące się podczas szybkiego marszu na bieżni. Wyglądają załóżnie... Poza tym wiesz, że myślę o startowaniu w nowojorskim maratonie. Być może w przyszłym roku. Zawsze chciałam zrobić coś takiego – mówię, co teoretycznie jest zgodne z prawdą. Wystartowanie w maratonie stanowi jeden z moich życiowych celów. Jednak, jak do tej pory, nigdy nie udało mi się przebiec więcej niż sześć kilometrów. Nie jestem urodzoną sportsmenką, w przeciwieństwie do Bena, który biega i pływa bez wysiłku. Mimo to, widząc starszych i niepełnosprawnych ludzi, którzy co roku przekraczają linię mety, mam wrażenie, że ja też mogę tego dokonać. Pewnego dnia.

– No cóż, zawsze możemy zaadoptować dziecko – mówi.

– Nie o to chodzi i doskonale o tym wiesz. Cięża jest najmniejszym problemem.

– Dobra – mówi. – W takim razie nie musimy mieć dziecka natychmiast. To znaczy możemy poczekać kilka lat. Ono nie musi się urodzić już teraz. Chcę tylko usłyszeć, że jesteś otwarta na taki pomysł.

Dostrzegam furtkę i kusi mnie, żeby zyskać na czasie. Mogłabym „zastanawiać się” całymi latami, a potem po prostu powiedzieć, że odstawię pigułki. Mogłabym poczekać do czterdziestki i mieć nadzieję, że uratuje mnie bezpłodność. Rozwiązać problem w naturalny sposób. Jednak nie chcę być nieuczciwa. Nasz związek nie istnieje bez uczciwości. Zatem mówię mu prawdę – że nie zamierzam zmienić zdania.



Wygląda na to, że Ben zupełnie ignoruje to oświadczenie, więc pyta mnie o kolejny powód. Ustępuję i mówię:

– Dobra. Lubię mieszkać w centrum. Siada na łóżku i mówi:

– Możemy wychowywać dziecko w centrum. Podziwiam zarys jego ramion, kiedy mówię:

– To nie takie proste. Musielibyśmy znaleźć większe mieszkanie, a tak naprawdę wcale nas na to nie stać.

– No cóż, a czy nigdy nie czułaś, że w pewnym sensie masz już dosyć życia na Manhattanie? W końcu obydwójce dorastaliśmy na przedmieściach. Czy nie byłoby miło powrócić do korzeni? Znowu mieć podwórko? Drzewa, wiewiórki, trochę spokoju i ciszy?

– Dobra, teraz gadasz jak wariat – mówię. – Uwielbiamy mieszkać w centrum.

– Wiem, ale...

– Nie chcę się przeprowadzać – mówię, czując, jak ogarnia mnie panika na samą myśl o zmianie mieszkania. Oczyma wyobraźni widzę samochody marki Volvo, spotkania komitetu rodzicielskiego, przenośne kamery wideo przynoszone na mecze i rodzinne obiady we włoskiej restauracji. Teraz ja również siadam na łóżku.

– Nie zamierzam przeprowadzać się na przedmieścia.

– W porządku – mówi Ben, kiwając głową. – Możemy wychowywać dziecko na Manhattanie. Ludzie robią to bez przerwy. Po prostu znajdziemy większe mieszkanie i zadamy o stronę finansową. Zatem to nie jest dobry powód. Wymień inny.

Biorę głęboki oddech i mówię:

– Dobra. Moja kariera.

Największe działa zostawiłam na koniec. Pracowałam o wiele za ciężko, żeby przekreślić to wszystko z powodu dziecka. Obserwowałam takie historie już wiele razy, nawet z udziałem redaktorek, które z determinacją dążą do szybkich awansów. Muszą wcześniej wychodzić z pracy, nie mogą poświęcać weekendów i zdają się nieuchronnie tracić swoje ambicje. Po prostu tak jest. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje – czy zmienia im się skala wartości, czy może po prostu nie mają siły, żeby osiągać lepsze wyniki. Jednak wcale nie chcę przekonywać się o tym na własnej skórze... A już z pewnością nie mam zamiaru zasilać szeregów zbolełych pracujących matek, które z całych sił starają się mieć wszystko, a w końcu czekają je tylko frustracja, wyczerpanie i poczucie winy.

– Co z twoją karierą? – pyta niewinnym tonem.

– Dziecko by na nią wpłynęło – mówię.

– Mówiłem ci – mogę zostać w domu na jakiś czas. Albo możemy zatrudnić nianię. Nie musisz rezygnować z pracy. Nie musisz nawet pracować na pół etatu. Jest mnóstwo pracujących mam. Możesz mieć jedno i drugie.

– Ale ja wcale nie chcę jednego i drugiego, rozumiesz? Chyba właśnie tego nie łapiesz. Mieć jedno i drugie oznacza, że niczego nie robisz bardzo dobrze.

– Byłabyś wspaniałą matką, Claude – mówi.

– Ja nie chcę być matką – mówię z największym przekonaniem, na jakie potrafię się zdobyć. – Przykro mi, jeśli to oznacza, że jestem egoistką. Myślę jednak, że o wiele gorsze, o wiele bardziej egoistyczne jest posiadanie dziecka, gdy nie jest się w pełni przekonanym do tego pomysłu. A mnie po prostu nie podoba się ten twój plan, Ben.

– Jeszcze nie teraz? – mówi, kładąc się z powrotem.

– Jeszcze nie teraz – mówię. – I w ogóle nigdy.

Ben mierzy mnie lodowatym spojrzeniem. Następnie potrząsa głową, odsuwa się i mówi do poduszki:

– W porządku, Claudio. Teraz już chyba wszystko rozumiem.

Nazajutrz w milczeniu szykujemy się do pracy. Ben wychodzi pierwszy, nie całując mnie na pożegnanie. Potem nie odpowiada na moje wiadomości. Jestem tak zrozpaczona, że odwołuję ważny lunch ze znanym agentem, a potem wyzywam się przez telefon na jednej z najbardziej uroczych i pracowitych autorek za to, że spóźnia się z dostarczeniem maszynopisu.

– Zdaje sobie pani sprawę, że jeśli wkrótce tego nie dostaniemy, nie będzie żadnych szans na przekazanie szpalt korektorom, tak? – mówię, nienawidząc ostrego tonu tych słów.

Jedną z rzeczy, którymi szczycę się w pracy, jest to, że nigdy nie wyładowuję się na ludziach – ani na moich asystentach, ani na autorach. Nie cierpię osób, które pozwalają, aby życie prywatne zakłócało im pracę, i myślę sobie, że skoro zwykła rozmowa na temat dzieci ma taki wpływ na moje zawodowe obowiązki, to nie wyobrażam sobie, co by się działo, gdybym rzeczywiście je urodziła.

Tego wieczoru ponownie czytam maszynopis i zdaję sobie sprawę, że nie zachwyca mnie tak bardzo jak wtedy, kiedy go kupiłam. To dziwaczna historia miłosna – a ja nie mogę przestać się zastanawiać, czy zmiana mojego nastawienia wiąże się z tym, co dzieje się w moim małżeństwie. Z paniką myślę, że właśnie tak jest. Rozpaczliwie nie chcę się zmieniać. Nie chcę, żeby zmieniło się moje życie. Zasypiam na kanapie, martwiąc się i czekając, aż Ben wróci do domu. W pewnej chwili słyszę, że wtacza się do naszego

mieszkania, i czuję, że zatrzymuje się obok kanapy. Otwieram oczy i spoglądam mu w twarz. Ma potargane włosy, pachnie bourbonem i papierosami, ale i tak wygląda pociągająco. Czuję szaloną potrzebę, aby przyciągnąć go do siebie i trochę się poobściskiwać. Pomimo tego tytoniowego oddechu i w ogóle.

– Hej – mówi. Jakimś cudem udaje mu się wydusić trzyliterowe słowo.

– Gdzie byłeś? – pytam łagodnie.

– W mieście.

– Która godzina?

– Po drugiej.

Potem próbuje powiedzieć jakiś dowcip. Coś o pragnieniu czerpania korzyści z życia pozbawionego dzieci. Zauważam, że użył wyrażenia „pозbawione dzieci” zamiast naszego dawnego terminu „wolne od dzieci”. Nagle znowu ogarnia mnie złość.

– To naprawdę dojrzałe, Ben – mówię, po czym wstaję i idę do łazienki.

– Zalać się, kiedy sprawy idą nie po twojej myśli. Wspaniałe posunięcie jak na kogoś, kto myśli, że byłby świetnym ojcem.

To okrutne, niesprawiedliwe słowa. Ben jest ostatnią osobą, którą można by nazwać nieodpowiedzialną. Jednak nie cofam tego, co powiedziałam. Po prostu pozwalam, żeby te słowa zawisły między nami.

Ben mruży oczy. Po chwili odchrząka i mówi:

– Pieprz się, Claudio.

– Nie, ty się pieprz, Ben – mówię, przechodząc obok niego i zatrzaszukuję za sobą drzwi łazienki. Kiedy odkręcam tubkę pasty do zębów, drżą mi dłonie.

Myjąc zęby, powtarzam w myślach naszą wymianę zdań. To pierwsza kłótnia w takim stylu. Nigdy nie mówimy sobie podobnych rzeczy. Choć zdarzają nam się zaciekle spory, nigdy nie uciekamy się do wyzwisk i przeklinania. Zawsze czuliśmy się lepsi od par, które angażują się w tego rodzaju bitwy. Dlatego nasze „pieprz się” momentalnie staje się symbolem impasu w naszym związku – i nieuchronnego rozstania. Przeczuwanie końca związku na podstawie kilku ostrych słów może się wydać melodramatyczne, lecz nie potrafię pozbyć się wrażenia, że dotarliśmy do punktu, z którego nie ma odwrotu.

Wypluwam pastę, zastanawiając się, co powinnam teraz zrobić. To musi być coś bardziej znaczącego niż spanie na kanapie. Muszę wspomnieć słowo „rozwód” albo wyjść z domu. Idę do naszej sypialni i grzebię w szafie w poszukiwaniu mojej największej walizki. Czuję na sobie wzrok Bena, kiedy na chybił trafił wrzucam do niej ubrania. Koszulki, bieliznę, dżinsy i kilka kostiumów do pracy. Gorączkowo się pakując, czuję się tak, jak gdybym oglądała siebie w roli wściekłej żony.

W którymś momencie zmieniam zdanie. Nie chcę wychodzić z własnego mieszkania w środku nocy. Jestem jednak zbyt dumna, żeby zacząć działać w odwrotnym kierunku. Pozostanie w domu po spakowaniu walizki wydaje się strasznie głupie. To tak, jak gdyby ze słusznym oburzeniem rzucić słuchawką i natychmiast oddzwonić. Tego po prostu nie można zrobić. Zatem spokojnie idę w kierunku drzwi z walizką w dłoni i nadzieją, że Ben spróbuje mnie powstrzymać. Pochylam się i wstrzymując oddech, wkładam tenisówki, po czym zawiązuję sznurowadła na podwójną kokardkę, przedłużając tę czynność, żeby dać mu kilka dodatkowych sekund, czas na sformułowanie

przeprosin. Chcę, żeby przede mną uklęknął, odwołał wszystkie wcześniejsze słowa i powiedział, jak bardzo mnie kocha. Taką, jaka jestem.

Zamiast tego mówi głosem zimnym jak lód:

– Do widzenia, Claudio.

Spoglądam mu w oczy i wiem, że nadszedł koniec. Zatem nie mam innego wyboru, jak tylko wstać, otworzyć drzwi i wyjść.

RS

## ROZDZIAŁ 4

Jedyną korzyścią związaną z opuszczeniem męża w środku nocy jest to, że można błyskawicznie znaleźć taksówkę. Tak naprawdę miałam aż dwie do wyboru: obydwie podjechały, kiedy stałam na rogu Siedemdziesiątej Trzeciej i Kolumba. Taksówkarze niewątpliwie dostrzegli moją walizkę i pomyśleli, że trafi im się dobry kurs na lotnisko, zatem gdy wsiadam do jednej z nich, mówię:

– Dobry wieczór. Przepraszam. Jadę tylko na początek Piątej. – Potem wypalam: – Właśnie miałam poważną kłótnię z mężem. Chyba weźmiemy rozwód.

Bena zawsze zdumiewało to, jak często gawędzę z taksówkarzami. Uważa, że to zwyczaj typowy dla turystów i że taka szczerłość wobec obcych ludzi jest zupełnie nie w moim stylu. Ma rację pod obydwoma względami, lecz z jakiegoś powodu po wejściu do taksówki nie mogę się od tego powstrzymać.

Mój taksówkarz zerka na mnie we wstecznym lusterku. Widzę jedynie jego oczy, co uznaję za pecha, gdyż jestem przekonana, że z ust można wyczytać więcej na temat czyichś myśli. Kierowca albo nie włada zbyt dobrze angielskim, albo też przejawia kolosalne braki w zakresie empatii, gdyż nie mówi nic z wyjątkiem:

– Gdzie dokładnie na Piątą?

– Numer dwunasty. Po wschodniej stronie – mówię, a mój wzrok wędruje w dół, w kierunku jego nazwiska widniejącego z tyłu siedzenia. To Mohammed Muhammed. Muszę zdusić łzy na myśl o tym, że kiedyś, prawdopodobnie na czwartej randce, Ben powiedział mi, że złapanie

taksówki z kierowcą zwanym Mohammed lub Muhammed przypomina rzucanie monetą – człowiek ma pięćdziesiąt procent szans. Była to oczywiście znaczna przesada, lecz od tamtego wieczoru zawsze zerkamy na plakietkę i uśmiechamy się, kiedy uda nam się trafić. Zdarza się to przynajmniej raz w tygodniu, lecz podwójne trafienie spotkało mnie po raz pierwszy. Nagle ogarnia mnie przemożna potrzeba, żeby zawrócić i pójść do domu. Dotknąć twarzy Bena, pocałować go w policzki i powieki i powiedzieć, że plakietka tego mężczyzny to z pewnością znak, że musimy wszystko naprawić i jakoś dalej razem żyć.

Zamiast tego gmeram w torebce w poszukiwaniu telefonu, żeby uprzedzić Jess, że zaraz u niej będę. Nagle dociera do mnie, że telefon ładuje się w kuchni. Szepczę:

– Cholera. – Możliwe, że nie usłyszy dzwonka z recepcji. Jest to potencjalny problem, gdyż Jess ma bardzo mocny sen. Przez chwilę rozważam udanie się prosto do hotelu w śródmieściu, lecz boję się, że w samotności kompletnie się załamie. Zatem pozostaję przy pierwotnym planie.

Na szczęście Jess słyszy dzwonek i kilka minut po wyjściu z taksówki leżę skulona na jej kanapie, ponownie przerabiając kłótnię z Benem, podczas gdy ona przyrządza cynamonowe tosty i parzy kawę w dużym dzbanku, co stanowi szczyt jej kulinarnych umiejętności (zresztą moich również). Przynosi nam po filiżance gorącego napom – moja kawa jest czarna, a jej z dużą ilością cukru – i mówi, że nadszedł czas, żeby poważnie porozmawiać.

Następnie waha się i dodaje:

– A temat tej rozmowy brzmi: „Dlaczego Claudia nie chce mieć dzieci?”. – Posyła mi niepewne spojrzenie.

– O, nie. Ty też? – mówię.



Kiwa głową jak surowa nauczycielka i mówi:

– Chcę tylko przeanalizować twoje powody.

– Już znasz moje powody.

– No cóż, w takim razie chcę je usłyszeć jeszcze raz. Udawaj, że jestem twoją terapeutką. – Siada wyprostowana, zakłada nogę na nogę i trzyma kubek, odchylając mały palec i kciuk, w stylu Kelly Ripy. – A to jest nasza pierwsza sesja.

– Więc teraz muszę chodzić na terapię tylko dlatego, że nie chcę mieć dzieci? – Czuję, że przesuwam się na pozycję obronną. Związane z nią emocje znam ostatnio aż nazbyt dobrze.

Jess potrząsa głową.

– Nie. Nie dlatego że nie chcesz mieć dzieci. Dlatego że masz problemy małżeńskie. No dobra. Zaczynamy. Jakie są pani powody?

– Dlaczego muszę mieć powody? Kiedy ktoś decyduje się na dziecko, nikt go nie pyta o powody.

– Prawda – mówi Jess. – Ale to insza kwestia dotycząca roli kobiet w społeczeństwie.

Przypomina mi się Ben, który ciska gromy na ludzi mówiących „insza” zamiast „inna”. „Ludzie, na Boga! Przecież to okropne słowo!” I zupełnie jak wtedy gdy ujrzałam plakietkę Mohammeda Muhammeda w taksówce, czuję, że zaraz się rozkleję. Myślę o tym, jak bardzo będę tęsknić za Benem i jego dziwacznymi spostrzeżeniami.

– Nie płacz, skarbie – mówi Jess, klepiąc mnie po nodze.

Mrugam, żeby powstrzymać łzy, biorę głęboki oddech, a następnie mówię:

– Po prostu mam dosyć tego ciągłego zakładania, że do szczęścia potrzebne są dzieci. Myślałam, że Ben jest inny, ale w rzeczywistości jest taki jak wszyscy. Zrzucił na mnie przynętę i całkowicie mnie zdradził.

– Pewnie tak właśnie się czułaś.

Zauważam, że Jess nie do końca się ze mną zgadza, więc mówię:

– Jesteś po jego stronie, prawda? Uważasz, że powinnam to wszystko przełknąć i urodzić dziecko.

– Wcale nie... potępiam tego, że nie chcesz mieć dzieci. W końcu jestem ostatnią osobą, która powinna potępiać życiowe wybory innych ludzi, prawda?

Wzruszam ramionami, a ona ciągnie dalej:

– Sądzę, że masz całkowite prawo podjąć taką decyzję. To właściwy wybór w wypadku wielu kobiet... Myślę, że pod wieloma względami to bardzo odważna decyzja... Jednak uważam również, że powinnyśmy o tym porozmawiać. Nie chcę, żebyś potem czegoś żałowała.

– Decyzji o bezdzietności czy utraty Bena?

– Jednego i drugiego – mówi. – Ponieważ w tym momencie chyba na to samo wychodzi.

Wydmuchuję nos i kiwam głową.

– Dobra.

Jess rozpięta się na kanapie i mówi:

– Zatem do dzieła. Chcę znać wszystkie szczegóły. Sącę kawę, myślę przez chwilę i zamiast powtarzać moje

zwykłe powody, mówię:

– Opowiadałam ci kiedyś o badaniu na myszach pozbawionych genu Mest?

Potrząsa głową. .

– Nie. Nie kojarzę.

– No cóż, było takie badanie, w którym naukowcy stwierdzili, że myszy pozbawione tego genu – genu Mest – przejawiają nienormalną reakcję na potomstwo. Generalnie rzecz biorąc, bez tego genu nie mają instynktu macierzyńskiego, więc nie karmią ani nie pielęgnują młodych tak jak inne myszy.

– No i? Chcesz powiedzieć, że brakuje ci genu Mest?

– Chcę powiedzieć tylko tyle, że niektóre kobiety prawdopodobnie nie mają tego.. instynktu macierzyńskiego... Ja chyba go nie mam.

– Wcale? Nawet odrobiny? – pyta. – Bo często słyszę, jak kobiety mówią, że chyba go nie mają, dopóki nie urodzą własnego dziecka. A wtedy, *voilà!* Zmieniają się w matki karmicielki.

– Czy to nie za wielkie ryzyko? – pytam. – Co będzie, jeśli nie zadziała?

– Cóż, myślę, że istnieje mnóstwo skutecznych stylów macierzyństwa. Nie musisz być Betty Crocker ani June Cleaver, żeby zasłużyć na miano dobrej matki.

– Dobra. Ale co, jeśli będę żałowała, że w ogóle zdecydowałam się na dziecko? Co wtedy?

Jess marszczy brwi i wygląda na głęboko zamyśloną.

– Bardzo dobrze radzisz sobie z dziećmi – mówi. – Mam wrażenie, że naprawdę je lubisz.

– Lubię dzieci – mówię, myśląc o dzieciach mojej siostry i o Raymondzie Juniorze. Jakże miło było przytulić jego ciepłe małe ciało i wdychać słodki zapach niemowlęcia. – Ale kompletnie nie czuję potrzeby posiadania własnego dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poza tym jestem

całkowicie przekonana, że jeśli je urodzę, będę miała żal do Bena. Co gorsza, myślę, że będę miała żal do naszego dziecka. To nie jest w porządku wobec nikogo.

Jess ponownie kiwa głową, robiąc poważną minę psychiatry mówiącego: „Proszę mówić dalej, robimy duże postępy”.

– Lubię moje życie takie, jakie jest. Lubię styl, w jakim żyjemy. Naszą wolność. Nie potrafię sobie wyobrazić ciągłego niepokoju, którego doświadczają rodzice... Najpierw martwią się syndromem nagłej śmierci u noworodków, potem tym, że dziecko spadnie ze schodów, że potrąci je pijany kierowca... Te zmartwienia ciągną się przez osiemnaście lat. W pewnym sensie n i g dy nie znikają. O dzieci trzeba się martwić wiecznie. Każdy tak mówi. Jess kiwa głową.

– A tak szczerze mówiąc, Jess, ilu rodziców sprawia wrażenie naprawdę szczęśliwych? – pytam, myśląc o mojej siostrze Maurze i o tym, jak w jej małżeństwie zagościło napięcie po narodzinach pierwszej córki Zoe. I o tym, jak sytuacja stopniowo pogarszała się wraz z przyjściem na świat jej dwóch synów. Nie jestem moją siostrą, a Ben nie jest Scottem. Jednak zmiana w związku wraz z wkroczeniem na scenę dzieci wcale nie wydaje mi się niczym niezwykłym. Wysysają z ciebie czas, pieniądze, energię, cierpliwość. Nie możesz już stawiać związku na pierwszym miejscu. Zatem bez względu na to, czy sytuacja zmienia się na lepsze czy na gorsze, dynamika związku ulega zmianie i przybiera nową formę. Mam wrażenie, że ta forma ma więcej wspólnego z przetrwaniem niż z czerpaniem prawdziwej radości z życia.

– Wiem, co masz na myśli. – Jess wygląda na nieco zakłopotaną i mówi:  
– Trey często nazywa swoją rodzinę „pętlą u szyi”.

– Urocze – komentuję. – Dokładnie to miałam na myśli.

– Nie sędzę, żeby mówił tak o swoim synu – broni się Jess. – Tylko o niej.

Jess stara się, jak może, żeby nie wymawiać imienia żony Treya Brendy. Myślę, że dzięki temu czuje się mniej winna. Ciągnie dalej:

– Ale nie sędzę, żeby wyrażał się w taki sposób, gdyby poślubił właściwą kobietę... I nie sędzę, żebyście ty i Ben mieli skończyć podobnie. Myślę, że dzięki dzieciom problemy wypływają na powierzchnię. Wy nie macie prawdziwych problemów. Wasze małżeństwo byłoby dobre również z dziećmi.

Wiem, że Jess się zdenerwuje, ryzykuję jednak i mówię, że na początku małżeństwa żona Treya prawdopodobnie także sądziła, że ich małżeństwo będzie dobre również z dziećmi. Trey myślał pewnie podobnie. Jess wysuwa brodę w geście protestu, lecz ja ciągnę dalej:

– Poza tym wiem, że kiedy Maura i Scott bzykali się w najlepsze w jacuzzi i całej reszcie jego garsoniery, Maurze nawet przez myśl nie przeszło, że pewnego dnia Scott będzie ją zdradzał. Że to wszystko stanie się takie... przygnębiające.

Jess mówi dalej:

– To są wyjątki. Większość par jest nawet szczęśliwsza z dziećmi.

– Nie wydaje mi się. Z reguły są raczej mniej szczęśliwe... Weźmy na przykład sytuację Daphne – mówię.

– Małżeństwo Daphne wydaje się trwałe – mówi Jess.

– I takie jest – mówię. – Ale teraz myślę, że ona i Tony są tak owładnięci myślą o dziecku, że ta jedna sprawa zupełnie ich pochłonęła. Nie rozmawiają o niczym innym. Nie myślą o niczym innym. Stają się... nudni.

Jess śmieje się i mówi:

– Czy oni przypadkiem zawsze nie byli odrobinę nudni?

Jess jest jedyną osobą, której pozwalam krytykować moją rodzinę. Mimo to czuję, że muszę stanąć w obronie Daphne.

– Nudni w bardzo uroczy sposób – mówię, myśląc o tym, jak bardzo Daphne uwielbia takie rzeczy jak wycinanki. – Tak naprawdę powiedziałabym raczej, że jest prostoduszna, a nie nudna. Orzeźwiająco prostoduszna... Ale ostatnio ona i Tony zmienili się w parę ponuraków. Nie żebym ich winiła...

Jess głośno wzdycha i mówi:

– No cóż, nieważne. Chodzi o to, że... jest mnóstwo par, które mają dzieci.

– Możliwe – mówię. – Nie mam jednak pewności, czy w ogóle zasilimy ich szeregi. I nie zamierzam zmienić mojego życia w coś w rodzaju eksperymentu naukowego.

– Jak z myszami bez genu Mest? – pyta Jess.

– Jak z myszami bez genu Mest – mówię.

Mieszkam u Jess przez kolejne cztery dni. Wracam do własnego mieszkania tylko raz, kiedy mam pewność, że Ben jest w pracy i będę mogła zabrać komórkę oraz trochę ubrań. Czekam, aż do mnie zadzwoni, ale na próżno. Nie telefonuje ani razu. Chyba tak naprawdę wcale się tego nie spodziewam, lecz za każdym razem, kiedy sprawdzam pocztę głosową i słyszę „brak nowych wiadomości”, uderza we mnie nowa fala cierpienia. Oczywiście ja również do niego nie dzwonię, więc mam nadzieję, że on czuje się dokładnie tak samo, bezskutecznie sprawdzając nadchodzące wiadomości. Jednak coś mi mówi, że wcale tak nie jest, i jakaś część tego przeczucia sprawia, że mój ból staje się jeszcze większy. Powiedzenie, że

nieszczęścia chodzą parami, do niczego nie pasuje lepiej niż do zakończenia związku. Myśl, że ta druga osoba dobrze się miewa, jest po prostu nie do zniesienia.

Jess upiera się, że mam paranoję – mówi, że Ben jest oczywiście równie smutny jak ja – lecz mam dwa dobre powody, aby uważać, że to ja jestem w gorszym stanie. Pierwszym z nich dzielę się z Jess, przypominając jej, że Ben posiada błogosławioną umiejętność odgradzania się od bólu i popadania w stan wygodnego odrętwienia. Często się słyszy, że takie tłumienie emocji jest niezdrowe, lecz za każdym razem, kiedy patrzę, jak Ben wiruje na powierzchni smutku, radząc sobie jak prawdziwy czempion, nie mogę stłumić zazdrości. Sama nigdy nie potrafiłam uciszyć tej części mojego mózgu. Myślę o zeszłym roku, kiedy u kuzyna i najlepszego przyjaciela Bena Marka zdiagnozowano zaawansowanego raka jąder. W trakcie jego leczenia Ben zachowywał graniczący z bezczelnością stoicyzm – nawet kiedy w środku nocy zadzwonił telefon z wiadomością, że Mark nie żyje.

Gdy Ben wrócił do łóżka po krótkiej rozmowie z mamą Marka, zapytałam, czy chce porozmawiać. Ben potrząsnął głową, po czym zgasił światło i szepnął:

– Raczej nie. Nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

Chciałam odpowiedzieć, że jest mnóstwo do powiedzenia. Mogliśmy porozmawiać o życiu Marka – o wiele za krótkim, lecz mimo to pięknym. Mogliśmy porozmawiać o wspomnieniach Bena z chłopięcych czasów, kiedy Mark zawsze był dla niego jak brat. Mogliśmy porozmawiać o okresie, jaki spędzili na Brownie, po tym jak obydwaj zrezygnowali z pierwotnie wybranych uczelni, żeby chodzić do jednej szkoły. Mogliśmy porozmawiać o końcu, o tym, jak ciężko było patrzeć na Marka, który odchodzi z tego świata.

Mogliśmy porozmawiać o tym, co będzie dalej, o mowie pożegnalnej, którą Ben układał w swojej głowie od wielu tygodni.

Jednak Ben milczał. Pamiętam, jak pogrążona w ciemnościach czułam, że jest w pełni rozbudzony, więc sama również nie zasypiałam, na wypadek gdyby zmienił zdanie i zechciał porozmawiać, a przynajmniej popłakać. Ale on nie płakał. Ani tamtej nocy, ani nazajutrz. Nie płakał nawet na pogrzebie, kiedy jego piękna mowa pożegnalna doprowadziła wszystkich do łez.

Minęło pół roku, zanim się załamał. Staliśmy w supermarkecie, w alejce z produktami zbożowymi, kiedy z wyrazem totalnego przerażenia na twarzy wziął pudełko pszennych płatków. Nie musiałam pytać, o czym myśli. Wróciliśmy do domu, poszedł do sypialni i wtedy usłyszałam ten dziwny, przerażający dźwięk będący zdławionym szlochem dorosłego mężczyzny. Gdy po dłuższym czasie wyszedł z sypialni, miał czerwone i opuchnięte oczy. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Mocno mnie przytulił i załamał mu się głos, gdy powiedział:

– Tak zajebiście mi go brakuje.

Opowiadam o tym wszystkim Jess, jedząc zamówioną chińszczyznę.

– Nie żebym porównywała nasze rozstanie ze śmiercią Marka – mówię po zakończeniu historii.

Jess kiwa głową i mówi:

– Wiem. Ale jeśli naprawdę się rozstaniecie, to w pewnym sensie będzie to jak śmierć.

– Tak. Zwłaszcza że Ben i ja nie jesteśmy zwolennikami numerów w stylu „przyjaźń z byłym partnerem” – mówię. – Jeśli to koniec, to definitywny. Nie chcę być przyjaciółką Bena.

Jess wzdycha i mówi:



– No cóż, może to jednak nie koniec.

– Obawiam się, że tak – mówię. – Pomyśl tylko. Minęło pół roku, zanim do Bena naprawdę dotarło, że Mark nie żyje. Kiedy pozwoli sobie za mną zatęsknić, będzie już o wiele za późno.

Jess wygląda na zmartwioną, co sprawia, że zaczynam myśleć o drugiej przyczynie, dla której Ben cierpi mniej niż ja. Nie dzielę się nią z Jess. Nigdy nie wypowiedziałam jej na głos – ani nawet nie opisałam w pamiętniku. To coś, czego w pewnym stopniu zawsze byłam świadoma, lecz nie pozwalałam sobie o tym myśleć. Aż do tej chwili nie było takiej potrzeby.

Ta przyczyna jest następująca: jestem niemal pewna, że kocham Bena bardziej, niż on kocha mnie. Wiem, że kocha mnie bardzo. Mimo to myślę, że ja kocham go bardziej. To jedna z tych rzeczy, których nigdy nie wie się na pewno, gdyż nie można wprowadzić wszystkich danych na temat związku do komputera i sprawić, żeby wypuł definitywną odpowiedź. Nie można zmierzyć miłości, a jeśli próbujesz to zrobić, w końcu skupiasz się na wprowadzających w błąd czynnikach. Na rzeczach, które tak naprawdę bardziej wiążą się z osobowością – na tym, że niektórzy ludzie są po prostu bardziej ekspresywni, uczuciowi lub potrzebujący w związku. Jednak za tą zasłoną dymną tkwi odpowiedź. Miłość prawie nigdy nie stanowi prostego równania. Ktoś zawsze kocha bardziej.

W naszym związku tą osobą jestem ja. W przypadku niektórych par sytuacja może się zmieniać. Uważam jednak, że na początku, w środku i na końcu naszej historii cały czas kochałam bardziej. Ben powiedziałby, że jestem śmieszna – lecz gdyby w jakiś sposób został zmuszony do udzielenia szczerzej odpowiedzi, sądzę, że przyznałby mi rację. Chyba zgodziłby się również z tym, że nie ma to nic wspólnego z naszymi zaletami. Uważam, że

jesteśmy mniej więcej tak samo inteligentni, przebojowi, zabawni i atrakcyjni. Dorównuję Benowi i zawsze czułam się bezpieczna, pewna siebie i wartościowa. A jednak... Tak się składa, że Kocham Bena odrobinę mocniej, co sprawia, że boję się go stracić bardziej niż wtedy, gdyby sytuacja była odwrotna.

To z kolei nasuwa mi inną myśl. Chyba zawsze miałam błędne poczucie, że zmartwienia i strach są czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. Podświadomie podpisuję się pod stwierdzeniem, że jeśli człowiek czymś się martwi, zmniejsza się prawdopodobieństwo, że to coś rzeczywiście się wydarzy. No cóż, chcę powiedzieć, że to wcale nie działa w ten sposób. Rzecz, której najbardziej się boisz, i tak może się przydarzyć. A kiedy już się tak staje, tym bardziej czujesz się oszukana, że strach cię przed nią nie uchronił.

## ROZDZIAŁ 5

Wraz ze smutkiem pojawia się mnóstwo mechanizmów obronnych. Szok, zaprzeczanie, upadlanie się, dowcipy i religia. Jest również jeden awaryjny mechanizm uniwersalny –ślepa wiara w los, w zasadę, że „wszystko dzieje się z jakiejś przyczyny”.

Jednak moim osobistym faworytem wśród mechanizmów obronnych zawsze była złość z jej wiernymi towarzyszami w postaci świętego oburzenia, goryczy i żalu.

Pamiętam moment, kiedy zrozumiałam, że w chwilach smutku ludzie zwracają się ku złości. Byłam wtedy w przedszkolu i tata Jimmy'ego Moore'a właśnie zmarł na atak serca, taszcząc z garażu ich świąteczną choinkę. Kilka tygodni później moja matka i ja natknęłyśmy się na Jimmy'ego i jego matkę w sklepie spożywczym. Ukryta za wózkiem, przyglądałam się Jimmy'emu z chorobliwą ciekawością, podczas gdy moja matka pytała panią Moore, jak się czuje. Pani Moore pokręciła głową, zacisnęła pięść i potrząsnęła nią w górze.

– Jestem taka wściekła na Boga – powiedziała.

Jimmy i ja wymieniliśmy spojrzenia, po czym spuściliśmy wzrok. Chyba obydwójce byliśmy zaskoczeni. Wiem, że ja czułam też odrobinę strachu. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś miał tyle odwagi, aby zadzierać z Bogiem. To wydawało się dosyć niebezpieczne. Pamiętam również, jak pomyślałam, że z mamą Jimmy'ego musi być bardzo źle, skoro czuje coś innego niż czysty, nieskażony smutek po śmierci męża. Złość nie wydawała mi się słuszną częścią tego równania.

Jednak około sześciu lat później, kiedy chodziłam do piątej klasy, zrozumiałam, jak bardzo zbliżone są te dwie emocje. Było to w roku, w

którym moja matka miała „rzekomy” romans (nadal temu zaprzecza) z dyrektorem mojej podstawówki panem Higginsem. Stanowczo twierdzą, że poza byciem sierotą lub bardzo szpetnym dzieckiem stanowi to chyba najgorszą rzecz, jaka może się przydarzyć jedenastolatce, zwłaszcza gdy jest ona ostatnią osobą w szkole, która się o tym dowiaduje. Nigdy nie miałam złudzeń co do tego, że którekolwiek z moich rodziców jest ideałem, ponieważ często porównywałam ich z doskonałymi rodzicami z książek. Żałowałam, że mój ojciec nie przypomina trochę bardziej Atticusa Fincha, a moja matka opiekuńczej i wyrozumiałej matki Ramony Quimby z moich ulubionych książek Beverly Cleary. Jednak ogólnie rzecz biorąc, byłam zadowolona z rodziców, jakich dał mi los. Doceniałam to, że ojciec zawsze zabierał nas w weekendy na ciekawe wyprawy, zamiast pracować w ogródku albo oglądać mecz jak inni tatusiowie z sąsiedztwa. Poza tym byłam dumna z tak pięknej i zabawnej mamy oraz z tego, jak bardzo moje przyjaciółki podziwiała jej wyczucie stylu.

Przede wszystkim nie myślałam o rodzicach zbyt wiele. Podobnie jak większość dzieci. Jeśli sprawy układają się pomyślnie, rodzice stanowią raczej tło i coś w rodzaju siatki asekuracyjnej aniżeli centralne postacie, które wkraczają na scenę podczas szkolnej przerwy. A właśnie tak się stało pewnego dnia na boisku, kiedy Chet Womble, chłopak, którego nienawidziłam za wścibstwo i przezwiska, postanowił rozgłosić wielką nowinę o romansie mojej matki za pośrednictwem kredowego graffiti. Narysował dwie wielkie postacie wyposażone w kilka wyrazistych szczegółów damskiej i męskiej anatomii oraz podpis: MAMA CLAUDII ZDOBYWA PANA HIGGINSA (tydzień wcześniej w stołówce krążyła okładka filmu wideo *Debbie zdobywa Dallas*, więc nawet bez sugestywnej

grafiki Cheta nie było żadnych wątpliwości, co w tym przypadku oznacza słowo „zdobywa”).

Gapiałam się na dziwaczne, rozchylone cycki mojej matki, a potem rozpaczliwie usiłowałam zetrzeć własne imię podeszwą, cały czas myśląc o tym, że nigdy nie będę w stanie tego przeboleć. Stałam się żalną ofiarą z powieści Judy Blume (choć prawdę mówiąc, w tamtym momencie wolałabym być tłustą bohaterką jej książki niż córką mojej matki).

Nic nie pomogło, że Chet został zawieszony na cały tydzień ani że niewiele osób widziało rysunek, zanim woźny zmył go szlauchem. Liczyło się tylko to, że wystarczyło jedno spojrzenie i w głębi duszy wiedziałam, że to prawda: że moja mama naprawdę „zdobywała” pana Higginsa. W okropnym przyływie wstydu wszystkie elementy układanki połączyły się w zgrabną całość: nagły i nietypowy wzrost zainteresowania mojej matki dobrowolnym pomaganiem w szkole, staranność, z jaką nakładała pomadkę, gdy odwoziła mnie na lekcje, jej późniejsze starania o to, aby wejść razem ze mną do budynku, oraz fakt, że pan Higgins znał moje nazwisko i spontanicznie się uśmiechał, pozdrawiając mnie na korytarzu.

Wieczorem tego dnia, kiedy Chet wykręcił ten numer, wróciłam do domu i jakimś cudem udało mi się przebrnąć przez pracę domową i kolację w postaci wyjątkowo koszmarnej siekanej wołowiny. Głowiłam się nad tym, kiedy dokładnie powinna nastąpić konfrontacja z matką, i dostrzegłam jakąś korzyść w przystąpieniu do dzieła w chwili, gdy cała nasza piątka zasiądzie do stołu. Zasłużyła na to. Jednak na szczęście dla mojego ojca poczekałam, aż kolacja dobiegnie końca i tata wycofa się do salonu, żeby oglądać swoich ukochanych Metsów. Moje siostry wstały, aby posprzątać ze stołu i włożyć naczynia do zmywarki, a ja wzięłam sprawę w swoje ręce.

– Mamo – powiedziałam – dlaczego zdradzasz tatę z panem Higginsem?

Maura upuściła talerz, Daphne uderzyła w płacz, a nasza zazwyczaj mało wstydliva matka zaczęła mnie uciszać, gorączkowo spoglądając w stronę salonu. Mówiłam dalej, oznajmiając, że dzięki wyrazistemu dziełu Cheta Womble'a z pewnością nie jest to już żadna tajemnica. Matka oczywiście wszystkiemu zaprzeczyła, lecz nie zrobiła tego wystarczająco przekonująco lub stanowczo, abym zmieniła zdanie. Zamiast tego posłała mnie do pokoju. Wykonałam jej polecenie nie dlatego, że nie miałam innego wyjścia, lecz dlatego, że na jej widok robiło mi się niedobrze.

W ciągu następnych kilku tygodni przypomiinałam sobie matkę Jimmy'ego w sklepie spożywczym, oscylując pomiędzy złością i smutkiem. W jednej chwili szlochałam, a w następnej bazgrałam w pamiętniku, obrzucając matkę wyzwiskami, które słyszałam tylko w ustach takich chłopaków jak Chet. „Szmata. Dziwka. Suka”. Naprawdę zdrowe słownictwo jak na piątoklasistkę.

Podczas tych męczarni nauczyłam się, że wpadanie we wściekłość jest łatwiejsze niż smucenie się. Złość była czymś, nad czym potrafiłam zapanować. Mogłam wprawić się w spokojny rytm poczucia winy i nienawiści. Skupić energię na czymś innym niż ból w sercu.

Myślę, że moja matka i pan Higgins przestali się spotykać wkrótce potem. Rozpoczęły się jednak inne romanse, aż w końcu poznała Dwighta, opalonego chirurga plastycznego, który na specjalne okazje wkładał różowy sygnet i szerokie krawaty i zawsze przywoływał na myśl bogatego pretensjonalnego bohatera *Statku miłości*. Moja matka tak bardzo zadurzyła się w Dwighcie i pełnym przepychu stylu życia, który jej obiecywał, że

zostawiła nas na dobre, powierzając opiekę nad dziećmi mojemu ojcu, kiedy miałam trzynaście lat. Rzecz jasna, to już inna historia (Ha! Pieprz się, Ben!), znacznie bardziej poważny rozdział w dziejach naszej rodziny. Jednak w jakimś sensie nic, co wydarzyło się później, nie było równie bolesne jak tamten dzień na boisku, kiedy patrzyłam na narysowane białą kredą piersi mojej matki.

To wszystko prowadzi oczywiście do miejsca, w którym jest pies pogrzebany. Do tego, co myślą Jess i Ben oraz moje siostry, lecz żadne z nich nie chce powiedzieć wprost: że nie chcę dzieci ze względu na złe relacje z własną matką.

W pierwszym odruchu odrzucam te zarzuty, ponieważ zawsze sądziłam, że szukanie przyczyn obecnej sytuacji w złym dzieciństwie to jedynie męczący wykręt. Każdy pochodzi ze sknoconej rodziny – w takim czy innym stopniu – lecz wszyscy mamy obowiązek wznieść się ponad ten fakt. Żyć teraźniejszością i przestać pochlipywać nad przeszłością. Bo któż uważa, że dobrym usprawiedliwieniem dla człowieka maltretującego dziecko jest to, że kiedyś i na nim gaszono papierosy?

Mimo to wydaje mi się, że posiadanie matki, która zdradza własną rodzinę, a potem ostatecznie ją opuszcza, stanowi piętno kształtujące całe późniejsze życie. Piętno, które na zawsze zakopuje się w twojej psychice. I właśnie te uczucia muszą odgrywać przynajmniej niewielką rolę w całej obecnej sytuacji, ponieważ myślę, że obsesja mojej siostry Daphne na punkcie posiadania dzieci ma wiele wspólnego z pragnieniem wymazania bólu, jaki wywołała moja matka. Z jednej strony postawa Daphne wydaje mi się bardziej sensowna. Z drugiej jednak myśl o przerabianiu tego wszystkiego od początku jest nie tylko mało kusząca, lecz wręcz okropna. Nie chcę mieć

tego rodzaju władzy. Nie chcę stać się przyczyną czegoś, co ktoś inny będzie musiał przewycięzać. Ostatecznie chyba wszyscy zgodzą się co do tego, że o wiele gorzej być pochrzanioną matką, niż taką matkę mieć.

Zatem w ciągu kolejnych dni i tygodni zamieniam mój ból w złość. Złość na tę całą sytuację. Złość na Bena za to, że mnie zostawił. Złość, która skutecznie pcha mnie w kierunku Piątej Alei, do biura pewnej przebojowej adwokatkę wyspecjalizowanej w sprawach rozwodowych.

RS



## ROZDZIAŁ 6

Nie potrafię się zdecydować, czy kilka kolejnych tygodni płynie zbyt szybko czy nieznośnie powoli. Pod pewnymi względami czuję się tak, jakbyśmy rozstali się z dnia na dzień, jakby poszło nam zdecydowanie zbyt gładko. Ciagle myślę, że tylko filmowe gwiazdki kończą małżeństwa z taką łatwością jak my. Albo młode głupie dzieciaki, które chajtają się pod wpływem chwili i zmieniają zdanie, gdy tylko kończy się okres wielkich uniesień i namiętności, mając głęboko gdzieś świętość swoich przysiąg i myśląc, że zrobienie tego ponownie to zwyczajna część ludzkiego życia.

Jednak z drugiej strony mam wrażenie, że dni dzielące nas od rozwodu trwają całą wieczność. Każdego ranka budzę się z chorym poczuciem, że moje życie rozpada się na kawałki. Że już nigdy nie będę naprawdę szczęśliwa. Pomimo najszczerzych wysiłków, aby ciągle mieć jakieś zajęcie i skupiać uwagę na czymś innym, czuję się tak, jak gdybym codziennie dostawała tuzin ciosów w brzuch. Przyłapuję się na tym, że modłę się, by Ben zmienił zdanie.

W międzyczasie wprowadzam się do Jess. Mieszkanie z nią daje mi odrobinę komfortu, lecz poza tym przypomina zrobienie kroku w tył. To prawie to samo co powrót do domu rodziców dla kogoś, kto wcześniej się stamtąd wyprowadził. Cofam się do wcześniejszego punktu mojego życia, a to nigdy nie wydaje się dobrym posunięciem. Uznaję, że to tylko tymczasowy środek zaradczy – że w końcu zdobędę własne mieszkanie – lecz mimo to nadal czuję się trochę jak ofiara losu. Poza tym mam poczucie winy, że zwałam się na głowę Jess, chociaż ona uparcie twierdzi, że jest zachwycona moim powrotem. Proponuję jej zapłatę – co stanowi niezręczne rozwiązanie,

biorąc pod uwagę, że jest właścicielką mieszkania. Odpowiada, żebym nie była śmieszna i że i tak nigdy nie ma jej w domu.

– Zresztą, od czego są przyjaciółki, Claudio, w końcu ktoś musi zebrać do kupy nędzne resztki pozostawione przez faceta.

Mimo to oświadczam, że będę płacić za zakupy i jedzenie na telefon. Staram się również czytać wieczorne lektury w biurze, żeby Jess miała trochę czasu dla siebie. Zawsze dużo pracowałam, lecz nigdy nie miałam takiej dodatkowej motywacji. Nadrabiam wszystkie zaległości w czytaniu i zabieram się do spraw do załatwienia, które leżały odłogiem przez długie miesiące. Nawet na moim biurku pierwszy raz od wielu lat panuje porządek, którym zachwyca się moja długoletnia asystentka Rosemary.

– Cóż to za specjalna okazja? – pyta.

– Rozwodzę się – odpowiadam.

– Przykro mi – mówi i na tym kończą się jej komentarze. Rosemary jest równie dyskretna, jak uporządkowana.

– Niepotrzebnie – mówię. – Moje biuro tego potrzebowało.

Oczywiście, żartuję, lecz rzeczywiście dochodzę do wniosku, że rzucenie się w wir pracy i siedzenie w robocie w chorych godzinach ma na mnie terapeutyczny wpływ. Powtarzam sobie, że ponowne bycie singlem niesie ze sobą pewne korzyści. Upodobnię się do człowieka, który traci ukochaną osobę i w zamian zakłada fundację. Odnajdę w tej stracie coś dobrego. Sprawię, że ziści się coś, co w przeciwnym razie nie miałyby szans na realizację. Powtarzam sobie, żeby mierzyć wysoko, iść na całość. Być może pewnego dnia będę miała własną serię wydawniczą – książki Claudii Parr. Coś, do czego nigdy by nie doszło, gdybym urodziła Benowi dziecko. Coś, do czego mogłoby nie dojść, gdybym została z Benem nawet bez

dziecka. Podoba mi się myśl, że kiedyś, przeglądając półki w księgarniach, Ben ujrzy grzbiet książki ozdobiony moim nazwiskiem. Być może wydam nawet jakiś album o architekturze. Wtedy z pewnością go zobaczy.

Tymczasem w ciągu pierwszych spędzonych osobno tygodni Ben i ja niewiele ze sobą rozmawiamy, a kiedy już nam się zdarza, żadne z nas nie mówi zbyt wiele. Jest mnóstwo krępujących momentów ciszy oraz zadawanych niepewnym głosem pytań o pocztę, rachunki i rozkład dnia. Wyraźnie widać, że nie chcemy przebywać w mieszkaniu w tym samym czasie. Rzucamy kilka „Jak się masz?” i obydwójce szorstko i krótko odpowiadamy, że dobrze, bardzo dobrze. Oboje jesteśmy dumni, uparci i niesamowicie oddaleni od siebie. Zaczynam myśleć, że być może gramy defensywnie, próbujemy zyskać na czasie i zmusić to drugie do odkrycia kart. Przynajmniej ja mam nadzieję, że tak właśnie jest, lecz w głębi serca wiem, że stajemy się sobie nieodwracalnie obcy, i czuję, że Ben również jest tego świadomy.

Na zakończenie rozmowy Ben wzdycha i mówi:

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa, Claudio. To wszystko.

Ta uwaga jest kompletnie nielogiczna, gdyż właśnie przed chwilą powiedziałam mu, że odsłuchiłam wiadomości z automatycznej sekretarki i dwa razy dzwoniła jego ciotka.

– Jasne – mówię pod nosem.

– Słucham? – pyta, co zawsze działało mi na nerwy. Ben używa tego słowa tylko wtedy, gdy doskonale wie, co powiedziałam, lecz wcale mu się to nie podoba.

– Najwyraźniej nie jest to jedyna rzecz, której pragniesz – mówię, wyobrażając go sobie z rozwrzeszczanym noworodkiem.

Ben nie odpowiada i kiedy obydwójce uświadamiamy sobie, że nie ma nic, co mógłby powiedzieć, ogarnia mnie dziwne małe uczucie zwycięstwa i satysfakcji. Człowiekowi od razu robi się lepiej, gdy sformułuje trafne zdanie, które zgrabnie dowodzi jego racji.

– No to cześć – mówię, żeby mu to uświadomić.

– Tak – obojętnie odpowiada Ben. – Cześć.

Odkładam słuchawkę i natychmiast umawiam się na kolejną wizytę u mojej adwokatki Niny Raden. Nina jest uderzająco piękna, ostra i szorstka w obyciu. Należy do tego rodzaju istot, które wyobrażasz sobie, słuchając *She's Always a Woman* Billy'ego Joela. Ma usta napompowane kolagenem i często się uśmiecha, co wyraźnie kontrastuje z jej widocznym pragnieniem zmienienia mojego rozvodu w jak największą kłótnię. Jestem pewna, że zagrzewanie do walki pokrzywdzonych kobiet z całego Manhattanu to dla niej chleb powszedni. Założę się, że mówi: „Wykończmy tego drania” częściej niż: „Dzień dobry”.

Podczas naszego drugiego spotkania muszę jej mówić trzy razy, że nie chcę wynajmować prywatnego detektywa i że w życiu Bena z pewnością nie ma innej kobiety. Najwidoczniej nie jest przyzwyczajona do rozstań w takim stylu.

– Tego nigdy nie można być pewnym – mówi.

– Ja jestem cholernie pewna – mówię. – Chyba że jakimś cudem zdążył już znaleźć brzuch, który będzie nosił jego dziecko.

Mierzy mnie przeciągłym spojrzeniem, mówiącym: „Właśnie o to mi chodziło”. Następnie ślini kciuk i przewraca stronę notesu. Mówi, że biorąc pod uwagę to, co powiedziałam podczas pierwszego spotkania, przyczyną naszego rozvodu będzie „strukturalny rozpad małżeństwa”. To określenie

zasmuca mnie zarówno z powodu oficjalnego brzmienia, jak i rzeczywistego znaczenia.

Kiwam głową, gdy Nina zaczyna emocjonować się naszymi aktywami, mówiąc, że powinnam iść na całość i żądać gwiazdki z nieba. Wykonuje mnóstwo gestów, a jej grube lakierowane bransoletki przesuwają się w górę i w dół długich, smukłych rąk. Odpowiadam jej pustym spojrzeniem, upierając się, że Ben i ja nie mamy aż tyle, żeby się dzielić.

– Byliśmy małżeństwem zaledwie trzy lata. Poza tym wynajmujemy mieszkanie, pamięta pani? – mówię, wdzięczna, że nigdy nie zagłębiliśmy się w nowojorski rynek nieruchomości.

– Dobra. Dobra. A co z samochodami? Meblami? Dywanami? Dziełami sztuki? Obligacjami? Akcjami terminowymi? – mówi, składając dłonie. Próbuje zmarszczyć twarz po botoksie, lecz nie do końca jej się udaje.

Wzruszam ramionami.

– Mamy hondę civic z dziewięćdziesiątego drugiego. To kompletny wrak.

Posyła mi pełne irytacji spojrzenie i mówi, że mogłabym się bardziej postarać.

– Popracuję nad tym – mówię.

– Dobrze. Dobrze – mówi, zerkając na zegarek. – Wiem z doświadczenia, że kiedy żąda się zbyt mało, potem jedynie się żałuje.

– Uhm – mówię.

– Zatem proszę mi przesłać e-maila z czymkolwiek – absolutnie czymkolwiek, co przyjdzie pani na myśl. Dołączę listę wszystkich aktywów do części A umowy o separacji.

Nigdy nie myślałam o naszych rzeczach w kategoriach aktywów. Nigdy nie przypuszczałam, że Ben i ja będziemy cokolwiek dzielić. Zawsze sądziłam, że wszystko będzie wspólne. Mimo to postanawiam potraktować tę pracę domową poważnie. Dzwonię do mojego przyszłego byłego męża i mówię, że wieczorem muszę na kilka godzin wpaść do mieszkania. Odpowiada, że nie ma nic przeciwko, bo i tak pracuje do późna.

Tamtego wieczoru chodzę po naszym mieszkaniu, zaglądam do szafek i szuflad i opróżniając butelkę wina, robię notatki na kartce z notesu. Całe zadanie wydaje mi się nieco surrealistyczne, prawie jak gdybym po raz pierwszy szukała tu pewnych przedmiotów. Przeglądając nasze wspólne rzeczy, z ulgą pomieszaną z dumą dochodzę do wniosku, że prawie niczego nie chcę. Próbuję, lecz po prostu nie potrafię podniecać się meblami, pościelą i srebrem. Przez chwilę waham się przy naszym jedynym drogim dziele sztuki – wspaniałym pejzażu miejskim Geoffreya Johnsona w ciepłych barwach sepii. Uwielbiam go i ciężko mi sobie wyobrazić, że nie będę już mogła na niego patrzeć, lecz kupiliśmy go na drugą rocznicę, więc nie chcę, żeby coś nieustannie mi o niej przypominało.

Z jakiegoś powodu skupiam się na naszych płytach kompaktowych, które nabyliśmy wspólnie – na muzyce dobrej na każdy nastrój i okazję. Muzyka towarzysząca przygotowaniom do wyjścia z domu. Muzyka na imprezy. Muzyka do domowych obowiązków. Muzyka do seksu. Muzyka do tworzenia nastroju do seksu. Muzyka po seksie.

Wiem, że płyty nie należą do tego rodzaju wspaniałych rzeczy, które miała na myśli Nina – w grę wchodzi jedynie kilkaset dolców za całą kolekcję – lecz myśl o ponownym kompletowaniu muzyki, z której czerpaliśmy tyle przyjemności, wydaje się zbyt bolesna. Poza tym wiem, ile nasze płyty znaczą

dla Bena, i jakaś część mnie pragnie zrobić mu na złość. Nie mam ochoty karać go finansowo, lecz chcę, żeby cierpiał emocjonalnie. Chcę, żeby poczuł dotkliwą pustkę, a zabranie kryształowej karafki tego nie załatwi.

Zatem nalewam sobie kolejną lampkę wina, notując niektórych spośród naszych ulubionych artystów – Jamesa McMurtry'ego, Bruce'a Springsteena, Boba Dylana, Toma Waitsa, Velvet Underground, Laurę Cantrell, Vana Morrisona, Cowboy Junkies, Wilco, Tracy Chapman i Dire Straits. Następnie, żeby podkreślić swoją decyzję, biorę czarny flamaster i piszę swoje inicjały na opakowaniach płyt. Gdzieś w połowie wykonywania tego zadania łapię się na tym, że używam nazwiska Bena – Davenport – i przestawiam się na inicjały panięskie, C. P. Tłumaczę sobie, że Parr, nazwisko, które zachowałam w pracy, znacznie lepiej pasuje do imienia Claudia. Nigdy nie byłam zwolenniczką dwusylabowych imion połączonych z trój sylabowymi nazwiskami. Wino zaczyna uderzać mi do głowy około północy i wtedy po prostu się poddaję, przekreślam całą listę i na samej górze kartki piszę: „Wszystkie płyty”.

Nazajutrz dzwonię do Niny i mówię, że chcę zatrzymać jedynie osobiste rzeczy, wszystkie płyty i panięskie nazwisko. Jęczy w słuchawkę i mówi:

– Jako twoja adwokatka czuję się w obowiązku powiedzieć, że popełniasz wielki błąd.

– Tu nie chodzi o pieniądze... Chodzi o zasadę – mówię.

– Właśnie dlatego chcę, żebyś zażądała więcej – mówi Nina. – Dla zasady. To o n zrezygnował z małżeństwa. – Następnie wzdycha i mówi, żebym to jeszcze przemyślała, a ona w międzyczasie spisze wstępną umowę o separacji.

Kilka dni później dokumenty docierają do mojego biura. Uważnie czytam kolejne strony. W większości są tam pisane niezrozumiałym językiem zdania o takich sprawach, jak zrzeczenie się alimentów, zwrot podatku, długi i zobowiązania stron. Jedyne słowa, które naprawdę do mnie trafiają, znajdują się na początku:

Zważywszy na to, że w wyniku pewnych sporów i niedających się pogodzić różnic pomiędzy stronami strony rozstały się i obecnie żyją osobno, i zamierzają żyć osobno do końca życia (... ). Zważywszy na to, że małżeństwo nie posiada dzieci i żadnych dzieci nie oczekuje (... ).

Myślę: otóż to. Następnie dzwonię do Bena i proszę, żeby po raz ostatni umówił się ze mną na kolację, abyśmy mogli wspólnie przeanalizować umowę. Myślę, że na koniec obydwójce potrzebujemy czegoś takiego. „Koniec” to jedno z tych słów, których zawsze nienawidziłam, nadużywane przez melodramatyczne kobiety. Nie uważam jednak za melodramatyczne używanie go w sytuacji, gdy rozpada ci się małżeństwo. Kiedy musisz po raz ostatni spotkać się z mężem i pogodzić się z faktem, że niedługo przestanie być twoim mężem. Chociaż być może, być może, daję mu jeszcze ostatnią szansę na zmianę zdania.

– Gdzie się spotkamy? – pytam.

Wiem, że powie, że dla niego to bez różnicy, że wszystko zależy ode mnie.

Zgodnie z przewidywaniami wzdycha do słuchawki.

– Ty wybierz miejsce, Claudio. Dla mnie to bez różnicy – mówi. Jak gdyby to on zasłużył na prawo do okazywania zmęczenia.

Ja również chcę przyjąć pasywno–agresywną postawę, nalegać, aby to on wybrał miejsce naszego ostatniego spotkania, lecz dochodzę do wniosku,



że przejście kontroli to raczej niezawodny sposób na uchronienie się przed jej utratą. Mówię, że się zastanowię i do niego oddzwonię. Mój głos jest zimny i obojętny.

– Dobra. Po prostu daj znać – mówi i muszę pogodzić się z faktem, że gdybyśmy uczestniczyli w konkursie na największą obojętność w głosie, pobiłby mnie na głowę.

Przez kilka kolejnych godzin przeglądam każdą pozycję w katalogu restauracji, przerzucając strony, które niegdyś skrywały klucz do zabawnych wieczorów w towarzystwie Bena.

Jest tam tysiąc dziewięćset trzydzieści jeden opisów restauracji, a jednak żadna z nich nie wydaje się odpowiednia na spotkanie z przyszłym byłym mężem w celu omówienia podziału aktywów. Przeglądam kategorie – późne kolacje, dużo ludzi, klimat dla polityków, romantyczne miejsca, specjalne okazje, klimat dla singli. Żadna nie wydaje się odpowiednia. Jak to możliwe, że w katalogu takiego miasta jak Nowy Jork dobrzy redaktorzy zawarli kategorie typu „godne zobaczenia łazienki”, a przeoczyli zawsze ważne „miejsca na rozstania”?

Kiedy przeglądam restauracje, Michael Brighton, dyrektor działu reklamy, wpada do mojego biura, żeby się przywitać. Michael i ja w tym samym roku, trzynaście lat temu, skończyliśmy college i obydwójce zaczęliśmy pracować w firmie tego samego dnia. To jeden z moich najbliższych przyjaciół z pracy i jego rzeczowy sposób bycia oraz cierpkie poczucie humoru sprawiają, że łatwo z nim rozmawiać o rozwodzie. Mogę liczyć na to, że nie będzie mi za bardzo współczuł.

– Co słyhać, Claudio? – mówi, biorąc z półki moją magiczną kulę z wróżbami i potrząsając nią. Ostatnimi czasy unikałam tego gadżetu, z oczywistych powodów.

– Niewiele – mówię. Zerka na kulę i mówi:

– Niech to szlag. Mojej pralni nie uda się wywabić tej plamy z zamszowej marynarki.

Śmieję się.

– Dlaczego zawsze zadajesz magicznej kuli takie głupkowate pytania?

– Bo moje życie jest głupkowate. Przecież wiesz – mówi, przebiegając dłonią po gładko ogolonej głowie. Michael ma najładniejszą brązową skórę, jaką kiedykolwiek widziałam. Wygląda prawie jak wypolerowana. Ben zawsze mówił, że Michael przypomina Charlesa Barkleya – i chyba dostrzegam podobieństwo w okolicach oczu i brwi – lecz Michael nie jest tak zwałisty jak Barkley i ma ostrzejsze rysy.

– Jasne – mówię z sarkazmem. O życiu Michaela można powiedzieć wszystko, ale na pewno nie to, że jest głupkowate. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu przez pomyłkę przesłał do wszystkich pracowników e-mail o tym, że jego asystentka jest niekompetentna.

– Mniejsza z tym. Jak daleko jesteś z powieścią Amy Dickerson? Ma ją recenzować „Time” czy co? – pytam.

– Powoli kończę – mówi, ziewając. Michael absolutnie wszystko odkłada na później, ale ma w sobie tyle uroku, że zazwyczaj udaje mu się wyprosić u mnie każdą recenzję. Wszyscy w tej branży go uwielbiają i zawsze czuję ogromną radość, kiedy zajmuje się jedną z moich książek. – Bez obaw. – Pokazuje na mój katalog. – Co? Już masz jakąś gorącą randkę?

– Nie – mówię. – Próbuję wybrać miejsce na wieczorne spotkanie z Benem.

– Żeby porozmawiać o pojednaniu?

– Nie. Żeby porozmawiać o podziale aktywów.

– Hmm – mówi. – Może Kittichai? Mam rezerwację, z której wolałbym nie korzystać.

Unoszę brwi.

– To długa historia.

– Mam czas.

– Ona jest zbyt wymagająca.

– Aach – mówię, przerzucając strony do litery K. – Zatem polecasz Kittichai. To w hotelu Thompson, prawda?

– Tak – odpowiada. – Mam tam stolik dla dwojga na ósmą. Jeśli chcesz, jest twój.

– Nigdy tam nie byłam – mówię, myśląc o tym, że Ben i ja unikaliśmy modnych miejsc. – A to chyba nie jest odpowiedni wieczór na próbowanie czegoś nowego.

– W takim razie idźcie do jakiejś starej wypróbowanej restauracji... Może do Gramercy Tavern? Aquavit? Balthazar?

Potrząsam głową.

– One też nie przejdą. Wypełnia je zbyt wiele wspomnień. Dobrych wspomnień. Wspomnień naszych uroczystości. To by się po prostu... kłóciło ze sobą – mówię. – Nie mogłabym tam siedzieć i mówić Benowi, że chcę dostać nasze garnki Calphalona, przez cały czas myśląc o pierwszej rocznicy albo o nocy, w której odrobinę zaszaleliśmy na tylnym siedzeniu taksówki.

– Przecież ty nawet nie gotujesz. Naprawdę chcesz dostać te garnki? – pyta.

– Nie. Tak naprawdę nie chcę niczego.

Michael kiwa głową, po czym mrużąc oczy, spogląda na sufit, jak gdyby coś wpadło mu za szkła kontaktowe.

– Zastanawia mnie tylko ta historia z tylnym siedzeniem taksówki. Testuję pewną teorię... Czy to stało się przed czy po tym, jak się chajtnęliście?

– Przed – mówię i odpycham od siebie to wspomnienie, ciągnąc dalej. – Chyba muszę wybrać coś pomiędzy modnym nowym miejscem a wysłużonym, lecz wiernym ulubieńcem. Miejsce, w którym byliśmy już wcześniej, lecz które nie wiąże się z niczym konkretnym. Miejsce z przyzwoitym klimatem, lecz niezbyt wesołe – mówię. – Myślę o takim, które dostało niewiele punktów za obsługę. Nie chcę przesadnie usłużnych kelnerów ani rozwlekłych opisów jedzenia i wina.

Michael wybucha śmiechem. Posyłam mu wymowne spojrzenie.

– To nie jest śmieszne.

Jego uśmiech blaknie i Michael mówi:

– A niech mnie. Masz rację, to nie jest śmieszne.

– No dobra. Trochę jest – mówię, myśląc, że być może ludzie, którzy żartują w obliczu trudności, mają trochę racji.

Michael znowu potrząsa magiczną kulą i mówi:

– O kurczę.

– Co? – pytam.

– Nieważne – mówi. – I tak nie wierzę w te wróżby.

W wieczór naszej ostatniej „randki” przyjeżdżam do przypadkowo wybranego baru w Hell's Kitchen (okolicy, z którą łączy nas najmniej

wspomnień) spóźniona dziesięć minut, lecz i tak wcześniej niż Ben. Bardzo mnie to irytuje, ponieważ muszę zamówić drinka przy barze, co sprawia, że nasze spotkanie bardziej przypomina randkę niż biznesową transakcję, którą jest w rzeczywistości. Zastanawiam się, czy zamiast tego nie powinniśmy byli umówić się na lunch.

Kiedy zamawiam wino i upijam kilka łyków, do baru wolno wchodzi Ben. Ma na sobie luźne dzinsy i nową białą koszulę, w której jego klatka piersiowa i ramiona wyglądają na wyjątkowo umięśnione. Ben ma szczęście posiadać jedno z tych akuratnych ciał, ani za dużych, ani za małych, na których zawsze wszystko wspaniale leży. A na moje nieszczęście jeszcze lepiej wygląda nago.

– Ładna koszula – mówię z odrobiną sarkazmu. Chcę, żeby wiedział, że ja wiem, że robił zakupy, gdy rozpadał się nasz związek.

Posyła mi defensywne spojrzenie, po czym mamrocze coś o tym, że wybrał parę rzeczy w Gapie. Kiedy wyobrażam sobie Bena przymierzającego sportowe ubrania, które z pewnością będzie wkładał na randki z rumianymi płodnymi dziewczynami po dwudziestce, zaczynam go prawie nienawidzić. Jednak tak naprawdę to dobry zdrowy odruch, ponieważ nienawiść zdusza smutny klimat tego wieczoru. Płacę za wino i podchodzimy do kelnerki.

– Przyszedł – mówię, wskazując Bena.

Uśmiecha się i prowadzi nas do małego stolika w samym środku części restauracyjnej. Natychmiast uznaję go za najgorsze miejsce w całej restauracji. Będziemy otoczeni ze wszystkich stron. Nie przewiduję żadnej sceny. Nie oczekuję również łez. Obydwoje jesteśmy bardzo opanowani i mamy jednakowe zdanie na temat bycia w centrum uwagi. A jednak stolik w rogu znacznie lepiej pasowałby do naszych celów.

Zerkam na Bena w nadziei, że poprosi o zmianę stolika. Robi to niemal zawsze. Nawet kiedy zatrzymywaliśmy się po drodze w McDonalddie i wybierałam stolik, zawsze pytał, czy nie mam nic przeciwko temu, żeby się przesiąść. Stało się to czymś w rodzaju gry. Ja próbuję się domyślić, gdzie chciałby usiąść, a on wynajduje jakiś problem. Przeciąg z klimatyzacji, zbyt rażące słońce, paskudną plamę z keczupu na krześle. Rzecz jasna, Ben wybiera właśnie ten wieczór na premierę swojej nowej koszuli oraz lekceważącego stosunku do miejsca, w którym przyszło nam siedzieć.

– No więc jak leci? – pyta, kiedy dostajemy menu i kartę win.

– W porządku – odpowiadam.

– Co słyhać w pracy?

Mówię, że w pracy idzie mi świetnie, a następnie, ulegając jego namowom, w kilku zdaniach przedstawiam najświeższe nowiny dotyczące książek, nad którymi ostatnio pracuję, i tych, które próbuję kupić. Wiem, że Ben jest dumny ze wszystkiego, co osiągnęłam w pracy, i nie mogę się powstrzymać, żeby nie podzielić się z nim kilkoma szczegółami. Zastanawiam się, ile minie czasu, zanim przestanę czuć potrzebę dzielenia się z nim historiami z mojego życia.

– A jak tobie idzie w pracy? – pytam.

– Jest okej – mówi. – Nic nowego.

– Co u rodziny?

– W porządku. Dobrze.

– Powiedziałeś im? – pytam.

– O czym?

– Jeju, Ben, nie wiem. O twojej nowej koszuli.

– Nie byłem pewien, którą część tej całej sprawy masz na myśli – mówi.

– Wszystkie. Całe to rozstanie, które właśnie się dokonuje – wyjaśniam, wskazując na przemian jego i mnie.

– Wspominałem im, że mamy pewne problemy – mówi.

– Czy wspomniałeś też o naturze tych problemów? – pytam.

Kiwa głową.

– Więc teraz wszyscy uważają mnie za zimną sukę? – pytam.

– Nikt nie myśli o tobie niczego złego, Claudio. Spuszczam wzrok na menu, unoszę brwi i mrużę, że bardzo w to wątpię.

Ignoruje moją uwagę i mówi:

– A ty powiedziałaś rodzinie?

– Nie – odpowiadam. – Jeszcze nie.

Nie wygląda na zaskoczonego. Wie, że unikam kontaktu z matką i że nie chcę martwić ojca.

– Nawet siostrze?

– Jeszcze nie. Tylko Jess – mówię. – I Michaelowi.

– A Annie? – pyta. Potrząsam głową.

– Nie... Dlaczego pytasz? Rozmawiałeś z Rayem?

– Trochę – mówi Ben.

Chcę go zapytać, co powiedział, lecz postanawiam tego nie robić. I tak wiem. Wiem również, co odpowiedział mu świeżo upieczony ojciec. To wszystko potwierdza moje odwieczne przekonanie: ludzie poszukują selektywnych rad. Proszą o nie ludzi, którzy podzielają ich instynkty. Doradzą im to, co i tak zamierzają zrobić.

Podchodzi nasza kelnerka i przyjmuje zamówienie. Niczego wcześniej nie uzgodniliśmy, lecz obydwójce decydujemy się na łososia. Nigdy nie zamawialiśmy tego samego dania, woląc zamówić dwie różne przystawki i

później się podzielić. Wygląda na to, że dni naszego dzielenia się dobiegły końca.

– No cóż – mówię.

– No cóż – mówi Ben. – Co teraz?

Czuję, że chodzi mu o logistykę, a nie o nasz związek. Z nami już koniec i obydwójce o tym wiemy. Podaję mu spisany przez Ninę projekt i wyjaśniam:

– W Nowym Jorku procedura w przypadku zgodnych rozwodów jest dosyć standardowa.

Bierze kartki i spogląda na nie. Przerzuca jedną po drugiej, aż w końcu dociera do części poświęconej podziałowi aktywów.

– Chcę tylko płyty – podsumowuję. Spogląda na mnie z zaskoczeniem.

– Niczego więcej nie chcesz? Tylko płyty?

– Tak. Chcę tylko naszą muzykę – mówię, przysięgając sobie w duchu, że po raz ostatni użyłam słowa „n a s z a”. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Jasne, że nie, Claudio. Muzyka jest twoja.

– Nawet wszystkie płyty Jamesa McMurtry'ego? – pytam, mając nadzieję, że skrzywi się z bólu albo przynajmniej będzie wyglądał na zasmuconego. Ben ma swoje ulubione kapele, a ja mam swoje, lecz jako para uwielbiamy Jamesa McMurtry'ego. Być może dlatego, że razem go odkryliśmy i zakochaliśmy się w jego muzyce. Widzę, jak pierś Bena unosi się lekko, kiedy bierze wdech. Wypuszcza powietrze i spogląda na mnie. Mam nadzieję, że wspomina minione lato, kiedy poleciliśmy do Austin, żeby zobaczyć koncert Jamesa w klubie Continental. Mam nadzieję, że myśli o tym, jak wypiliśmy za dużo piw i trzymając się w objęciach, chłoniliśmy rozdzierające teksty piosenek.



– Jasne, nawet Jamesa – mówi ze smutkiem, a ja notuję w pamięci, żeby zostawić mu jedną płytę, niby przypadkiem. Zastosowałam podobny chwyt po zerwaniu z moim chłopakiem z college'u Paulem. Tamto rozstanie miało mnóstwo powodów, lecz między innymi chodziło o brak geograficznej kompatybilności. Ja chciałam mieszkać w Nowym Jorku, a on wszędzie, byle nie tam. Miałam nadzieję, że zmieni zdanie, i opracowałam pewne sposoby na zwiększenie takiego prawdopodobieństwa. Kiedy zatem pakowałam jego rzeczy, które nagromadziły się w moim mieszkaniu przez ostatni rok, wsadziłam do skrzynki jedną losowo wybraną kartę do gry Uno, gdyż ja i Paul bez przerwy w nią graliśmy i nieustannie zdobywaliśmy mistrzostwo w trzycyfrówkach. Czerwona karta oznaczała ruch „wstecz”, co moim zdaniem miało pewne symboliczne znaczenie. Miałam nadzieję, że ją znajdzie i przez chwilę gorzko pożałuje, że pozwolił mi odejść, i zapragnie „cofnąć” czas, opuścić Denver i przeprowadzić się do mnie, do Nowego Jorku. Być może przykleiłby ją nawet do lustra, spoglądał na nią codziennie przy goleniu, myśląc o mnie oraz o tym, jak mogłoby być.

Próbuję sobie wyobrazić, jaką minę zrobi Ben, kiedy natrafi na jedną z naszych płyt McMurtry'ego. Oczyma wyobraźni widzę, jak wsuwa ją do odtwarzacza, słucha jednej z naszych piosenek i przeklina siebie za to, że zamiast mnie wybrał dziecko.

– Claudio? – mówi Ben, przerywając tok moich myśli. – Co o tym wszystkim sądzisz? – pyta łagodnym głosem.

– Przecież wiesz – odpowiadam, potrząsając głową. Czuję kolejne ogromne ukłucie żalu. Muszę się bardzo starać, żeby zdusić łzy.

– Tak. Wiem – zgadza się Ben. – To wszystko jest do bani.

Kiwam głową i odwracam wzrok, spoglądając na siedzącą niedaleko parę, która najwidoczniej jest na pierwszej randce. Przyszła tuż po nas i zauważyłam, że on odsunął dla niej krzesło. Są młodzi i przejęci, bez przerwy się uśmiechają i mają nienaganne maniery przy stole. Dobrze rokują: szczęśliwa i budząca nadzieje para.

Kiwam głową w stronę ich stolika i mówię:

– Popatrz na nich. Myślisz, że to pierwsza randka?

Ben lekko obraca się na krześle, przygląda im się przez chwilę i mówi:

– Tak. Co najwyżej druga. Idę o zakład, że nawet się jeszcze nie całowali.

– Może dziś wieczorem.

– Tak. Może.

– Chciałabym przenieść się w czasie i zobaczyć ich koniec – mówię z sarkazmem.

Ben posyła mi wymowne spojrzenie i rzuca:

– Zawsze byłaś cyniczna. Odpowiadam:

– Żebyś wiedział.

– Może będą żyli długo i szczęśliwie – mówi Ben.

– Tak. Z dwójką dzieci.

– Albo przynajmniej z jednym.

Pozwalam na to, żeby ostatnie słowo należało do niego –podobnie jak zapłacenie rachunku, kiedy w końcu jest po wszystkim.

## ROZDZIAŁ 7

Bardziej niż odrobinę zastanawiam się nad tym, czy popełniam błąd, pozwalając Benowi oddalić się na dobre. Powtarzam sobie, że brak zdecydowania stanowi nieodłączną część takiej sytuacji. Zawsze kiedy podejmuje się jakąś ważną życiową decyzję, przynajmniej taką, dla której istnieje realna alternatywa, po fakcie nieuchronnie pojawia się niepokój. Lęk jest jedynie znakiem, że traktujesz coś poważnie.

W tym sensie rozwód z Benem wzbudza takie same emocje jak poślubienie Bena. Wtedy również wiedziałam, że podejmuję odpowiednią decyzję, ale nie mogłam pozbyć się sporadycznych obaw, które budziły mnie w środku nocy nawet po zażyciu kilku łyków syropu z melisy. W dniach poprzedzających nasz ślub wiedziałam, że moja miłość do Bena jest najbardziej realnym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doznałam, lecz mimo to bałam się, że narażam się na porażkę. Pamiętam, jak pewnej nocy przyglądałam się śpiącemu Benowi ze strachem, że pewnego dnia go zawiodę. Albo że on zawiedzie mnie. Że z jakiegoś powodu nam nie wyjdzie i że wtedy sięgnę pamięcią wstecz i powiem:

– Jak mogłam być taka głupia? Jak mogłam nie widzieć, że tak się to skończy? – co oczywiście jest dokładnie tym, co mówię sobie obecnie.

Teraz, patrząc, jak Ben się ode mnie oddala, mam niepokojące uczucie, że pewnego dnia wspomnę to rozwidlenie naszych dróg i uznam je za największą pomyłkę mojego życia.

Zatem biorąc pod uwagę kiepski stan mojego ducha, bardzo denerwuje mnie przebywanie w towarzystwie mojej szczerzej do bólu rodziny. O niczym im nie mówię i tygodniami odwlekam wszelkie spotkania, aż do dnia

szóstych urodzin mojej siostrzenicy Zoe, kiedy odwiekanie przestaje wchodzić w rachubę.

Rano wsiadam do pociągu i jadę do domu Maury w Bronxville, gapiąc się przez okno na pejzaż, którego zdążyłam się już nauczyć na pamięć. Pozwalam sobie jedynie na słuchanie skocznych kawałków na iPodzie, przezornie usuwając z listy wszystkie odrobinę melancholijne. Najgorsze, co mogę zrobić, to pokazać się u Maury z jakimkolwiek śladem smutku na twarzy. „Muszę być twarda”, powtarzam sobie, obmyślając strategię przekazania złej wieści.

Zanim pociąg zatrzymuje się na stacji, postanawiam, że powiem rodzinie o zbliżającym się rozwodzie po wyjściu gości, kiedy Zoe pójdzie pobawić się nowymi zabawkami. Prawdopodobnie mniej dramatyczne byłoby przekazanie tej informacji każdemu z osobna przez telefon, lecz w ten sposób będę to musiała powiedzieć tylko raz. Zwołam jedną konferencję prasową i odpowiem na jeden zestaw pytań. Kiedy nie będę mogła dłużej wytrzymać, podziękuję rodzinie i skieruję się ku wyjściu. Tak jak sportowiec po bolesnej porażce. „Tak, jestem rozczarowana. Jest mi źle, że zawiodłam drużynę i spartoliłam ten prosty rzut spod kosza w drugiej dogrywce. Ale robiłam, co mogłam. I muszę jakoś żyć dalej...”

Mój tato, który nadal mieszka w Huntington, w moim rodzinnym domu, przyjechał do Maury wcześniej i teraz odbiera mnie z dworca. Jeszcze zanim zamykam drzwi, zaczyna pomstować na moją matkę:

– Co za nieznośna kobieta – oznajmia. Mój ojciec to zazwyczaj bardzo pogodny człowiek, lecz matka wydobywa z niego to, co najgorsze. I najwidoczniej nigdy nie dotarło do niego przesłanie dla rozwiedzionego

rodzica głoszące, że słuchanie, jak jedno z rodziców oczernia drugie, nie jest zdrowe dla dziecka (nawet dorosłego).

– No więc co zrobiła tym razem? – pytam.

– Rzuciła jedną ze swoich popisowych złośliwych uwag na temat moich portek – mówi.

Uśmiecham się, słysząc to określenie.

– Co jest nie tak z twoimi spodniami?

– Właśnie! Niczego im nie brakuje, prawda?

– Absolutnie niczego – mówię, lecz kiedy baczniej mu się przyglądam, zauważam, że włożył spodnie od garnituru do golfu. To obraza, której moja matka nie może tolerować. Mimo to zastanawiam się, dlaczego ciągle bierze jego odzieżowe *faux pas* tak bardzo do siebie. Co ją to obchodzi? – myślę jak zawsze.

– Jest z nią Dwight? – pytam.

– Nie. Miał jakiś wczesny mecz golfa – wyjaśnia mój tato, włączając kierunkowskaz. – Ale jestem pewien, że później zrobi wielkie wejście.

– Pod tym względem do siebie pasują – mówię.

– Tak. Twoja matka paraduje po domu od samego rana – mówi. Wyobrażam ją sobie z odrzuconą do tyłu głową i zadartym nosem, do złudzenia przypominającą cyrkowego kucyka.

– Tak. Wszystko kręci się wokół niej – mówię.

Moja matka zawsze próbuje być w centrum uwagi. Z pewnością będzie przesadnie wystrojona, prawdopodobnie da Zoe największy i najdroższy prezent i przez cały czas będzie ją otaczał tłum wielbicieli. Tylko to nie zmieniło się od czasu, kiedy ja i moje siostry byłyśmy jeszcze małe – nasi przyjaciele ją uwielbiają. Nazywają ją „pocieszoną”, „przezabawną” i „jedną z

dziewczyn". Jednak w głębi serca myślę, że są bardzo szczęśliwi, że jest matką kogoś innego.

– Nie daj jej się sprowokować, tato – mówię.

Tata uśmiecha się, jak gdyby przestawiał myśli na inne tory. Potem pyta:

– A gdzie jest Ben?

Wiedziałam, że padnie to pytanie, lecz słysząc jego imię, nadal czuję ostry ból w boku. Biorę głęboki oddech i próbuję nadać głosowi pogodny ton.

– Musiał pracować.

– To niepodobne do Bena, żeby rezygnować z rodzinnej imprezy.

– Tak. To bardzo rodzinny człowiek – mówię. Próbuję być sarkastyczna, lecz uświadamiam sobie, że to rzeczywiście prawda: on jest bardzo rodzinnym człowiekiem.

Chwilę później zatrzymujemy się na podjeździe w kształcie podkowy, a ja przyglądam się czteromilionowej rezydencji mojej siostry (ona sama uparcie twierdzi, że jej dom nie jest żadną rezydencją, lecz ja uważam za rezydencję każdy dom, który ma więcej niż sześć sypialni, a jej ma ich siedem) z tradycyjną mieszanką podziwu i pogardy. Nie pochwalam tego nie tylko ze względu na sam ogrom ich bogactwa – ponieważ to zawsze jest pojęcie względne. Nie podoba mi się raczej sposób, w jaki Scott zarobił te pieniądze – nie ciężką pracą umysłu, lecz dzięki temu, że znalazł się we właściwym czasie i miejscu. Pracował jako dyrektor finansowy małej, początkującej firmy software'owej, którą zakupiono za śmieszłą cenę podczas gwałtownego wzrostu w sektorze technologicznym. Tak naprawdę ma tyle pieniędzy, że słyszałam, jak nazywa posiadaczy mniejszych fortun pseudomilionerami.

Gdyby dobrze traktował moją siostrę, wszystko byłoby wspaniale i trzymałabym kciuki za jego szczęście. Jednak Scott jest draniem (używając jednego z określeń mojego taty) i ich dom nieustannie przypomina mi o codziennym kompromisie, na jaki godzi się Maura: ładne rzeczy, lecz uganiający się za spódniczkami mąż. Często się zastanawiam, czy moja siostra zostawiłaby Scotta, gdyby nie mieli dzieci. Ona twierdzi, że tak. Ja nie jestem do końca pewna, czy powinna.

Tata parkuje za wielką białą ciężarówką z napisem „Catering Endywia”. Kiedy Maura wydaje przyjęcie, nie liczy się z kosztami – nawet jej przyjęcia dla dzieci są ekstrawaganckimi wydarzeniami, więc wcale nie jestem zaskoczona, kiedy po wejściu do domu moim oczom ukazuje się krzątanina ostatnich przygotowań, która bardziej pasowałaby do weselnego przyjęcia niż do dziecięcej imprezy urodzinowej.

– Cześć! Cześć! – mówi Maura, witając mnie krótkim, nieobecny uściskiem, po czym znowu skupia się na gigantycznym wazonie egzotycznych kwiatów otoczonym wymyślnymi woreczkami z prezentami. Widzę, że jest zdenerwowana, jak zawsze, kiedy ma pełnić jakąś społeczną funkcję. Jako typowe pierworodne dziecko, Maura jest perfekcjonistką we wszystkim, co robi, a ja zawsze myślę o tym, jakie to musi być wyczerpujące. Sama też potrafię być niezwykle obowiązkowa – kiedy w grę wchodzi praca – lecz Maura jest taka wobec wszystkiego: domu, podwórka, dzieci, własnego wyglądu. Dobrze, że po urodzeniu dzieci porzuciła wymagającą pracę w dziale kadr, bo nie wyobrażam sobie, jak bardzo byłaby obciążona, gdyby do swojego dążenia do perfekcji dodała jeszcze karierę.

Marszczy brwi, przechyla głowę i mówi:

– Czy te kwiaty tu pasują? Czy mają dobrą... wielkość? Mówię, że są piękne. Cały jej dom jest piękny, chociaż zupełnie niepraktyczny i nie sposób się w nim zrelaksować. Zamiast na wygodę Maura postawiła na eklektyczną perfekcję. Wszystkie wnętrza wyszły spod ręki ekskluzywnego projektanta, który na zamówienie wyczarował wyszukaną mieszankę starego i nowego, nowoczesności i tradycji. Dominują ciepłe tonacje – żółte ściany, wiśniowe obicia, mandarynkowe abstrakcjonistyczne dzieła sztuki – a jednak coś w jej domu nieustannie przypomina mi salon wystawowy. Nikt by się nie domyślił, że mieszka tu troje dzieci w wieku co najwyżej sześciu lat, pomimo olejnych obrazów z ich podobiznami i zdjęć ustawionych na cudownym fortepianie. Moja siostra jest dumna z wyszukanej, eleganckiej atmosfery tego domu. Mówi o tym dosyć często, jak gdyby chciała powiedzieć:

– Sam fakt, że ma się dzieci, nie oznacza konieczności oddawania się garom i sprzątaniu.

Ma rację, ale jak mawiał Ben, można dokonać dosłownie wszystkiego, jeśli dysponuje się całym zastępem pracowników, w tym nianią, ogrodnikiem, facetem od basenu, osobistą asystentką i mieszkającą na stałe gosposią. Patrzyłam, jak przydziela służbie zadania, ubrana w swoje modne sarongi i dresy Juicy Couture, z filiżanką najdroższej kawy w dłoni, i myślałam, że chociaż odeszła z pracy, nadal prowadzi coś w rodzaju małej korporacji – a w dodatku idzie jej to wspaniale.

Mimo że na pierwszy rzut oka życie Maury może się wydawać płytkie i skupione na przyjemnościach, drzemie w niej mnóstwo ukrytych zalet. Jest doskonałą matką. Należy do szkoły matek Jackie O. i często cytuje swoją idolkę: „Jeśli nie potrafisz wychować własnych dzieci, wątpię, żeby cokolwiek innego w twoim życiu miało wielkie znaczenie”. W rezultacie



dzieci Maury są urocze, dobrze wychowane i, na przekór wszystkiemu, stosunkowo mało rozpieszczone.

– Gdzie są dzieciaki? – pytam Maurę, dokładnie w chwili kiedy zza rogu wypadają Zoe, William i Patrick, podekscytowani i z wytrzeszczonymi oczami, jak gdyby już teraz najedli się za dużo cukru. Jasne włosy i skóra Zoe bardziej upodabniają ją do mnie niż do jej rodziców o oliwkowej cerze i brązowych oczach, co uważam za fascynujący przypadek genetyczny. Niedawno zadzwoniła do mnie Maura i powiedziała, że Zoe zaniósła moje zdjęcie do salonu fryzjerskiego i oznajmiła styliście, że chce wyglądać jak jej ciocia Claudia. Nie potrafię ukryć dumy z faktu, że moja siostrzenica jest do mnie podobna, i uznaję to uczucie za narcystyczną potrzebę, która sprawia, że wielu ludzi decyduje się na dzieci.

– Sto lat, Zoe! – mówię, pochylając się, żeby mocno ją uściskać. Ma na sobie kompletny strój baletnicy, ponieważ motywem przewodnim imprezy są „rumiane baleriny”. Jej jasnoróżowy trykot, limonkowa spódniczka i baletki idealnie współgrają z różowymi i zielonymi balonami przywiązanymi do poręczy oraz z trójpiętrowym tortem otoczonym mnóstwem tiulu. – Nie mogę uwierzyć, że masz już sześć lat!

Myślę o tym, że Ben i ja poszliśmy na pierwszą randkę tydzień po drugich urodzinach Zoe. Zastanawiam się, jak długo będę mierzyć czas według kategorii „Ben”.

– Dziękuję, ciociu Claudio! – mówi Zoe swoim niskim gardłowym głosem, który w ustach małej dziewczynki wydaje się bardzo zabawny. Przesławia stopy z pozycji drugiej do trzeciej. – Stolik na prezenty jest w salonie! Bo chyba nie zapomniałaś o prezencie?

– Chyba nie – mówię, otwierając torbę na zakupy i pokazując jej kawałek zapakowanego prezentu.

William i Patrick, mający odpowiednio trzy i dwa lata, podrzucają w górę identyczne zabawki.

– Popatrz, co dostaliśmy!

– Super! – mówię, chociaż nie mam pojęcia, co to właściwie jest.

Zoe informuje mnie, że tata kupił im nowe roboty, żeby nie byli zazdrośni o jej prezenty. Scott jest dobrym ojcem, chociaż zbyt często stosuje przekupstwo i groźby. Najbardziej podobało mi się, kiedy mówił:

– Jeśli nie przestaniecie jęczeć, nie będzie żadnych świąt Bożego Narodzenia. – Kiedy usłyszał to Ben, roześmiał się i zapytał, w jaki sposób Scott zamierza przeskoczyć z dwudziestego czwartego na dwudziesty szósty grudnia.

Zoe posyła mi szeroki uśmiech i prowadzi za rękę do salonu, gdzie Daphne i moja matka siedzą na kanapie i sączą drinki.

– Gdzie jest Benny? – pyta moja matka, nie mówiąc mi nawet cześć. Zawsze ogarniała mnie wściekłość, kiedy nazywała go Benny. Teraz, gdy nie jesteśmy już razem, wściekam się jeszcze bardziej.

Czuję, jak cała sztywnieję, siadając w fotelu naprzeciwko nich, i mówię:

– Nie da rady dzisiaj przyjść.

– Dlaczego?

– Ma dużo pracy. – Uśmiecham się promiennie. – Interes kwitnie.

Te słowa powinny mnie były zdradzić. Nie używam takich zwrotów jak „interes kwitnie”.

– Ale Benny nigdy nie pracuje w soboty – mówi moja matka, jak gdyby znała go lepiej niż ja. – Czyżby w raju pojawił się jakiś problem?

Moja matka ma wyjątkową zdolność wywęszenia każdej afery. Jej ulubione powiedzonko to: nie ma dymu bez ognia (co przy okazji uzasadnia jej wiarę w brukową prasę, bez względu na to, jak bardzo niewiarygodne opisuje historie).

– U nas wszystko w porządku – mówię, czując ulgę, że postanowiłam po raz ostatni włożyć obrączkę.

Rozgląda się podekscytowana, po czym pochyla się i szepcze:

– Nawet mi nie mów, że zachował się jak Scott.

Potrząsam głową, zastanawiając się, jak to możliwe, że akurat ona ma czelność ciskać kamienie na Scotta. Moja matka należy jednak do największych specjalistek na świecie w dziedzinie wypaczania historii – nie zapominając oczywiście o O. J. Simpsonie. Wygląda na to, że O. J. zdołał przekonać samego siebie, że nikogo nie zabił, a moja matka jest przeświadczona, że nigdy nie zrobiła n i c złego. W końcu uznała, że to mój ojciec doprowadził ją do zdrady – co jest absolutnym nonsensem. Nigdy nie zasługiwała na tak dobrego męża, jakim był mój ojciec.

– Nie, mamó – mówię, myśląc o tym, o ile łatwiejsza i jaśniejsza byłaby ta sytuacja, gdyby naprawdę chodziło o romans. Nigdy nie potrafiłabym zostać z mężczyzną, który by mnie zdradził. Niezależnie od okoliczności. Pod tym względem przypominam większość mężczyzn. Żadnych drugich szans. Chodzi nie tyle o moralność, ile o brak zdolności wybaczenia. Jestem mistrzynią w chowaniu urazy i nie sądzę, abym mogła to zmienić, nawet gdybym chciała.

– Nie kłam, Claudio – mówi, wymawiając każde słowo z maksymalnym naciskiem. Następnie szturcha Daphne i głośno pyta, czy przypadkiem o niczym nie wie. Daphne kręci głową i upija łyk drinka.

– Mamo. To święto Zoe – mówię. – Proszę, przestań.

– O dobry Boże! A jednak jest jakiś problem! – prawie krzyczy. – Zawsze wiem, kiedy jest jakiś problem.

Tata mamrocze, że to się świetnie składa, bo sama jest przyczyną większości z nich.

Matka mruży oczy i obraca się na krześle, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Co powiedziałeś, Larry?

– Mamo – woła Maura z toalety, gdzie robi ostatnie poprawki makijażu. – Cokolwiek robisz, proszę cię, przestań!

– Niewiarygodne. Jak to możliwe, że potępia się moje zainteresowanie własnym dzieckiem? – mówi do Daphne, jej jedynej potencjalnej sojuszniczki w takich sytuacjach. Zdanie Daphne na temat mojej matki jest takie samo jak moje i Maury, lecz nie potrafi przestać się jej podlizywać. Jest krucha i wrażliwa, potrzebuje miłości matki w sposób, który jednocześnie mnie drażni i przepelnia głębokim żalem. Maura i ja już dawno przestałyśmy się przejmować tym, co robi lub czego nie robi moja matka. Z jakiegoś powodu Daphne nie może postąpić tak samo.

– Niewiarygodne – powtarza moja matka, wyglądając na zranioną.

– To ty jesteś niewiarygodna, Vero – mówi mój ojciec z drugiego końca pokoju.

Szykująca się scena jest tak przewidywalna, że czuję kolejne ostre ukłucie tęsknoty za Benem. Często z wyprzedzeniem układaliśmy scenariusz dnia, zakładając się o to, kto co powie i ile czasu minie, zanim padną te słowa.

Moi szwagrowie Scott i Tony odrywają się od zadania polegającego na wkładaniu piw do wielkiego wiadra z lodem na tylnej werandzie i kierują się w stronę salonu, gdzie wymieniają spojrzenia mówiące: „Jedziemy na tym

samym wózku, koleś". Mają ze sobą mało wspólnego – Tony nosi koszule w szkocką kratę, czyta strony ze sportem i ogólnie dobry z niego chłop, a Scott używa wody kolońskiej, prenumeruje „Wall Street Journal” i straszny z niego padalec – lecz z upływem lat połączyła ich szwagrowska więź typowa dla wielu rodzin. Scott, zawsze grający rolę dobrego gospodarza, nalewa jasnego amstela do schłodzonej szklanki i wręcza mi ją wraz z koktajlową serwetką.

– Proszę, Claudio – mówi. Dziękuję mu i piję głęboki łyk.

– Co to za zamieszanie? – pyta Tony. On i Daphne są ze sobą od czasów liceum. Długa historia ich związku połączona z jego niezmienną wiernością daje mu prawo do wtrącania się – prawo, którego Scott nie ma nawet we własnym domu.

– Ben nie przyjdzie – informuje ich moja matka. – Co o tym sądzicie? Czy tylko ja uważam, że to podejrzane? – rozgląda się wokół z dłonią przyciśniętą do piersi.

– Mamo. Mówię poważnie. Ani słowa więcej – oznajmiam. Trudno to uznać za zaprzeczenie, lecz każda normalna osoba zrozumiałaby aluzję i zamknęła dziób. Moja matka udowadnia, że z całą pewnością nie jest normalna, gdyż spogląda na sufit, porusza ustami w cichej modlitwie i powoli wstaje.

– Muszę zapalić – oznajmia. – Daphne, kochanie, może wyjdiesz ze mną na podwórko?

Moja siostra służalczo kiwa głową. Dopiero kiedy wstaje i idzie za matką, spogląda na mnie i przewraca oczami. Daphne pragnie zadowolić każdego. To jej najlepsza – i zarazem najgorsza – cecha.

Kilka sekund później rozlega się dzwonek do drzwi. Zerkam na zegarek i zdaję sobie sprawę, że impreza jest już w toku. Przez kilka godzin będę

bezpieczna. Słyszę pisk Maury, który dobiega z korytarza, i pisk, którym odpowiada jej najlepsza przyjaciółka Jane. Maura i Jane były współlokatorkami, należały do tej samej organizacji dla studentek w Cornell i podobnie jak Jess i ja są od tamtego czasu nierozłączne. Tak naprawdę zamieszkanie w Bronxville było ich wspólną decyzją. Po wielu latach spędzonych na Manhattanie drobiazgowo przeczesały przedmieścia Nowego Jorku i Connecticut, aż w końcu znalazły dwa domy w tej samej okolicy. Maura jest bogatsza niż Jane, lecz Jane jest ładniejsza – dzięki czemu ich przyjaźń jest uczciwa i zrównoważona. Dowodem może być rozmowa, którą właśnie słyszę:

– Twój dom wygląda cudownie! – mówi Jane. – Te dekoracje z kwiatów są zabójcze!

– Twoje pasemka są zabójcze! Robił je Kazu?

– Oczywiście! Komóż innemu pozwoliłabym dotknąć moich włosów?

Kiedy schodzi się reszta przyjaciółek Maury, myślę to, co zawsze przychodzi mi do głowy w Bronxville. Wszystkie są dokładnie takie same: zadowolone z siebie, wytworne i jeśli nie uderzająco piękne, to przynajmniej można mieć pewność, że maksymalnie wykorzystają swój potencjał genetyczny. Poza tym większość z nich ma za sobą co najmniej dwa spotkania z magicznym i najwidoczniej uzależniającym światem chirurgii plastycznej. „Pracuję nad tym i owym”, szepczą. Moja siostra podrasowała sobie nos i podniosła piersi po urodzeniu Williama. Nie jest niekwestionowaną piękną, lecz za pomocą góry pieniędzy i czystej siły woli zbliżyła się do tego miana o wiele bardziej niż Daphne lub ja. Tak naprawdę całe to stadko jest wyskubane, opalone i ujędmione do perfekcji. Ich ubrania idealnie nadają się do magazynów mody, a styl jest tak podobny, że

ubrania i dodatki mogłyby z powodzeniem trafić do tej samej szafy lub na sesję zdjęciową. W tym miesiącu nie muszę zaglądać do żurnali – wystarczy jedno spojrzenie i już wiem, że najnowsze trendy obejmują spódnice bombki, wysadzone kamkami buty na płaskiej podeszwie i masywne naszyjniki z turkusów.

Wszyscy mężowie są szykowni i przystojni, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Niektórzy mają zakola, inni cofnięte podbródki lub krzywy zgryz, lecz takie niedociągnięcia przyćmiewa patyna towarzysząca posiadaniu pieniędzy. Mnóstwa pieniędzy. Są pewni siebie, swobodnie rozmawiają i śmieją się całym ciałem. Noszą mokasyny od Gucciego bez skarpetek, wyprasowane spodnie koloru khaki i paski z cielecej skóry. Żel przytrzymuje ich włosy na właściwym miejscu, skóra pachnie płynem po goleniu o ostrej woni, a rękawy szytych na zamówienie lnianych koszul są elegancko podciągnięte, tak aby odsłonić wyszukane, lecz mimo to sportowe zegarki.

Rozmowy są pełne samozadowolenia i z łatwością można przewidzieć ich przebieg. Kobiety rozmawiają o prywatnych szkołach swoich dzieci i zbliżających się wakacjach na Karaibach i w Europie. Mężczyźni dyskutują o karierach, meczach golfa i inwestycjach. Od czasu do czasu plotkuje się o nieobecnych sąsiadach – kobiety są kąśliwe, mężczyźni obracają to w żart.

Tego dnia najbardziej wstrząsa mną to, że Zoe i jej przyjaciółki przypominają wystawę jedynych w swoim rodzaju dodatków dobranych do rodzeństwa lub, w jednym przykrym wypadku, do rodzica tej samej płci. Dziewczynki noszą we włosach zbyt duże kokardy z rypsu i drogie marszczone sukienki, a poza tym już zdążyły się nauczyć, jak szokująco flirtować. Ich bracia mają na sobie opatrzone monogramami ciuchy z

John–Johns, podkolanówki i już zdążyli się nauczyć kroczyć dumnym krokiem i prześcigać się w przechwałkach.

Po lunchu złożonym z małych kanapeczek i wymyślnych sałatek z makaronu (oraz pizzy z kozim serem dla dzieci) przybywa profesjonalna balerina z Ballet Academy East, aby zatańczyć *en pointe* dla Zoe i jej dwudziestu najbliższych przyjaciółek, które pędzą przebrać się we własne trykoty i spódniczki. Biorą grupową lekcję w sali z basenem, stojąc wzdłuż lustrzanej ściany. Matki ustawiają się w kolejce niczym paparazzi i pstrykają zdjęcia swoim córkom. Ja przerzucam się na wino, dbając o to, aby nie siedzieć przy pustym kieliszku, i w międzyczasie ukradkowo zerkam na zegarek. Im wcześniej skończy się impreza, tym prędzej będę mogła przekazać swoją wiadomość i żyć dalej.

Kiedy lekcja baletu dobiega końca, nadchodzi czas na tort, ukoronowanie każdego przyjęcia. Niewiele rzeczy sprawia tyle przyjemności, co bardzo drogi tort. Śpiewamy *Zoe Sto lat*, patrzymy, jak za drugim podejściem zdmuchuje świece, i czekamy na kawałek tortu. Większość kobiet nie przyjmuje porcji od kelnera, lecz przeważnie ulegają pokusie i ukradkiem podjadają małe kawałki mężom. Dostaję porcję z literą B ze słowa „birthday” i myślę, że to B jak Ben. Brakuje mi go pod wieloma względami, lecz w tej chwili tęsknię za nim w sposób, w jaki tęskni się za kimś, będąc jedyną samotną osobą w pokoju pełnym par.

Nalewam sobie jeszcze jedną lampkę wina i idę za tłumem gości do salonu, gdzie Zoe zaczyna otwierać prezenty pomimo upomnień Maury, aby poczekać do wyjścia gości. Na szczęście Zoe jest akurat w wieku, w którym osiąga się szczyt umiejętności w zakresie rozrywania opakowań, więc w mgnieniu oka zostaje otoczona przez stertę różowych i fioletowych zabawek



z plastiku i pluszu. Lalki, zestawy do robienia koralików, gry planszowe i mnóstwo egzemplarzy Barbie. Mój prezent zostawia na koniec. To drewniana szkatułka na biżuterię ozdobiona monogramem, z wirującą baleriną w środku. Jestem bardzo dumna, że dokonałam tego wyboru bez pomocy Maury, z którą zazwyczaj konsultuję się w ostatniej chwili.

Zoe, zgodnie ze wskazówkami Maury, najpierw otwiera kartkę. Wszyscy słuchamy, jak czyta ją na głos, sylabizując trudniejsze słowa. Dociera na koniec i czyta: „Z wyrazami miłości, ciocia Claudia”. Wtedy podnosi wzrok i mówi:

– Dlaczego na kartce nie ma wujka Bena? Cholera, myślę.

– Właśnie, Claudio, dlaczego? – pyta moja matka. Mamrocę, że to zwykłe przeoczenie.

Zoe patrzy na mnie zdumiona. Wygląda na to, że nie zna słowa „przeoczenie”.

– Zapomniałam dopisać jego imię – mówię słabym głosem.

– Bierzecie rozwód? – pyta Zoe z niepokojem, który sugeruje, że małżeństwo jej rodziców wisi na włosku. – Babcia V. powiedziała cioci Daphne, że bierzesz rozwód.

Moja matka, *vel* babcia V., nareszcie dostrzega okazję, której tak bardzo pragnęła. Rozgląda się wokół, starając się nawiązać jak największy kontakt wzrokowy, a na jej twarzy widnieje najlepsza wersja miny mówiącej: „Kto? Ja?”. Następnie odwraca się do mnie i ćwierka swoim sugestywnym głosem z mydlanej opery.

– A więc? Czy to prawda?

Oczy wszystkich zgromadzonych skupiają się na mnie. Nawet przyjaciółki Maury, których nigdy wcześniej nie widziałam, gapią się w

oczekiwaniu na odpowiedź. Rozważam możliwość skłamania po raz ostatni, lecz zwyczajnie nie jestem do tego zdolna. Zatem mówię do Zoe:

– Czasami po prostu nie wychodzi.

Maura wygląda tak, jak gdyby za chwilę miała zemdleć –w równym stopniu pod wpływem samej wiadomości, co na myśl o rysie, jaką moje oświadczenie pozostawi na jej przyjęciu. Tata podbiega do mnie i mocno mnie obejmuje, szepcząc, że wszystko będzie w porządku. Matka zaczyna ryczeć.

– Wiedziałam. Wiedziałam – chlipie, a Dwight, który przyjechał zaledwie kilka minut wcześniej, wachluje jej twarz różową serwetką z napisem „Zoe ma sześć lat!”.

Odsuwam się od taty i mówię:

– Nic mi nie jest.

Jedna z przyjaciółek Maury, kobieta o kruczoczarnych włosach i największych diamentowych kolczykach, jakie widziałam poza wybiegiem dla gwiazd, podaje mojej matce chusteczkę. Następnie wyciąga jeszcze jedną dla Daphne, która zaczyna płakać w pawłowskiej reakcji na szlochanie mojej matki.

W pokoju zapada milczenie i Zoe, która wygląda na zaskoczoną, ale opanowaną, zadaje kolejne ostrożne pytanie:

– Czy to dlatego że nie chcesz mieć dzieci? A może dlatego że go nie kochasz?

Przypomina to pytanie: „Czy nadal bijesz żonę?”, lecz nie potrafię wyjść z podziwu dla zdolności przenikliwej sześciolatki do trafiania w sedno sprawy i wydobycia nagiej istoty mojego rozwodu.

Rzecz jasna, odpowiedź jest prosta: nie chcę dzieci, więc Ben nie chce mnie. Prawie to mówię, dokładnie w takiej formie, lecz ostatecznie uśmiecham się i udzielam jednego z tych okropnych dorosłych wyjaśnień – wyjaśnienia, które przynosi mi prosto w szeregi wykrętnych złych matek. A przynajmniej złych ciotek.

– Po prostu nie było nam pisane, Zoe – mówię mojej siostrzenicy.

Zoe posyła mi spojrzenie, które wyraźnie świadczy o tym, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Cholera, nawet ja sama nie wiem, o czym mówię. Jednak zanim udaje jej się sformułować kolejne pytanie, uśmiecham się, wstaję i sprężystym krokiem kieruję się ku jadalni, gdzie nakładam sobie kolejny kawałek tortu. Tym razem dostaję literę R – jak rozwód – całą upstrzoną różowym i zielonym lukrem.

## ROZDZIAŁ 8

Kontrolne telefony zaczynają się szybko i atakują mnie z furją. Z rozkładu przerw między kolejnymi zostawianymi wiadomościami jasno wynika, że niedoszli rozmówcy działają w zмовie: Maura, Daphne, tato, Maura, Daphne, tato. Wiadomości od matki są mniej przewidywalne – podobnie jak ona sama.

Zanim zacznę oddzwaniać, trochę odczekuję, co jest dobrym posunięciem, gdyż kiedy w końcu zaczynamy rozmawiać, czuję, że są poruszeni do granic hysterii. Poza tym mam wrażenie, że stworzyli zwarty sojusz – „Chcemy dla ciebie tego, co najlepsze, i chociaż szczerze kochamy Bena, jesteście po twojej stronie”. Przypisuję ten pomysł osobliwej terapeutce Maury z Upper East Side Cheryl Fishtein. Racjonalizm i spokój nigdy nie są pierwszymi odruchami w mojej rodzinie.

Jedyny komentarz, który wytrąca mnie z równowagi, to pytanie Daphne, czy może skontaktować się z Benem.

– Po co? – pytam.

– Żeby powiedzieć, że bardzo mi przykro, że się wam nie ułożyło... Że mi go brakuje... Być może, żeby zapytać, jak sobie radzi... Ale zadzwonię tylko wtedy, gdy nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Mówię, że może robić, co jej się żywnie podoba, lecz nie chcę znać szczegółów rozmowy – która prawdopodobnie będzie się obracać wokół tego, jak bardzo obydwójce pragną dzieci. (Tak naprawdę Daphne zaczęła naszą rozmowę od oświadczenia, że dostała okres. Myślę, że znam jej cykl lepiej niż własny).

– Czy kontaktowała się z tobą jego rodzina? – pyta. Mówię, że nie. Dociera do mnie, że powinnam poczuć się

urazona, jednak z jakiegoś powodu wcale się tak nie dzieje. Myślę, że rodzina Bena szanowała mnie i lubiła, lecz nigdy nie wyczuwałam między nami prawdziwego ciepła. Zatem ich milczenie nie jest dla mnie wielkim zaskoczeniem. Moim zdaniem, jeśli będą chcieli mnie jakoś ukłuć, zadziałają z zaskoczenia. Jestem pewna, że matka Bena prześle mi liścik napisany na jednej ze swoich wspaniałych papeterii zdobionych monogramem. Prawdopodobnie już przegląda wycinki z poradami Anne Landers w poszukiwaniu tego, co należy napisać byłej synowej. O ile oczywiście nie zaczęła jeszcze szyć pikowanej kołderki dla pierworodnego potomka Bena.

W kolejne sobotnie popołudnie wlokę się z Michaelem przez Brooklyn Bridge pośród chmary spacerowiczów, biegaczy i rowerzystów, a on przysięga, że widok z połowy mostu ma bardzo terapeutyczne działanie. Jesteśmy tu, gdyż wczoraj w pracy wyznałam mu, że jestem odrobinę przygnębiona. Staął naprzeciw mojego biurka i stwierdził:

– Oczywiście, że jesteś przygnębiona. Zdziwiłbym się, gdybyś nie była.

Potem powiedział, że ma pewien pomysł, który mógłby mnie rozweselić, i zapytał, czy mam jakieś plany na jutrzejsze popołudnie. Powiedziałam, że nie. Kiedy zmienia się status z mężatki na rozwódkę tak nagle jak ja, weekendowe opcje są raczej ograniczone. Powiedziałam, że Jess i ja zamierzałyśmy wybrać się do Hamptons, lecz wypadła jej nagła „podróż służbowa” (czyli tak naprawdę naszła ją bezsensowna chęć zobaczenia się z Treyem). Michael powiedział, żebym wpadła po niego do Alphabet City o dziesiątej. Wyczułam, że robi to z litości, lecz postanowiłam, że nie pozwolę,

aby przez głupią dumę ominęła mnie świetna zabawa. A z Michaeliem zawsze bawię się świetnie.

Zatem dzisiejszego ranka spotkaliśmy się w pobliżu jego mieszkania, a teraz jesteśmy w pieszej strefie Brooklyn Bridge. Jest gorący czerwcowy dzień – bardziej upalny niż typowe czerwcowe dni w Nowym Jorku – a dodatkowo temperaturę podnosi słońce odbijające się od stali. Wleczeni się noga za nogą, wszyscy nas wyprzedzają.

Ciągle myślę o tym, że to moje pierwsze lato bez Bena od bardzo długiego czasu. Pierwsza zmiana pór roku, którą przeżywam bez niego. Nie rozmawiałam z nim od prawie dwóch miesięcy. Sprawa naszego rozvodu jest już przypieczętowana – kilka dni wcześniej przysły do mnie dokumenty, lądując w skrzynce bez rozgłosu i fanfar. Dołączyłam je do mojego świadectwa urodzenia i zaświadczenia o ubezpieczeniu społecznym leżących w zielonej teczce z napisem „ważne dokumenty”. I na tym się skończyło.

Teraz myślę o słowach „były mąż” – o tym, jak smutno i dziwnie wyszukanie brzmią – a Michael opowiada coś o drewnianej podstawie mostu.

– Pewnie myślisz, że drewno zgnije i zmurszeje, prawda? – pyta Michael.

– Tak – mówię. – Ale Wenecję też wzniesiono na drewnie, a jest o wiele starsza niż to.

– Celna uwaga – mówi. – Być może bakterie odpowiedzialne za gnicie drewna potrzebują do życia powietrza?

– Nie wiem – mówię.

Były mąż. Były mąż. Były mąż.

– Zatem spacerowałaś tym mostem już wcześniej? – pytam Michaela.

– Tak. Kilka razy... W tym kilka dni po jedenastym września. Taki spacer naprawdę daje człowiekowi poczucie perspektywy. Zobacysz, co mam na myśli – mówi. – To miejski odpowiednik pieszej wędrówki. Bardzo tam spokojnie.

Patrzę przed siebie, na kamienne neogotyckie wieżyczki i tło z kobaltowego nieba, które raz po raz przecinają liny nośne. Tworzy to wspaniały efekt wizualny, lecz mimo to mówię Michaelowi, że Brooklyn Bridge zawsze kojarzy mi się ze Statuą Wolności albo Empire State Building.

– Charakterystyczne budowle Nowego Jorku zazwyczaj lepiej prezentują się na pocztówkach. Albo z pokładu samolotu – mówię, gwałtownie skręcając, aby uniknąć zderzenia z otyłym zasapanym mężczyzną w koszulce z nazwiskiem Dereka Jetera. – Z dala od brudu i tłumów.

Michael uśmiecha się porozumiewawczo.

– No wiesz, chyba jesteś odrobinę elitarystyczna.

– Wcale nie jestem zwolenniczką elitaryzmu – mówię.

– No cóż, po takim komentarzu jak ten powiedziałbym raczej, że z pewnością nie lubisz obcować z ludźmi – mówi.

Wyczuwam, że w myślach przygotowuje listę przykładów. Większość ludzi nie potrafi podawać przykładów na żądanie, lecz Michaelowi zawsze udaje się wyczarować dobry zestaw przemawiających przeciwko tobie faktów.

– Lubię obcować z ludźmi – oznajmiam. Zgodnie z przewidywaniami mówi:

– Oj, nie bardzo. Nie lubisz wesołych miasteczek. Nie lubisz fanów, którzy machają wielkimi palcami ze styropianu na meczach Knicksów. Za nic nie pokazałabyś się na Times Square w sylwestrowy wieczór.

– Podobnie jak ty – mówię. – Wymień kogoś z naszych znajomych, kto zechciałby tam pójść.

Unosi dłoń i przyspiesza kroku.

– Poza tym – mówi, sygnalizując wielki finał – nie cierpisz *Titanica*. Na miłość boską, nie znam drugiej laski, która nie cierpiałaby *Titanica*. Niecierpienie *Titanica* jest wręcz nie-amerykańskie.

– Wcale nie twierdziłam, że go nie cierpię – mówię, myśląc o ceremonii rozdania Oscarów sprzed kilku lat. – Po prostu uważałam, że nie zasłużył na miano najlepszego filmu.

– Nie lubisz obcować z ludźmi – powtarza. Zastanawiam się przez chwilę, po czym mówię:

– Jeżdżę metrem. Nie ma nic, co lepiej świadczyłoby o tym, że lubię obcować z ludźmi.

– To z czystej wygody.

– Nie. Ja naprawdę lubię jeździć metrem.

– Bzdura. Widziałem, jak niepewnie trzymasz się poręczy – mówi, naśladując mój gest – i jak uważasz, żeby nie stykać się nogami z osobą siedzącą obok. Poza tym potem używasz antybakteryjnego żelu.

Kręcę głową.

– W takim razie cierpię na lekką nerwicę natręctw... Ale do czego zmierzasz?

– Zmierzam do tego, że... masz zbyt wysokie standardy.

– W związku z filmami? Z transportem publicznym?



– W ogóle.

Mam wrażenie, że niedługo zaczniemy roztrząsać moje prywatne życie. Od tygodni Michael powtarza, że powinnam wrócić do gry. Wejść na internetową stronę dla singli. Poderwać w barze przypadkowego przystojnego nieznajomego. Powiedziałam mu, że nie interesują mnie przypadkowi faceci, bez względu na to, czy są przystojni czy nie.

– Wiem, że Ben był tym jedynym i w ogóle... – mówi Michael. Robi to w taki sposób, że nie jestem pewna, czy rzeczywiście tak myśli. – Ale...

Przerywam mu, mówiąc:

– Wiedziałam, że będziesz chciał rozmawiać o moich sprawach sercowych. Jezu, Michael, rozwiodłam się zaledwie kilka dni temu.

Ogląda się przez ramię, jak gdyby ktoś nas śledził, i mówi:

– Wiem. Ale już wcześniej byliście w separacji... A z mojego doświadczenia wynika, że po złym rozstaniu – a rozwód zalicza się chyba do tej kategorii – dobrze jest po prostu żyć dalej i wyskoczyć z kimś na gorącą randkę. Wykonać zdecydowany krok.

– Zgłaszasz się na ochotnika? Spogląda na mnie i szeroko się uśmiecha.

– Przyjmujesz ochotników?

– Nie – mówię. – Nie przyjmuję.

–Właśnie tak myślałem... Ale gdybyś zmieniła zdanie, chętnie się zgłoszę.

– Próbujesz mi coś powiedzieć, Michael? Czyżbyś kochał mnie skrycie przez te wszystkie lata? – żartuję w odpowiedzi, mierząc go badawczym spojrzeniem. Ma na sobie kanarkową koszulkę, japonki firmy Adidas i workowate szorty koloru khaki, które odsłaniają długie muskularne łydki. W

jego pewnym kroku i lekko ugiętych kolanach jest coś, co sugeruje, że w łóżku zebrałby sporo punktów.

Uśmiecha się.

– Nie, bez obaw. Nie mam zamiaru stosować na tobie chwytów w stylu *Kiedy Harry poznał Sally* ani nic w tym rodzaju... Mimo to chyba powinnaś wiedzieć, że zawsze chętnie pomogę przyjaciółce.

– Mnie? – pytam. – A czy w twoim życiu nie panuje lekka posucha?

– Sześć tygodni nie czyni jeszcze żadnej posuchy – mówi. Następnie odchrząka i dodaje: – Słuchaj, próbuję tylko powiedzieć, że uważam cię za bardzo atrakcyjną kobietę. Masz u mnie mocną ósemkę. Jeśli potrzebujesz ochotnika albo kogoś w tym rodzaju, ja jestem gotów.

– Jeju – mówię. – Komu potrzebny widok z Brooklyn Bridge po takiej przemowie?

Michael uśmiecha się, prowadząc mnie na skraj mostu.

– To dobre miejsce – mówi.

Idę za nim i spoglądam ponad połyskującą wodą w stronę Manhattanu. Widok jest oszałamiający, nawet bez World Trade Center. Ludzie wokół pstrykają zdjęcia i pokazują sobie różne budynki. Spoglądam w kierunku Brooklynu i widzę nastolatkę, która pokazuje znak pokoju i przesyła całusa zbliżającemu się chłopakowi. Wyobrażam sobie ich wcześniejszą rozmowę: „Spotkajmy się na Brooklyn Bridge, kochanie”. Zamykam oczy, wsłuchuję się w dźwięk lecącego nad nami helikoptera i czuję na twarzy powiew bryzy.

Po dłuższej chwili sięgam do kieszeni po obrączkę, którą zabrałam ze sobą w ostatniej chwili. Spoglądam na nią po raz ostatni, przesuwając palcem po wygrawerowanym wewnątrz napisie „Na zawsze Ben”. Następnie macham ręką w tył i w przód, żeby rozluźnić mięśnie, i rzucam obrączkę do

East River. Jestem dumna z tego silnego męskiego rzutu – korzyści płynącej z braku braci oraz posiadania ojca, który uwielbia bejsbol i przelał na mnie całą swoją pasję. Próbuję śledzić lot obrączki, żeby zobaczyć miejsce, w którym wpadnie do wody, lecz ona znika mi z oczu na tle grafitowej rzeki.

– Czy to było to, co myślę? – pyta Michael. Zdaje się, że jest pod wrażeniem.

– Tak – mówię i mrużąc oczy, patrzę na wodę. Jego brwi unoszą się ponad słoneczne okulary.

– To trochę w stylu *Titanica*, nie? Śmieję się.

– Widzisz? Rose i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Mówiąc poważnie, jestem pod dużym wrażeniem. To było naprawdę niezłe – mówi Michael.

– Dzięki.

– Przez to prawie mam ochotę cię pocałować – mówi. – No wiesz, taka mała wisienka będąca ukoronowaniem twojej skromnej ceremonii.

Przez chwilę zastanawiam się nad jego propozycją i nad tym, że pocałunek dodałby naszej przyjaźni nieco pikanterii. Za każdym razem, gdy padałoby to nieuniknione pytanie, które zawsze zadaje się damsko-męskim parom przyjaciół – „Nigdy się nie całowaliście ani nic w tym rodzaju?” –mogłabym powiedzieć: „Ależ tak. Dawno, dawno temu, tuż po tym jak cisnęłam do wody obrączkę, stojąc na Brooklyn Bridge”. Taka historia dobrze pasowałaby do mojego romantycznego repertuaru i z pewnością spodobałaby się Jess – tym bardziej że uważa Michaela za świetnego faceta. Poza tym zwyczajny pocałunek, podobnie jak symboliczne wyrzucenie obrączki, mógłby posłużyć za coś w rodzaju katalizatora.

Chociaż jestem prawie pewna, że Michael żartuje, przelotnie przyglądam się jego pełnym ustom i myślę, że rzeczywiście to zrobię. Waham się jednak o sekundę za długo i opuszczając krainę spontaniczności, przenoszę się na obszar, gdzie króluje niezręczność. Uznaję, że tak będzie lepiej. Po co komplikować sobie życie, całując przyjaciela – zwłaszcza takiego, z którym się pracuje?

Odwracam wzrok w kierunku horyzontu i wymijająco wzruszam ramionami.

– Masz ochotę wybrać się do Brooklynu?

– Pewnie – mówi Michael. – Nie mam innego wyjścia.

Idziemy mostem do Brooklynu, nie zatrzymując się, dopóki nie docieramy do Superfine, restauracji przy Front Street, która zdaniem Michaela oferuje świetne jedzenie i miłą, luźną atmosferę. Wszystkie stoliki są zajęte, więc siadamy przy barze w strumieniu rozkosznej klimatyzacji. Oplatam nogami barowy stółek, a Michael pyta barmankę, starszą kobietę z warkoczykami (co moim zdaniem tworzy przerażającą kombinację), jakie gatunki piwa podają z beczki. Ona beznamietnie wymienia kilka nazw. Żadna z nich nie wzbudza naszego zainteresowania, zatem zamawiamy dwa heinekeny w butelkach. Michael otwiera rachunek. Pierwsze piwa wychylam szybko, bardziej z pragnienia niż ze względu na smak. Potem, kiedy Michael nadal zostaje przy piwie, ja decyduję się na dirty martini. Michael unosi brwi i uśmiecha się.

Zamawiamy jedno burrito i zjadamy je na spółkę, gdyż jest ogromne. Dzielimy się również porcją frytek. Pomimo jedzenia prędko zaczyna mi szumieć w głowie. Czas płynie coraz szybciej, a wraz z nim ulatują myśli o Benie. Rozmawiam z Michaelem o książkach, nad którymi pracujemy, i o

ludziach z wydawnictwa. Potem relacjonuję mu najnowsze wydarzenia ze związku Jess z Treyem, wiedząc, że moja przyjaciółka nie miałyby nic przeciwko temu. Jess jest bardzo otwarta, jeżeli chodzi o szczegóły własnego życia.

Zsuwam ociekającą wódką oliwkę z wykałaczki i wrzucam ją do buzi, mówiąc sobie, że powinnam zwolnić tempo. Muszę pozostać w podchmielonym stanie beztroski i trzymać się z dala od stanu ponurego upicia. Jest to oczywiście wygórowane życzenie, jeśli ma się do czynienia z martini. I im więcej piję, tym szybciej moje myśli płyną ku Benowi.

W pewnej chwili nie mogę się już powstrzymać i wypalam:

– Nie sądziłam, że będzie mi go tak bardzo brakować. Michael przesuwa dłonią wzdłuż szklanki, wyciera krople

o spodnie i mówi:

– Więc co właściwie poszło nie tak? Odpowiadam pospiesznie:

– Pragnęliśmy różnych rzeczy. Przewraca oczami.

– Jejku, Claudio. To brzmi gorzej niż wyświechtana śpiewka w stylu „jakoś się od siebie oddaliliśmy”.

– W porządku – mówię. – Ben chciał mieć dziecko. – A ty?

Przez chwilę milczę, po czym odpowiadam:

– Ja nie chciałam – i nadal nie chcę.

– A czego chcesz?

Nigdy wcześniej nikt nie zadał mi takiego pytania i przed udzieleniem odpowiedzi muszę chwilę pomyśleć.

– Chcę naprawdę dobrego, zobowiązującego związku. Chcę bliskich przyjaciół i dobrej zabawy. Tak jak teraz... Chcę swobody pozwalającej na

dobrze wykonywanie mojej pracy bez poczucia winy lub zobowiązań. Ogólnie mówiąc, pragnę wolności.

– Aha – mówi Michael, po czym bierze duży łyk piwa. – Rozumiem.

– Powiedz, co o tym sądzisz – mówię, myśląc, że łatwiej znieść słowa krytyki, kiedy rozmówca nie popada w zbytnią przesadę.

– Sam nie wiem – mówi. – Chodzi o to, że... małżeństwo ogranicza wolność. Posiadanie męża i w ogóle bycie w związku nakłada na człowieka ograniczenia. Ty poradziłaś sobie z nimi doskonale. Nie sądzę, aby mnie udało się coś podobnego. Właśnie dlatego musiałem się rozstać z Mayą – mówi, mając na myśli swoją byłą dziewczynę. Jak do tej pory był to najpoważniejszy związek w życiu Michaela, któremu położył kres, gdy zaczęła domagać się pierścionka zaręczynowego albo przynajmniej klucza do jego mieszkania. Ciągnie dalej: – Tak bardzo się bałem, że nie dam sobie z tym rady, że nawet nie chciałem spróbować... Mam wrażenie, że odeszłaś od Bena raczej z powodu strachu niż czegokolwiek innego.

– Strachu przed czym? – pytam. Wzrusza ramionami i mówi:

– Strachu przed porażką. Strachu przed zmianą. Strachu przed tym, co nieznane.

Spoglądam na niego, czując lekkie oszołomienie.

– A jednak i tak ostatecznie wszystko się tym skończyło... – mówi, po czym milknie.

Nie musi ciągnąć dalej. Wiem, co chciał powiedzieć. Ostatecznie i tak zmagam się ze strachem, przed którym próbowałam uciec. Ze strachem przed porażką, strachem przed zmianą, strachem przed tym, co nieznane. I siedząc w barze pod mostem w Brooklynie, czuję lekkie ukłucie żalu.

Michael mówi, że musi wracać do domu – wieczorem ma gorącą randkę. Tak naprawdę wcale nie mówi, że będzie gorąca, lecz sama się tego domyślam. Michael umawia się wyłącznie z gorącymi kobietami. Zatem wracamy metrem na Manhattan i żegnamy się na Lower East Side.

– Poradzisz sobie? – pyta Michael.

– Jasne – mówię, całując go w policzek. – Dzięki za dzisiejsze spotkanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – mówi, uchylając przede mną niewidzialnego kapelusza.

Kiedy mówimy sobie „cześć”, zastanawiam się, czy w poniedziałek rano wyjawię Michaelowi tę bardzo głupią rzecz, którą właśnie zamierzam zrobić.

## ROZDZIAŁ 9

Naprawdę nie potrafię powiedzieć, co dokładnie sprawia, że wsiałam w metro i jadę do mojego dawnego mieszkania, skoro jeszcze w południe byłam przekonana, że nie licząc zwykłych zbiegów okoliczności, już nigdy więcej nie zobaczę się z Benem. Pewną rolę odgrywają tu oczywiście te wszystkie wypite martini, lecz nigdy nie miałam w zwyczaju tak radykalnie zmieniać zachowania, kiedy jestem pijana. Nigdy na przykład nie poszłam do łóżka z kimś, z kim nie zrobiłabym tego na trzeźwo. Poza tym, wychodząc z metra na skrzyżowaniu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu, nie jestem już tak zaprawiona jak w Brooklynie. Mogłabym z łatwością zmienić zdanie i skierować się w stronę mieszkania Jess.

Myślę zatem, że wybór określonej drogi ma mniej wspólnego z alkoholem, a więcej z tym, co powiedział mi w barze Michael. Z tym, że do podjęcia decyzji o rozwodzie z Benem skłonił mnie strach. Mijając kilka przecznic w drodze do mieszkania Bena, roztrząsam swoje winy, odhaczając w myślach przymiotniki, którymi inni ludzie zwykli mnie obrzucać podczas kłótni oraz te, którymi obrzucam się sama w cichych chwilach introspekcji: uparta, krytykancka, kapryśna, niecierpliwa. Mam pewne wady, lecz nigdy nie zaliczałam do nich tchórzostwa. Wręcz przeciwnie – zawsze uważałam się za osobę, która podejmuje wyzwania i ryzyko. Po części właśnie dlatego tak dobrze idzie mi w pracy.

Mimo to słowa Michaela kryją w sobie odrobinę prawdy. Być może rzeczywiście czuję zwyczajny strach. Być może pozwoliłam odejść Benowi, ponieważ tak naprawdę strach związany z posiadaniem dziecka był silniejszy niż to, że nie chciałam dziecka. Być może bałam się osoby, którą



bym się stała. Być może bałam się czegoś, czego nawet nie potrafiłam nazwać – nawet w rozmowie z Benem. Nawet przed sobą samą.

W jakiś sposób doszłam do wniosku, że dzięki spotkaniu z Benem poznam odpowiedzi na te pytania. A może to tylko wymówka, żeby znowu go zobaczyć. W każdym razie tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia. Nic się nie zmieniło. Nadal nie chcę dziecka, a Ben nadal go pragnie.

Mimo wszystko stoję teraz na chodniku i w zadumie patrzę na kuchenne okno na trzecim piętrze, przez które wyglądałam każdego ranka i wieczora. Wyobrażam sobie Bena, który nieogolony i bosy szykuje popołudniową przekąskę. Widzę, jak nalewa sobie szklanekę mleka i układa na talerzu krakersy Ritz, po czym smaruje powierzchnię każdego z nich idealnie odmierzoną porcją masła orzechowego. Widzę, jak oblizuje obie strony noża i wrzuca go z brzękiem do zlewu. Widzę, jak zjada swoje krakersy, trzymając je masłem do dołu, i siedzi na kanapie, oglądając mecz golfa. Widzę wszystkie zwyczajne rzeczy, które kiedyś robił, rzeczy, które teraz wydają się tylko odległym wspomnieniem.

Biorę głęboki oddech i idę zewnętrznymi schodami w kierunku frontowych drzwi. Serce wali mi jak oszalone, kiedy zamykam oczy i naciskam dzwonek umieszczony nad moim dawnym nazwiskiem. „Davenport, 8C”. Czekam, aż rozlegną się trzaski na linii i usłyszę głos Bena mówiący „Słucham?” lecz odpowiada mi jedynie cisza. Spoglądam na zegarek. Jest piętnaście po piątej. Może poszedł pobiegać. Ben uwielbia biegać w parku o tej porze dnia. Czasami biegałam razem z nim.

Postanawiam, że dla zabicia czasu pójdę na lody do małego sklepiku ze słodyczami na rogu ulicy. Idę powoli i rozglądając się po mojej dawnej okolicy, zauważam rzeczy, których nigdy wcześniej nie dostrzegałam. Kosz

na śmieci z zielonego drutu. Nieregularne pęknięcie w chodniku. Rząd czerwonych pelargonii rosnących w podłużnej doniczce pod oknem na drugim piętrze. Kiedy wchodzę do sklepu z cukierkami, sprzedawca z Bliskiego Wschodu uśmiecha się zza lady i mówi „dzień dobry”, jak gdyby mnie rozpoznał. Być może rzeczywiście mnie pamięta. Może zauważył, że Ben jest teraz sam.

Uśmiecham się i proszę o czekoladowo–waniliowego loda z maszyny w cukrowym wafelku i z kolorową posypką. Kupuję również butelkę wody Evian i opakowanie miętowych gum. Brakuje mi czterech centów, więc wyjmuję kartę kredytową, lecz sprzedawca oznajmia, że nic nie szkodzi, przecież jeszcze tu wrócę. Prawie mu mówię, że tak naprawdę wcale nie wrócę, lecz ostatecznie tylko dziękuję. Biorę rożek, wracam tą samą drogą i ponownie naciskam dzwonek, na wypadek gdyby w międzyczasie zjawił się Ben. Nadal nikt nie odpowiada.

Siadam na najwyższym stopniu i parę razy liżę waniliową stronę loda. Nie wiem, dlaczego stale kupuję mieszane smaki, skoro o wiele bardziej lubię waniliowy. Chyba po prostu mam wrażenie, że powinnam woleć czekoladowy. Poza tym dochodzę do wniosku, że kolorowa posypka była kiepskim pomysłem. Dobrze wygląda na talerzu, lecz na rożku robi zbyt dużo bałaganu. Jem trochę szybciej, gdyż lód zaczyna topnieć. Mówię sobie, że będę czekać na Bena tylko tyle czasu, ile potrzeba na zjedzenie loda. Gdybym czekała dłużej, mogłabym poczuć się jak natręt. Czucie się jak natręt jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję. Poza tym mój rausz zdążył już zupełnie zniknąć i zastąpił go lekki ból głowy z rodzaju tych, które nieuchronnie przybierają na sile. Trzymając loda w jednej dłoni, drugą odkręcam butelkę wody i jednym haustem wychylam około połowy.

Zaczynam odrobinę panikować, zastanawiając się, co powiem Benowi. Zastanawiając się, czy moja wizyta w tym miejscu w ogóle ma jakiś sens.

Samotny gołąb człapie w moim kierunku. Ben nazywa gołębie szczurami ze skrzydłami. Liżę czekoladową stronę loda i zastanawiam się nad ruszeniem z powrotem w kierunku metra, gdy nagle dostrzegam Bena, który biegnąc w miejscu jakąś przecznicę dalej, czeka, aż światło zmieni się na zielone i będzie mógł przedostać się na drugą stronę West End Avenue. Ma na sobie ceglaste szorty do joggingu, szarą bejsbolową koszulkę Wake Forest i swoją ulubioną czapkę White Soksów. Czuję nerwowy skurcz w żołądku, po czym ogarnia mnie uczucie satysfakcji – zgadłam, że poszedł pobiegać. Nadal cię znam, szepczę, po czym macham, żeby mógł mnie dostrzec. Nie jest to żaden entuzjastyczny gest, a jedynie zwyczajny znak wykonany uniesioną dłonią. Czekam, aż on również pomacha, lecz nie robi tego. Poprawia tylko czapkę, wyginając dłonią daszek. Wycieram usta serwetką i stoję, myśląc, że lada chwila mnie zobaczy.

Zamiast tego odwraca się w inną stronę, w kierunku biegnącej do niego dziewczyny. Mój umysł zamiera bez ruchu, po czym znowu zaczyna funkcjonować. Ben biega z jakąś dziewczyną. Jest na randce. Na popołudniowej letniej randce. Na randce ze wspólnym bieganiem w parku.

Wracam myślami do dnia, w którym po raz pierwszy razem biegaliśmy. To było p o tym, jak ze sobą spaliśmy. Jakiś tydzień później. Góra dwa. Wiem to na pewno. Mam doskonałą pamięć, zwłaszcza jeśli chodzi o randki. I Bena.

Przyglądam się kobiecie – dziewczynie – która z nim jest. Ma długie, gęste, jasne włosy ściągnięte w idealny lśniący kucyk, który wspaniale kołysze się w tył i w przód. Właśnie takich włosów pragnęłam, kiedy byłam znacznie młodsza, wierząc, że w jakiś sposób uda mi się sprawić, że moje

będą wyglądały i zachowywały się w taki sam sposób. Dziewczyna podbiega do niego jednym, drugim i trzecim susem i zatrzymuje się tuż obok. Ben coś do niej mówi, po czym pochyła się i chwyta nogawki szortów, jak gdyby chciał zaczerpnąć tchu. Widzę jego profil. Stoi, a ja patrzę, jak jego pierś unosi się i opada z wysiłku, który towarzyszy ciężkiemu finiszowi. Z przodu jego koszulki widnieje mokra plama. Dziewczyna rozciąga lewe ścięgno kolanowe. Ma długie, umięśnione nogi, które przywodzą mi na myśl zawodnika plażowej siatkówki, tyle że pozbawionego opalenizny. Jej skóra jest równie jasna jak włosy. Ma podłużną i kościstą twarz. Nie nazwałabym jej piękną, lecz jest atrakcyjna i na moje nieszczęście bardzo dobrze zapada w pamięć. Nie wiem, ile może mieć lat, lecz coś w wyrazie jej twarzy i postawie podpowiada mi, że nie skończyła jeszcze trzydziestki.

Wszystkie te spostrzeżenia pojawiają się w ciągu kilku sekund, lecz trwa to wystarczająco długo, aby strużka roztopionych lodów pociekła po rożku i spłynęła mi na dłoń i przedramię. Poza tym zmienia się światło i Ben wraz ze swoją dziewczyną zaczynają zbliżać się w moją stronę. A ja mam wystarczająco dużo czasu, aby zdać sobie sprawę z tego, że wpadłam w straszną pułapkę. Gdybym nadal miała klucz do frontowych drzwi, czmychnęłabym do budynku i schowałabym się za schodami obok skrzynek na listy. Założę się, że Ben wyjął już pocztę. Nie mogę się odwrócić i pójść w przeciwną stronę, ponieważ Ben zna mój tył równie dobrze, jak przód. Zadreczałabym się myślą, że mnie widział i po prostu pozwolił mi odejść. Trzecia możliwość – agresywne wyjście im naprzeciw – jest czymś, do czego po prostu nie potrafię się zmusić. Zatem zwyczajnie stoję w miejscu, jak gdyby moje stopy wrosły w beton. Gorączkowo próbuję doprowadzić się do

porządku. Po rozku spływa już kilka kolejnych strużek lodów, niosąc ze sobą kawałki posypki. Jestem kompletnie uświniona.

Ty idiotko, myślę, nie mogąc pojąć, po co tu w ogóle przyszłam i, co gorsza, kupiłam loda w upalny dzień. Kim ja, do cholery, jestem, dwunastolatką? To ostatnia myśl, która przychodzi mi do głowy, zanim zauważy mnie Ben. Na początku wydaje się zakłopotany, jak gdybym zupełnie nie pasowała do kontekstu, stojąc przed budynkiem, w którym mieszkałam przez lata. Potem powściągliwie się uśmiecha, denerwując się zapewne nieuchronnie zbliżającą się chwilą, w której będzie musiał przedstawić mnie swojej towarzyszce. Jego wzrok gorączkowo przenosi się ze mnie na tę dziewczynę. Ze mnie na tę dziewczynę. Ona nadal nie ma pojęcia, co się dzieje. Zdaje się, że w ogóle mnie nie dostrzega, patrząc na wskroś mnie w sposób, w jaki patrzy się na wielu ludzi każdego dnia. Zwłaszcza w dużym mieście. Właśnie opowiada jakąś historię. Coś o złamaniu przeciążeniowym, którego dorobiła się po codziennym bieganiu wokół stawu w tym samym kierunku. Zdiagnozowano je tuż przed zeszłorocznym maratonem w Nowym Jorku. Musiała się wycofać. To był jeden z najsmutniejszych dni w jej życiu.

Widzę, że Ben chce jej przerwać, oszczędzić nam wszystkim dodatkowego zakłopotania, które pojawia się wtedy, gdy trzecia osoba zbyt późno dostrzega niezręczną sytuację, w jakiej się znajduje. Ponieważ jednak nie chce jej powiedzieć, żeby się zamknęła, nie może przerwać jej opowieści. Dziewczyna kończy ją, mówiąc:

– Ale to jeden z moich życiowych celów. Przebiec maraton w mniej niż trzy i pół godziny.

Złości mnie, że mamy wspólny cel – chociaż ja chciałam jedynie ukończyć maraton. Zastanawiam się, jakie są jej pozostałe życiowe cele. I czy mają związek z Benem. Z macierzyństwem. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Na twarzy Bena również maluje się zboląła mina i to odrobinę mi pomaga, lecz tak naprawdę niewiele.

– Cześć, Claudio – mówi, patrząc na mnie.

– Cześć, Ben.

– Miło cię widzieć – dodaje.

– Ciebie też – mówię. – Jak leci?

– W porządku – odpowiada. – Po prostu... poszedłem trochę pobiegać.

Patrzę dziewczynie prosto w oczy i zastanawiam się, czy Ben jej o mnie mówił. Czy wspomniał, że technicznie rzecz biorąc, do zeszłego tygodnia byłam jego żoną.

– O, przepraszam, eee... to moja przyjaciółka Tucker Jansen – jąka się Ben. – Tucker, to Claudia Parr – mówi, robiąc krótką przerwę przed moim panińskim nazwiskiem.

Notuję jej nazwisko w pamięci, podczas gdy ona posyła mi grzeczny przyjazny uśmiech. Niestety, ten uśmiech niczego nie wyjaśnia. Nadal nie mam pojęcia, czy wie, kim jestem. Zauważam jednak, że ma bardzo mało zmarszczek wokół oczu. Z pewnością nie skończyła jeszcze trzydziestki. Nie dałabym jej więcej niż dwadzieścia sześć lat. Imię Tucker dodatkowo potwierdza moje domysły. Nikt, kto urodził się w latach sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych, nie nosiłby takiego imienia. Moda na dziwne imiona zaczęła się dopiero później. Ona jest dzieckiem lat osiemdziesiątych. Prawdopodobnie miała pięć lat, kiedy wyszły *Ognie świętego Elma*. Trzy,

gdy w kinach królował *Flashdance*. Całkiem możliwe, że nawet nie widziała tych filmów.

Przełykam ślinę, schodzę po schodach i ściskam jej dłoń.

– Cześć, Tucker. Miło cię poznać. – Na szczęście jestem leworęczna, więc moja prawa dłoń nie lepi się od lodu.

Tucker ma pewny uścisk i gładką skórę. Niepokojąco gładką.

– Mnie również jest miło – mówi.

Utykamy w martwym punkcie. Co jeszcze moglibyśmy dodać? Jeśli Tucker wie, kim jestem, nie może niczego powiedzieć. A jeśli nie wie, też nie może niczego powiedzieć. Ben z pewnością nie może oznajmić: „To moja była żona” albo: „To moja nowa dziewczyna”, albo: „Macie ze sobą wiele wspólnego. Obydwie dorobiłyście się złamania przeciążeniowego! Tylko że Claudia doznała tego urazu po potknięciu się na ruchomych schodach, a nie dlatego że zbyt dużo trenowała. Poza tym ona pragnęła jedynie ukończyć maraton”.

A ja z pewnością nie mogę powiedzieć: „No więc, Ben, myślisz, że pozwalam, aby moim życiem rządził strach?”.

Zatem stoimy tak przez chwilę i sztucznie się uśmiechamy, aż w końcu mówię:

– No cóż, byłam tylko w okolicy. Pomyślałam, że wpadnę się przywitać.

– Cieszę się, że to zrobiłaś – mówi Ben.

– Tak. Ale teraz muszę już lecieć – mówię, zerkając na zegarek. Nadal trzymam w dłoni niedojedzonego lodu, który zaczyna przeciekać przez małą dziurkę w rożku na dole. Notuję w pamięci: następnym razem, kiedy będziesz prześladować byłego męża, zdecyduj się na zwykły wafelek.

Tucker mówi:

– No cóż, lepiej już pójdę...

Jej słowa jasno wskazują na to, że doskonale wie, kim jestem. Ma wrażenie, że jest nieuprzejma, i czuje się niezręcznie, stojąc z moim byłym mężem, gdy ja jestem zmuszona dyskretnie się oddalić. To zapewne wielkoduszne posunięcie z jej strony, lecz sprawia, że czuję się jeszcze bardziej żałośnie. Chociaż możliwe, że naprawdę musi iść do domu. Może musi wziąć prysznic i przygotować się do wystrojonej wieczornej części randki. A może kąpią się już razem. Wygląda na dziewczynę całkowicie pozbawioną kompleksów, na taką, która może wskoczyć pod prysznic z nowym chłopakiem w blasku jaskrawego światła.

Kusi mnie, żeby pozwolić jej odejść i móc porozmawiać z Benem. Czuję się jednak zbyt mocno upokorzona i dochodzę do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli oddalę się pierwsza. Pokażę im, że nic mi nie przeszkadza to, co ich łączy. Posyłam Benowi słaby oficjalny uśmiech i mówię do widzenia. Następnie pospiesznie odchodzę. Słyszę, że Ben i Tucker zamieniają kilka słów i po chwili Tucker biegnie za mną, wołając mnie po imieniu. Doskonale wie, o co chodzi.

Pyta, czy idę do metra. Zauważam chicagowski akcent i myślę: jędrne ciało ze środkowego wschodu.

Odpowiadam, że tak.

– Ja też – mówi.

Super. Teraz muszę przejść z nią kilka przecznic do stacji metra, a może i przyjdzie mi spędzić w jej towarzystwie jeszcze więcej czasu, jeśli przypadkiem okaże się, że jedzie w tę samą stronę co ja. Teraz naprawdę



myślę, że mogę zwymiotować. Naprawdę czuję w gardle wszystkie wypite martini i kolorową posypkę, kiedy pytam:

– Gdzie poznałaś Bena?

– Na przyjęciu.

– Och, to miło – mówię i nie mogę się powstrzymać od zapytania: – Kiedy?

– W dzień pamięci poległych na polu chwały.

– To miło – powtarzam, czując ulgę, że nastąpiło to już po naszym rozstaniu.

– Ben jest tylko moim przyjacielem – dodaje niepewnie.

– Aha.

– Tak.

Po długiej chwili milczenia mówię:

– Moim też. Chociaż kiedyś był moim mężem.

– Tak. Wiem.

– No cóż – mówię z nerwowym śmiechem.

– Tak – dodaje i również niespokojnie chichocze.

I właśnie w tej chwili myślę sobie, że wolę wystartować w *Nieustraszonych*, niż dalej ciągnąć rozmowę z nową „przyjaciółką” Bena. Wymyślam zatem sprawę do załatwienia w Upper West Side.

– Muszę tam wpaść i coś sprawdzić – mówię, wskazując przypadkowy sklep, który właśnie mijamy.

– Aha – mówi. – Masz psa albo kota?

Tylko ja mogłam wybrać sklep zoologiczny, nie mając żadnego zwierzaka.

– Ani jedno, ani drugie... Po prostu, eee... muszę kupić kilka prezentów... Paru moich przyjaciół ma psy – mamroczę. – Zatem... miło było cię poznać, Tucker.

– Mnie również było bardzo miło, Claudio. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze kiedyś.

Na pewno nie wtedy, kiedy zauważę cię pierwsza i będę mogła uciec.

– No to cześć – mówię.

– Pa, pa – mówi. Pa, pa?

Zaszywam się w sklepie i udaję, że fascynuje mnie akwarium pełne złotych rybek, pocieszając się myślą, że Ben nie znosi, kiedy dziewczyna mówi: „pa, pa”. Nigdy im się nie uda. Ona jest młoda, dobrze zbudowana i słodka. Poza tym jestem pewna, że szalenie pragnie mieć dzieci. Nawet wygląda na płodną. Ale mówi „pa, pa”. Przynajmniej tego będę się mogła uczyć, stojąc w obliczu kolejnego samotnego sobotniego wieczoru.

## ROZDZIAŁ 10

Tamtego wieczoru Ben dzwoni do mnie dwa razy. po raz pierwszy, kiedy jestem jeszcze w sklepie zoologicznym i gapię się na złote rybki, zastanawiając się, jak, u diabła można uważać rybki za dobry materiał na domowe zwierzaki. Potem dzwoni jeszcze raz, tuż po tym jak wchodzę do mieszkania Jess, biorę prysznic i rzucam dwa maszynopisy i naostrzony czerwony ołówek na kuchenny stół. W obydwu wypadkach jestem zbyt smutna i zdenerwowana, żeby odebrać. Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś może zająć moje miejsce. To znaczy nasz rozwód jest doskonałym dowodem na to, że ktoś bez trudu może mnie zastąpić. Jednak tak naprawdę nigdy nie sądziłam, że Ben tak szybko zacznie umawiać się z kobietami, jak gdyby działał zgodnie z jakimś męskim zegarem biologicznym. I to, czy Tucker jest *tylko* jego przyjaciółką, dziewczyną, kimś, z kim sypia, kimś, z kim pragnie sypiać, jego drugą żoną lub matką jego przyszłych dzieci nie ma tu żadnego znaczenia. Tak naprawdę wcale nie chodzi o Tucker.

Chodzi o to, że Ben idzie naprzód, a ja nie. Zamiast tego wybieram się do jego mieszkania z nie do końca sformułowanym pytaniem o jakiś rzekomy strach. Totalna, przejrzysta i żałosna wymówka. Coś, za co rozerwałabym Jess na strzępy. To wszystko nie tylko potwierdza, że przeżywam rozwód bardziej niż on, lecz teraz wiem również, że Ben wie, iż przeżywam rozwód bardziej niż on. I chyba ta część jest najbardziej do bani.

Próbuję skupić się na pracy, lecz nieustannie wracam myślami do Tucker. Przypominam sobie chwilę, w której Ben nas sobie przedstawił, i wymawiam jej imię na głos: Tucker Jansen. Następnie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wolno wstaję od stołu i kieruję się w stronę komputera Jess

stojącego w rogu jej sypialni. Serce wali mi jak oszalałe, kiedy wchodzę na stronę Google i przygotowuję się do szukania nowej przyjaciółki mojego byłego męża. Wpisuję „Tucker Jansen” w cudzysłowie, dokładnie tak jak nauczyła mnie Jess. Jess jest mistrzynią tropienia w cyberprzestrzeni. Znalazła w sieci swoich licznych byłych chłopaków. Archiwa ślubnego portalu Obraczka.com to dla niej chleb powszedni. Ślęczy nad listami prezentów, wzywając mnie do wspólnego wyśmiewania się z gustu swoich byłych narzeczonych („Czy kiedykolwiek widziałaś taki paskudny wzór na porcelanie?”). Szuka również domów na Domania.com („Jackowi nieźle się powodzi –właśnie kupił w Greenwich *chateau* z pięcioma sypialniami”), przegląda dziecięce archiwa na Amazon.com („Żona Brada rodzi piętnastego kwietnia – nie znają jeszcze płci dziecka, bo zamówili same żółte rzeczy”). Najlepszym z jej wyczynów było jednak znalezienie nazwiska byłego chłopaka na jakiejś mało znanej stronie kulinarnej. Przeczytała szczegóły na temat jego zbliżającego się przyjęcia dla dwunastu osób, które organizował akurat w dzień jej urodzin, tuż po ich rozstaniu. Jakby tego było mało, znalazła tam internetową dyskusję o tym, jak dzięki mleczonej marynacie sprawić, aby sarnina zgubiła charakterystyczny zapaszek. Oczywiście, nie powstrzymała się od wysłania anonimowej odpowiedzi: „Kto, u diabła, podaje na przyjęciach sarninę? A jeśli chcesz pozbyć się zapaszku, podaruj sobie mleczną marynatę i zaserwuj stek”.

Waham się przez dłuższą chwilę, martwiąc się tym, co mogłabym znaleźć na temat Tucker. Potem zamykam oczy i klikam na „szukaj”. Czuję coś więcej niż zwykłą ulgę, gdy otwieram oczy i odkrywam, że nowa przyjaciółka Bena nie istnieje w Internecie. Najwidoczniej jest zbyt młoda, by zdążyła wiele osiągnąć. Żeby to podkreślić, szukam własnego nazwiska.

Czuję ogromną satysfakcję, kiedy pojawia się czterysta trzydzieści razy, w tym w artykułach w „Publishers Weekly”, na stronach autorów i w tekstach zawierających cytaty z różnych konferencji i przemówień. Przeglądam niektóre z artykułów i zaczynam się czuć odrobinę lepiej. Tucker potrzebuje dziecka, żeby nadać swojemu życiu jakiś sens. Ja nie.

Wylogowuję się i wracam do kuchennego stołu z silnym postanowieniem wykonania jakiejś pracy. Powtarzam sobie, żeby nie odsłuchiwać wiadomości od Bena. Wystarczy, że szukałam w Internecie nazwiska jego przyjaciółki (dziewczyny). Jednak po dwudziestu minutach czytania tego samego akapitu poddaję się i wybieram numer poczty głosowej. W pierwszej wiadomości Ben jest bardzo rzeczowy. Mówi tylko:

– Claudio, tu Ben. Proszę, zadzwoń, kiedy odbierzesz tę wiadomość.

Za drugim podejściem mówi to samo, słowo w słowo, lecz potem milknie na kilka sekund i dodaje:

– Wspaniale było cię zobaczyć... Naprawdę wspaniale.

To naprawdę bardzo szczerze słowa i mają jakieś rozpaczliwe brzmienie – brzmienie, które można dosłyszeć tylko wtedy, gdy dobrze się kogoś zna. Odsłuchuję wiadomość jeszcze raz i nie mogę się powstrzymać od wystukania numeru jego komórki, chociaż wiem, że teraz może już być w towarzystwie Tucker. Dochodzę do wniosku, że zapomniałam dziś o własnej dumie. Poza tym to on prosił o telefon. Zlekceważenie go mogłoby wyglądać jeszcze bardziej żałośnie. Jak gdybym była zbyt urażona lub zła, żeby z nim rozmawiać.

Ben odbiera po czwartym sygnale i zanim mam szansę powiedzieć „cześć”, wymawia moje imię słodkim i miękkim głosem: „Claudia”. Drzę, lecz szybko zabraniam sobie popadania w sentymentalizm. Nie ma sensu.

– Cześć, Ben – mówię, uważając, żeby nie załamał mi się głos. – Słuchaj, naprawdę przepraszam, że wpadłam tak bez zapowiedzi. Nie chciałam przeszkadzać...

– W niczym nie przeszkodziłaś – mówi szybko.

Śmieję się, jak gdybym chciała powiedzieć: „Z pewnością przeszkodziłam”.

– Tucker jest tylko moją przyjaciółką.

– Aha – mówię.

– To nie tak, jak myślisz – mówi. – Po prostu poszliśmy pobiegać. To nic nie znaczyło.

– Mniejsza z tym. To nie moja sprawa – mówię odrobinę zbyt stanowczo. Nie chcę sprawiać wrażenia rozgoryczonej. Ostatnią rzeczą, której pragnę, jest gorycz.

– To nie tak, jak myślisz – powtarza. – Naprawdę. To nie tak.

– W porządku – mówię.

Po długiej chwili milczenia odzywa się Ben:

– No cóż. Czy wpadłaś do mnie w jakimś konkretnym celu?

– Nie. Po prostu byłam w okolicy... i pomyślałam, że pójde się przywitać.

– Claudio, daj spokój.

– Słucham?

– Porozmawiaj ze mną – mówi głosem, który przypomina szept.

W moich uszach rozlega się głośne bicie serca i nie potrafię wydusić z siebie słowa. Zresztą i tak nie wiedziałabym, co powiedzieć.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak. Nic mi nie jest – kłamię. – Po prostu... sama nie wiem.

– Powiedz to – prosi. – Powiedz mi.

– Nie wiem... Chyba po prostu zastanawiałam się, czy postąpiliśmy właściwie.

Mówi:

– Czasami naprawdę nie wiem... Tak bardzo mi ciebie brakuje.

Chcę mu powiedzieć, że ja również za nim tęsknię, lecz zamiast tego wycofuję się ze śmiechem i mówię:

– Tak. Ten cały rozwód to nie taka prosta sprawa.

Obydwoje milczymy prawie pełną minutę, po czym Ben mówi:

– Może miałabyś ochotę wpaść? Obejrzeć jakiś film albo coś w tym rodzaju?

Czuję, że moje ręce i nogi pokrywają się gęsią skórką, lecz odpalam:

– To chyba niezbyt dobry pomysł...

Wiem, że mam rację, a jednak nienawidzę siebie za to, co właśnie powiedziałam. Niczego nie pragnę bardziej, niż wrócić do mojego dawnego mieszkania, usiąść z Benem na kanapie i obejrzeć film. W tej chwili bardziej niż czegokolwiek innego brakuje mi naszej przyjaźni.

Jakaś część mnie ma nadzieję, że będzie nalegał, lecz on mówi tylko:

– Pewnie masz rację.

– Tak – mówię.

– W porządku – odpowiada.

– No cóż. Lepiej skończmy już tę rozmowę – proszę, a do oczu napływają mi łzy.

– W porządku. Do widzenia, Claudio – mówi łagodnym głosem. – Dbaj o siebie.

– Ty też – kończę, czując wewnątrz niewyobrażalną pustkę. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wcześniej czuła się taka samotna. Odkładając słuchawkę, powtarzam sobie, że powinnam zapamiętać ten ból w piersi na wypadek, gdybym kiedyś w przyszłości ponownie wpadła na wspaniały pomysł spotkania się z Benem. Nie chcę przypominać sobie o tym, czego już nie mam.

Jess wraca nazajutrz po nocnej podróży samolotem i wpada do mojej sypialni. W tej chwili jej stan najlepiej opisuje słowo „euforia”.

– Tak się cieszę, że już nie śpisz – mówi, po czym z rozbiegu wskakuje na łóżko.

– Co się stało? – pytam, a w moim umyśle wyraziste rysy Tucker nabierają ostrości. – Jak minęła ci podróż?

Jess śpiewa:

– Trey odchodzi od żony!

– To wspaniale – mówię, lecz mój głos brzmi zbyt sztucznie. Ciężko mi zdobyć się na wielki entuzjazm, gdy mowa o rozwodzie.

– Powie jej w tym tygodniu – mówi. – W piątek jego żona wybiera się na doroczną babską wyprawę na plażę, a on zamierza powiedzieć jej o rozwodzie tuż przed wyjazdem.

Jak sprytnie, myślę. W takim razie dziewczyny będą miały o czym rozmawiać. Mówię jednak:

– A co potem?

– Jak to „co potem”? – pyta. Wiem, że jest spragniona mojej aprobaty, podobnie jak wszystkie samotne kobiety, które potrzebują uznania ze strony najlepszych przyjaciółek. Podobnie jak ja potrzebuję go teraz od niej.



– Chodzi mi o kwestie logistyczne. Czy Trey przeprowadzi się do Nowego Jorku?

– Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy – mówi.

– Aha – odpowiadam i zaczynam się martwić, że prawdopodobnie nie wydaję się wystarczająco uradowana. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest to, żeby na wesołą paradę Jess lunął deszcz, skoro wszystkie jej parady w ciągu ostatnich dziesięciu lat tonęły w strugach wody. Zresztą nic, co powiem, nie jest w stanie zmienić jej postępowania, więc równie dobrze mogę ją wspierać. Czasami po prostu potrzebuje się kogoś, kto będzie się cieszył – lub smucił – razem z tobą. Mimo to nie potrafię się pozbyć bardzo złego przeczucia związanego z Treyem. Nie licząc kilku niezwykle rzadkich wypadków, szczerze wierzę, że ten, kto raz oszuka, na zawsze pozostaje oszustem.

Wiem, że Jess wyczuwa mój sceptycyzm, ponieważ mówi:

– Nie lubisz go, prawda?

– Nie znam go – rzucam szybko. – Po prostu... sama nie wiem...

– No, powiedz – mówi. Waham się, po czym pytam:

– Myślisz, że będziesz mogła naprawdę mu zaufać?

– Jesteśmy w sobie absolutnie zakochani – mówi Jess, co tak naprawdę wcale nie ma związku z moim pytaniem. Można kochać kogoś, komu się nie ufa. – On jest moją bratnią duszą.

Czuję, jak miękną mi kolana na sam dźwięk słów „bratnia dusza” – słów, których użyłam kiedyś dla opisanego mojego związku z Benem. Najlepsze uczucie pod słońcem to wiara w to, że znalazło się bratnią duszę. To stan czystej euforii. W pewnym sensie przeciwieństwo tego, co czuję teraz.

– Cieszę się twoim szczęściem, Jess – mówię. – Naprawdę mam nadzieję, że wam się uda.

Posyła mi szeroki uśmiech i znika, wracając z cyfrowym aparatem w dłoni.

– Zrobiłam mu parę zdjęć. Żebyś mogła zobaczyć, jak wygląda – mówi, przeskakując przez najważniejsze chwile ich schadzki w Czterech Porach Roku. Jest tam zdjęcie Treya w ręczniku luźno owiniętym wokół bioder. Ma brzuch jak kaloryfer, a do tego podłużne wgłębienia w miejscu, gdzie ów kaloryfer zniża się ku miednicy.

– Jeju. Jest cudowny – mówię, zastanawiając się, w jaki sposób inwestor bankowy, ojciec i mąż ma czas na romansowanie oraz takie absorbujące treningi na siłowni. To tylko potwierdza moje odwieczne przekonanie: nie ufam mężczyznom o tak fantastycznym ciele.

Jess rumieni się i mówi:

– Wiem! On naprawdę jest cudowny... Myślę, że nareszcie trafiłam w dziesiątkę, Claudio. Tym razem naprawdę trafiłam w dziesiątkę.

– Zobaczymy – mówię, krzyżując palce z udawanym optymizmem.

Nie wspominam Jess o Tucker aż do kolejnego sobotniego ranka, kiedy Trey – cóż za zaskoczenie – nie mówi żonie, że chce rozwodu. Oczywiście, ma swoje powody. Oni zawsze je mają. Wspomniał coś o tym, że jego syn ma wysoką gorączkę i żona odwołała wycieczkę na plażę. Myślę sobie, że to niesprawiedliwe, że gówniane małżeństwa jakimś cudem kuleją przez dziesiątki lat, podczas gdy tak idealne jak moje potrafią rozpaść się z dnia na dzień.

Tymczasem Jess oznajmia mi, że nie ma mu za złe tego opóźnienia. To wszystko tylko dowodzi, jak dobrym jest ojcem.

Prawdopodobnie wzmianka o „dobrym ojcu” jest tym, co sprawia, że zaczynam myśleć o Benie, gdyż opowiadam jej całą historię z Tucker.

Jess wydaje się zdumiona, że nie powiedziałam o niczym wcześniej, więc posyłam jej przeproszające spojrzenie i mówię:

– Najpierw musiałam to przetrwać. Kiwa głową na znak zrozumienia. W przeciwieństwie do moich sióstr, nie czuje urazy z powodu takich rzeczy. Tak naprawdę mało co potrafi zranić jej uczucia. W ciągu tych wszystkich lat stała się niesamowicie odporna – chyba w równej mierze zawdzięcza to pechowi w miłości co swojej twardej profesji.

– Szukałaś ją przez Google? – pyta Jess. Śmieję się i przyznaję, że tak.

– Dobrze mnie wyszkoliłaś.

– No i?

– Nic. Nigdzie jej nie znalazłam.

– Wpisałaś jej imię i nazwisko w cudzysłowie?

– Tak. – mówię. – Bezskutecznie.

– To dobrze – mówi Jess, posyłając mi jeden ze swoich diabelskich uśmiezków. – To tylko dowodzi tego, o czym już wiemy.

– Czyli czego? – pytam.

– Że on wcale nie pragnie kogoś lepszego od ciebie.

– Powiedz to jeszcze raz – mówię.

Jess spełnia moją prośbę i za drugim razem wkłada w to odrobinę więcej zaangażowania.

Po południu Jess i ja spotykamy się z moimi siostrami w Union Square Cafe na lunch. Podobnie jak Jess pracowałam cały ranek, podczas gdy Maura i Daphne robiły zakupy. Są obładowane torbami z Barneys (ulubiony sklep Maury) i Bloomingdale's (faworyt Daphne). Już dawno nie byłam w tak

dobrym nastroju, prawdopodobnie dlatego że spędzam czas z moimi trzema ulubionymi kobietami. Czuję, jak moje serce zdrowieje dzięki zwykłemu przebywaniu w ich towarzystwie.

Gdy kelnerka posypuje ravioli Maury świeżo zmielonym pieprzem, ta wypala prosto z mostu i pyta, czy miałam jakieś wieści od Bena. Zerkam na Jess i przez chwilę zastanawiam się, czy nie skłamać. Nie chodzi o to, że nie chcę zwierzyć się siostrze. Po prostu nie jestem w nastroju na ponowne przeżywanie całej historii. Mam jednak straszne problemy z wytrwaniem w tego typu kłamstwach. Wiem, że za kilka miesięcy zapomnę, że im nie powiedziałam, i wspomnę coś o Tucker – a wtedy wybuchnie awantura: dlaczego powiedziałam Jess, a im nie? Zatem po prostu wszystko wyjawiam, nie zapominając o kolorowej posypce, sklepie zoologicznym, poszukiwaniach w Google i krótkiej rozmowie z Benem tamtego wieczoru. W brązowych oczach Daphne widać ból i prawie płyną z nich łzy. Daphne często płacze. To jej naturalna reakcja na wszelkie silne emocje: złość, szczęście, niepokój, strach. Tymczasem twarz Maury przybiera zdeterminowany, zadziorny wyraz. Widzę, że domaga się bardziej szczegółowych informacji. Zgodnie z moimi przewidywaniami bierze mnie w krzyżowy ogień pytań:

– Czy była bardzo ładna? – pyta, chociaż właśnie skończyłam dosyć szczegółowy opis wyglądu Tucker, specjalnie po to, aby uprzedzić tego typu dociekania.

– Już ci mówiłam – odpowiadam, wzruszając ramionami. –Była atrakcyjna. Miała ładne włosy i cerę. I przyzwoite ciało.

– Przyzwoite? – pyta Maura. – Co masz na myśli, mówiąc „przyzwoite”?

– Było całkiem ładne – mówię, po czym poprawiam się, uświadamiając sobie, z kim rozmawiam. – Właściwie ty byłabyś chyba innego zdania.

Standardy Maury są absurdalne – zarówno te, które odnoszą się do niej samej, jak i do wszystkich pozostałych. Jest niezwykle chuda, a dzięki częstym treningom pod okiem trenera jest również jędrna i sprawna. Nikt by nie zgadł, że ma trójkę dzieci. Niektórzy mogliby nawet uznać, że jest zbyt chuda. Tak myśli na przykład Daphne, co jednak może wynikać stąd, że obie są do siebie bardzo podobne, lecz Daphne nieustannie próbuje zrzucić jakieś siedem lub dziesięć kilo. Tak naprawdę jedna z największych kłótni między moimi siostrami w ciągu ostatnich pięciu lat wybuchła wtedy, gdy Daphne narzekała na nieskuteczność jakiejś dziwacznej diety, a Maura powiedziała:

– Nie rozumiem. Po prostu nie jedz, Daph. Po prostu nie wsadź jedzenia do ust. Co w tym trudnego? – Dla Maury nie ma w tym nic trudnego. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto miałby tyle samodyscypliny. Dla Daphne – i milionów innych Amerykanów – to wcale nie jest takie proste. Gdyby było, nie istniałyby grubasy.

Zatem Maura drażni dalej:

– W takim razie była przy kości? Nie wyobrażam sobie Bena z pulchną dziewczyną.

– Nie. Ona nie była przy kości. Była raczej grubokoścista – mówię. – Krągła.

Jess wybucha śmiechem:

– Krągła?

– Młoda... zaokrąglona... silna – mówię rzeczowo.

– Aj – wtrąca się Daphne. – Nie podoba mi się ten opis.

– No cóż – mówię, wylewając zawartość pojemnika z dressingiem na sałatkę. Nie wiem, dlaczego zawsze domagam się dressingu podanego osobno, skoro zawsze i tak zjadam cały.

– Co ja na to poradzę? Wiedzieliśmy, że Ben będzie się umawiał z kobietami. Na tym polegał sens naszego rozstania, racja? Znaleźć dobrą kobietę z przystępną macicą.

Daphne się krzywi. W jej towarzystwie zazwyczaj staram się unikać takich słów jak macica. W przeciwieństwie do mojej pozbawionej wrażliwości matki, która rzuca wyrażeniami w stylu „strzelać ślepakami” i „bezpłodny”.

Odpowiadam na kolejne pytania dotyczące wyglądu Tucker.

Prawdopodobnie rozmiar czterdzieści.

Mniej więcej jego wzrostu.

Chyba zielone oczy. A może niebieskie.

– Zatem wygląda na to, że włosy to jedyna przyzwoita cecha jej wyglądu? – podsumowuje Maura.

141

– Tak, to prawdopodobnie jej największy atut – mówię.

– W takim razie nie przeszłaby testu Pippi Langstrumpf? – pyta Daphne z uśmiechem.

Śmieję się i odpowiadam, że chyba nie. Test Pippi Langstrumpf działa w następujący sposób: wyobraź sobie jakąś ładną dziewczynę w rudej czuprynie Pippi i zastanów się, czy mimo to jest ładna. Maura wymyśliła tę lakmusową próbę, kiedy chodziłyśmy do liceum, i uparcie twierdziła, że jedynym powodem, dla którego Tiffany Hartong pokonała ją w wyborach królowej na balu absolwentów, było to, że Tiffany miała cudowne jasne

włosy, które ogłupiały ludzi i sprawiały, że uważali ją za ładną. Ja oczywiście klóciłabym się, że równie dobrze można by zastosować test w stylu: „wyobraź sobie tę dziewczynę ze szkaradną gębą i zastanów się, czy nadal jest ładna”. Włosy są dosyć integralną częścią zestawu.

Mimo to tłumię chęć oznajmienia, że nie jestem tak zaabsorbowana wyglądem jak większość kobiet i że wolałabym, aby Tucker była modelką Victoria's Secret niż koncertującą pianistką, pilotką myśliwca lub kimś innym, kogo Ben naprawdę by szanował. Rzecz jasna, gdybym była na miejscu Maury i mój mąż zdradziłby mnie z sekretarką, norweską seksbombą, która nie chciała lizać kopert, gdyż pewnego razu usłyszała, że klej na skrzydełku ma trzy kalorie, pewnie też miałabym obsesję na punkcie tkanki tłuszczowej.

– No to pieprzyć Tucker – mówi Jess, podnosząc kieliszek wina. – Wygląda na to, że pociesza się nią po rozstaniu z Claudią. Założę się, że będzie się tak pocieszał przez długie lata. Nikt nie jest w stanie ci dorównać, Claudio.

To mi się podoba. Posyłam Jess uśmiech wdzięczności i unoszę kieliszek.

– Wypiję za to!

Maura bierze przykład z Jess i mówi:

– Tak. Nigdy nie znajdzie kogoś takiego jak ty.

– Nawet za milion lat – dodaje Daphne. – Wypijmy za to!

Stukam się z nimi kieliszkiem i mówię:

– Dzięki, dziewczyny.

Jess wybiera ten moment na rozpoczęcie pełnego zachwytu trajkotania o tym, jak cudowny jest Trey.

– Czekał. Który to Trey? – pyta Maura.

– Ten żonaty koleś o wystrzałowym ciele. Zgadza się? – pyta Daphne. Daphne mieszkała ze mną i z Jess przez rok, zaraz po ukończeniu college'u, zanim wyszła za Tony'ego, więc od czasu do czasu wymieniają z Jess e–maile i rozmawiają przez telefon. Kiedyś Jess powiedziała mi nawet, że Daphne prawdopodobnie będzie jedną z jej druzhen, lecz ja uważam snucie takich planów za równie niemądre, jak wybieranie dziecku imienia przed zajściem w ciążę.

– To, że jest żonaty, niczego mi jeszcze nie mówi – stwierdza Maura.

Jess śmieje się i pokazuje jej środkowy palec.

– Nie gadaj, że spotykasz się z kolejnym żonatym facetem, Jess – mówi Maura. Z obrzydzeniem odpycha sałatkę i splata ręce na piersi.

Właśnie z tego powodu bałam się poruszania tematu Treya i nagle zaczynam żałować, że nie ostrzegłam Jess, aby była ostrożna.

– Tym razem jest inaczej – mówi Jess, wycierając usta serwetką z materiału. – Trey i jego żona zupełnie do siebie nie pasują. Pobrali się w bardzo młodym wieku.

Uwaga o ślubie w zbyt młodym wieku dotyka oczywiście Daphne, która mówi:

– Hej! Nie ma w tym nic złego. Jeśli znajdujesz właściwego faceta, nie ma znaczenia to, że jesteście młodzi.

– Otóż to – mówi Jess. – On nie jest dla niej właściwym facetem. To oczywiste. I wkrótce zamierza od niej odejść. Powiedz im, Claudio.

– Wkrótce od niej odchodzi – powtarzam jak echo, skupiając wzrok na ugotowanym na twardo jajku.

Maura prychnęła.



– Jezu, Jess. Nie ma dla ciebie żadnej świętości?

– Hej. To nie moja wina, że na świecie istnieją złe małżeństwa – mówi Jess. – Nie ja stworzyłam ten układ. On istniał już wcześniej.

– Złe małżeństwa istnieją po części przez takie kobiety jak ty! – mówi Maura. – Nie musisz być taka krwiożercza.

– A ty nie musisz być taka naiwna – mówi Jess. – Romanse przydarzają się wtedy, gdy ludzie nie są szczęśliwi. Nikt nie może zakłócić szczęśliwego, obopólnie zadowolającego małżeństwa.

– Pozwalam sobie mieć odmienne zdanie na ten temat – mówi Maura. Wygląda na wkurzoną.

Wcale nie mam do niej żalu o to, że się denerwuje. Temat uderza nieco zbyt blisko jej domu.

Jednak zamiast dać za wygraną, Jess postanawia zafundować jej wstrząs i pyta:

– W takim razie pewnie nie byłabyś zachwycona, gdybym specjalnie zaszła w ciążę?

– Co masz na myśli? – pyta przerażona Maura.

– No wiesz... gdybym zapomniała wziąć pigułkę. Żeby w pewnym sensie przyspieszyć całą sprawę. – Puszcza do mnie oko.

Oczy Maury szeroko się otwierają.

– Chyba robisz sobie ze mnie jaja.

Jess wygląda na zadowoloną z siebie. Widzę, że raczej, żartuje, a jednak nie do końca. Rzecz jasna, pomijając oczywistą nieetyczną naturę takiego nieczystego zagrania, cały ten temat trafia mi do serca, kiedy myślę, jak bym się czuła, gdyby Ben, powiedzmy, zastąpił moje pigułki antykoncepcyjne

jakimś placebo. Przychodzi mi do głowy określenie „pozbawiony skrupułów”. Mówię zatem:

– Pytasz, co by było, gdyby Ben wykręcił mi taki numer? Gdyby, że tak powiem, porobił w naszych prezerwatywach maleńkie dziurki?

Jess mówi:

– To coś zupełnie innego.

– Nie do końca – mówię.

– Oczywiście, że tak. To twoje ciało. To ty powinnaś mieć ostatnie słowo.

– No cóż, ale to jego sperma – mówi Maura.

Czuję, że wyobraża sobie, co by zrobiła, gdyby Scott miał na boku jakieś dziecko. Z pewnością nie leży to poza zasięgiem jego możliwości.

Z kolei Daphne wydaje się podejrzanie przychylna takiemu pomysłowi. Wszystko, byle tylko mieć dziecko. Jestem niemal pewna, że ukradłaby trochę nasienia, gdyby zaszła taka potrzeba.

Pytam ją o zdanie:

– Myślisz, że to w porządku, Daph, prawda?

– Nie – mówi nieprzekonująco. – No cóż... to zależy... chyba.

– Od czego zależy? – pyta Maura.

– Od tego, dlaczego to robi – mówi Daphne. – Zrobiłabyś to, żeby zmusić Treya do opuszczenia żony? Czy może po to, żeby mieć dziecko?

– Posłuchaj, Daphne, macierzyństwo nie jest aż tak szlachetne, aby mogło przekreślić podstawowe zasady moralne – mówi Maura. Daphne kopie mnie pod stołem, jak gdyby kłótnia tocząca się nad blatem była czymś tak subtelnym, że można by ją przeoczyć. Posyła mi spojrzenie, które mówi: zrób coś.

– Dajcie spokój, dziewczyny – przerywam. – Wystarczy. Musimy trzymać się razem.

– Otóż to, Claudio – mówi Maura. – Kobiety powinny trzymać się razem.

– Przyjaciółki powinny trzymać się razem – poprawia Jess. – Nie znam żony Treya. Niczego nie jestem jej winna.

– Pewnego dnia przypomnę ci te słowa – mówi Maura lekko drżącym głosem. – Kiedy będziesz żoną mężczyzny, który dawniej patrzył ci w oczy i obiecywał, że nie spojrzy na żadną inną. Przypomnę ci to, kiedy urodzisz jego dziecko, zapadniesz na depresję poporodową i czując się jak gruba krowa, będziesz w środku nocy pompować mleko do małych plastikowych zbiorniczków, podczas gdy on będzie się wtedy szlajał z jakąś dwudziestodwulatką o imieniu Lisette. Przypomnę ci o tym.

– Chwilę – mówi Daphne. – Ty nie karmiłaś piersią.

Posyłam jej spojrzenie, które mówi, że to prawdopodobnie nie najlepsza chwila na odgrywanie roli przyszłego doskonałego uosobienia macierzyństwa.

– Karmiłam Zoe piersią przez trzy tygodnie! – mówi Maura. – Potem musiałam przestać ze względu na zapalenie sutka. Pamiętasz?

Daphne kręci głową.

– No cóż... tak było. Zresztą, Daph, wcale nie o to tu chodzi.

– Boże. Dobra. Przepraszam, że żyję – mówi Daphne.

Posyłam Daphne pełne współczucia spojrzenie, wiedząc, że ona mogłaby zabić za ostry przypadek zapalenia sutka. Co istotne, myślę również, że zgodziłaby się także na niewiernego męża, gdyby dzięki temu mogła zostać matką.

Kilka minut później, dzięki licznym moim pochlebstwom i zamówieniu drugiej butelki wina, burza cichnie i skupiamy się na bezpieczniejszych tematach. Jednak słuchając trzech kobiet, które kocham najbardziej na świecie, nie mogę przestać myśleć o tym, jakie to dziwne, że wszystkie pragniemy czegoś, czego najwidoczniej nie możemy mieć. Czegoś, czego inna osoba przy stoliku ma na pęczki. Ja chcę odzyskać męża, ale nie potrzebuję dziecka. Daphne pragnie dziecka i wcale nie przejmuje się mężem. Maura chce, żeby jej mąż przestał mieć skoki w bok. Jess pragnie, żeby mąż innej kobiety miał jeszcze większy skok w bok.

Zastanawiam się, w jaki sposób zgotowałyśmy sobie ten los. Czy nie ponosimy żadnej winy za swoje aktualne problemy? Czy Daphne powinna była starać się o dziecko nieco wcześniej? Skoro wiedziała, że pragnie dziecka bardziej niż czegokolwiek innego, to czy ona i Tony nie powinni byli zdecydować się na ciążę przed trzydziestką, zamiast skupiać się na odkładaniu pieniędzy na dom? Czy Jess nie powinna słuchać głosu rozsądku i trochę mniej ufać podszeptom serca? Czy nie powinna spotykać się wyłącznie z dostępnymi, nieżonatymi mężczyznami – z przyczyn moralnych i praktycznych? Czy Maura nie powinna była już wcześniej dostrzec niepokojących znaków w zachowaniu Scotta? Czy nie powinna była poślubić fajniejszego faceta, kogoś, kto bardziej przypominałby Nilesa? No i co ze mną? Czy nie powinnam była po prostu tego przełknąć i urodzić dziecko, aby zatrzymać przy sobie jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek szczerze kochałam?

Życie z pewnością nie układa się tak, jak sobie wyobrażasz, kiedy jesteś dzieckiem i snujesz wspaniałe marzenia o dorosłości. Chociaż miałam taką, a nie inną matkę, chociaż moje pragnienia nie należały do typowych i chociaż

przeczytałam mnóstwo książek o ludziach, których życie jest w ten czy inny sposób popaprane, dawniej mogłam przysiąc, że moje losy będą o wiele przyjemniejsze i łatwiejsze, niż rzeczywistość są.

RS

## ROZDZIAŁ 11

Wieść o Tucker najwidoczniej dociera do mojej matki, która dwa dni później postanawia wpaść z niezapowiedzianą wizytą. Po powrocie z pracy słyszę jej wysoki i ożywiony głos, którym gawędzi z Jess o swoim „cudownym dniu” na Piątej Alei. Moja matka nadal mieszka w Huntington, lecz odkąd poślubiła Dwighta i może sobie pozwolić na wizyty w drogich salonach fryzjerskich i gabinetach spa na Manhattanie, przyjeżdża do centrum o wiele częściej.

Cicho przeklinam pod nosem i poważnie rozważam wycofanie się do pobliskiego baru na piwo. Uznaję jednak, że nie byłoby to w porządku wobec Jess. Poza tym moja matka jest nocnym markiem i rozkład jej dnia bardziej pasuje do zwyczajów dziewczyny z college'u niż sześćdziesięcioletniej pani. Po prostu wytrwa tu dłużej niż ja w barze i prawdopodobnie nawet u nas przenocuje, wpadając w swój rozchichotany, papuciowy nastrój, jak gdyby chwilę wcześniej oglądała scenę z piżamowego przyjęcia Sandry Dee w *Grease*.

Biorę głęboki oddech i przekraczam próg z wymuszonym uśmiechem.

– Cześć, mamó! – mówię, zauważając jej ułożoną w salonie, idealną fryzurę i długie paznokcie świeżo pomalowane lakierem w kolorze jasnej śliwki. Zawsze jest zadbana, lecz dzisiaj ma jeden z bardziej imponujących dni. Nie wygląda na swój wiek i jest jedną z tych nielicznych kobiet, które naprawdę bardziej przypominają nasze siostry niż matki (w przeciwieństwie do tych, które słyszą ten fałszywy komplement z ust nachalnych mężczyzn).

– Witaj, Claudio, kochanie! – mówi, wstając, aby powitać mnie afektowanym uściskiem, w rodzaju tych, które nie obejmują żadnego kontaktu z ciałem, jeśli nie liczyć policzków i ramion.

– Nie wiedziałam, że będziesz dzisiaj w centrum – mówię, co wyraźnie oznacza: „Mój Boże, kobieto, ile razy ci powtarzałam, że nie znoszę niezapowiedzianych wizyt?”.

– Przyjechałam, żeby zrobić ci parę zdjęć, Claudio – mówi, zarzucając sobie na szyję szeroki czarny pasek od aparatu.

Moja matka uważa się za artystkę. Słyszałam nawet, jak wypowiada to słowo z charakterystycznym naciskiem, żeby efektowniej brzmiało. To dosyć zabawne, zwłaszcza jeśli ktoś zna prawdę – czyli wie, że tapla się w akwarelach i ceramice. Jednak aby oddać jej sprawiedliwość, powiem, że przynajmniej ma jakieś zainteresowania, hobby i pasje, nawet jeśli w ich skład wchodzi niestosowne romanse. Nigdy nie należała do leniwych matek, oglądających opery mydlane. Owszem, oglądała opery mydlane, lecz dbała również o to, aby jej życie było równie skandaliczne jak losy najbardziej szokującej bohaterki wszystkich seriali. Przez jakiś czas miała dziką obsesję na punkcie Eriki Kane i pewnego razu zadzwoniła na plan jej serialu, żeby zapytać o czarną kopertówkę, którą Erica trzymała w scenie pogrzebu. Uzyskała potrzebne informacje, zadzwoniła do swojej osobistej garderobianej w Nordstrom i bezwstydnie zamówiła taką samą na swój prezent z okazji Dnia Matki. (Moja matka zawsze sama wybierała sobie prezenty. Wysiłki mojego ojca nigdy nie spotykały się z uznaniem. Pierwsze słowa, jakie padały wtedy z jej ust, dotyczyły tego, czy można ten prezent zwrócić).

W każdym razie jej najnowszym hobby jest czarno–biała fotografia. Nie widziałam Very w akcji, lecz Maura zapewnia mnie, że matka bardzo się stara, zwłaszcza w porównaniu z jej wcześniejszym hobby: żalonymi haiku. Maura powiedziała również, że jak do tej pory fotografowanie jest jedną z jej bardziej denerwujących pasji. W środku rozmowy moja matka wyciąga nikon, robi zbliżenie twojej twarzy i zaczyna pstrykać, dodając komentarz w stylu: „Broda niżej. Tak. Właśnie tak. Och! Fantastycznie! No, pokaż mi się”. Wygląda na to, że na kolejnych rolkach kliszy uwiecznia też przypadkowe martwe przedmioty, takie jak kubki do kawy lub krzesła, i nadaje im tytuły w rodzaju: „Serie kubków”, „Serie krzesel”. To takie pretensjonalne, że trudno z nią wytrzymać.

– Zadzwoiłabym wcześniej, ale chciałam zobaczyć cię *au naturel*.

– No cóż, udało ci się – mówię, spoglądając na mój roboczy strój: czarne spodnie, czarne buty na obcasach, szarą bluzkę i brak dodatków. Jeśli nie mam spotkania z autorem lub agentem, nie wkładam w służbową garderobę prawie żadnego wysiłku.

– Chciałam uchwycić cię podczas zwykłego dnia pracy. Żadnych ozdóbek. Tylko ty.

Jak gdybym zamierzała się dla ciebie stroić, myślę, jednak zamiast tego mówię:

– Daj mi spokój. – Mówię oczywiście poważnie, lecz próbuję zdobyć się na żartobliwy ton. Nie cierpię, kiedy zaczyna odgrywać urażoną matkę.

– Mówię poważnie. Muszę wypstrykać parę rolek. To nie potrwa długo.

Wyciągam butelkę wody z lodówki, podchodzę do stojącego naprzeciw matki fotela i opadam na niego z przesadnym westchnieniem.

– Jestem zbyt zmęczona, mamo.



Jess stoi za moją matką, przeglądając stos korespondencji. Przerywa na chwilę i wykonuje gest, który był bardzo popularny w podstawówce – unosi palec i rysuje nim w powietrzu kółka, najpierw kierując go w stronę własnej głowy, a potem w kierunku mojej matki. Potem robi zeza, co nadaje temu wszystkiemu zabawny posmak szaleństwa.

Wybucham śmiechem, a moja matka odwraca się, żeby zobaczyć, co mnie tak rozbawiło.

Jess szybko poważnieje i nagle zaczyna bardzo interesować się jakimś katalogiem.

Matka z powrotem zwraca się w moją stronę i ciągnie dalej: – Kiedy na ciebie czekałyśmy, wypstrykałam już jedną kliszę na Jess. Ale to nie ma związku z moim zadaniem. Zrobiłam to tylko dla zabawy. Jess jest piekielnie fotogeniczna, prawda?

– Uhm – mówię. Jess rzeczywiście wygląda świetnie chyba na każdym zdjęciu, na jakim ją widziałam. To pewnie dzięki temu, że ma taką symetryczną twarz, co – jak gdzieś czytałam – jest właśnie tą cechą, która sprawia, że człowiek jest piękny. W tamtym artykule napisano, że nawet małe dzieci lgną do symetrycznych twarzy.

– Moim zadaniem jest sportretować ciebie – mówi Vera.

Nie istnieje bardziej rozpaczliwy sposób, w jaki mogłaby wymusić sformułowanie kilku pytań dotyczących tego zadania. Poddaję się i pytam:

– A co to za zadanie, mamo?

– Mówiłam ci, że chodzę na lekcje fotografii, prawda? Kiwam głową, myśląc: chyba z dziesięć razy.

– No cóż. Właśnie pracujemy nad portretami.

– Brzmi super – mówię.

Ignoruje mój sarkazm i mówi:

– Tak. To naprawdę świetna zabawa. Lecz uchwycenie ulotnego wyrazu na twarzy obiektu jest sporym wyzwaniem.

– Jasne. Z pewnością.

– I w tym momencie wracamy do ciebie. Wybrałam cię na mój obiekt.

Najwidoczniej oczekuje, że bardzo się ucieszę, iż wybrała właśnie mnie, lecz ja mówię:

– Dlaczego nie sfotografujesz dzieci Maury? Albo Dwighta?

– Bo nie – mówi niepewnie, jak gdyby chciała zamaskować jakąś mroczną prawdę.

Jess energicznie kiwa głową i wykonuje kolejny gest, mówiący: „No, wyrzuć to z siebie”.

– Nasze zadanie polega na sfotografowaniu bólu. – Mówiąc to, marszczy brwi, jak gdyby ją samą przytłaczał jakiś emocjonalny ciężar.

Czuję, że zaczynam mrużyć oczy.

– I sądzisz, że ja mogę ci w tym pomóc?

– Claudio, kochanie, proszę, nie obrażaj się.

– Wcale się nie obrażam – mówię, doskonale wiedząc, ile urazy pobrzmiwa w moich słowach.

– Chcę uchwycić twój ból.

– Nic mnie nie boli.

– Owszem, Claudio. Cierpisz po odejściu Bena. Słyszałam o Tucker – mówi.

– Czuję się bardzo dobrze – mówię.

– Nie, młoda damo, wcale nie czujesz się dobrze. Z pewnością nie czujesz się dobrze.

Jess robi ostatnią minę, która nadaje jej wygląd człowieka czekającego na zderzenie z ciężarówką, po czym wychodzi, prawdopodobnie po to, żeby zadzwonić do Treya.

– Cierpisz tutaj, Claudio – mówi Vera, krzyżując ręce i składając je delikatnie na sercu. – Jestem twoją matką. Wyczuwam takie rzeczy.

– Mamo, naprawdę nie mam na to teraz ochoty.

Zaciska usta, patrzy na mnie i kręci głową. Następnie zakłada nową kliszę, manipuluje swoim monstrualnym obiektywem i unosi aparat, żeby zrobić mi zdjęcie.

Zasłaniam twarz dłonią.

– Przestań, mamo.

PSTRYK. PSTRYK.

– Mamo! – mówię. Potem biorę się w garść, uznając, że moja matka prawdopodobnie będzie zachwycona możliwością uwiecznienia cierpiącej i złej Claudii, i mówię nieco spokojniej: – Dlaczego nie sfotografujesz Daphne?

Czuję się trochę winna, podsuwając jej taki pomysł, lecz później dochodzę do wniosku, że to prawdopodobnie Daphne puściła farbę. Zresztą Daphne ma podwyższoną tolerancję na moją matkę. Rozmawiają ze sobą prawie codziennie.

– Masz na myśli jej bezpłodność? – pyta moja matka, jak gdyby był to jedynie lekki ból, a nie rozdzierająca serce męczarnia. – To nie to samo. Nic tak nie boli jak złamane serce.

Pragnę jej udowodnić, że się myli, lecz nie potrafię, więc mówię tylko:

– Wcale nie mam złamanego serca.

– Owszem. Masz.

– A co z Maurą? Ona i Scott nieustannie borykają się z problemami – mówię, dochodząc do wniosku, że równie dobrze mogłabym wepchnąć moją drugą siostrę pod autobus (zakładając, że to ona puściła farbę na temat Tucker).

– Maura nie kocha Scotta – mówi moja matka. – Oni nigdy nie mieli tego co ty i Ben. Wy byliście tacy zakochani. I podejrzewam, że nadal jesteście – mówi, ponownie unosząc aparat. Mruży oko i robi zbliżenie szybkim ruchem nadgarstka.

PSTRYK. PSTRYK.

– Mamo. Wystarczy.

PSTRYK. PSTRYK. PSTRYK.

– Mówię poważnie, mamo! – krzyczę i kiedy wstaje, żeby uchwycić mój zboląły profil pod innym kątem, czuję niesamowity smutek pomieszany ze złością. Kryję twarz w dłoniach, powtarzając sobie w myślach, żeby nie płakać, żeby nie pokazywać jej, że ma rację. Gdy podnoszę wzrok, w drzwiach widzę Jess, która patrzy na mnie pytającym wzrokiem: „Potrzebujesz pomocy?”. Potrząsam głową, myśląc, że nie potrzebuję niczyjej pomocy. Jess wycofuje się z zatroskaną miną. Patrzę, jak moja matka zakłada kolejną kliszę i ponownie zarzuca sobie na szyję pasek od aparatu.

Znowu czuję tylko wściekłość, kiedy mówię:

– Nie waż się robić mi kolejnego zdjęcia. Jestem twoją córką, a nie jakimś projektem.

Mówię dziwnie spokojnym głosem, lecz słyszę w nim również coś, co prawie wzbudza we mnie strach. Zastanawiam się, czy zauważa to również moja matka – jeśli w ogóle mnie słucha.

Nagle dociera do mnie, że jeśli ta kobieta, która niespełna trzydzieści pięć lat temu jakimś cudem wydała mnie na świat, zrobi mi teraz zdjęcie i będzie próbowała wykorzystać mój smutek, już nigdy się do niej nie odezwę. Nigdy nie zamienię z nią słowa. Nie będę chciała jej widzieć bez względu na okoliczności, włączając scenariusze na łożu śmierci.

Rzecz jasna, takie myśli przychodziły mi do głowy już wiele razy, lecz nigdy nie wcieliłam ich w życie. Zawsze ustępuję – nie ze względu na nią ani na to, że potrzebuję lub pragnę matki – lecz dlatego że nie chcę, by moja matka decydowała o tym, kim jestem, a zerwanie z nią kontaktu w jakimś dziwnym sensie przyniosłoby właśnie taki efekt. Za każdym razem, kiedy czytam o jakiejś gwiazdce, która zerwała kontakt z matką (Meg Ryan, Jennifer Aniston, Demi Moore – znam ich historie na pamięć), myślę, że mówi to równie wiele o matce, co o córce. Nieważne, jak okropna jest obraza, której dopuściła się matka – miano bezlitosnej, przekonanej o własnej nieomyślności i oschłej zawsze zyskuje córka.

Moja matka jest uciążliwa i nieznośna, lecz nie aż tak ważna, żeby ostatecznie ją odepchnąć. Chociaż generalnie skłaniam się ku unikaniu całkowitej separacji, mam jednak poczucie, że stoję na rozstaju dróg. Tym razem mówię poważnie. Skoro mogę rozwieść się z mężczyzną, którego kocham, równie dobrze mogę odciąć się od tej kobiety.

Patrzę, jak moja matka marszczy brwi i nadaje swojej twarzy standardowy wyraz współczucia. To jej najlepsza pogrzebowa mina. „Wiem, przez co przechodzisz, jestem przy tobie”. Tego typu pieprzenie. Cierpi na brak empatii, nawet w relacjach z własnymi córkami, ale opanowała sztukę wyglądania jak współczująca osoba. Jest oszustką. Ludzie spoza rodziny

mogą ją uznać za sympatyczną, intrygującą, pełną współczucia. Czasami udaje jej się oszukać nawet Daphne. Jednak ja wiem, jaka jest naprawdę.

Moja wściekłość ustępuje odrobinę miejsca ciekawości. Jak bardzo perfidna jest moja matka? Czy zrobi mi kolejne zdjęcie, po tym jak niemal doprowadziła mnie do płaczu? Po tym jak jasno i wyraźnie ją ostrzegłam? Prawie chcę, żeby pstryknęła jeszcze jedno zdjęcie. Prawie chcę, żeby nastąpił rozstrzygający moment w naszych relacjach. Patrzę, jak zamiera bez ruchu, po czym opuszcza aparat na kolana. Nikt nie jest w stanie powstrzymać mojej matki od tego, na co ma ochotę, i nie mogę pozbyć się uczucia, że odniosłam wielkie zwycięstwo. I przeżyłam ogromne zaskoczenie.

Zaciska usta i mówi:

– Przepraszam.

Jej przeprosiny sprawiają, że jednocześnie czuję ulgę i rozczarowanie. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek za coś mnie przeprosiła, chociaż mnóstwo razy powinna była to zrobić. Przynajmniej nigdy nie przepraszała, nie obwiniając kogoś innego lub nie dodając jakiegoś „ale”... Nie chcę tak łatwo jej odpuszczać, ale jestem kompletnie wykończona. Mówię zatem:

– W porządku, mamo.

– Jesteś pewna? – pyta.

Przewracam oczami i zdobywam się na „tak”.

Obie milczymy, gdy z zakłopotaniem chowa fotograficzne akcesoria. Kiedy wszystkie leżą już u jej stóp, patrzy na mnie i jeszcze raz mówi ciche, lecz szczerze:

– Przepraszam.

Odwracam wzrok, lecz nadal czuję na sobie jej spojrzenie. Czuję, jak bardzo chce, żebym coś powiedziała. Rozgrzeszyła ją. Objęła.

Niczego takiego nie robię. Po prostu siedzę w milczeniu. Po dłuższej chwili moja matka mówi:

– Muszę ci coś powiedzieć, Claudio.

– Słucham – mówię, spodziewając się jakiegoś śmiesznego banału. „Jutro też wszędzie słońce. Niebo jest najciemniejsze tuż przed świtem. Rozchmurz się”. Ciekawe, dlaczego tyle wyświechtanych powiedzonek wiąże się z niebem?

Jednak moja matka odchrząka i mówi:

– Chcę ci powiedzieć coś, czego nie mówiłam nigdy wcześniej.

– Proszę bardzo – mówię, widząc cień Jess, która ponownie pojawia się w drzwiach. Tak naprawdę wcale nie podsłuchuje. Po prostu oszczędza mi fadygi powtarzania wszystkiego później.

– Urodziłaś się przypadkiem – mówi moja matka. – To była nieplanowana ciąża.

– Wiem o tym, mamo – mówię.

Nigdy nie próbowała ukrywać tego faktu – dowiedziałam się o tym w bardzo młodym wieku. Mówiła ludziom w mojej obecności:

– Myślałam, że już skończyłam z rodzeniem dzieci. Ale Claudia przyszła na świat przypadkiem. – Ostatnie słowo wymawiała szeptem, lecz oczywiście i tak zawsze je słyszałam. A nawet gdyby było inaczej, doskonale słyszałam, jak wykrzyczała mi to prosto w twarz, gdy oznajmiłam, że bojkotuję jej ślub z Dwightem i że może sobie wsadzić tę lawendową suknię druhny tam, gdzie słońce nie dochodzi (to moje ulubione wyrażenie związane ze słońcem).

– Proszę – mówi teraz. – Pozwól mi skończyć. Wzruszam ramionami, myśląc, że to cholernie dobry sposób, żeby mnie przeprosić.

– No więc urodziłaś się przypadkiem – ciągnie. Następnie unosi palec, jak gdyby szykowała się do wygłoszenia wielkiej przemowy. – Ale kilka dni temu czytałam podziękowania w jednej z twoich powieści. W tej o facecie z zajęczą wargą.

– Z rozszczępem podniebienia – mówię. Ma na myśli wspomnienia Johna Skvarli. Ten defekt był tak mało istotną częścią historii jego życia, że zastanawiam się, czy w ogóle dotarła do drugiej strony. Moja matka pozuje na czytającą kobietę i cały czas kupuje książki w twardych okładkach, które zazwyczaj wędrują prosto na półkę w jej salonie. Wcale ich nie otwiera. Wszystko na pokaz.

– Mniejsza z tym – mówi. – Nie chodzi o książkę. Chodzi o to, że... Czytałam podziękowania, tę cześć, w której dziękował ci za to, że jesteś jego redaktorką i przyjaciółką. I ogarnęło mnie to przemożne poczucie dumy, że jesteś moją córką.

Wiem, że moja matka rozkoszuje się każdą formą publicznego zainteresowania. Uwielbia mówić przyjaciółkom, że wychowała wspaniałą redaktorkę z prestiżowego nowojorskiego wydawnictwa, a wskazanie nazwiska córki na jednej z pierwszych stron książki daje jej pełnię szczęścia. Mimo to zaskakują mnie jej słowa. Nie jest to język, którym zazwyczaj przemawia moja matka.

– Jestem z ciebie bardzo dumna, Claudio – ciągnie. – Nie tylko dlatego że jesteś taka bystra i tak wiele osiągnęłaś, ale ponieważ jesteś osobą, której ludzie chcą dziękować na początku książki. Ludzie kochają cię i szanują. Dlatego jesteś wyjątkowa – mówi cicho. Spuszcza wzrok na swoje stopy, a jej



pomarańczowe mokasyny do jazdy samochodem stykają się ze sobą. Splecione dłonie spoczywają na kolanach. Wygląda na skruszoną, onieśmiałą i szczerą.

– Jesteś najlepszą rzeczą, jaka udała mi się w życiu – mówi na koniec.

Nie chcę czuć się poruszona ani wdzięczna, lecz tak właśnie się czuję. I to do tego stopnia, że znowu jestem bliska łez. Zastanawiam się, jak to możliwe, że jedna kobieta potrafi wywołać we mnie takie tsunami emocji – i to w tak krótkim czasie. Myślę, że powinnam podejść do tego na luzie. Przypominam sobie, że w pewnym sensie moja matka korzysta z tego, co osiągnęłam, chociaż tak naprawdę nie ma w tym żadnej jej zasługi. Zawsze mówiła, żebym odkleiła się od książki i wyszła na świeże powietrze. Była zdruzgotana, kiedy w wieku szesnastu lat zgłosiłam się do pracy w bibliotece, zamiast pracować jako ratowniczką w ekskluzywnym ośrodku sportowo–rekreacyjnym za miastem. Jestem tym, kim jestem, na przekór mojej matce. Jednak nic na to nie poradzę – wiem, że nie zapomnę tego, co właśnie mi powiedziała. Wiem, że setki razy powtórzę jej słowa w myślach. I chociaż bardzo nie chcę się do tego przyznać, wiem również o tym, że moja matka jest dla mnie kimś ważnym.

– Dlaczego mi to mówisz? – pytam.

– Ze względu na życiowe wybory, jakich niedawno dokonałaś.

– Co dokładnie masz na myśli? – pytam. Wiem, że mówi o Benie i dzieciach, lecz nie mam pojęcia, jaki to wszystko ma związek z jej niespodziewanym komplementem.

Sprawia wrażenie zamyślonej, jak gdyby starannie formułowała to, co za chwilę powie:

– Nie jestem najlepszą matką na świecie... Nigdy nie byłam – mówi powoli. – Ale zawsze pamiętaj, Claudio, że nie jesteś mną. Różnym ludziom pokazujesz różne oblicza. Ale na pewno nie jesteś taka jak ja.

RS

## ROZDZIAŁ 12

Nigdy nie myślałam, że jestem taka jak moja matka, ani nie uważałam jej za główną przyczynę tego, że nie chcę mieć dzieci. Zatem ta przemowa w żaden sposób nie wpłynęła na zmianę mojego nastawienia do macierzyństwa – choć najwidoczniej taki był jej cel.

Lecz mimo to słowa mojej matki miały w sobie coś zaskakującego. Być może dlatego że po raz pierwszy za coś mnie przeprosiła. Być może dlatego że każdy człowiek pragnie, aby matka była z niego dumna – i w pewnym sensie nie potrafimy przestać patrzeć na siebie jej oczami. Być może dlatego że jej słowa przypomniały mi o tym wszystkim, co posiadam. Mam oczywiście pracę. Lecz, co ważniejsze, mam wspaniałe relacje z ludźmi, które starannie pielęgnuję. Jestem dobrą siostrą, córką i przyjaciółką. Moje życie ma znaczenie – i będzie je miało nadal – nawet bez Bena.

Zatem to moja matka, choć zupełnie niechcący, pomogła mi przenieść się na kolejny poziom emocjonalnego uzdrowienia. Dostrzec tę małą iskierkę, która pojawia się po katastrofie i pokazuje, że życie toczy się dalej. Zaczęłam nawet rozważać ponowne umawianie się na randki. Nie tyle dlatego że naprawdę chciałam, lecz dlatego iż umawianie się na randki zawsze jest najlepszym wewnętrznym lub zewnętrznym znakiem, że po wielkim rozstaniu żyjesz dalej. W pewnym sensie myślę, że to chyba jedyny sposób, aby żyć dalej.

Zatem kiedy pewnego dnia Michael wchodzi do mojego biura i pyta:

– Zgadnij, u kogo zajmujesz drugie miejsce? – ogarnia mnie lekki entuzjazm. Doskonale wiem, co oznacza to „drugie miejsce”. Bez względu na to, czy jesteś rzeczoznawcą ubezpieczeniowym w Iowa, nauczycielem na

Florydzie czy redaktorem na Manhattanie, nieobcy jest ci zwyczaj gromadzenia się przy automacie z chłodzoną wodą (albo, w naszym wypadku, przy europejskim ekspresie do kawy) i dyskusowania o tym, kto spośród twoich szanownych współpracowników jest najbardziej atrakcyjny. Aktywność ta zrodziła się w głównej mierze z nudy lub długich godzin spędzanych w biurze, lecz mimo to traktuje się ją z ogromną powagą, a jej jedyną konkurencją jest lista tworzona przez małżeństwa: „Gwiazdy, z którymi wolno mi zdradzić ukochaną osobę”. Moja lista potencjalnych zdrajców jest już oczywiście nieważna i bezcelowa – teraz mogę robić, co tylko zechcę, bez żadnych wyjątków – co oczywiście wcale nie zwiększa moich szans na dzielenie łóżka z: (1) Stingiem, (2) Colinem Firthem, (3) Johnnym Deppem, (4) Tomem Bradym lub też (5) Edem Harrisem.

Problem z bawieniem się w takie rankingi w większości domów wydawniczych polega oczywiście na tym, że kobiety nie mają tu wielkiego wyboru. Po pierwsze, ogólna proporcja liczby kobiet do mężczyzn w wydawnictwach wynosi około trzech do jednego. Poza tym jakieś siedemdziesiąt procent mężczyzn to geje. Mówimy zatem o stosunku liczby kobiet do heteroseksualnych mężczyzn, który wynosi dziesięć do jednego. Na dodatek, nie licząc paru wyspecjalizowanych działów – na przykład reklamy – w wydawnictwach roi się od byłych moli książkowych (takich jak ja), którzy większość dzieciństwa spędzili w domach, czytając książki. Nazwisko mojej przyjaciółki Jacqueline ukazało się na przykład w lokalnej gazecie w Północnej Karolinie, ponieważ przeczytała ponad pięćset książek w ciągu roku – i miała wtedy pięć lat. Ja również nie mam powodów do kompleksów – największym osiągnięciem mojego dzieciństwa było dotarcie do finału stanowego konkursu ortograficznego, gdzie wyłożyłam się na słowie

„szeznać”. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszystkie były mole książkowe są nieatrakcyjne. Wręcz przeciwnie, myślę, że tworzymy wspaniały gatunek – jesteśmy ekscentryczni, bystrzy i o wiele bardziej interesujący niż typowa była cheerleaderka albo były sportowiec. W tworzeniu listy nie chodzi jednak o ekscentryczność czy nietypowy urok – tu chodzi o seksowność.

W każdym razie jedną z korzyści płynących z bliskiej znajomości z Michaeliem jest to, że zawsze wtajemnicza mnie w krążące po wydawnictwie listy współpracowników, co wydaje się szczególnie interesujące w tych nielicznych wypadkach, kiedy zdarza mi się na nich figurować. Działa to w następujący sposób: Michael mówi mi, że znajduję się na czyjejś liście, na co ja odpowiadam udawaną kombinacją zakłopotania, zaskoczenia lub irytacji, choć w głębi duszy przez cały czas czuję się mile polechtana. A kto by się nie czuł? Nawet kiedy wybierze cię jakiś kompletny palant, i tak miło wiedzieć, że załapałaś się na czyjąś listę.

Mimo to mówię:

– Drugie miejsce? – ponieważ ostatnią rzeczą, o jaką chcę zostać posądzona, jest desperacja lub podekscytowanie.

– No wiesz. On myśli, że jesteś drugą najbardziej wystrzałową dziewczyną w pracy – mówi Michael.

– Kto? – pytam, przewracając oczami. – Gerald z działu IT?

– Nie.

– Poddaję się.

– Richard Margo – mówi z zadowoleniem Michael.

Teraz zamieniam się w słuch. Richard Margo to nasz wiceprezes i dyrektor działu reklamy. W wydawnictwie jest doskonale znany, zarówno dzięki swojemu prestiżowemu stanowisku, jak i za sprawą reputacji

mężczyzny, który przez jeden sezon grał w drugiej lidze bejsbola i jest kobieciarzem – nie z rodzaju tych perfidnych, lecz z tych „błyskotliwych intelektualistów, którzy randkują z pięknymi kobietami, a sakrament małżeństwa jest im obcy”. Zbliża się do pięćdziesiątki, lecz w przeciwieństwie do licznych mężczyzn w jego wieku, którzy mają szczęście, jeśli komuś zdarzy się ich nazwać „przystojnymi” lub „atrakcyjnymi”, Richard w pełni zasługuje na miano wystrzałowego faceta. Ma wyraźnie zarysowany podbródek, głęboko osadzone niebieskie oczy i lekkie zakola, co stanowi kombinację cech wytwarzającą coś w rodzaju surowej męskiej pewności siebie. Nawet jego nos – który wygląda tak, jakby co najmniej raz uległ złamaniu – jest sexy.

Richard nie tylko figuruje na mojej liście od chwili, gdy zaczęłam pracować w Elgin Press, lecz stale zajmuje na niej najwyższe miejsce, do czego przyznałam się jedynie Michaelowi i paru innym bliskim przyjaciołom (w rozmowie z pozostałymi ludźmi wydaję z siebie pełne zadumy odgłosy, udając, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam, i wygłaszam preambułę w stylu: „Pamiętajcie, że nie wymieniam ich w żadnej konkretnej kolejności”, co w pewien sposób sprawia, że całe zadanie wydaje się mniej poważne). Tak naprawdę Richard nie tylko figuruje na pierwszym miejscu mojej listy w pracy, lecz kiedy Jude Law został przyłapany w łóżku z nianią swoich dzieci i prysnął cały jego urok, zwolniło się pierwsze miejsce na mojej liście gwiazd, więc dałam je Richardowi. Ben upierał się wtedy, że nie można mieszać dwóch list, na co ja odpowiadałam, że Richard jest „sławny” w pracy. Ten argument nie przeszedł (Ben utrzymywał, że cała teoria leżąca u podstaw listy gwiazd opiera się na ich nieosiągalności). Wyrzuciłam zatem Richarda,

zastępując go Edem Harrisem, który, nawiasem mówiąc, mógłby zostać uznany za jego brata.

– Skąd o tym wiesz? – pytam Michaela, odrobinę zawstydzona moim galopującym pulsem. Na swoją obronę mogę jednak dodać, że nie uprawiałam seksu od kilku miesięcy.

– Dowiedziałem się u samego źródła – mówi Michael, z dumą pstrykając palcami.

– Zadałeś takie pytanie swojemu szefowi? – pytam, podziwiając zdolność Michaela do wyciągania tajnych informacji od ludzi, w tym również od tych wyżej postawionych.

Wzrusza ramionami.

– Tak, i co z tego. Zwykła męska rozmowa przy lunchu, no wiesz. Byli z nami Phil Loomis i Jack Hannigan i przypadkiem okazało się, że Hannigan też ma cię na swojej liście.

– A cholerny Phil doszedł do wniosku, że nie zasługuję na jego uznanie? – pytam.

Michael się śmieje, a ja zgrabnie powracam do tematu Richarda.

– No więc kto jest dla Margo numerem jeden? Stacy Eubanks?

Stacy Eubanks, sekretarka w dziale sprzedaży, to niebieskooka blondyna bliźniaczo podobna do Cameroon Diaz i wieść głosi, że dorabia na boku jako gwiazda filmów porno (Michael twierdzi, że widział ją w filmie zatytułowanym *Lezzie Maguire*).

– Nie. Stacy nie wpadła mu w oko.

– Nie do wiary – mówię, obdarzając listę Richarda jeszcze większym uznaniem.

– Wiem. Sam byłem w szoku.

- Więc kto jest jego numerem jeden? – pytam od niechcienia.
  - Ta nowa francuska laska z działu praw.
  - Ach, tak. Marina LeCroy. Jest bardzo... francuska.
  - Uhm. Ale wygląda na to, że Richard ma słabość do rudzielców, bo na jego liście figuruje też Naomi Rubenstein.
  - Chyba nie nazwałabym tego słabością do rudzielców.
  - Dwie rude na pięć kobiet z pewnością o czymś świadczą. Przecież nie stanowicie czterdziestu procent całej populacji.
  - Zgoda – mówię, zastanawiając się, kim są te dwie nie-francuskie i nierude kobiety na jego liście.
  - Więc co zamierzasz z tym zrobić? – pyta Michael.
  - Nic – mówię ze śmiechem.
  - Nic? Dlaczego?
  - Ponieważ... jestem profesjonalistką – mówię żartobliwie pruderyjnym tonem.
  - Tutaj nie obowiązuje polityka zakazująca bratania się ze współpracownikami. Poza tym dla niego nie pracujesz – mówi Michael. – Nawet nie jesteś w dziale reklamy. Skąd ten dylemat?
  - Nie wiem. To mogłoby mieć posmak faworyzacji. W jakiś sposób zdyskredytować moje książki.
  - Daj spokój. Przesadzasz – mówi Michael.
- Technicznie rzecz biorąc, ma rację. Richard kieruje działem reklamowym i w ten sposób odpowiada za wszystkie tytuły wydawnictwa, lecz moimi książkami zajmują się różni ludzie, a ponieważ sprzedają i marketingiem rządzą inne mechanizmy, sam Richard nie byłby w stanie wpłynąć na moją karierę ani na sukces moich książek. Mimo to dział reklamy



ma dużo do powiedzenia, jeśli chodzi o książkowe propozycje, i może z łatwością odrzucić jakąś pozycję, zatem mój ewentualny sukces miałby posmak protekcji. Co najważniejsze, nigdy nie umawiałam się z żadnym kolegą z pracy i nie mam zamiaru zmieniać tego zwyczaju. Mówię to Michaelowi i dodaję:

– Zresztą ta cała dyskusja i tak jest jałowa, ponieważ Richard Margo wcale nie jest mną zainteresowany. Po prostu uległ twoim namowom i przyłączył się do tej gierki – mówię.

– Nie byłbym tego taki pewien – mówi Michael. – Poza tym wydałem cię.

– Jak to? – pytam zaniepokojona.

– Powiedziałem mu o twoim rozwodzie – wyjaśnia. – Nie miał o nim pojęcia.

– Michael! – mówię. Wiem, że śmiesznie ukrywać przed wszystkimi ten fakt, ale nic na to nie poradzę: nie lubię, kiedy w pracy rozmawia się o moich osobistych sprawach. A rozwód ma w sobie coś, co bardzo kojarzy się z porażką, i żaden człowiek nie chciałby paradować w miejscu pracy z taką etykietką.

– Co w tym strasznego? – pyta Michael.

– Co powiedział? – dopytuję.

– Że przykro mu to słyszeć... Ale chyba powinnaś wiedzieć, że wcale nie wyglądał na zmartwionego. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Michael dramatycznie unosi brew, z wprawą bębni palcami o blat mojego biurka i wychodzi.

Choć próbuję stłumić zainteresowanie listą Richarda, wieczorem przekazuję nowinę Jess. Nigdy go nie poznała, lecz od lat słyszy, jak o nim

opowiadam, i wietrzy lekki zapach biurowego romansu. Zatem zamiast potraktować całą historię jak coś, czym naprawdę jest – soczystą, podnoszącą samoocenę błahostkę – bardzo się ożywia i mówi, że Richard jest dla mnie idealny.

– Jest o wiele za stary, żeby chciał mieć dzieci – zauważa. Potrząsam głową i mówię, żeby nie była śmieszna.

Jednak tydzień później, kiedy niespodziewanie dzwoni do mnie Richard, mówiąc, że chce przedyskutować jakieś sprawy podczas lunchu, ciągle zastanawiam się, jakie są jego prawdziwe zamiary. Uczestniczyliśmy razem w wielu zebraniach, lecz nigdy nie spotkaliśmy się sam na sam. A już na pewno nie podczas lunchu.

– Jasne – mówię, przypominając sobie, że nie licząc naszych list, Richard zupełnie mnie nie interesuje (i *vice versa*). Jestem pewna, że chce porozmawiać jedynie o sprawach służbowych. W końcu cały czas pnę się w górę i być może spontaniczny lunch z Richardem odzwierciedla po prostu mój status w wydawnictwie. Być może chce omówić reklamowe plany związane ze zbliżającym się wydaniem powieści Amy Dickerson. A może chce opracować strategię w celu poradzenia sobie z moją najbardziej uciążliwą autorką, Jenną Coblenz. Od dziesięciu lat Jenna odnosi ogromne komercyjne sukcesy, lecz w zakresie reklamy ma takie wymagania, że jej zachowanie graniczy z grubiaństwem, a rola bufora między autorem i ludźmi od reklamy należy do redaktorki.

– Co powiesz na czwartek? – pyta Richard swoim głębokim głosem radiowego didżeja.

– Brzmi doskonale – mówię, nie zaglądając do kalendarza.

– Bolo o pierwszej? – pyta. Bolo to popularne miejsce, w którym spotykają się ludzie z pracy i z całej branży wydawniczej. Nigdy nie wybrałby Bolo, gdyby miał jakieś nieczyste zamiary.

– W porządku – mówię rzeczowym tonem.

W czwartek wkładam do pracy moją najbardziej dopasowaną parę dżinsów i zielony bawełniany żakiet. Wyglądam swobodnie, lecz stylowo. Przed wyjściem na lunch spędzam jakieś dziesięć minut na poprawianiu przy biurku makijażu. Twardo obstaję przy tym, że Richard mnie nie interesuje, ale dochodzę do wniosku, że ładny wygląd nikomu jeszcze nie zaszkodził, zwłaszcza kiedy ma się przed sobą spotkanie z wystrzałowym mężczyzną.

Richard przesłał mi wcześniej e-maila z informacją, że wraca z wizyty u dentysty i spotka się ze mną w restauracji. Dziarsko przemierzam kilka przecznic w drodze do Bolo, lecz i tak przychodzę pięć minut spóźniona. Od razu dostrzegam Richarda, który siedzi przy stoliku w rogu ubrany w sportowy płaszcz i krawat. Na stoliku przed nim stoją kieliszek wina i mała miseczka oliwek. Rozmawia przez komórkę i z pewnym poruszeniem zerka do małego notesu, jaki noszą staromodni reporterzy. Wygląda na kogoś ważnego. Chociaż z drugiej strony może po prostu wiem, że jest kimś ważnym.

Kiedy podnosi wzrok i mnie dostrzega, jego twarz rozjaśnia się i Richard gestem dłoni zaprasza mnie do stolika. Posyłam mu znak mówiący: „Dokończ rozmowę. Poczekam”. Potrząsa głową, szybko się żegna i zamyka telefon, wsuwając go do kieszeni płaszcza razem z notesem. Kiedy podchodzę, lekko podnosi się z krzesła i mówi:

– Witaj, Claudio.

– Cześć, Richard – mówię, wdychając jego wodę po goleniu, coś, co po raz pierwszy poczułam wiele lat temu, podczas wspólnej jazdy windą. Uwielbiam, kiedy mężczyźni używają wody po goleniu. Ben nigdy tego nie robił. Nawet jego dezodorant był bezzapachowy. Dobrze natknąć się na coś, co nie wzbudza tęsknoty za Benem. Niestety, jak do tej pory nie było tego zbyt wiele.

– Jakieś ubytki?

– Ani jednego – mówi.

– Używasz nici? – pytam.

– Nie – mówi z nieco zakłopotaną miną. – To chyba po prostu dobre geny.

Nasz kelner, młody blondyn o takiej żywiowości, że uznaję go za tancerza z Broadwayu, przystaje obok stolika, przedstawia się jako Tad i pyta, czego się napiję. Zazwyczaj nie piję wina podczas lunchu w dni powszednie, ale ponieważ Richard zamówił dla siebie lampkę, decyduję się na kieliszek chardonnay.

– Dobrze. Nie lubię pić sam – mówi Richard, kiedy Tad się oddala. – Chyba że oczywiście jestem sam.

Śmieję się. Richard się śmieje.

Potem, jak gdyby dla zrównoważenia naszego alkoholowego wyboru, Richard ucina pogaduszki i natychmiast przechodzi do interesów. Ogólnie rzecz biorąc, do naszego letniego katalogu. Do nowej autorki, którą właśnie zwerbowałam. Do niedawnej powściągliwej recenzji pamiętnika Skvarli w „Timesie” (nie żeby reklama za bardzo przejmowała się jej treścią. Nawet zła reklama to dobra reklama).

– A wspaniała wiadomość jest taka – mówi Richard, jak gdyby sygnalizując przyczynę naszego spotkania – że tylko tyle dzieli mnie od załatwienia Amy Dickerson wystąpienia w *The Today Show*. – Jego palec wskazujący i kciuk zbliżają się do siebie na odległość milimetra.

– Żartujesz? – mówię, chociaż już o tym słyszałam od Michaela. To wielkie wydarzenie dla każdej książki, a zwłaszcza dla powieści. Jednak nadal nie jest to sprawa, która wymaga spotkania sam na sam podczas lunchu z szefem działu reklamy.

– Widocznie Katie naprawdę uważa, że to klawa książka –mówi.

Uśmiecham się, słysząc z jego ust słowo „klawa”. Richard często używa żargonu z lat siedemdziesiątych. Większość ludzi brzmi śmiesznie lub głupio, posługując się slangiem wcześniejszego pokolenia, ale w wypadku Richarda to ujmujące. Myślę, że jeśli jest się wystarczająco przystojnym i przebojowym, można sobie pozwolić dosłownie na wszystko.

Powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć: „morowo”, i zamiast tego unoszę dłoń, krzyżując palce.

Tad powraca z moim kieliszkiem chardonnay i dwoma menu. Pyta, czy chcielibyśmy poznać specjalność zakładu.

– Jasne – mówimy jednocześnie, a potem słuchamy, jak Tad klepie jeden z najdłuższych i najbardziej szczegółowych opisów zupy z krewetek w historii świata. Ben nie cierpiał przymiotników opisujących jedzenie, zwłaszcza słów „krwiste” i „żylaste”. Możecie się domyślić, dlaczego tak bardzo denerwowały go reklamy ciasteczek. Upominam się: koniec myślenia o Benie! Przeglądam menu, próbując znaleźć coś, czym nie można się zbytnio ubrudzić. Decyduję się na sałatkę z podsmażonego tuńczyka. Richard zamawia burgera. Podoba mi się połączenie burgera z winem.

- Czytałaś ostatnio coś dobrego? – pyta Richard.
- Pytasz ogólnie czy masz na myśli maszynopisy? – pytam.
- Jedno i drugie – mówi.

Wymieniam kilka tytułów z pierwszej kategorii i parę projektów z drugiej.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć? – mówi Richard, kiedy Tad przyjmuje nasze zamówienie i oddala się truchtem. Patrzy na mnie wyczekująco, jak gdybym to ja zaplanowała nasz mały „służbowy” lunch.

Upijam łyk wina i mówię:

– Pytasz o pracę? – Moje myśli pędzą w kierunku różnych plotek, które krążą w wydawnictwie. W chwili gdy zamierzam zapytać go, czy słyszał, że autorka powieści kryminalnych Jennifer Coats nie jest zadowolona ze swojego redaktora w Putnam i chce sprzedać swój nowy maszynopis komuś innemu, Richard wzrusza ramionami i rozpiera się na krześle.

– O cokolwiek. – To cokolwiek sygnalizuje, że zdecydowanie nie jesteśmy na służbowym lunchu.

Ostrożnie zastanawiam się nad odpowiedzią, czując się tak, jak gdybym właśnie dotarła do rozwidlenia dróg. Jak w tych książeczkach, gdzie samemu wybiera się dalszy ciąg historii, które tak uwielbiałam w podstawówce. Mogłabym zwyczajnie opowiedzieć o plotce na temat Jennifer Coats albo skierować rozmowę z powrotem na zaproszenie Amy Dickerson do *The Today Show*.

Zamiast tego unoszę lewą dłoń, macham serdecznym palcem i wypalam:

– Rozwiodłam się.

Richard wygląda na zaskoczonego i mam nadzieję, że nie uda głupiego i nie zachowa się tak, jakby nic o tym nie wiedział. Z drugiej strony być może dziwi go to, że tak chętnie mu o tym mówię. Sama jestem trochę zdziwiona. Richard ciągnie się za ucho i mówi:

– Słyszałem. Przykro mi.

Zastanawiam się, czy nie powiedzieć: „Wszystko w porządku”, ale nie znoszę, kiedy ludzie mówią w ten sposób po śmierci bliskiej osoby albo po innym smutnym wydarzeniu. W końcu tak naprawdę wcale nie jest w porządku. Zatem mówię tylko:

– Dzięki. Zdarza się.

Richard kiwa głową, kołysząc kieliszek wina. Upija spory łyk, po czym mówi:

– W połowie wypadków, z tego, co mi wiadomo.

– Tak – mówię. – Ale ty nigdy nie próbowałeś się w to bawić, prawda?

Pierwsza karta z osobistym pytaniem oficjalnie padła na stół. Richard śmieje się.

– Dobrze to ujęłaś.

– Byłeś kiedyś blisko? – pytam.

Druga.

– Pewnie.

– Jak bardzo?

Trzecia.

– W sumie nie za bardzo.

Richard szybko pozdrawia kogoś na drugim końcu sali. Zastanawiam się, czy się nie odwrócić i zobaczyć, kto to taki, lecz i bez tego czuję się tak,

jakby przyłapano mnie na gorącym uczynku, i nie chcę w dodatku tak wyglądać.

Jak gdyby czytając mi w myślach, Richard mówi:

– Jason Saul.

Posyłam mu zdziwione spojrzenie, a on mówi:

– Taki niezbyt ważny koleś z marketingu. Z hiszpańską bródką.

– Ach, tak – mówię. – Tak naprawdę to kozia bródka. A nie hiszpańska.

– Jest jakaś różnica?

Wyjaśniam, na czym polega różnica, wskazując własną brodę. Richard kiwa głową, wygląda na oświeconego. Przypomina mi się moja ulubiona historia o zaroście na twarzy. Wiele lat temu Michael konkurował w zapuszczaniu brody z innym facetem z pracy. Sromotnie przegrywał i aby podsumować swoje marne położenie, skinął podczas lunchu w stronę dziewczyny o imieniu Sally, w której nawet trochę się podkochiwał, i powiedział:

– Nawet Sally pobiłaby mnie na głowę. – Próbował być zabawny, ale na jego nieszczęście Sally była ciemnowłosą Włoszką należącą do tych dziewczyn, które woskują obszar nad górną wargą. Sally była wstrząśnięta i upokorzona, podobnie jak Michael, kiedy zdał sobie sprawę z popełnionej gafy. Teraz opowiadam tę historię Richardowi, a on się śmieje.

– Czy Sally jeszcze u nas pracuje? – pyta.

– Nie. Odeszła wkrótce potem. Chyba przeżyła traumę.

Richard kiwa głową i mówi:

– Na czym to skończyliśmy?

– Dlaczego nigdy się nie ożeniłeś?

Czwarta.



– Kiedy spotkam kobietę, z którą będę lubił przebywać bardziej niż ze sobą samym – mówi – wtedy się z nią ożenię.

Śmieję się i mówię, że miałam zblizoną filozofię, kiedy poznałam Bena.

– Więc co się stało? Później zdałaś sobie sprawę, że nadal wolisz własne towarzystwo od przebywania razem z nim?

Piąta.

– Niezupełnie... po prostu chodziło o... różnice nie do pogodzenia.

Richard milknie, jak gdyby zastanawiał się, czy ciągnąć ten temat. Potem z tego rezygnuje i daje Tadowi znak, że chciałby jeszcze jedną lampkę wina.

Postanawiam po prostu mu powiedzieć:

– Nie chciałam dzieci. On chciał.

Może powinnam sprawić sobie koszulkę z takim napisem', Większość rozwodów nie daje się tak zgrabnie podsumować,

– Nie powinniście byli sobie tego wyjaśnić, zanim wzięliście ślub? – delikatnie pyta Richard.

– Zrobiliśmy to. Nie dotrzymał umowy. Teraz pragnie dzieci. A przynajmniej jednego. To o jedno więcej niż ja.

– Drań.

Śmieję się. Podoba mi się sposób, w jaki Richard nazywa Bena draniem.

Tad wraca z winem Richarda. No proszę, myślę, siedzimy tu sobie i opróżniamy kolejne kieliszki wina, dyskutując przy lunchu o moim rozwodzie i jego wiecznym kawalerstwie. Możliwe, że myśli o tym samym, bo zupełnie się otwiera i oboje rzucamy osobiste pytania zbyt szybko, aby za nimi nadążyć.

W pewnym momencie rzucam:

- Słyszałam, że ty i Hannigan macie mnie na swoich listach.
- A ja słyszałem, że prowadzę w twoim rankingu od trzynastu lat.

Mówię:

– Straszna plotkara z tego Michaela.

– Zatem to prawda?

Szybko bije mi serce, kiedy potwierdzam, że to prawda.

– Czuję się zaszczycony – mówi.

– I powinieneś – odpowiadam.

Pochyla się nad stolikiem i stuka w nóżkę mojego kieliszka.

– Wierz mi, jestem.

Bardzo staram się nie odwracać wzroku, po czym pochylam się nad stołem i stukam w nóżkę jego kieliszka.

– Ja też.

Kończymy lunch, rozmawiając i śmiejąc się. Potem, za radosną namową Tada, uznajemy, że filiżanka kawy to bardzo dobry pomysł. Kiedy dostajemy rachunek, Richard bierze go i mówi, że wliczy to w koszty.

– Dlatego że tak dużo rozmawialiśmy o interesach? – pytam.

– Otóż to – mówi.

Uśmiecham się. Jestem odprężona i podekscytowana, co jest sygnałem udanej randki. Wygląda na to, że rzeczywiście była to randka. Chociaż dociera to do mnie dopiero później, kiedy Richard i ja wracamy razem do pracy. Gdy zasiadam do poprawionego maszynopisu, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu myślę o innym mężczyźnie niż Ben.

## ROZDZIAŁ 13

W ciągu kilku kolejnych dni pracy wymieniamy z Richardem około trzydziestu e-maili dziennie. Wszystko rozgrywa się pod przykrywką przyjacielskich żarcików, lecz same rozmiary tej korespondencji sugerują coś innego.

Pewnego razu, kiedy Michael wchodzi do mojego biura, przyłapuje mnie na uśmiechaniu się do ekranu komputera. Podbiega do biurka i zerka na moją skrzynkę wypełnioną listami od Richarda Margo. Jest ich tam co najmniej jednaście.

– Przyłapałem cię – mówi.

– Gdzie tam – mówię, ale mój durnowaty uśmiech sugeruje, że rzeczywiście mnie przyłapał.

– Co tu się, do cholery, dzieje?

Minimalizuję skrzynkę i bardzo staram się pozbyć pełnego poczucia winy uśmiešku, który nadal wyczuwam w kącikach ust.

– Bajerujesz mojego szefa?

– Nie – mówię z udawanym oburzeniem.

DZYŃ! Rozlega się głośny dźwięk mojego e-mailowego powiadamiacza.

– Czy to od niego? – dopytuje się Michael.

Nie mogę się powstrzymać od otworzenia wiadomości. Tak. Michael zagląda mi przez ramię.

– A niech mnie. Aż tak go bajerujesz!

– Nie ma mowy o żadnym bajerowaniu – mówię.

A jednak.

– Czy mogłabym liczyć na trochę prywatności? – pytam.

Kiedy Michael wychodzi, kręcąc głową, czytam ostatnią wiadomość od Richarda.

Piszę: „Tak”, po czym kasuję to i piszę jeszcze raz: „Z przyjemnością”, a potem klikam na „Wyślij”.

Ponownie czytam całą korespondencję zaczynając się od jego kolejnych nieudanych nawiązań do spraw służbowych.

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 30

DO: Claudia Parr

TEMAT: Timothy Lynde

Właśnie dzwonił Timothy Lynde. Interesuje go zorganizowanie promocyjnego tournée jego książki. Myślę, że warto. Masz jakiś pomysł na to, jaki rynek byłby dla niego najlepszy? Daj znać, co o tym sądzisz... A tak na marginesie, czy wspominałem Ci już, że dobrze się bawiłem podczas naszego lunchu kilka dni temu? Dzięki za towarzystwo.

OD: Claudia Parr PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 31

DO: Richard Margo

TEMAT: Re: Timothy Lynde

Pomyślę o odpowiednich miastach i pogadam z Timem. Jest mormonem, więc Salt Lake City to pewniak... Jeśli chodzi o lunch, tak, wspominałeś o tym... Ja też spędziłam miłe chwile.

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 38

DO: Claudia Parr

TEMAT: Mormoni

Mormon, mówisz? Kiedyś spotykałem się z pewną mormonką... Nic dobrego z tego nie wyszło.

OD: Claudia Parr PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 44

DO: Richard Margo

TEMAT: Re: Mormoni

Próbowała Cię nawrócić?

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 50

DO: Claudia Parr

TEMAT: Re: Re: Mormoni

Nie, przespałem się z nią i nałożyli na nią ekskomunikę... Było nieciekawie.

OD: Claudia Parr PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 55

DO: Richard Margo

TEMAT: Re: Re: Re: Mormoni

Wstydź się. Kiedy to było?

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 9. 58

DO: Claudia Parr

TEMAT: Jestem stary

W liceum. W latach siedemdziesiątych. Ty pewnie kończyłaś szkołę z rocznikiem 2000?

OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 00

DO: Richard Margo

TEMAT: I w dodatku zabawny

Ha, ha,

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 03

DO: Claudia Parr

TEMAT: Ty

Założę się, że w liceum byłaś śliczna. OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 08

DO: Richard Margo

TEMAT: Nie

Wręcz przeciwnie. Byłam wyjątkowo nijaka.

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 08

DO: Claudia Parr

TEMAT: Re: Nie

Założę się, że ja bardziej.

OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 10

DO: Richard Margo

TEMAT: Re: Re: Nie

Sprowadzałeś na złą drogę wystrzałowe mormonki. Ja byłam klasowym skarbnikiem. Spróbuj to przebić.

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 19

DO: Claudia Parr

TEMAT: Re: Re: Re: Nie

No cóż, ja byłem szkolną maskotką... zresztą kto powiedział, że była wystrzałowa?

OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 25

DO: Richard Margo

TEMAT: Tak, jasne

Coś mi mówi, że jednak była.

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 26

DO: Claudia Parr

TEMAT: Byłem ogierem

Okej, tak naprawdę nie byłem szkolną maskotką. I tak naprawdę rzeczywiście była całkiem do rzeczy. Sobowtór Marcii Brady. W tamtych czasach to było coś. Czy już ci zaimponowałem?

OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 44

DO: Richard Margo

TEMAT: Re: Byłem ogierem

Człowieku, jesteś stary jak świat. Tak, zaimponowałeś mi... Mój ówczesny chłopak bardziej przypominał Screecha ze *Szkoły urwisów*...

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 10. 49

DO: Claudia Parr

TEMAT: Nadal jestem ogierem

Znam ten film, ale nie mogę sobie przypomnieć Screecha... Ja byłem wielkim fanem *Z Archiwum X*. Czy to nie leciało w czasach Twojego liceum?

OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 11. 01

DO: Richard Margo

TEMAT: Re: Nadal jestem ogierem

Tylko mi nie mów, że podkochiwałeś się w Scully?

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 11. 09

DO: Claudia Parr

TEMAT: Re: Re: Nadal jestem ogierem

Ach, Scully. Tak, podkochiwałem się w niej... Nawet trochę ją przypominasz. Potrzebujesz tylko granatowego kostiumu, blachy FBI i

gotowe. Potrafisz na zawołanie mówić medycznym żargonem? Jeśli tak, chyba mógłbym się w Tobie zakochać.

OD: Claudia Parr

PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 11. 22

DO: Richard Margo

TEMAT: Podziałało?

Biały mężczyzna, lat trzydzieści osiem. Rany uciskowe wzdłuż górnego odcinka żyły głównej, przedniego lewego płuca i oskrzeli... Niebieski alarm! Spada tętno! Trzeba nakłuć osierdzie! Już się zakochałeś?

OD: Richard Margo PRZESŁANO: 27 lipca, godz. 11. 23

DO: Claudia Parr

TEMAT: Pewnie, że tak

Zdecydowanie tak. Pójdiesz ze mną na kolację w sobotę wieczorem?

W sobotę Daphne przyjeżdża do centrum, żeby pójść ze mną i z Jess na zakupy. Nasza misja: znaleźć strój na randkę, który zrobi wrażenie na Richardzie. Jess gwarantuje, że nowe ubranie da mi pewność, jakiej potrzebuję, aby wieczór zakończył się sukcesem. Liczę na to, że ma rację, ponieważ od chwili, w której zgodziłam się na randkę, czuję się raczej zdenerwowana niż podekscytowana. Denerwuję się tym, że znowu umawiam się na randki, i tym, że umawiam się z kimś z pracy. Moje zdenerwowanie dodatkowo potęguje fakt, że od lunchu w Bolo nie rozmawiałam z Richardem osobiście. Nie rozmawialiśmy nawet przez telefon. Dochodzę do wniosku, że e-maile pozwalają wykazać o wiele więcej odwagi, niż ma się w rzeczywistości. Jakaś część mnie obawia się, że wirtualna przestrzeń przypomina przedwczesny seks, po którym trzeba się rano obudzić i spojrzeć facetowi w twarz – na trzeźwo i bez makijażu. Richard i ja powiedzieliśmy



sobie w e-mailach strasznie dużo flirciarskich słów, lecz siedzenie z nim przy jednym stole to coś zupełnie innego, a czekanie na pierwszą chwilę w restauracji przyprawia mnie jedynie o mdłości.

Zatem Jess, Daphne i ja wyruszamy bladym świtem na wielkie zakupy. Najpierw wpadamy do Intermiksa przy Piątej, gdyż znajduje się zaledwie kilka przecznic od mieszkania Jess. Taneczna muzyka dudniąca w sklepie jest wyraźnym znakiem, że sprzedawane tu ubrania są dla mnie zbyt trendy. Nie chodzę już do klubów i mam za sobą czasy, kiedy trzeba krzyczeć, żeby usłyszał cię barman – więc z pewnością ta sama reguła odnosi się do zakupów. Głośno wrzeszcząc, dzielę się tym spostrzeżeniem z Jess, ale ona unosi dłoń, żeby zasygnalizować, że nie jest jeszcze gotowa do wyjścia. Patrząc, jak ze znanstwem przerzuca wieszaki z ubraniami, znajdując stylową parę białych spodni, wiążaną na szyi jedwabną bluzkę w turecki wzór i krótki żakiet w kolorze fuksji. To rzeczy, których nigdy bym sama nie wybrała – razem ani nawet osobno – Jess ma jednak zadziwiające wyczucie stylu. Ma również talent do dobierania rzeczy, których nigdy nie wyobraziłabym sobie w komplecie – tworzy z nich zupełnie nowy strój. Rzecz jasna, w takich sprawach pomaga posiadanie furi pieniędzy. Dzięki nim Jess kupuje, co tylko zechce, i bez większego zastanowienia pozwala sobie na nieuniknione błędy, które popełniają wszystkie robiące zakupy kobiety. Która z nas choć raz nie zachwyła się czymś w przymierzalni, a kiedy wróciła do domu, nie mogła na to patrzeć? Ja, jeśli kupuję coś, czego później nie noszę, przeklinam siebie miesiącami, lecz w szafie Jess bezustannie wiszą dziesiątki modnych odrzutów, które miała na sobie raz albo i wcale. Wielką tragedią naszej przyjaźni, przynajmniej z mojego punktu widzenia, jest fakt, że nosimy różne rozmiary. Byłabym skłonna zabić zwłaszcza za to, aby moje stopy urosły o

dwa i pół centymetra i mogły paradować w jej kolekcji butów Jimmy'ego Choo.

Chociaż ufam Jess w sprawach mody, teraz jestem sceptyczna wobec jej wyborów.

– To zupełnie nie w moim stylu – mówię, wskazując wiązaną na szyi bluzkę, którą przystawia do mojej piersi.

Zerkam na białe spodnie w jej drugiej ręce. – I nie ma czasu, żeby je skrócić. – Spodnie prosto ze sklepu nigdy nie zdają egzaminu, kiedy ma się zaledwie metr sześćdziesiąt.

– Daphne może zająć się przeróbką. Prawda, Daph? – pyta Jess.

Daphne gorliwie przytakuje. Jest specem w dziedzinie domowych spraw. Wie, jak zrobić takie niepozorne rzeczy, jak łączenie piany z białek z resztą ciasta, wywabianie plam z czerwonego wina czy układanie bukietów. Nie mam pojęcia, gdzie nauczyła się większości z nich. Z pewnością nie od naszej matki, która ma problem z wyrównaniem kantów spodni wiszących na wieszaku. Nie twierdzę, że sama jestem w tym ekspertem. Wieszanie spodni było jedną z tych rzeczy, które zawsze robił za mnie Ben. Zanim z nim zamieszkałam, większość mojej garderoby można było znaleźć na oparciach różnych krzesel. I tam teraz powróciły.

– Po prostu je przymierz – Jess ponownie wskazuje przymierzalnię niedopuszczającym sprzeciwu gestem. Ulegam temu rozkazowi, myśląc w duchu, że kiedy już doczeka się dzieci, będzie rzadkim okazem matki, która wciela w życie ideę stawiania do kąta.

– To kompletna strata czasu – mruczę, lecz wątpię, żeby mnie słyszała na tle pulsujących rytmów remiksu *I Want Your Sex* George'a Michaela. Przypomina mi się dzień, kiedy Jess wybrała się z kolegami z pracy na małe

karaoke i zgłosiła się do śpiewania przy tej melodii. To dopiero była odwaga – wyjść na scenę i zaśpiewać piosenkę, która na koniec zmusza cię do ciągłego wykrzykiwania słów: „Prześpij się ze mną!”, w sali pełnej pijanych bankierów. W przypadku Jess nie było to żadnym zaskoczeniem.

Po chwili wychodzę z przebieralni przekonana, że dowiodłam swoich racji. Spodnie wyglądają workowato, co wywołuje u mnie lekki szok, ponieważ są w rozmiarze trzydzieści sześć, a zwykle noszę trzydzieści osiem. Z drugiej strony wiem, że od czasu rozvodu zgubiłam kilka kilogramów – co najmniej pięć, a może i więcej. Wczoraj wieczorem mówiłam Jess, że istnieją dwa typy kobiet: te, które jedzą w sytuacji kryzysu, i te, które w czasie kryzysu tracą apetyt. Większość zalicza się do zgrai żarłoków, więc uważam się za szczęściarę, będąc w drugim obozie.

– Są niesamowite – mówi Jess. – Bez względu na to, czy je dziś włożysz, czy nie, to zdecydowanie strzał w dziesiątkę.

– Nie są za duże? – pytam i podciągając je do góry, przyglądam się mojemu odbiciu w lustrze.

Jess bije mnie po dłoniach i wyjaśnia, że mają wisieć nisko, na biodrach.

– Poza tym białe spodnie nie mogą być obcisłe. Wyglądałybyś jak sierota. Czarne obcisłe spodnie to jedna sprawa, ale obcisłe białe spodnie są takie... w stylu Britney Spears – mówi Jess, żeby dopiec Daphne.

To pewne przeciwieństwo jej tradycyjalistycznej, domatorskiej natury, lecz Daphne należy do tych kobiet, które uwielbiają wszystko, co tandetne i młodzieżowe. Ma kompletny zestaw płyt DVD z odcinkami *Jeziora marzeń*. Nadal trzyma pluszowe zwierzaki na kanapie pod oknem w swojej sypialni. Zamawia również połyskliwe koszulki sprzedawane razem z „Us Weekly”, z napisami w stylu „Diwa trenuje”. Wszystko wskazuje więc na to, że Daphne

jest fanką Britney. Pewnego razu posunęła się do tego, że poszła zobaczyć występ swojej idolki w Rockefeller Plaza dla *The Today Show*. Należała do bardzo nielicznych kobiet tuż przed trzydziestką kołyszących się bez żadnej dwunastolatki w pobliżu. Najśmieszniejsze okazało się to, że kilkoro piątoklasistów zobaczyło ją w telewizji przed wyjściem do szkoły i było pod wielkim wrażeniem, widząc swoją nauczycielkę śpiewającą *Hit Nie Baby One More Time*. Powiedziałam Daphne, że prawdopodobnie poczuli się tak, jak gdyby ich własna nauczycielka tańczyła w jakimś telewizyjnym serialu. Coś takiego robiło wrażenie, ale było odrobinę niepokojące. W końcu nauczyciele powinni byli zasychać wieczorami w klasach, podczas gdy uczniowie wracają do domu i prowadzą normalne życie.

W każdym razie Daphne i Jess zgadzają się, że moje białe spodnie wyglądają cudownie, i Daphne uparcie zapewnia, że je skróci, bez problemu. Zgadzą się również, że jedwabna bluzka też jest twarzowa. Odslania mój niewielki rowek między piersiami i jest obcisła w odpowiednich miejscach (co nawiązuje do kolejnej zasady Jess z zakresu mody: jeśli spodnie są szerokie, góra powinna być obcisła – albo na odwrót). A kurteczka w kolorze fuksji stanowi idealne wykończenie.

– Na wypadek gdyby w restauracji było chłodno – mówi Jess.

– Albo na wypadek gdyby podkreślił w domu klimatyzację... – mówi Daphne, chichocząc, podczas gdy ja obracam się na palcach przed lustrem. Muszę przyznać, że rzeczywiście wyglądam całkiem dobrze. Przed wszystkim myśl o zakończeniu zakupów jest szalenie kusząca. Naprawdę nie cierpię robić zakupów. Gdybym wygrała na loterii, jedną z pierwszych decyzji, które bym podjęła, byłoby zatrudnienie osobistej asystentki do spraw zakupów – produktów spożywczych, ubrań, świątecznych prezentów,

wszystkiego. Zatem pospiesznie się przebieram, biegnę do kasy, rzucam moją kartę kredytową i kupuję cały komplet gwarantujący mi pewność siebie oraz to, że Richard padnie z wrażenia.

Wieczorem od razu dochodzę do wniosku, że Jess i Daphne miały rację w kwestii ubrania. Przede wszystkim doskonale pasują do tłumu w Spice Market, wystawnej dwupoziomowej restauracji w Meatpacking District. Co ważniejsze, Richard od razu mówi, że wyglądam fantastycznie.

– Nigdy wcześniej nie widziałem cię w czymś takim – mówi, kiedy idziemy za kelnerem do stolika. Jego dłoń przez chwilę spoczywa na moich plecach. – Ale chyba nigdy nie widziałem cię poza pracą...

– Ja ciebie też nie – mówię, podziwiając jego sztruksową marynarkę.

Nagle przypomina mi się pewien ekstrawagancki gej, który niegdyś był jego asystentem, Jared Lewison. Jared trzymał na biurku karteczki ponumerowane od jednego do dziesięciu i oceniał ubranie przechodzących obok ludzi (rzecz jasna, za ich plecami), jak gdyby był jakimś sędzią na olimpiadzie. Michael, który kumpłował się z Jaredem, miał z tego niezły ubaw i przekazywał wyniki reszcie pracowników. Tak naprawdę mam wobec Jareda dług wdzięczności, gdyż udzielił mi jednej z podstawowych lekcji życia: nie wkładaj białych skarpetek do czarnych spodni. Michael poinformował mnie, że za tę odzieżową gafę dostałam trójcę.

Teraz pytam Richarda, czy wiedział o karteczkach Jareda Lewisona.

– Pewnie, że tak – mówi Richard. – Wszystko wskazuje na to, że zazwyczaj mieściłem się pomiędzy dwójką a czwórką... Mój rekord to szóstka.

– Co miałeś na sobie, kiedy dostałeś szóstkę? – pytam, kiedy nasza kelnerka, odziana w pomarańczowe kimono, przynosi menu z grymasem niezadowolenia mówiącym: „Jestem dla was za dobra”.

– To chyba był jakiś golf – mówi rozbawiony.

Uśmiecham się, zauważając, że moje zdenerwowanie już minęło.

Richard wygląda tak, jak gdyby nadal zastanawiał się nad kartami Jareda, kiedy mówi:

– Słyszałem, że jeśli włożyło się coś od Louisa Vuittona albo od Prady, Jared automatycznie przyznawał dodatkowy punkt, ale kiedy zobaczył coś Gapa albo, broń Boże, Old Navy, od razu odbierał trzy punkty. Śmieję się i pytam:

– Co teraz porabia nasz stary dobry Jared?

– Nie jestem pewien. Ale coś mi mówi, że siedzi w jakimś barze ze swoimi modnymi przyjaciółmi i mówią sobie nawzajem, jak wspaniale wyglądają.

Chichoczę, przypominając sobie kolejną historię o Jaredzie.

– O co chodzi? – pyta Richard.

– O nic – mówię, patrząc, jak mężczyzna, który prawie na pewno jest Chrisem Nothem\*, podchodzi do baru w towarzystwie pięknej blondynki. Jest o wiele niższy, niż przypuszczałam, i myślę sobie: Pan Medium. – Po prostu się uśmiecham.

\* *Znany aktor (przyp. tłum. ).*

– No powiedz. Co cię tak bawi? – nalega Richard, gdyż wyraźnie widać, że wcale się nie uśmiecham, lecz raczej chichoczę, co jest oczywiste dla mojego rozmówcy.

– Po prostu myślałam o tym, co pewnego razu zrobił ci Jared – mówię.

– Co takiego? – pyta, wyglądając na zaniepokojonego. Przynajmniej udaje zaniepokojonego.

– No cóż, słyszałam, że przeszukał twój kosz na śmieci i znalazł kartkę z dosyć barwnymi erotycznymi aluzjami.

Sprawia wrażenie zażenowanego i pyta: –Kiedy to było?

Trudno to uznać za zaprzeczenie, co podkreślam, mówiąc:

– Zatem zdarzyło ci się to kilkakrotnie?

Wykonuje gest oznaczający: „Proszę o kolejne dowody”.

– Nie wiem. Jakieś trzy lata temu. Słyszałam, że Jared podejrzewał cię o sypianie z jakąś kobietą z działu artystycznego – mówię, próbując przypomnieć sobie jej imię.

– Z Lydią – mówi.

Pstrykam palcami i wymierzam w niego wskazujący palec:

– Otóż to. Naprawdę tak było? Kiwa głową.

– Rzeczywiście, sypiałem z nią... Ale chyba nie podpisała się na tej kartce?

– Nie – mówię. – Jared rozpoznał jej charakter pisma. Latał z tą kartką i próbką jej pisma z notesu po całym wydawnictwie. To była jedna z jego najbardziej wzniosłych chwil.

– Jejku. Był dobry – mówi Richard.

– Wygląda na to, że ty też. Przynajmniej według Lydii. Ten komentarz zaskakuje mnie samą, ponieważ nigdy nie

byłam zwolenniczką erotycznych podtekstów. Przeglądając menu, obydwójce nadal się uśmiechamy, i próbuję odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego w towarzystwie Richarda czuję się tak swobodnie. Dochodzę do

wniosku, że ma to niewielki związek z nim samym (choć on też sprawia, że czuję się rozluźniona), a w większym stopniu wiąże się z moim rozwodem i nowym nastawieniem. Nie cierpię zachowywać się jak zblazowana baba, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że kiedy rozstałam się z Benem, potwierdziły się wszystkie moje obawy dotyczące małżeństwa. Nie jestem pewna, czy nadal wierzę w permanentną monogamię, a w każdym razie nie zamierzam ponownie jej próbować.

Zatem nie muszę przestrzegać żadnych zasad. Skoro myślałam, że jestem wolna, kiedy nie chciałam mieć dzieci, to tym bardziej jestem wolna teraz, gdy nie chcę nawet męża. Zamiast zgrywać niedostępną albo martwić się, jakie wywrę wrażenie, mogę robić wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy. A w tym momencie jest to śmiałe flirtowanie z wystrzałowym kolegą z pracy.

Z upływem czasu wpadamy w spokojny rytm mówienia, śmiania się i przedrzeźniania w sposób, który staje się możliwy tylko wówczas, gdy dobrze czujesz się w czyimś towarzystwie i bardzo tego kogoś lubisz. Nie ma tematów tabu. Rozmawiamy o podstawowych sprawach, ale przyprawiamy je odrobiną pikanterii i humoru. Rozmawiamy o pracy –i w ogóle o wydawaniu książek. Rozmawiamy o podróżach, książkach, muzyce i rodzinach. Rozmawiamy o dawnych związkach.

Gdy zaczynamy rozmawiać o Benie, obawiam się, że poczuję odrobinę smutku albo będę usiłowała zmienić temat, lecz nic takiego nie następuje. Spostrzegam, że używam czasu przeszłego z dziwnym uczuciem ulgi: „czułam, był, byliśmy”. Potem patrzę Richardowi w oczy i mówię:

– Dosyć tego.



Kiwa głową na znak zgody, a ja z powrotem przestawiam się na terażniejszość, szczęśliwa, że jestem tu w towarzystwie Richarda, że posuwam się naprzód.

RS

## ROZDZIAŁ 14

Pomimo sukcesu tej pierwszej randki z Richardem, zakończonej „ostatnim kieliszkiem przed snem” w jego mieszkaniu (przedrzeźniałam go, mówiąc, że tylko starzy mężczyźni używają takiego określenia), nie idziemy do łóżka na pierwszej randce. Ani na drugiej. Nie jestem pewna, z czego wynika to opóźnienie – ponieważ spokojnie można uznać, że żadne z nas nie ukrywa swoich pragnień ani nie sili się na pruderię. Wiem również, że Richard bardzo mi się podoba, i czuję, że ja bardzo podobam się jemu. Poza tym jestem pewna, że to zwlekanie nie ma nic wspólnego z Benem. Nie chcę ciągle o nim myśleć.

Zatem jedyne wytłumaczenie jest takie, że cieszy nas to narastające erotyczne napięcie i romansowanie. Zawsze lubiłam chodzić do pracy, lecz biuro nigdy nie było dla mnie kuszącym placem zabaw. Codziennie przychodzę wcześniej, spragniona pierwszego telefonu od Richarda. Pracuję do późna, żeby nadrobić trzygodzinne przerwy spędzone na pisaniu e-maili do faceta oddalonego o dwa piętra. Kiedy mijamy się w korytarzu, wymieniamy oficjalne pozdrowienia, po czym wracamy do naszych biur i piszemy coś w stylu: „Wy g l ą d a s z s z a ł o w o” – „Nie, to Ty wyglądasz s z a ł o w o”.

Zatem to chyba oczywiste, że po raz pierwszy całujemy się w pracy.

Jest późny poniedziałkowy wieczór – prawie dziesiąta – i właśnie przesłałam Richardowi pytanie dotyczące jednej z moich autorek. Kiedy czekam na odpowiedź, on niespodziewanie staje w moich drzwiach.

Podskakuję z zaskoczenia i mówię:

– Cholera, Richard! Wystraszyłeś mnie.

Posyła mi swój standardowy uśmiech, po czym z sarkazmem komentuje moje nieczyste sumienie.

Z uśmiechem kręcę głową. Następnie wstaję i ruszam w stronę drzwi.

– A dokąd to? – pyta, tarasując mi drogę.

Nasze ciała się dotykają – i ten kontakt sprawia, że czuję lekki przyływ adrenaliny.

– Do kserokopiarki – mówię i znowu próbuję wyjść. Ponownie zastawia mi drogę, po czym wciąga mnie do

biura, zamykając za nami drzwi.

– O co chodzi? – pytam, doskonale wiedząc, o co chodzi.

Jego twarz zbliża się do mojej. Przechylam głowę w prawo, pod moim ulubionym kątem do całowania. W tej samej sekundzie on też przechyla głowę w prawo. Nie ma żadnego trącania się nosami ani niezręczności. Nasze usta spotykają się spontanicznie, miękko. Potem stają się bardziej natarczywe. Gładko wchodzimy w rolę dwóch gwiazd filmowych, które całują się w zakazanym miejscu. Patrzę, jak całuję Richarda, świadoma tego, jak dobrze musimy wyglądać. Richard należy do tych mężczyzn, przy których każda kobieta wygląda dobrze.

Popycha mnie do tyłu, opiera o biurko, po czym unosi i sadza na blacie z idealną kombinacją namiętności i troski. Jego dłonie prześlizgują się po moich nagich udach. Cieszę się, że włożyłam dziś spódnice. I – alleluja! – koronkową dopasowaną bieliznę. Czasami sprawy naprawdę idą po twojej myśli.

Notuję w pamięci, żeby pomyśleć o tym małym błogosławieństwie, kiedy po raz kolejny będę narzekać na mojego pecha, na przykład siedząc

ściśnięta na środkowym fotelu samolotu pomiędzy dwoma przerośniętymi pasażerami.

Richard ciągle mnie całuje, głównie w usta, lecz również w szyję i obojczyk. Facet jest ekspertem i nie mam żadnych wątpliwości co do tego, gdzie zdobył doświadczenie. Myślę o Lydii z działu artystycznego – i o jego wszystkich pozostałych kobietach. O tych, które poznał w pracy, w barach i restauracjach, na randkach w ciemno lub w metrze. Ale nic mnie one nie obchodzą. Nie obchodzi mnie, czy spotyka się teraz z jakąś inną kobietą. Chcę tylko, żeby mnie dotykał, wszędzie, właśnie pod tymi jaskrawymi światłami.

– Przyjdiesz jeszcze do mojego mieszkania? – szepcze mi do ucha.

Kiwam głową i szepczę:

– Tak – a on nadal całuje moją szyję. Moje dłonie spoczywają na jego plecach, które wydają się bardziej umięśnione, niż się spodziewałam. Dochodzę do wniosku, że czterdzieści osiem lat to wcale nie tak dużo. Przywiera do mnie jeszcze mocniej. Tak, wcale nie tak dużo.

– Teraz? – pyta.

– Uhm – mówię. – Ale najpierw musisz przestać mnie całować.

Podejmujemy jeszcze kilka nieudanych prób oderwania się od siebie, lecz w końcu się nam to udaje i niemal bez tchu układamy plan: złapię taksówkę i poczekam, aż zabierze z biura swoje rzeczy. Całujemy się jeszcze raz. Potem otwiera drzwi. Uznaję za zwycięstwo to, że zauważa nas jedynie Jimmy, dozorca pracujący na moim piętrze, który kiwa głową na powitanie. Jednak tak naprawdę wcale nie dbam o to, kto się o nas dowie. Zaczynam traktować nasz związek jak coś w rodzaju honorowej odznaki. Widoczny dowód dobrego przystosowania mojej psychiki, która potrafi podźwignąć się

o własnych siłach. Nie jestem żadną ofiarą, zgorzkniałą rozwódką. I Richard jest tego dowodem.

Od razu łapię taksówkę i czekam na Richarda. Wskakuje do niej chwilę później, rzucając teczkę obok swoich stóp. Nie całujemy się w taksówce, lecz nawet na chwilę nie przestajemy się dotykać. Mówi mi, więcej niż raz, że nie może się doczekać, kiedy wejdę do jego domu.

Gdy wreszcie docieramy na miejsce, kierujemy się prosto do sypialni. Cieszę się, że nie proponuje mi nic do picia. Cieszę się, że nie siedzimy na kanapie i nie rozmawiamy. Dlatego że chcę po prostu znaleźć się w jego łóżku, dotykać go. Przed upływem dwóch minut od chwili przekręcenia klucza w zamku właśnie tam jesteśmy i właśnie to robię.

Wszystko, co ma związek z Richardem, jest fajne i delikatne – jego pościel, muzyka (Sam Cooke), nawet jego zwierzak: wyniosły kot syjamski o imieniu Rex, który pogardliwie obserwuje nas z parapetu. Jest tylko jeden niezręczny moment – ten, który był do przewidzenia. Richard przerywa, spogląda na mnie i mówi:

– Muszę coś założyć?

– Nie masz... nic przeciwko? – pytam, ponownie myśląc o Lydii i chorobie, która rymuje się z jej imieniem.

– O, nie. Jasne, że nie – mówi Richard, całując wewnętrzną stronę mojego lewego uda. – Ale... bierzesz pigułki?

Szeptuję, że tak.

– Pewnie, że bierzesz – mówi.

Jego komentarz sprawia, że wracam myślami do Bena i dzieci, i nie mogę nic poradzić na to, że czuję lekkie ukłucie tęsknoty. Myślę sobie, że mój były mąż prawdopodobnie robi teraz to samo z Tucker. Albo z kimś takim jak

ona. Z młodą, płodną dziewczyną przed trzydziestką. Powtarzam sobie, że powinnam cieszyć się chwilą. Że o wiele bardziej wolę być tutaj z Richardem, niż mieć dziecko. Nie ma porównania. Żadnego porównania.

Chwilę później zaczynamy się kochać.

– Dobra jesteś – szepcze do mnie w pewnym momencie.

– Mówisz to wszystkim dziewczynom – rzucam w odpowiedzi.

– Nie. Nieprawda – zaprzecza. – Mówię tylko to, co naprawdę myślę.

Uśmiecham się, ponieważ mu wierzę. Richard nie ma w sobie nic z pochlebcy.

Obydwoje dochodzimy, dzielą nas zaledwie sekundy, lecz nie tulimy się do siebie, kiedy jest już po wszystkim. Wyczułam, że Richard nie należy do zwolenników przytulania, i wcale mi to nie przeszkadza. Mogę zrezygnować z przytulania, jeśli mimo jego braku pozostaje poczucie jakiejś więzi, fizycznej lub innej. Z Richardem łączy mnie jedno i drugie. Siadamy obok siebie na łóżku, opieramy się o poduszki i skórzane wezgłowie. Nadal jesteśmy nadzy, lecz przykryci do pasa jego szarą kołdrą. Obejmuje mnie ramieniem, jego palce spoczywają na moim nadgarstku i od czasu do czasu bębnią w moją skórę.

Rozmawiamy o pracy, lecz nie w sposób, który sugerowałby, że nie mamy innych tematów. Raczej tak, jakbyśmy chcieli dowiedzieć się czegoś, o czym jeszcze nie wiemy. Pyta, czy Kocham to, co robię, i mówię mu, że tak.

– Co najbardziej lubisz w swojej pracy? – pyta.

Rozważam wszystkie typowe odpowiedzi udzielane przez redaktorów – coś o miłości do książek i słowa pisanego oraz o ucieczce w inny świat. Oczywiście, to wszystko prawda, ale nie to Kocham w redagowaniu

najbardziej. Jest coś innego – coś, co wiąże się raczej z odkrywaniem nowego talentu.

– Trudno to wyjaśnić – mówię. – Ale najlepszy jest chyba ten przyływ adrenaliny, kiedy coś czytam i czuję, że strasznie mi się podoba. Kiedy myślę: ten człowiek naprawdę, naprawdę potrafi pisać, i po prostu muszę z nim pracować.

Richard uśmiecha się i bierze mnie za rękę, jak gdyby chciał powiedzieć: „Mów dalej”.

Więc mówię.

– Znasz to graniczące z triumfem uczucie, kiedy będąc w liceum, słyszysz jakiś zespół, jeszcze zanim stanie się naprawdę sławny, i później możesz powiedzieć: „Och, Depeche Mode? Słucham ich od zawsze. Po prostu uwielbiam ich stare kawałki”?

Richard śmieje się i kiwa głową.

– No cóż, właśnie to czuję, kiedy odkrywam nowego autora – mówię. – To tak, jakbym była pierwsza. – Nagle czuję się zawstydzona, jak gdybym za bardzo się odsłoniła.

– A jak to jest u ciebie? – pytam. – Co najbardziej lubisz w swojej pracy?

– Och, nie wiem – mówi Richard. – Chyba podoba mi się to, że tak wiele w tej pracy zależy od osobowości... Poza tym lubię przyczyniać się do sukcesu książki... Lubię to uczucie, kiedy książce i autorowi wszystko się udaje, a ty dostajesz całe mnóstwo dobrych recenzji... Ale czasami mam wrażenie, że rządzi tym zasada „wszystko albo nic”. Wiesz, kiedy autor pyta: „Co ostatnio dla mnie zrobiłeś?”. Znasz to uczucie.

Kiwam głową. Doskonale znam to uczucie. Ciągnie dalej:

– Często zdarza się tak, że nie możesz wzbudzić żadnego cholernego zainteresowania jakąś książką. To naprawdę okropne, zwłaszcza jeśli lubisz tę książkę i jej autora...

Ponownie kiwam głową. To rozdzierające uczucie, kiedy uwielbiasz książkę, której się nie udaje. Co gorsza, zawsze mam wrażenie, że przydarza się to najfajniejszym autorom.

Richard mówi:

– Poza tym nie wiem... zazwyczaj reklama skupia pewien rodzaj ludzi, którzy czują potrzebę zabiegania o uznanie za wszystko, co robią, i którym nigdy do końca nie udaje się zrzucić reklamowej maski. Jak gdyby nieustannie znajdowali się w nastroju do pogaduszek i przez cały czas uganiaли się za światłem reflektorów.

– Ty taki nie jesteś – mówię, myśląc, że Richard w naturalny sposób skupia na sobie blask reflektorów. Wcale się za nim nie ugania.

– Boże. Mam taką nadzieję. Mówię ci, Parr, nic nie wzbudza we mnie takiej nienawiści do mojej pracy jak pójście na jakieś branżowe przyjęcie i patrzenie na tę całą wydawniczą pogoń za ludźmi z mediów, żeby się przedstawić i niezbyt subtelnie spróbować przepchnąć swoje projekty, przez cały czas uprawiając plakietkowy surfing. To brutalne.

– Plakietkowy surfing?

– No wiesz, ktoś zaczyna z tobą rozmawiać jak najlepszy przyjaciel, a kiedy myśli, że nie patrzysz, bardzo szybko zerka na plakietkę z twoim nazwiskiem, żeby zobaczyć, kim jesteś. I jeśli uznaje cię za kogoś wartościowego – i wystarczająco ważnego – rozmawia z tobą dalej. To wszystko przypomina zagłądanie komuś w dekolt. I jeśli na takim przyjęciu znajdzie się ktoś z „Timesa” albo czegoś w tym stylu, to wszystko zaczyna



przypominać walkę o ogień. Nie mam pojęcia, dlaczego ci koleisie w ogóle pokazują się na takich imprezach, chyba że potrzebują jakiegoś taniego sposobu na podrasowanie swojego ego.

Śmieję się i mówię:

– Tak, ale twojej plakietki nie trzeba czytać, Richard.

– To prawda – mówi z udawaną brawurą.

Dzwoni jego telefon, lecz nawet nie zerka w tamtym kierunku. Robię to samo, kiedy moja komórka wygrywa osobisty dzwonek Jess, *Słodko–gorzką symfonię* Verve. Jednak po chwili dzwoni znowu. I znowu.

– Lepiej odbiorę – mówię. – To Jess. Zdaje się, że ma jakąś ważną sprawę.

Richard wie, że Jess jest moją najlepszą przyjaciółką i współlokatorką. Pochyla się, całuje mnie w policzek i mówi:

– Jasne. Oddzwoń do niej.

Podnoszę bieliznę z podłogi obok łóżka, wkładam ją najszybciej, jak potrafię, i robię pięć lub sześć kroków w kierunku otomany Richarda, gdzie upuściłam torebkę. Znajduję telefon i dzwonię do mieszkania Jess. – Gdzie jesteś? – pyta.

– Jestem z Richardem – mówię. Podoba mi się brzmienie tych słów. Mam nadzieję, że będę je wymawiać jeszcze przez jakiś czas. – Co się dzieje?

– Rzucił mnie – mówi. Załamuje jej się głos, jak gdyby przed chwilą płakała albo zaraz miała zacząć. – Mówi, że nadal kocha żonę. Chce naprawić swoje małżeństwo.

– Zaraz będę w domu – mówię i zamykam klapkę telefonu.

Kończąc się ubierać, posyłam Richardowi przepraszające spojrzenie.

– Naprawdę mi przykro, ale muszę iść.

– Wszystko w porządku? – pyta, po czym spuszcza nogi na podłogę i wkłada bokserki.

– Kryzys sercowy – wyjaśniam.

– Nie wiem, co to takiego – mówi.

Zazdroszczę, myślę.

Odprowadza mnie do drzwi i całuje na pożegnanie. Zatrzymuję się na chwilę i myślę o tym, co powinnam powiedzieć. Decyduję się na:

– Dzięki za dzisiejszy wieczór.

Brzmi to nieco oficjalnie, więc uśmiecham się i dodaję:

– Dobrze się bawiłam.

– Zawsze do usług – odpowiada. – Mówię serio.

Kiedy wracam do mieszkania, Jess jest w rozsypce. Siedzi po turecku w kącie pokoju, a obok stoi jeden z jej białych spodeczków wypełniony co najmniej dziesięcioma niedopałkami. Rzuciła palenie kilka lat temu, ale powraca do nałogu zawsze, kiedy zawiera jakąś stresującą transakcję albo przechodzi emocjonalny kryzys. Wygląda krucho, bezbrinnie. Patrząc na nią w tym momencie, nikt by nie powiedział, że potrafi kupować i sprzedawać przedsiębiorstwa warte miliardy dolarów.

Przytulam ją i mówię, że mi przykro. Że wiem, jak bardzo chciała, żeby im się udało. Powstrzymuję się od nazwania go kłamliwym draniem. Przynajmniej na jakiś czas.

Mówi:

– Naprawdę mu wierzyłam – i zaczyna płakać. Ten widok rozdziera mi serce. Kolejny powód, żeby nie mieć dzieci. Myśl o patrzeniu na cierpienie własnego dziecka jest nie do zniesienia. Mimo wszystko, kiedy słucham, jak Jess gloryfikuje swój związek z Treyem, nie mogę się pozbyć uczucia, które

ogarnia mnie, kiedy przyjaciele tracą swoje zwierzęta i rozpaczają, jak gdyby umarł człowiek. Owszem, to smutne, ale nie aż tak, myślę wtedy. Wiem, że kochałaś Flasha, ale on był tylko bassetem, na miłość boską, a nie twoim synem. Chociaż być może jestem taka dlatego, że nigdy nie dorastałam wśród zwierząt (moja matka ma na nie alergię). Mniej więcej to samo czuję wobec Treya. Nigdy nie byłam z żonatym mężczyzną, ale mam ochotę powiedzieć Jess: „Owszem, podobał ci się i uwielbiałaś uprawiać z nim seks. Ale jak mogłaś go kochać? Był mężem innej kobiety. Miał dzieci. Był dla ciebie emocjonalnie niedostępny. Był oszustem. Tak naprawdę nigdy, nawet w najbardziej romantycznej chwili, nie byliście razem. Więc w rzeczywistości niczego nie straciłaś”.

W pewnej chwili mogłabym to wszystko powiedzieć, lecz to nie jest odpowiedni moment. Po prostu pozwałam jej płakać. Pamiętam, że to samo zrobiła dla mnie. Nie twierdzę jednak, że należy porównywać Treya do Bena.

– Wiem, że prawdopodobnie nie będziesz w stanie tego zrozumieć – mówi Jess po dłuższej chwili milczenia – ale myślałam, że Trey będzie ojcem moich dzieci. Zainwestowałam w niego dwa lata. Dwa lata. Jestem za stara, żeby znowu zaczynać poszukiwania.

– Nie jesteś za stara – mówię. – To absurd.

– Mam prawie trzydzieści pięć lat – mówi. – Kończy mi się czas. Kończą mi się jajeczka.

– Masz jeszcze mnóstwo dobrych jajczek – mówię. Bardzo staram się wytrwać w roli wspierającej przyjaciółki, lecz nie mogę przestać myśleć o drugiej części jej słów, o tych, które sugerują, że nic nie rozumiem. Nie chcę wzbudzać w niej dodatkowego smutku, co zwykle robi moja matka, kiedy ktoś inny doświadcza jakiejś traumy, lecz nie mogę nie zadać jej pytania:

– Dlaczego myślisz, że nie potrafię tego zrozumieć?

Jess i ja nigdy się nie kłócimy, więc brakuje jej doświadczenia potrzebnego do tego, aby usłyszeć urazę pobrzmiewającą w moim głosie. Nie może wiedzieć, jak bardzo jestem zdenerwowana. Jak bardzo żałuję, że w ogóle do niej oddzwoniłam. Nadał mogłam być u Richarda. Żałuję, że tak nie jest. Prawie. W sumie nie jestem do końca przekonana – w pewnym sensie miło było wyjść od niego w taki naturalny sposób. O wiele łatwiej niż wtedy, gdybym sama musiała zdecydować, czy powinnam zostać na noc.

Wiem jednak, że taki człowiek jak Trey nie powinien mieć wpływu na moje życie erotyczne. Wystarczy, że wpłynął na życie mojej najlepszej przyjaciółki.

Patrzę na Jess, czekając na odpowiedź. Zapala kolejnego papierosa i mówi:

– Dlatego że nie chcesz mieć dzieci.

Jasne, myślę sobie. I to pewnie oznacza, że nie mam też wyobraźni, empatii i uczuć. Pewnie nie potrafię sobie wyobrazić, jak czuje się inna kobieta, skoro sama nie chcę być matką. Bo co to za kobieta, która nie chce być matką?

## ROZDZIAŁ 15

Następnego dnia Daphne dzwoni do mnie z poczekalni w klinice płodności. Właśnie szykuję się do wyjścia na cotygodniowe zebranie redakcyjne i chcę poświęcić chwilę czasu na przejrzenie notatek albo przywitanie się z Richardem, albo na jedno i drugie. Zadzwoiłam do niego wczoraj wieczorem, po rozmowie z Jess, lecz nadal jest mi niezręcznie, że wyszłam tak szybko po tym, jak po raz pierwszy ze sobą spaliśmy. Mówię Daphne, że nie mogę rozmawiać i że zadzwonię do niej po zebraniu.

– Ale jest dwanaście po dziewiątej – mówi.

– Tak. I co z tego?

– Twoje zebranie nie zaczyna się chyba o dziewiątej piętnaście, prawda?

Doskonale wiem, dokąd zmierzają te pytania, lecz mimo to wpadam w jej pułapkę i mówię:

– Nie. Zaczyna się o dziewiątej trzydzieści.

– W takim razie masz jeszcze kilka minut, prawda? Kręcę głową i wzdycham. Wygląda na to, że zdaniem

Daphne posiadanie własnego biura i telefonu oznacza, że zawsze można rozmawiać. Jednak zamiast zagłębić się w szczegóły zebrania albo wspomnienia wieczoru u Richarda, mówię:

– Dobra, Daph. Mam jakieś trzy minuty. Co się stało? Na drugim końcu linii wyczuwam jej triumfalny uśmiech.

– No więc – mówi – jesteśmy u lekarza. Tony poddaje się testom. Wiesz, chcemy sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

– Racja – mówię, sprawdzając skrzynkę e-mailową. Jest jedna wiadomość od Richarda. Już sam widok jego imienia sprawia, że moje serce zaczyna bić szybciej. Wczoraj wieczorem był taki dobry.

Daphne kontynuuje:

– Pierwszy krok to analiza nasienia.

– Uhm – mówię. – Brzmi całkiem sensownie.

– No więc wsadzili go do tej klitki z filmami porno, magazynami z gołymi babkami i tego typu rzeczami.

Śmieję się i rzucam:

– Biedny Tony.

– Biedny Tony? – mówi Daphne. – Właśnie w tej chwili gapi się na gołe kobiety. Chyba nie musisz uważać się nad nim.

– Mimo wszystko myślę, że jest zakłopotany – mówię. Szybko otwieram wiadomość od Richarda i czytam: „Kiedy znowu się zobaczymy?”

Uśmiecham się i odpisuję: „O dziewiątej trzydzięci. Nie wybierasz się na zebranie redakcji?”. Daphne ciągnie dalej:

– On wcale nie jest zakłopotany. Uważa to wszystko za absurd. Sypał dowcipami, pytając pielęgniarkę, czy mają jakieś filmy z samymi dziewczynami.

– Tony opowiada dowcipy, kiedy jest zakłopotany. Pamiętasz, jak w któreś Święto Dziękczynienia zapomniał zaciągnąć ręczny hamulec na parkingu? – pytam, przypominając sobie, jak jego nowa czarna acura potoczyła się do tyłu i staranowała trzy samochody. – Przez całe lata robił na ten temat autoironiczne uwagi. Nadal o tym wspomina.

– To co innego – mówi Daphne. – Tamta sytuacja w pewnym sensie była zabawna. W każdym razie po fakcie.

– To też kiedyś wyda ci się zabawne – mówię, czytając praktycznie natychmiastową odpowiedź Richarda: „Miałem na myśli spotkanie sam na sam. Takie jak wczoraj wieczorem”.

– Więc nie mam żadnego powodu, żeby się złościć? – pyta Daphne.

To jej firmowe pytanie. Daphne zawsze wymaga ode mnie dokonywania oceny bezsensowności jej emocjonalnej reakcji na jakieś wydarzenie. Ciągle mam ochotę jej powiedzieć, że tak, zachowuje się nierozsądnie (co zwykle mówi jej Maura), lecz zdążyłam się już nauczyć, że w tych sprawach należy zachować ostrożność.

– Rozumiem, dlaczego możesz być zdenerwowana – mówię do Daphne, komponując odpowiedź dla Richarda: „Najszybciej jak to możliwe”.

– Przecież to obrzydliwe – mówi. – Poza tym dodaje kolejną warstwę upokorzenia do tej całej sprawy.

– Postaraj się nie myśleć o tym w ten sposób – tłumaczę jej. – Po prostu jakoś to wytrzymaj.

– No cóż, a nie sądzisz, że Tony powinien był im powiedzieć, że nie potrzebuje... pomocy? Nie sądzisz, że powinien myśleć o swojej żonie? Zamiast walić konia nad pornołami?

– Jestem pewna, że myśli o tobie. Daj mu kredyt zaufania, Daph.

– Tak, jasne – mówi. – Nasze życie erotyczne jest do bani. W ogóle nie istnieje, chyba że akurat mam owulację. A kiedy mam owulację, przypomina uciążliwy obowiązek.

– Będzie lepiej – mówię i znowu myślę o Richardzie. O tym, jak dobrze było mi wczoraj wieczorem. O tym, że nigdy nie będę musiała doświadczać męki prokreacyjnego seksu. – Po prostu żyjcie w sporym stresie.

Zerkam na zegarek. Jest dziewiętnaście po dziewiątej, a dotarcie do windy, wjechanie trzy piętra wyżej i dojście do sali konferencyjnej zajmuje około czterech minut. Zatem pozostaje mi jedynie siedem minut na przejrzanie notatek. W chwili kiedy mam się pożegnać, Daphne mówi:

– Myślisz, że to jego wina?

– Wina? Co masz na myśli? – pytam.

Oczywiście, że to nie wina Tony'ego, że klinika – znaleziona i wybrana przez Daphne – udostępnia pornografię.

– Myślisz, że to jego problem czy mój? To, że nie mogę zajść w ciążę?

Daphne z pewnością musi zdawać sobie sprawę, że nie mogę znać odpowiedzi, która wymaga przeprowadzenia skrupulatnych badań diagnostycznych, lecz coś takiego nigdy nie powstrzyma jej od zadania podobnego pytania. Jest wielką zwolenniczką spekulacji i zgadywania w ciemno.

Idę jej na rękę i mówię:

– Myślę, że rzeczywiście chodzi o niego. Ale mimo to przewiduję, że uda się określić konkretną przyczynę... Słuchaj, Daph, naprawdę muszę lecieć. Zadzwoń do ciebie po zebraniu, dobrze?

– Dobrze. Ale trzymaj kciuki za to, żebyś miała rację... i żeby to naprawdę była jego wina – mówi, zanim w końcu się żegnamy.

Jej ostatnia uwaga o winie rozprasza mnie tak bardzo, że odkładając słuchawkę, marszczę brwi, z czym zazwyczaj można się spotkać jedynie w kiepskich serialach telewizyjnych. Nie jestem pewna, co mnie tak niepokoi, lecz przekonuję samą siebie, że mogę się nad tym zastanowić nieco później.

Teraz muszę wprowadzić się w akwizytorski nastrój. Celem cotygodniowych zebrań w redakcji jest przekonanie do maszynopisów



dyrektora redakcji i szefów innych działów, którzy mogą odrzucić propozycję z przeróżnych powodów: ta książka się nie sprzeda, ta książka za bardzo przypomina inną książkę, którą wydaliśmy w zeszłym roku, albo zwykłe stare: „Ten maszynopis jest do kitu”. Rzecz jasna, redaktorzy mają wiele do stracenia, więc zebrania toczą się zazwyczaj w darwinowskiej atmosferze i w grę wchodzi mnóstwo biurowej polityki. Emocje sięgają zenitu, a młodsze redaktorki, które rozpaczliwie pragną wyrobić sobie nazwisko, nierzadko opuszczają pokój zalane łzami. Wspinając się po szczeblach kariery, zaliczyłam moją dolę traumatycznych zebrań, lecz w tym roku przekonałam kierownictwo do moich wszystkich sześciu powieści (co można by uznać za rekord na skalę wydawnictwa) i byłabym niezmiernie szczęśliwa, mogąc utrzymać te idealne wyniki na dotychczasowym poziomie. Poza tym chcę zaimponować Richardowi. Naprawdę byłoby szkoda, gdyby moja dobra passa zakończyła się tuż po ostatnim wieczorze.

Wchodząc do sali konferencyjnej, od razu wyczuwam obecność Richarda. Słyszę jego donośny śmiech i kątem oka widzę, jak nalewa kawy do styropianowego kubeczka. Nie mam odwagi do niego podejść ani nawet spojrzeć w jego stronę. Zamiast tego unikam wszelkich pogaduszek i siadam przy długim prostokątnym stole, gdzie sumiennie przeglądam notatki, gdy nagle Jacqueline Dody, moja dobra przyjaciółka i najbliższa redakcyjna sojuszniczka, siada obok i pyta, czy chcę pączka. Mówię, że nie, dziękuję, i możliwe, że to pierwszy wypadek w moim życiu, kiedy odmówiłam pączka z kremem. Dzisiaj jestem jednak zbyt zdenerwowana, żeby jeść. Nigdy nie musiałam oficjalnie przemawiać przed człowiekiem, z którym właśnie się przespałam – ani nawet przed takim, z którym przespałam się kiedykolwiek.

Właśnie wtedy słyszę słowa Richarda:

– Co jest? Parr odmawia pączka?

– Bez jaj! – mówi Jacqueline. – Sama skóra i kości. Możesz sobie pozwolić na kalorie.

– Tak – mówi Richard. – Nie wiesz, że odmawianie słodczy przez kogoś o figurze modelki jest w złym guście?

Patrzę na niego, jednocześnie zaskoczona i zachwycona tym, że w ciągu pięciu minut udało mu się skomplementować moje ciało.

– Hej, usiłuję się skupić – mówię, podczas gdy Richard zajmuje miejsce naprzeciw mnie. Czuję się nieswojo, zwłaszcza kiedy dotyka nogą mojej stopy. Kręcę głową i odsuwam nogę, zastanawiając się, ile razy bawił się pod tym stołem w takie macanki. Jestem ciekawa, czy kiedykolwiek spał z jakąś inną redaktorką, i mogę mieć tylko nadzieję, że odpowiedź brzmi „nie”.

Kiedy jego stopa znowu dotyka mojej, rzucam mu udawane ostrzegawcze spojrzenie. Uśmiecha się i pyta:

– O co chodzi?

– O nic – mówię i znowu kręcę głową.

Dyrektor redakcji Sam Hewlett rozpoczyna zebranie tradycyjnie ochrypłym i poważnym tonem, po czym oddaje głos Molly Harrington, redaktorce, która zachwala napisaną przez młodą autorkę historyczną powieść osadzoną w Brugii. Próbuję skupić się na Molly, ale jestem w stanie myśleć tylko o tym, co wydarzyło się zeszłego wieczoru. W pewnej chwili Richard zaczyna gryzmolić w notesie, a ja nie mogę oderwać wzroku od tych linii – i od jego dłoni. Kiedy spostrzega, że mu się przyglądam, pisze słowa: „Nadal czuję”, zamazuje to, rozgląda się, żeby mieć pewność, że nikt nie zwraca na niego uwagi, i pisze „Twój”. Potem otwiera notes na czystej stronie

i pisze „smak”. Serce zaczyna mi łomotać w piersi, kiedy myślę o jego ustach na moim ciele. Przysięgam sobie, że nie spojrzę już więcej na jego notes.

Dwie godziny i sześć książek później (z których cztery odrzucono) przychodzi kolej na moją prezentację. Richard odwraca krzesło w moją stronę i uśmiecha się. Próbuję nie zwracać na niego uwagi, lecz i tak zaczynam trochę niepewnie, kiedy przedstawiam moją powieść i zachwycam się tym, jaka jest dowcipna i czarująca. Następnie dodaję:

– Mówiąc konkretnie, historia opowiada o kobiecie, która mieszka w Chicago i nagle, z różnych przyczyn, postanawia porzucić swoje cudowne, ustabilizowane życie i wyjechać na południe Francji. Napotyka mnóstwo przeszkód i przeciwności losu, lecz w końcu dokonuje kilku zaskakujących odkryć na swój temat... Ta książka niesamowicie podnosi na duchu i jest bardzo wciągająca.

Sam przerywa mi i pyta:

– Kto twoim zdaniem będzie stanowił grupę docelową? Mówię:

– Myślę, że ta książka przemówi do każdego, kto lubi Petera Mayle'a.

Jednak cała historia ma realistyczną wymowę, więc tak naprawdę uważam, że będzie się cieszyła jeszcze większym powodzeniem niż książki Mayle'a. Sądzę, że spodoba się kobietom w każdym wieku. I szczerze mówiąc, mężczyźni również znajdą w niej coś dla siebie.

Inna redaktorka, Dawn Bolyn, pochyła się nad stołem z triumfującą miną. Dawn jest jedną z tych kąśliwych, ultraambitnych osób, które wydają się absolutnie zazdrosne o cudze sukcesy, a zwłaszcza o moje. Zatem nie jestem zaskoczona, kiedy mówi:

– Brzmi jak kopia *Pod słońcem Toskanii*.

– No cóż, Dawn – mówię z przesadną cierpliwością. – Po pierwsze, tu chodzi o Francję, a nie o Włochy.

Ku widocznemu zgorszeniu Dawn, mój komentarz wywołuje kilka uśmiechów. Następnie dodaję:

– Poza tym te książki nie mają ze sobą nic wspólnego.

I proszę, zacznij wreszcie używać toniku do tej swojej tłustej twarzy.

Jacqueline staje po mojej stronie:

– No cóż, mnie bardzo spodobał się styl autorki. Jest niezwykle wyrazisty i opisowy, ale nie rozwlekły... A historia była szalenie wciągająca. Przez całą niedzielę miałam diabelnego kaca, ale nie mogłam przestać czytać.

Wszyscy się śmieją, gdyż Jacqueline słynie z popadania w przesadę, kiedy wychodzimy po pracy na drinka. Sam mówi:

– No cóż, zgadzam się z Jacqueline, że styl jest opisowy i wyrazisty... w tej książce było jednak coś, co wydawało się... małe.

Nazwanie jakiejś książki małą brzmi w ustach Sama jak ostateczne potępienie, zatem zaczynam się poważnie martwić. Kiedy usiłuję sformułować odpowiedź, Richard wyciąga skuwkę z ust i mówi:

– Powiedz nam, Claudio, czy autorka rzeczywiście przeprowadziła się do Francji?

Kręcę głową. Wiem, że zmierza do korzyści płynących z recenzji.

– W takim razie niestety nie będziemy mogli dać jej etykiетки rasowej literatury faktu, ale i tak nieźle się zapowiada. Wyobrażam sobie świetny tekst na okładkę... Zresztą myślę, że dokonania Claudii mówią same za siebie. Powinna utrzymać ten kurs.

Wszyscy patrzą na Richarda. Nieczęsto zabiera głos podczas zebrań, lecz jego opinia ma wielką wagę, więc jestem najzupełniej przekonana, że

przechylił szalę na moją stronę. Zgodnie z przypuszczeniami Sam zarządza głosowanie i moja propozycja uzyskuje nieznaczną przewagę.

Spoglądam na Richarda, który puszcza mi szybkie ukradkowe oczko.

Myślę sobie: o mój Boże, czyżby właśnie seks pomógł mi w pracy?

Nie jestem pewna, jak brzmi odpowiedź, ale nagle do mnie dociera, że granica pomiędzy dobrym życiem a skandalem jest niezwykle cienka.

Dzwonię do Daphne, gdy tylko wracam do biura. Jest w samochodzie, sama, i właśnie jedzie do spożywczaka.

– Jak poszło? – pytam.

– Jakoś poszło. Najwidoczniej wycisnął z siebie trochę spermy – mówi zjadliwie. – Dzięki pomocy studentek Shari i Shelli.

– Jaki jest werdykt?

– Badania trwają kilka dni... Ale cóż znaczy kilka dni, kiedy czeka się na dziecko od dziesięciu lat, prawda?

Mam ochotę zauważyć, że tak naprawdę wcale nie czeka na dziecko od dziesięciu lat. Nie można doliczać okresu, w którym nie starali się o potomka. Lat zakładania prezerwatyw, brania pigułek lub „modlenia się, kiedy jest już po wszystkim”, które stanowiło ulubioną metodę antykoncepcyjną Daphne i Tony'ego podczas upływających pod znakiem chińskich zupek lat ubóstwa spędzonych w college'u.

– Niedługo dowiesz się, w czym problem – mówię, spoglądając na skórki wokół paznokci, i notuję w pamięci, żeby przed następnym spotkaniem z Richardem zrobić manicure.

Słyszę, jak Daphne zaczyna narzekać na jakiegoś starszego kierowcę, który nie używa kierunkowskazu. Odkąd w zeszłym roku jakiś staruszek wjechał w naszym rodzinnym mieście w paru uczniów na przejściu dla

pieszych, Daphne rutynowo spisuje numery rejestracyjne i donosi na nieostrożnych kierowców do Wydziału Pojazdów Silnikowych.

– To znaczy, niech ich Bóg błogosławi, wiesz... Na pewno nie zdają sobie sprawy, że nie powinni prowadzić. Ale to po prostu niebezpieczne, rozumiesz?

Przerywam jej tyradę i mówię:

– Posłuchaj, Daph, tak się zastanawiam... Pamiętasz, jak powiedziałaś, że masz nadzieję, że to problem Tony'ego? Jego wina?

– Tak.

– Co konkretnie miałaś na myśli?

– Chciałam powiedzieć, że nie chcę być za to obwiniana.

– Przez Tony'ego?

– Tak.

– Naprawdę myślisz, że obwiniałby cię? – pytam. – To do niego zupełnie niepodobne.

– Wiem... Ale czasami mam wrażenie...

– Chyba nikt nie powinien nikogo za to obwiniać – mówię.

– Tak. No cóż. To wszystko jest naprawdę stresujące...

– jej głos cichnie.

– Strasznie mi przykro, Daphne. Szkoda, że musisz przez to wszystko przechodzić.

– Wiem... Po prostu powiedz, że się uda. Powiedz, że pewnego dnia będę matką.

– Uda się – mówię i wierzę w te słowa. – W najgorszym wypadku możecie adoptować. Prawda?

– Chyba tak. Ale to ostateczność. Chcę mieć własne dziecko.

– Przecież to byłoby twoje dziecko – mówię.

– Wiesz, co mam na myśli – odpowiada. – Chcę nosić dziecko w brzuchu. Chcę w pełni doświadczyć każdego aspektu macierzyństwa...

– Doświadczysz – pocieszam ją.

– Może właśnie dlatego pragnę, żeby to była wina Tony'ego – mówi. – Jeśli rzeczywiście tak jest, nadal mam szansę na dziecko.

– Chcesz powiedzieć, że mogłabyś je mieć z kimś innym? Odeszłabyś od Tony'ego? – pytam z przerażeniem.

– Och, Boże, nie – mówi Daphne. – Miałam raczej na myśli banki spermy... coś w tym rodzaju – mówi.

Prawie pytam, czy Tony również będzie chciał zdecydować się na takie rozwiązanie. Zdziwiłabym się, gdyby rzeczywiście tak było. Zrobiłby dla Daphne dosłownie wszystko, ale sprawia wrażenie macho, który nie byłby w stanie pogodzić się z czymś takim. Postanawiam jednak przemilczeć ten temat. Daphne i bez tego ma wystarczająco dużo problemów.

Tamtego popołudnia po wykonaniu około dziesięciu telefonów do różnych agentów i autorów, zaczynam myśleć o Benie i naszym małżeństwie oraz o tym, że nie było takie, jakim je sobie wyobrażałam w dniu, kiedy powiedzieliśmy sobie „tak”. W końcu ludzie, którzy są sobie przeznaczeni, pozostają razem pomimo poważnych trudności i różnicy zdań. Przez jakiś czas mogą się nawzajem obwiniać, ale w końcu wychodzą na prostą. „Miłość zwycięża wszystko, W zdrowiu i w chorobie”. Właśnie o to chodzi w dobrych małżeństwach. Myślę o skrajnym przykładzie – o tym, jak Dana Reeve została z Christopherem, pomimo że prawdopodobnie nie chciała wychodzić za człowieka dotkniętego porażeniem czterokończynowym. Ich miłość była silna i prawdziwa, ważniejsza niż wszystkie rzeczy, których nie mogli już

razem robić. Była ważniejsza niż fantastyczny seks, wspólna jazda konna albo płodzenie kolejnych dzieci. Dana musiała pożegnać się z wieloma marzeniami, lecz zrobiła to świadomie. On był wart każdego poświęcenia.

Długo siedzę przy biurku odwrócona plecami do komputera, ignorując sygnały nadchodzących wiadomości, które prawdopodobnie przesyła Richard, i zastanawiam się, czy Ben odszedłby, gdyby zdiagnozowano u mnie jakąś poważną chorobę. Gdyby pozostało mi tylko kilka lat życia. Albo gdybym nie mogła zająć w ciążę – a nie nie chciała się na to zdecydować. Nie wyobrażam sobie, że Ben mógłby mnie zostawić w żadnej z tych sytuacji. Jak w takim razie mógł odejść tylko dlatego, że nie chciałam mieć dzieci? Nie wystawiłam go na ciężką próbę. Chciałam jedynie, żeby wszystko było jak dawniej. Czy mój mąż nie mógł kochać mnie wystarczająco mocno, żeby zostać? Czy naprawdę prosiłam o zbyt wiele?



## ROZDZIAŁ 16

Mijają dobre trzy dni, zanim naprawdę udaje mi się wypędzić z głowy dołujące myśli o Benie. W tym czasie unikam Richarda. Niezupełnie – nadal ze sobą rozmawiamy i z rosnącą częstotliwością wymieniamy e–maile. Kiedy jednak pyta, czy pójdę z nim na kolację, wymyślam jakąś wymówkę i proszę, żebyśmy przełożyli to na później. Nie chcę uprawiać z nim seksu, rozmyślając o Benie, nawet pomimo nalegań Jess, która twierdzi, że to właśnie seks z Richardem może być tym, co pozwoli mi przezwyciężyć niespodziewaną przeszkodę. Wiem z doświadczenia, że sypianie z mężczyzną, kiedy myśli się o innym, może być katastrofalne w skutkach, i przypominam jej o moim rozstaniu z chłopakiem z college'u Paulem. Jedynym naprawdę znaczącym zerwaniu, jeśli nie liczyć Bena.

W tamtych pierwszych dniach w Nowym Jorku, tuż po ukończeniu nauki, Jess wychodziła prawie co wieczór, lecz ja przeważnie siedziałam w domu, zajmując się tak żalnymi rzeczami, jak nieustanne słuchanie *Pictures of You* The Cure i wydzwanianie do radia, żeby dedykować piosenki „Paulowi w Denver”. Nie potrafiłam podźwignąć się z rozpacz – i tak naprawdę wcale tego nie chciałam – dopóki nie poznałam Andersa na imprezie na dachu na Upper East Side. Anders był dwudziestoletnim tenisistą ze Szwecji z długimi jasnymi włosami i niesymetrycznym uśmiechem. Od razu się zaprzyjaźniliśmy, chociaż dostrzegłam, że należy do tego typu facetów, z którymi zaprzyjaźnia się każdy, a w których dziewczyny łatwo się zakochują.

Zatem bardzo się ucieszyłam, kiedy odnalazł mnie pod koniec wieczoru i poprosił o numer telefonu. W następnym tygodniu poszliśmy na kolację i do

kina, po czym zaczęliśmy umawiać się dosyć regularnie, chociaż tak naprawdę nigdy nie zastanawialiśmy się nad tym, kim dla siebie jesteśmy ani dokąd zmierzamy.

Jakiś miesiąc później uprawialiśmy seks na jego futonie, pod szorstką tęczową narzutą, którą jego babcia zrobiła mu na drutach. Nie przebiło to najlepszego seksu z Paulem, ale było o wiele lepsze niż nasz pierwszy raz, co uznałam za znaczące i obiecujące. Potem Anders przygotował nocną przekąskę złożoną z frytek i hot dogów. Następnie zapalił swoją lampkę z ławy i tańczyliśmy przy *Feel the Vibrations* Marky'ego Marka, dopóki jego sąsiad nie zaczął walić w ścianę i krzyczeć, żebyśmy się zamknęli. Pamiętam, jak myślałam, że chociaż nie jestem zakochana w Andersie, nie mogę wykluczyć takiej możliwości. Tak naprawdę miałam nadzieję, że się w nim zakocham.

Kilka dni później, tuż przed kolejną randką z Andersem, wyszłam spod prysznicza i na automatycznej sekretarce zauważyłam czerwone mrugające światełko. Chociaż nie rozmawialiśmy ze sobą przez prawie trzy miesiące, od razu wiedziałam, że to Paul – co jak dotąd stanowi szczyt moich zdolności telepatycznych. Wcisnęłam przycisk i okazało się, że to rzeczywiście Paul: pijany i bełkoczący coś o tym, że naprawdę ma nadzieję, że wszystko u mnie w porządku. Nie do końca przypominało to wiadomość w stylu: „Tęsknię za tobą jak wariat i żałuję, że nie przeprowadziłem się do Nowego Jorku”, lecz mimo to dzwonił do mnie w piątkowy wieczór i w dodatku po pijanemu, czyli robił coś, czego mnie – dzięki wsparciu Jess – udało się uniknąć. Odsłuchałam tę wiadomość dwa razy i zmusiłam się, żeby ją skasować, tłumiąc potrzebę pozostawienia jej do dalszej analizy. (Jess ma talent do czytania między wierszami i interpretowania takich rzeczy jak pijackie

nagrania na automatycznej sekretarce – być może dlatego że do tej pory sama zdążyła zostawić całkiem sporo takich wiadomości. Zresztą, kto nie wydzwania po pijanemu, kiedy ma dwadzieścia kilka lat?) Poczułam poważne ukłucie tęsknoty, gdy kasowałam znajomy zachrypnięty głos Paula, lecz przede wszystkim byłam z siebie dumna. Byłam dobrze przystosowaną młodą mieszkanką miasta, spotykającą się z Europejczykiem o długawych włosach i zabójczym serwie. Już dawno zapomniałam o moim chłopaku z college'u.

Zatem dbając o ten image, dopilnowałam, abyśmy spędzili z Andersem cudowny wieczór. Zjedliśmy kolację w El Teddy's, mojej ulubionej meksykańskiej restauracji (która później została zamknięta) w Tribeca, i upiliśmy się margaritami z wiórkami lodu z solą, dzięki którym z każdym łykiem czułam się bardziej wyrafinowana, gdyż w college'u pijałam jedynie mrożone margarity. Później spotkaliśmy się z przyjaciółmi Andersa, głównie kolegami z kortu, i tańczyliśmy w klubie w SoHo. Anders był świetnym tancerzem, lecz nie traktował tego poważnie. Co jakiś czas zaczynał komicznie maniakalny taniec „biegnącego człowieka”. Rozśmieszał mnie do łez i sprawiał, że czułam się wspaniale – tak jak można się czuć jedynie po prawdziwej tragedii.

Wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Po powrocie do mieszkania Andersa, kiedy kochaliśmy się zaledwie drugi raz, przyłapałam się na myśleniu o wiadomości od Paula. Potem, zupełnie bez powodu, zaczęłam płakać. Przekonywałam samą siebie, że to przez te wszystkie margarity. Przypominałam sobie, że jestem szczęśliwa. Modliłam się, żeby ta chwila szybko minęła i żeby w pokoju Andersa było na tyle ciemno, aby moje łzy pozostały niezauważone. Miałam pecha. Kilka sekund później poczułam, jak

leżące na mnie ciało Andersa zastyga w bezruchu. Jego palce delikatnie musnęły miejsce pod moimi oczami.

– Płaczesz? – zapytał tonem bardziej przerażonym aniżeli zmartwionym. Nie czekał na odpowiedź. Po prostu usiadł, zapalił światło i zmierzył mnie wystraszoną spojrzeniem. Przeprosiłam go. Przytulił mnie i powiedział, że za nic nie muszę przeproszać. Potem pytał, co się stało, dlaczego jestem smutna, czy zrobił coś złego? Powiedziałam, że nie jestem aż tak smutna, a jedynie pijana i zmęczona. Nie dawał za wygraną, więc opowiedziałam mu całą historię o Paulu, o tym, co zmieniło się w naszym związku, o jego niechęci do zamieszkania w Nowym Jorku, o tym, że czasami nadal za nim tęsknię, kiedy słyszę pewne piosenki – o całym typowym pozwiązkowym melodramacie. Powiedziałam mu nawet o wiadomości, którą kilka godzin wcześniej odsłuchałam z sekretarki, i o tym, że skasowałam ją po zaledwie dwukrotnym wysłuchaniu. Jeszcze raz go przeprosiłam, a Anders mężnie przyjął porażkę. Powiedział, że wszystko w porządku, i za moją namową podzielił się kilkoma własnymi historiami miłosnymi z przeszłości.

Oczywiście to, że płakałam podczas seksu, wprawiło mnie w zakłopotanie, lecz wydawało mi się, że Anders i ja przekroczyliśmy wspólnie jakiś próg i ta noc nabrała ważnego, niemal katartycznego charakteru. Wreszcie byłam gotowa do tego, aby zapomnieć o Paulu. Rano Anders pocałował mnie na pożegnanie i nie dostrzegłam żadnych oznak problemu. Wróciłam do domu i powiedziałam Jess, że wreszcie całkowicie wyleczyłam się z Paula i że jestem gotowa jeszcze bardziej zaangażować się w związek z Andersem. Jedyne problem polegał na tym, że najwidoczniej Anders był innego zdania, gdyż nigdy więcej do mnie nie zadzwonił. Ja oczywiście

również do niego nie zadzwoniłam. Nie było jednak żadnych wątpliwości co do tego, kto z kim zerwał. To zawsze jest jasne.

Nadal czuję zażenowanie, kiedy myślę o tamtej nocy, i zastanawiam się, co by się stało, gdybym nie rozplakała się podczas seksu. Nie żebym myślała, że Anders i ja byliśmy sobie pisani czy coś w tym stylu. Myślę tylko, że spieprzyłam coś, co mogło przeistoczyć się w bardziej znaczący związek albo przynajmniej w trwałą przyjaźń.

Pamiętając o tym wszystkim, postanawiam, że z pewnością nie popełnię tego samego błędu z Richardem. Już nigdy więcej nie chcę płakać podczas seksu (chyba że będzie aż tak dobrze – pewnego razu Ben doprowadził mnie do łez). Chcę, żeby wszystko było jasne. Wiem, że jeszcze długo będę myślała o Benie, lecz zdecydowanie wolałabym, aby te myśli nie wypływały na powierzchnię w łóżku innego mężczyzny. Nie chcę napiętnować w ten sposób moich niepewnych początków z Richardem. Nie żeby w naszym związku tkwiła jakaś szczególna niepewność – po prostu wszystkie początki są niepewne, z samej definicji.

Kiedy już myślę, że powoli przezwyciężam kryzys, dostaję przesyłkę, która znowu stawia wszystko na głowie. Od razu rozpoznaję pismo Annie i ogarnia mnie poczucie winy, że nie oddzwaniam na jej telefony i nie przyjmuję zaproszeń na lunch. Annie i Ray to jedyni przyjaciele wplątani w sprawę naszego rozvodu – jedyna para, której żadne z nas nie może mieć na wyłączność. Wszyscy pozostali są albo w większym stopniu przyjaciółmi Bena, albo moimi i mamy niepisaną umowę, zgodnie z którą ja trzymam się z dala od jego przyjaciół, a on unika moich. To kwestia szacunku. Myślę o tym wszystkim, kiedy otwieram kopertę, spodziewając się jakiegoś krótkiego liściku. Annie ma bzika na punkcie wysyłania liścików bez szczególnego

powodu i często ubolewa nad tym, że era e-maili wykańcza sztukę pisania listów. To jednak nie jest żaden krótki liścik. To zaproszenie na chrzciny Raymonda Juniora.

– Cholera – mówię na głos, gdyż wiem, że dziś wieczorem Ben otwiera takie samo zaproszenie, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest spotkanie z Benem. Jednak jednocześnie spotkanie z Benem jest czymś, czego pragnę najbardziej. Znowu zaczynam nienawidzić siebie i jego.

Wsuwam zaproszenie z powrotem do koperty i spokojnie rozważam dostępne możliwości działania. Mogłabym zadzwonić do Annie i powiedzieć jej prawdę. Jesteśmy na tyle bliskimi przyjaciółkami, że powinnam być w stanie podzielić się z nią moimi prawdziwymi uczuciami. Prawdopodobnie obrałabym ten kurs, gdyby zapraszała mnie na, powiedzmy, jakąś przypadkową imprezę. Ponieważ jednak chodzi o chrzest jej pierwszoročního syna, bardzo uświęcone wydarzenie, opcja powiedzenia prawdy po prostu nie wydaje się odpowiednia. Wiem, że zostałyby to odebrane jako skrajny egoizm. Ostatecznie takie posunięcie byłoby czystym egoizmem.

Zastanawiam się nad możliwością skłamania. Wymyślenia jakiejś wymówki. Nad powiedzeniem, że w ten weekend nie będzie mnie w mieście. Że wykupiłam już bezzwrotne bilety lotnicze. Jednak w takim wypadku musiałabym wymyślić całe wielkie kłamstwo o wycieczce do Las Vegas, Los Angeles albo Nowego Orleanu i na zawsze zapamiętać, że rzekomo wyruszyłam na wycieczkę akurat w ten sierpniowy weekend. Znając moje szczęście, zapomniałabym o mojej przykrywce już w połowie weekendu, odebrałabym telefon i okazałoby się, że to Annie, która chce poprosić Jess o przepis na drinka z rumem. To chyba jakieś okrutne prawo natury, że właśnie tych ludzi, którzy nie są nałogowymi kłamcami, przyłapuje się na rzadkich

próbach oszustwa. Zresztą, biorąc pod uwagę wszystkie wymówki, którymi ostatnio zbywałam Annie, na pewno podejrzewałyby mnie o kłamstwo. Gdyby sytuacja była odwrotna, ja z pewnością bym ją o to podejrzewała.

Gromię siebie za to, że nie przyjechałam przynajmniej jednego z jej zaproszeń na lunch lub drinka w ciągu zeszłego miesiąca. Że nie wpadłam, żeby zobaczyć Raymonda Juniora. Gdybym podjęła choćby minimalny wysiłek, wymiganie się z chrzcin byłoby mniej bezczelne. Nagle zaczynam się zastanawiać, dlaczego tak bardzo staram się unikać Annie i Raya. Chyba nie trzeba mieć dyplomu z psychiatrii, aby domyślić się przyczyn. Po części chodzi o dziecko. Ostatnią rzeczą, jaką pragnę mieć w pobliżu, jest dziecko. Nie chcę, żeby przypominało mi o tym, co było dla Bena ważniejsze ode mnie. Ale poza tym nie chcę być w pobliżu nikogo ani niczego, co przypomina mi o Benie, i kropka. A obawiam się, że Annie spontanicznie podzieli się ze mną szczegółami na temat jego nowego życia. Szczegółami, których zdecydowanie nie chcę znać. Chyba że mówiłyby o tym, jaki jest samotny i zrozpaczony. A na takie szczegóły nie ma szans. W końcu widziałam, jak zabawia się z Tucker. Być może nie jest w niej zakochany ani nawet wcale nie są razem, lecz z pewnością nie wyglądał na załamane.

Oczywiście, zawsze mogę powiedzieć Annie, że nie mam ochoty rozmawiać o Benie, ale nie chcę, żeby uznała mnie za wielką nieudacznicę w sprawach małżeństwa, a z pewnością sprawiałabym wrażenie osoby niestabilnej emocjonalnie, gdybym wykluczyła rozmowę o najważniejszym wydarzeniu, jakie kiedykolwiek mnie spotkało. Potem Annie powiedziałyby o tym Rayowi, który, jako mężczyzna, nie miałby wystarczająco przyzwoitości i taktu, aby zachować to dla siebie, i opowiedziałyby Benowi, jaki ze mnie żaloszny przypadek. Ponadto jeśli Annie spełni moją prośbę o

unikanie rozmów na temat Bena, nieuchronnie sama zacznę doszukiwać się wszystkiego w jej milczeniu. W końcu dojdę do wniosku, że owszem, powiedziałam Annie, że nie chcę rozmawiać o Benie, lecz gdyby te wieści były dla mnie sprzyjające (a niesprzyjające dla Bena), znalazłaby jakiś sposób na przemycenie ich w rozmowie, na przykład powiedziałaaby:

– Wiem, że nie chciałaś słyszeć nic na temat Bena, ale pyta o ciebie za każdym razem, kiedy się spotykamy, i bez ciebie wydaje się rozpaczliwie samotny.

W każdym razie zaproszenie stawia mnie w podbramkowej sytuacji.

Dokładnie wiem co na to powie Jess, i dlatego śmieję się, kiedy wraca z pracy, zerka na zaproszenie i mówi:

– Musisz tam iść. Musisz zabrać ze sobą Richarda. I musisz szalowo wyglądać. – Jej twarz rozjaśnia się po raz pierwszy od czasu rozmowy z Treyem, który nie zadzwonił, żeby oznajmić, że zmienił zdanie.

Mówię jej, że w żadnym wypadku nie wezmę ze sobą Richarda.

– Dlaczego? Jestem pewna, że Annie nie miałaby nic przeciwko.

– Nie zrobiłabym tego Benowi. Ani Richardowi – mówię. – Poza tym to wyglądałoby tak jednoznacznie. A w dodatku żałośnie.

– Nie zgadzam się. Moim zdaniem nie byłoby w tym nic żałosnego. Myślę, że ty i Richard wyglądalibyście jak para. Ludzie przyprowadzają swoich partnerów na tego typu imprezy.

– On nie jest moim chłopakiem i dobrze o tym wiesz.

– W pewnym sensie jest.

– Nie – mówię. – Na pewno nie jest moim chłopakiem.

– W takim razie kim?

– Jest facetem, którego lubię. Facetem, z którym raz się przespałam.



– Więc prześpij się z nim jeszcze kilka razy i potem weź go ze sobą.

Śmieję się i kręcę głową. Mówi:

– W porządku. Ale będziesz naprawdę żałować, że mnie nie posłuchałaś, jeśli Ben kogoś przyprowadzi.

Zamieram w bezruchu i patrzę na nią.

– Myślisz, że mógłby to zrobić?

– Mógłby.

– Niemożliwe. Nigdy.

– Nigdy nie mów nigdy – ostrzega Jess.

Te słowa są jej mantrą od lat i powoli zaczynam myśleć, że ma rację. W związkach nie istnieją rzeczy absolutne. Niczego nie można brać za pewnik. Nie można liczyć na nic oprócz niespodzianek. Kiedy zaczynasz myśleć, że jesteś czymś w rodzaju wyjątku od reguły, wpadasz jedynie w tarapaty.

Podnoszę komórkę i wybieram numer Annie.

W słuchawce rozlega się jej radosny głos:

– Witaj, nieznajoma!

Zanim udaje mi się wybić to sobie z głowy, mówię:

– Cześć, Annie. Dostałam twoje zaproszenie i za nic nie przepuszczę takiej okazji... Nie masz nic przeciwko temu, żebym kogoś przyprowadziła?

## ROZDZIAŁ 17

Czuję się trochę winna, że wykorzystuję Richarda, aby odegrać się na Benie. Albo dlatego że wykorzystuję Richarda, żeby dobrze wypaść na tle Bena. Albo w ogóle dlatego że wykorzystuję Richarda. Jednak Jess zauważa, że tak naprawdę wcale go nie wykorzystuję, ponieważ szczerą sympatią wyklucza ideę wykorzystywania. Pyta mnie, czy przyprowadziłabym Richarda na chrzciny jej hipotetycznego dziecka. Najszybciej, jak potrafię, odpowiadam, że tak, gdyż nie chcę, żeby skupiała się na dziecku, którego nie będzie miała z Treyem – i dlatego że doskonale wiem, dokąd zmierza jej tok myślenia.

Zgodnie z moimi przewidywaniami uśmiecha się, jak gdyby właśnie udowodniła jakieś skomplikowane twierdzenie, i mówi:

– No cóż. Zatem powinnaś mieć idealnie czyste sumienie.

Kręcę głową i śmieję się, a ona przybija mi piątkę. Jak dobrze mieć mistrzynię racjonalizacji za najlepszą przyjaciółkę.

Zatem kilka dni później jestem w mieszkaniu Richarda i przygotowujemy kolację. A raczej ja patrzę, jak przygotowuje ją Richard, i przyjmuję drobne, nieskomplikowane zlecenia w stylu „umyj sałatę” i „posiekaj cebulę”. Mycie sałaty nie sprawia mi żadnego problemu. Powoli rozkładam liście na papierowych ręcznikach, osuszam je, a potem wkładam do dużej drewnianej miski na sałatki. Kiedy jednak zaczynam kroić cebulę od złej strony, Richard śmieje się i mówi:

– Naprawdę nie rozumiem, Parr, jak można nie wiedzieć, jak kroi się cebulę.

– Przecież wiem – mówię z lekkim rozgoryczeniem. –Uczyłam się tego mnóstwo razy, ale jakoś nigdy nie mogę sobie przypomnieć. Z pomidorami jest to samo.

Delikatnie wyjmuję mi z dłoni nóż i mówi:

– Pozwól, że ja to zrobię.

Udaję bezradność – co chyba nie do końca jest udawaniem – i obserwuję jego doskonałą technikę krojenia w plastry, a potem szybkie, swobodne siekanie.

– Czy to nie dziwne, że coś takiego bardzo mnie podnieca? – pytam. Zawsze miałam słabość do ludzi ujawniających niespodziewane talenty, a nigdy nie podejrzewałabym Richarda o szczególne zdolności kulinarne.

Śmieje się, a ja podziwiam zmarszczki wokół jego oczu. Chwilę przed moim przyjściem musiał wyjść spod prysznic, gdyż nadal ma mokre włosy z tyłu głowy i zapach jego wody kolońskiej jest odrobinę silniejszy niż zazwyczaj. Jest boso, ma na sobie ciemne dżinsy i świeżo wyprasowaną białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Patrzę, jak zeskrobuje cebulę drugą krawędzią noża, przenosząc ją z deski do krojenia na patelnię pełną oliwy z oliwek. Cebula wydaje satysfakcjonujące skwierczenie, a on mówi z zadowoleniem:

– *Voilà!* – dokładnie tak, jak mógłby powiedzieć prawdziwy francuski szef kuchni. Następnie wyciera dłonie w ściereczkę, otwiera butelkę wina profesjonalnym korkociągiem (kolejna rzecz, której nie potrafię robić) i nalewa je do dwóch kieliszków. Wręcza mi jeden z nich, po czym stukamy się, nie wznosząc toastu. Jestem zwolenniczką niewznoszenia toastów, chyba że jest coś naprawdę interesującego do powiedzenia. Toasty w rodzaju „Za dzisiejszo wieczór”, „Za kucharza” albo „Za nas” zazwyczaj psują atmosferę.

Albo, co gorsza, wywołują niezręczne milczenie, podobnie jak pytanie: „O czym teraz porozmawiamy?”. Zresztą, jeśli mężczyzna naprawdę spogląda ci w oczy w chwili, gdy stykają się wasze kieliszki – tak jak właśnie zrobił Richard – to może być znacznie bardziej nęcące niż słowa.

Uśmiecham się, kiedy Richard podchodzi bliżej, pochyla się i całuje mnie. Jest o głowę wyższy niż Ben, co znacznie utrudnia całowanie się na stojąco. Większość dziewczyn woli wysokich chłopaków, ale ja zawsze lubiłam intymność towarzyszącą zbliżonemu wzrostowi. Dzięki temu atmosfera podczas wolnego tańca jest znacznie bardziej intymna. I nie tylko wtedy. Nie żebym chciała cokolwiek zmieniać w Richardzie. Oddaję mu pocałunek i próbuję wina. Dochodzę do wniosku, że pierwszy pocałunek wieczoru zawsze jest najlepszy. Możliwe, że Richard myśli podobnie, gdyż stoimy tak przez chwilę, aż w końcu odwraca się w stronę kuchenki i miesza cebulę.

– No, nie rozpraszaaj mnie – mówi. – To poważne zadanie. Przyglądam się jego plecom i karkowi pochylonemu nad

kuchenką, dochodząc do wniosku, że to idealna chwila na zapytanie go o chrzciny. Zapytam zwyczajnie, niby mimochodem. Z Richardem można od razu wyłożyć kawę na ławę. Na tym polega urok naszego związku. Albo czegoś, czym to wszystko jest. Nie ma miejsca na pretensje. Zatem wyrzucam z siebie nagie fakty: dobrym przyjaciołom urodziło się dziecko, chrzciny w następny weekend, będzie tam Ben, przyjdziesz?

Odwraca się i posyła mi szeroki uśmiech.

– Chcesz, żeby twój były mąż poczuł się zazdrosny?

Z zakłopotaniem zaczynam się wykręcać, lecz on przerywa mi i mówi:

– Nie ma problemu. Wchodzę w to. I nie martw się. – Unosi drewnianą łyżkę niczym miecz. – Będiesz ze mnie dumna.

– Wcale nie dlatego chciałam, żebyś przyszedł – mówię. – Po prostu... pomyślałam, że będzie miło, jeśli poznasz moich przyjaciół.

– Jasne – mówi Richard z kpiącym uśmiechem. – Chrzcziny to typowy popularny sposób na zapoznanie się z przyjaciółmi. W przeciwieństwie do, powiedzmy... spotkania przy drinku lub podczas lunchu. Albo, mój Boże, prawdziwej wspólnej kolacji.

Czuję, że się rumienię. Powinnam była wiedzieć, że Richard będzie się ze mnie naigrawał. Naprawdę muszę wyglądać na zakłopotaną, gdyż Richard daje mi spokój. Odkłada łyżkę, unosi mój podbródek kciukiem i jeszcze raz mnie całuje – lecz tym razem bardziej przypomina to pocałunek w stylu „posuń się, mała zawalidrogo” niż „nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę cię nago”.

Kiedy się od siebie odsuwamy, znowu szeroko się uśmiecha.

– Czy to też powinienem zrobić na oczach twojego byłego? Może usiądziemy przed nim w kościelnej ławce i po prostu zaczniemy się kochać w kościele?

Czuję, jak płonie mi twarz, kiedy mówię:

– Ceremonia odbędzie się w Central Parku, przy ogrodzie Szekspira. Zresztą... to był zły pomysł. Zapomnij, że w ogóle pytałam.

Jednak tak naprawdę wcale nie chcę, żeby zapomniał. Chcę, żeby ze mną poszedł. Tak, ze względu na Bena. Ale bardziej dlatego, że po prostu chcę, aby tam ze mną był. Właśnie tak, jak mówiłam Jess. Zastanawiam się, czy mu o tym nie powiedzieć, lecz nie wiem, jak mogłabym sprawić, żeby te słowa nie zabrzmiały zbyt poważnie.

– Hej, Parr – mówi z zawadiackim uśmiechem – nie mam zamiaru o niczym zapominać. Za nic nie przepuściłbym takiej imprezy.

Rano w dniu chrztu budzi mnie odgłos wielkiego deszczu –tego typu ulewy, która zazwyczaj czeka do południa. Najpierw myślę o tym, że moje włosy wyglądają okropnie, kiedy jest wilgoć. Potem przychodzi mi do głowy, że będzie problem ze złapaniem taksówki i że nie cierpię jeździć metrem, kiedy pada deszcz. Moją trzecią myślą jest to, że plan Annie, aby zorganizować chrzciny w Central Parku, jest teraz nieaktualny, a plan na wypadek deszczu przewiduje zorganizowanie całej ceremonii w jej salonie. W małym salonie. Nagle zaproszenie Richarda wydaje mi się bardzo kiepskim pomysłem. Przyrowadzenie gościa na publiczną imprezę pod gołym niebem to jedna rzecz. Przyrowadzenie gościa do małego mieszkania na Manhattanie to coś zupełnie innego.

Jest już jednak za późno na zmianę planu gry, więc biorę prysznic, suszę włosy i wkładam ubranie, które przygotowała dla mnie Jess: jedną z jej własnych markowych sukienek Diane von Furstenberg (sukienki to jedna z nielicznych części garderoby, jakimi możemy się wymieniać). Jess kupiła mi również nową parę butów – przedwczesny prezent urodzinowy – parę manolosów na obcasie w kolorze wojskowej zieleni z wiązаныmi wokół kostki paskami z czarnego i zielonego materiału. Staję przed lustrem, starannie nakładam makijaż i skrapiam się perfumami.

Nie licząc tego, że przydałoby się odświeżyć pasemka, jestem zadowolona z efektu. Wyglądam dobrze, ale nie aż tak dobrze jak osoba, która rozpaczliwie pragnie zrobić wrażenie. W końcu zupełnie nie czuję potrzeby robienia wrażenia na Benie – człowieku, który widywał mnie w absolutnie najgorszych chwilach. Nie podoba mi się jednak pomysł

pokazywania się tam w gorszym stanie, niż mnie zapamiętał. Wołam Jess do pokoju, żeby uzyskać ostateczną aprobatę.

– Wyglądasz fantastycznie – mówi rozpromieniona. –Nieco konserwatywnie i powściągliwie, ale bardzo stylowo.

Jeśli przyjdzie Tucker, oszaleje z zazdrości. Może nawet zachwyci się tobą.

Śmieję się i mówię:

– A co z dodatkami?

– Właśnie do tego zmierzałam. Myślę, że należy postawić na prostotę. Przecież nie chcesz wyglądać jak modna dziwka przed trzydziestką. Po prostu włóż ten swój pierścionek z niebieskim opalem i perły. To wszystko.

Kiwam głową i pytam:

– Jaką powinnam wziąć torebkę?

– Przyniosę ci moją kopertówkę od Diora. Jest doskonała. I nie zapomnij zabrać swoich okularów przeciwsłonecznych z oprawkami ze skorupy żółwia.

– Przecież pada – zauważam.

– Może przestać. Bądź przygotowana.

Biorę głęboki wdech, wypuszczam powietrze i mówię:

– Jess, dziękuję. Uwielbiam te buty. Uwielbiam ciebie. Śmieje się i radzi:

– Po prostu staraj się dobrze bawić. Dużo się uśmiechaj. Jak najczęściej dotykaj ramienia Richarda. Co tam, jak najczęściej dotykaj ramienia Bena.

Wychodzi po kopertówkę i właśnie wtedy dzwoni Richard.

– Okej, mam już na sobie kowbojskie skórzane ochraniacze bez kroku – mówi. – Nie masz nic przeciwko?

Śmieję się i mówię:

– A czy kowbojskie ochraniacze nie są bez kroku z samej definicji?

– Masz całkowitą rację. Włożę kapelusz i nikt nie zauważy. Następnie oznajmia, że przyjedzie po mnie taksówką.

Problem z transportem rozwiązany. Myślę o tym, że kiedy byłam z Benem, zawsze to ja zajmowałam się logistyką. Byłam na przykład wyznaczona do przechowywania biletów lotniczych. On z pewnością by je zgubił. A przynajmniej wpadłby w panikę i myślałby, że je zgubił. Wyobraźnia podsuwa mi obraz, na którym z szeroko otwartymi oczami gorączkowo maca kieszenie i grzebie w torbie, przekonany, że gdzieś zaginęły. Kiedyś żartowaliśmy, że to dobrze, że nie mamy dzieci. Ben z pewnością zostawiłby dziecko w metrze.

Richard przerywa moje myśli, proponując kubek kawy na drogę.

– Kupuję jeden dla siebie – mówi. – To najwcześniejsze spotkanie towarzyskie, na jakim kiedykolwiek byłem.

Wyobrażam sobie katastroficzny scenariusz z plamą – zawsze mam takiego pecha – i dziękuję za kawę. Po piętnastu minutach i ostatniej zagrzewającej przemowie Jess wychodzę z mieszkania. Richard siedzi już w taksówce ze swoją mrożoną kawą.

Przechyla się w kierunku drzwi i otwiera je przede mną. Wślizguję się do taksówki i mówię:

– Hej! Gdzie się podziały twoje kowbojskie ochraniacze?

– Zmieniłem zdanie – wyjaśnia, całując mnie w policzek. – Hmmm. Ładnie pachniesz. Niech zgadnę: ulubione perfumy twojego eks?

Uśmiecham się i mówię mu prawdę.

– Drugie najbardziej ulubione.



– Aaa. Strategiczna decyzja. Gdybyś wybrała jego ulubione, wyszłoby na to, że chcesz się przypodobać. Że nadal o nim myślisz. Gdybyś wybrała te, których najbardziej nie cierpiał, wyszłabyś na złośliwą... co również wskazywałoby na to, że nadal o nim myślisz.

Śmieję się, gdyż jego analiza trafia w samo sedno. Jak miło być z mężczyzną, który nie wie, co to zazdrość. W rezultacie czuję, że mogę powiedzieć Richardowi o wszystkim.

– Przyznaję się do winy – mówię.

– No więc – mówi Richard z kpiącym uśmiechem. – Są jakieś tematy, których nie powinienem dzisiaj poruszać?

Mówię, że powinien raczej unikać tematu rozwodu i dzieci.

– Co oczywiście obejmuje rozwód z powodu dzieci. Poza tym możesz rozmawiać, o czym tylko zechcesz.

Kierujemy się do zamożnej dzielnicy, w której mieszkają Annie i Ray. Na ulicach panuje niewielki ruch i przyjeżdżamy dokładnie o czasie. Richard płaci za taksówkę, wyskakujemy z samochodu i bez parasolek pędzimy w stronę klatki schodowej, gdzie Richard wyrzuca pusty kubeczek po kawie do kosza na śmieci. Annie i Ray wpuszczają nas do środka i wspiąwszy się po schodach, zastajemy lekko uchylone drzwi.

– Halo? – mówię, wycierając buty w ich sizalową wycieraczkę. Moje serce łomocze na myśl, że po drugiej stronie jest Ben.

– Wchodźcie! Wchodźcie! – słyszę pisk Annie.

Popycham drzwi i kładę mój prezent – grawerowany srebrny kubek – na stoliku w korytarzu. Zaglądam do salonu i widzę, że jesteśmy jedynymi z pierwszych gości. Czuję dziwną mieszankę rozczarowania i ulgi, gdy nigdzie nie widzę Bena. Po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że być może wcale

nie przyjdzie. Może mnie unika. Może jest poza miastem. Może wyjechał na wakacje z Tucker. Może powinnam była po prostu zapytać Annie.

– Claudia, skarbie! – piszczy Annie. Trzyma na biodrze Raymonda Juniora, lecz ściska mnie wolną ręką. Nie mogę uwierzyć, że aż tak bardzo zmienił się w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Wyrósł z etapu maleńkiego noworodka o kurzych nóżkach i teraz znajduje się już w fazie czujnego pulchnego chłopca z reklam Gerbera. Dzieci tak wyraźnie przypominają o szybkim upływie czasu, lecz powstrzymuję się od skomentowania tego, jak bardzo urósł. Nie chcę podkreślać moich strasznych zaniedbań w zakresie obowiązków przyjaciółki.

– Cześć, Annie! – mówię, całując moją przyjaciółkę w policzek, po czym znowu skupiam uwagę na jej synku. Ma na sobie kremowe lniane wdzianko z kołnierzykiem, które prawdopodobnie kosztowało więcej niż cały mój strój. Gdy chodzi o ubrania, Annie przypomina Europejkę – w jej szafie jest ich niewiele, ale wszystkie są niezwykle wysokiej jakości. Podnoszę głos o kilka oktaw i mówię:

– Cześć, Raymond!

Zawsze czuję się niezręcznie, niemal głupio, kiedy mówię do niemowląt albo do małych dzieci, z którymi nie jestem spokrewniona. Raymond krzywi się i odwraca wzrok, kryjąc twarz w ramionach matki i kurczowo chwytając ją za łokieć. Jak gdyby znał prawdę o mnie – wiedział, że zakończyłam małżeństwo, żeby uniknąć kogoś takiego jak on. Czyż nie mówi się, że dzieci i psy wyczuwają takie rzeczy?

Annie niecierpliwie zerka w stronę Richarda i w tym momencie mówię:

– Annie, chciałabym ci przedstawić mojego przyjaciela Richarda. Richard – to Annie i Raymond.

Richard mówi:

– Milo cię poznać, Annie. – Następnie klepie Raymonda po pupie, wywołując szeleszczący dźwięk pampersa. – Hej, koleś! Jak leci?

Raymond Junior nie daje za wygraną. Nie pozwoli się tak łatwo oszukać.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Richard – mówi Annie, a jej oczy błyszczą z ciekawości. Przez telefon nie przedstawiłam jej żadnych szczegółów i ona również nie zadawała pytań. Widzę, że musi wykorzystać całą swoją silną wolę, żeby poprzestać na:

– I jak? Wszystko w porządku?

Mówię, że tak. Teraz mam na to dowód: dystyngowanego starszego faceta.

Richard i Annie rozpoczynają małą pogawędkę, która w głównej mierze składa się z serii pytań zadawanych przez Annie: „Czym się zajmujesz? Och, więc razem pracujecie? Długo? Skąd pochodzisz?”. Richard odpowiada uprzejmie, lecz niezbyt wylewnie, i sam zadaje jej kilka pytań. Dołącza do nas Ray z miną mówiącą: „No, no, co my tu mamy?”.

Od razu wyczuwam, że Ray nie aprobuje mojego towarzysza. Co może oznaczać mnóstwo rzeczy. Może oznaczać, że jest mu smutno, że jego serdeczni przyjaciele nie są już razem. Może oznaczać, że czuje się w obowiązku chronić Bena. Albo też, że uważa mnie za jakąś idiotkę, która wniosła powiew skandalu na specjalną uroczystość jego syna. Zaczynam mieć wrażenie, że ta ostatnia możliwość jest najbardziej prawdopodobna.

Zastanawiam się, czy Annie uprzedziła o wszystkim Raya. Pewnie tak. Z drugiej strony miała inne sprawy na głowie, na przykład absorbującą opiekę

nad swoim dzieckiem. Może jest tym tak pochłonięta, że rzadko znajduje czas na rozmowę z mężem.

Patrzę, jak Ray przedstawia się Richardowi, witając go czymś, co wygląda na agresywny uścisk dłoni. Następnie zwraca się do mnie i mówi:

– Miło cię widzieć, Claudio. – Ma nieco wyniosłą minę i zaczynam myśleć, że nasi przyjaciele mogą być stronnicy. Na korzyść Bena.

– Mnie również miło cię widzieć – mówię. – Gratulacje z okazji wielkiego dnia Raymonda.

Annie przerywa milczenie, które właśnie zapadło, proponując coś do picia. Richard spogląda na prowizoryczny barek zaaranżowany w drugim końcu pokoju i mówi:

– Dzięki, poradzę sobie. Czy ktoś jeszcze ma ochotę się napić?

Dostrzegam sześć butelek szampana ustawionych niczym wierni żołnierze i kiwam głową. Dopiero wybiła jedenasta, ale jestem zdecydowanie gotowa na drinka.

– Zdaję się na twój wybór – mówię do Richarda, czując, jak poufale brzmią moje słowa.

Nagle twarz Raya się rozjaśnia i śpiewa na całe gardło:

– Przyszedł wujek Ben!

Gwałtownie wciągam powietrze, lecz nie odwracam wzroku i wpatruję się w Raymonda Juniora. Wiem, że sześciomiesięczne dziecko nie może wiedzieć, co się święci, lecz przysięgam, że synek Annie odwraca się, posyła mi szyderczy uśmieszek, po czym uśmiecha się do Bena, którego obecność wyczuwam tuż za moimi plecami. Wystarczająco blisko, żeby mógł poczuć zapach moich perfum – ponieważ ja wdycham naturalną woń jego ciała; woń, z której istnienia nie do końca zdawałam sobie sprawę. Jak gdybym wróciła

do domu po długich wakacjach i spostrzegła, że moje mieszkanie rzeczywiście ma pewien unikalny zapach.

Ben pochyla się, żeby pocałować Raymonda w czubek główki. Nie komentuje tego, jak bardzo urósł. Najwidoczniej parę razy tu zajrzał.

Potem zwraca się do mnie i mówi:

– Cześć, Claudio.

Wypuszczam powietrze i pozwalam sobie na jedną sekundę kontaktu wzrokowego. Wygląda tak samo jak dawniej. Wygląda jak Ben. Mój Ben.

– Cześć – mówię. Mój głos brzmi zabawnie i czuję nagły przypływ słabości. Fizycznej słabości, przez którą mam wrażenie, że zaraz ugną się pode mną nogi. Próbuję się uśmiechać, ale nie potrafię. Nie jestem pewna, co zrobić z rękami. Żałuję, że nie trzymam w nich jeszcze drinka. Annie i Ray wymieniają spojrzenia, po czym oddalają się, aby powitać innych gości.

– Co słyszeć? – wykrztuszam z siebie, kiedy mój wzrok pada na jego pozbawiony obrączki palec.

– W porządku. A u ciebie? – pyta.

Mówię Benowi, że u mnie też wszystko w porządku, kątem oka obserwując Richarda. Odwraca się, zauważa mnie i Bena, po czym zwraca się z powrotem w kierunku okna, trzymając w dłoniach dwie lampki szampana. Upija łyk z jednej z nich. Musi wiedzieć, że rozmawiam z byłym mężem.

– Miło cię widzieć – szczerze mówi Ben.

– Ciebie też – mówię. Rzeczywiście tak jest.

– Cieszę się, że przyszłaś – mówi. – Nie byłem pewien, czy się zdecydujesz.

Znowu zerkam na Richarda, który nadal patrzy przez okno.

– A ja nie byłam pewna, czy ty przyjdiesz – mówię. – No cóż, w sumie jestem... eee... ojcem chrzestnym

Raymonda – mówi poważnym tonem.

– O, nie wiedziałam – mówię. – Cóż za zaszczyt.

– Tak – mówi Ben. – To całkiem fajne.

Uśmiecham się, czując gwałtowny przypływ czegoś, co dosyć mocno przypomina licealną zazdrość. Uczucie, którego doświadczyłam, kiedy moja najlepsza przyjaciółka Pam została wybrana na reprezentantkę szkoły podczas zjazdu absolwentów. Byłyśmy ze sobą bardzo zżyte – nawet wyglądałyśmy podobnie. Ludzie zawsze pytali, czy jesteśmy siostrami, a nawet bliźniaczkami. Dlaczego w takim razie wybrali ją, a nie mnie? Teraz czuję się tak samo, zastanawiając się, dlaczego Annie i Ben wykonali ten ukłon w stronę Bena – ale nie w moją. Dlatego że nie chcę mieć dzieci? Dlatego że stoją po stronie Bena? Dlatego że byłam złą przyjaciółką? A może dlatego że trudniej było im znaleźć ojca chrzestnego niż matkę chrzestną. W końcu ani Ray, ani Annie nie ma brata.

W tym momencie Richard odsuwa się od okna, żeby uciąć sobie pogawędkę z jakimś nieznanym mi mężczyzną. Myślę: dobrze, mam jeszcze chwilę, chociaż tak naprawdę nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć.

W końcu musi mi się wymknąć błyskotliwe pytanie:

– Nie przyszedłeś z Tucker?

Natychmiast żałuję tej decyzji. Po pierwsze, widać, że nie przyszedł z Tucker, ponieważ jej tu nie ma. Po drugie, sprawiaam wrażenie wścibskiej, małostkowej i zazdrosnej.

– Nie – mówi Ben z lekkim uśmiechem. – Nie przyszedłem z Tucker.

Dociera do mnie, że jedynym możliwym pożytkiem z mojego pytania mogłoby być wyjaśnienie aktualnej sytuacji Bena, lecz jego odpowiedź nie daje mi żadnej wskazówki. Pozostawia mnie jedynie z poczuciem, że powinnam była ugryźć się w język.

W tej chwili widzę, że Richard skończył pogawędkę ze swoim nowym przyjacielem. Znowu spogląda w moją stronę z uniesionymi brwiami, jak gdyby zamierzał powiedzieć: „Nie chcę się narzucać, ale czy mogę do ciebie dołączyć?” Kiwam głową. Każda inna reakcja byłaby niegrzeczna, nawet wobec kogoś tak wyluzowanego jak Richard. Kiedy Richard idzie w naszym kierunku, Ben mówi:

– Widzę, że ty też przyszedłaś sama.

Chwilę później Richard staje obok, wręczając mi kieliszek szampana. Tego gestu nie można z niczym pomylić, lecz Ben wygląda na dezorientowanego, jak gdyby próbował przypomnieć sobie Richarda. Co oczywiście nie może mu się udać, ponieważ nigdy wcześniej się nie spotkali.

Nie mam innego wyjścia, jak tylko powiedzieć:

– Ben, to Richard Margo. Richardzie, to Ben Davenport.

– Cześć, Ben, miło cię poznać – mówi Richard.

Patrzę, jak twarz Bena pochmurnieje, gdy analizuje to nazwisko. Wiem, że nie zapomniał o mojej liście najbardziej atrakcyjnych kolegów z pracy. Doskonale wie, kim jest Richard, i wcale mu się to nie podoba. Zgodnie z moimi przewidywaniami Ben nie wyciąga dłoni. Zamiast tego wzdryga się, a jego twarz przybiera pusty wyraz. Mija kilka sekund, zanim odpowiada chłodnym:

– Jak się pan miewa? – Odwraca wzrok w moją stronę. Wie, że znam znaczenie tego „Jak się pan miewa?”.

Podobne słowa skierowała matka Bena Lucinda do drugiej żony swojego byłego męża – kobiety, która ponosiła całą winę za rozpad jej małżeństwa. Przez lata Lucinda zadrezczała się tym, co powie żonie numer dwa, kiedy w końcu będzie miała nieszczęście ją spotkać. Nie chciała być niegrzeczna. Jednak nie chciała również kłamać, wypowiadając standardowe: „Miło mi panią poznać”. Ben pamiętał, że jego matka triumfowała, kiedy zdała sobie sprawę, że oschłe „Jak się pani miewa?” idealnie pasuje do sytuacji. Ben opowiedział mi tę historię tuż przed tym, jak ją poznałam. Powiedział, że powinnam się zmartwić, jeśli usłyszę „Jak się pani miewa?”. W przeciwnym razie mogę uznać, że się jej spodobałam.

Rzecz jasna, Richard nie ma pojęcia o całej historii, kiedy mówi:

– Nie najgorzej. A pan?

Ben odpowiada Richardowi słowem, które moja siostrzenica Zoe mogłaby zinterpretować jako sarkazm:

– Super – mówi, posyłając mu sztuczny uśmiech. Potem przeprosza nas i rusza prosto w kierunku swojego chrześniaka. Kiedy bierze dziecko z rąk Annie, odwraca się i posyła mi wściekłe spojrzenie. Jego przesłanie również nie uchodzi mojej uwagi.

Po żalosalnej godzinie, którą spędzam na rozmowach z gośćmi, rozpoczyna się ceremonia prowadzona przez obutą w sandały Scholl pastorkę o imieniu Sky. Hippisowski klimat imprezy wcale mnie nie dziwi, biorąc pod uwagę, że jesteśmy w salonie, a nie w kościele, i zważywszy na religijne poglądy Annie i Raya. Obydwoje wychowali się w katolickich rodzinach, lecz niezależnie od siebie odrzucili Kościół w wieku dwudziestu kilku lat. Zrobili to z różnych powodów, przeważnie politycznych. Potem przeszli etap agnostyczny, który trwał jakiś czas. Annie mówi, że od chwili narodzin



Raymonda Juniora stają się coraz bardziej uduchowieni i zaczęli uczęszczać do kościoła unitarian na Drugiej Alei.

W każdym razie pastorka poświęca sporo czasu na mówienie o wzniosłych ideach, takich jak wrodzona wartość i godność każdego człowieka, sprawiedliwość i współczucie w relacjach międzyludzkich, poszukiwanie prawdy i poszanowanie zależnych od nas istot, z których mamy coś również w sobie. W międzyczasie przerywa i pyta rodziców chrzestnych, czy będą w pełni wspierać i prowadzić Raymonda Juniora przez życie w poszukiwaniu tych celów. Moje spojrzenie pada na Bena, który uroczyście kiwa głową i powtarza:

– Będziemy – równocześnie z siostrą Annie. Patrząc na niego, nie mogę powstrzymać myśli o naszej przysiędze na Karaibach. O tym, jak poważnie traktował ją Ben. I jak poważnie traktuje teraz rolę ojca chrzestnego. Potem, gdy już mam nadzieję, że w końcu będę mogła się odwrócić i uciec do bufetu, Annie oznajmia, że rodzice chrzestni chcieliby odczytać wiadomość przygotowaną dla Raymonda Juniora.

Pierwsza mówi siostra Annie, recytując wiersz Langstona Hughesa zatytułowany *Marzenie*. Potem przychodzi kolej na Bena. Odchrząkuje i z miłością spogląda na dziecko. Czuję, że dłoń Richarda spoczywa mi na plecach, kiedy spuszczam wzrok na swoje nowe buty i słucham słów Bena wypowiedzianych mocnym, czystym głosem.

– Raymondzie, jestem bardzo szczęśliwy i dumny, że mogę zostać twoim ojcem chrzestnym. Pragnę i modłę się, abyś był dobry i prawy... Abyś był silny, a mimo to czuły... Abyś był uczciwy, a mimo to potrafił wybaczać... Abyś był szlachetny, a mimo to nie zadufany w sobie... Abyś zawsze szedł za głosem serca i robił same dobre i piękne rzeczy. Amen.

Czuję przyływ obezwładniającego smutku, kiedy myślę o tym, jak cudownym ojcem będzie Ben. Jak szczęśliwa będzie jego córka lub syn. Jak wdzięczna będzie mi kiedyś jakaś inna kobieta za to, że miałam takie zdanie na temat dzieci. Nie patrz na niego, powtarzam sobie w myślach. Lecz i tak to robię. Nic nie potrafię na to poradzić. I może to tylko moja wyobraźnia, ale gdy przyglądam się twarzy Bena, nabieram głębokiego przekonania, że jest równie smutny jak ja.

– Nie powinnam była przyprowadzać na tę imprezę Richarda – mówię do Jess po powrocie do domu i zdaniu jej pełnej relacji.

– Przykro mi – mówi Jess. – Ale jeśli to coś pomoże, nadal myślę, że postąpiłaś właściwie.

– Jak to? – pytam, odwiązując oplatające kostki paski moich ślicznych manolosów, których Ben prawie na pewno nie zauważył.

– Ponieważ – mówi – pokazałaś mu, że żyjesz dalej.

– Ale on mnie teraz nienawidzi.

– Wcale nie.

– Nie widziałaś, jak na mnie spojrzał. Nienawidzi mnie.

– W takim razie cię nienawidzi. I co z tego?

– Nie chcę, żeby mnie nienawidził.

– Owszem, chcesz. Chcesz, żeby przejmował się tobą na tyle, żeby cię nienawidzić. Gdyby usiadł i żartował sobie z Richardem, czułabyś się o wiele gorzej.

Muszę jej przyznać rację, lecz po chwili mówię:

– Czuję się jak skończona idiotka, że zrobiłam mu coś takiego.

– Claudio, przyszedł na imprezę z chłopakiem. Wielkie, kurwa, coś. Przecież wiesz, że on też chodzi na randki.

Przekręcam pierścionek z opalem wokół palca i wzdycham.

– Nie lubię ranić jego uczuć. Czuję się tak, jak gdybym zrobiła to... specjalnie. Nie sędzę, żeby on mógł postąpić podobnie.

– Posłuchaj, przecież nie zostawiłaś go dla Richarda. To on zostawił cię. Zostawił cię, mając nadzieję, że pozna inną kobietę, którą będzie mógł zapłodnić i założyć z nią rodzinę. Zapamiętaj to sobie.

Kiwam głową. Ma rację.

– Zatem koniec z poczuciem winy – mówi. – Dobra?

Jeszcze raz kiwam głową, myśląc, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Poza tym zaczynam rozumieć, że mogę mieć poczucie winy przez coś więcej niż tylko przyprowadzenie na imprezę innego faceta.

## ROZDZIAŁ 18

Okres Jess spóźnia się trzy dni, a jej nastrój oscyluje między paniką a rozradowaniem. Wiem wszystko o „lękach” Jess związanych z ciążą. Odkąd ją poznałam, takich przypadków było już chyba ze sto. Jedna z naszych pierwszych rozmów miała miejsce w łazience na pierwszym roku college'u. Wyszła z kabiny, zaciskając dłoń w triumfalnym geście, i oznajmiła:

– Dostałam okres! – Roześmiałam się i pogratulowałam jej, czując podziw dla dziewczyny, która z taką otwartością traktuje kogoś, kogo prawie nie zna.

Od czasu tego wypadku w Princeton Jess przeważnie bierze pigułki, ale nieustannie o nich zapomina. Spogląda na opakowanie i krzyczy:

– Cholera! Jaki mamy dzisiaj dzień? Środę? – i zauważa, że ostatnia pigułka, którą wzięła, była opatrzona napisem „niedziela”. W takim wypadku zazwyczaj połyka trzy naraz. Zawsze powtarzam jej to samo:

– Bierz je codziennie o tej samej porze. Połóż je obok szczoteczki do zębów. Zostaw karteczkę przy lustrze.

Ale ona tego nie robi. Albo nie chce robić. Zamiast tego nosi pigułki w torebce, zapominając je przełożyć, kiedy zmienia ją na inną. Poza tym zdarza się jej w ogóle zapomnieć o tym, że trzeba zrealizować receptę. Innym razem, używając jej własnych słów, „daje ciału odpocząć”.

Myślę, że podświadomie – a może nawet świadomie – Jess czerpie z tego dramatu jakąś przyjemność. Nie potrafię inaczej wyjaśnić, dlaczego taka inteligentna dziewczyna zachowuje się tak nieracjonalnie. Pewnie służą jej nasze rozmowy o tym, co by zrobiła (albo co byśmy zrobiły), gdyby tym razem naprawdę zaszła w ciążę. Czy urodziłaby dziecko? Czy

zdecydowałyby się na aborcję? Czy urodziłaby dziecko i oddała je do adopcji? Odpowiedź zmienia się w zależności od faceta, okresu w jej życiu, kierunku wiatru.

Muszę jednak przyznać, że tym razem jest inaczej. Tym razem Jess naprawdę pragnie dziecka. A może po prostu pragnie Treya. Nadal nie może się zdobyć na całkowicie szczere wyznanie, ale wszystkie fakty wskazują na to, że Jess starała się zajść w ciążę. Widocznie „zapomniała” powiedzieć Treyowi, że nie zrealizowała recepty na pigułki. I jest „raczej pewna”, że uprawiała z nim seks piętnastego dnia swojego dwudziestodwunastodniowego cyklu.

Chyba wierzy, że jeśli zajdzie w ciążę, Trey z nią zostanie. Z kolei ja jestem całkowicie pewna, że związek z Treyem zmierza donikąd. On nie zostawi żony. Nawet o niczym jej nie powie. Tak naprawdę, znając szczęście Jess (choć trudno mówić o szczęściu, kiedy ktoś dąży do zupełnej autodestrukcji), pewnie okaże się, że żona Treya też jest w ciąży. Już sobie wyobrażam, jak ich dzieci rodzą się w tym samym miesiącu. Może nawet tego samego dnia. Będą dorastać na przeciwległych wybrzeżach, nie mając pojęcia o istnieniu tego drugiego. A przynajmniej prawowity syn Treya nie będzie miał pojęcia o córce swojego ojca z nieprawego łoża. Jess prawdopodobnie powie córce całą prawdę w odpowiednim czasie (w wieku, nad którym będziemy debatować przez długie lata). Później dwoje potomków pójdzie do tego samego college'u i trafi do tej samej klasy. On się w niej zakocha, a wtedy ona będzie zmuszona powiedzieć mu prawdę o ich ojcu.

Żadna z tych rzeczy by mnie nie zdziwiła. Nic mnie nie dziwi, gdy chodzi o Jess.

Trzeciego wieczoru, kiedy Jess nadal spóźnia się okres, idziemy na sushi do Koi, restauracji przy Drugiej Alei w pobliżu jej mieszkania, chociaż właśnie jest piątkowy wieczór i planowałyśmy wybrać się na osobne imprezy. Ja jestem zbyt zmęczona, a Jess mówi, że nie interesuje ją imprezowanie, skoro nie może pić.

– Daj spokój, Jess. Naprawdę myślisz, że jesteś w ciąży? – mówię, rozdzielając pałeczki.

Jess wymienia swoje objawy. Mówi, że jest wyczerpana i opuchnięta. Mówi, że ma ciężkie i obolałe piersi. Mówi, że po prostu to czuje. Wie.

Patrzę na nią, myśląc, że słyszałam to wszystko już wcześniej. Mówię:

– Po pierwsze, w i e s z, że to są również objawy zbliżającej się miesiączki. Po drugie, jesteś hipochondryczką, która chce zajść w ciążę. Będziesz czuła takie rzeczy.

– Nie jestem hipochondryczką – zaprzecza Jess z oburzeniem.

– Owszem, jesteś – mówię. – Co powiesz o naszej wyprawie na kemping, kiedy po prostu wiedziałaś, że złapałaś boreliozę? Przyłączyłaś się nawet do internetowej grupy wsparcia dla ofiar choroby!

– Tak. Miałam wszystkie objawy – mówi. – To było takie dziwne.

– Myślałaś, że masz wszystkie objawy.

Wyciera usta serwetką i proponuje:

– No cóż, chyba po kolacji powinniśmy pójść po test.

Wzdycham i mówię:

– Jak myślisz, ile pieniędzy wydałaś już na te testy?

– Mówię ci. Tym razem jest inaczej.

– W porządku – mówię. – W takim razie powiedz: co zrobisz, jeśli zajdziesz w ciążę, a Trey mimo to nie zostawi żony?

– Zostawi ją.

– Ale co będzie, jeśli tego nie zrobi?

– I tak urodzę to dziecko – mówi, maczając kalifornijską roladkę w sosie sojowym. Już oznajmiła, że trzyma się z dala od surowej ryby. Tak na wszelki wypadek. – Po prostu będę samotną matką. Mnóstwo kobiet postępuje w ten sposób.

– Czy nadal będziesz pracować na pełny etat?

– Oczywiście. Uwielbiam moją pracę.

– Więc zatrudnisz opiekunkę?

– Albo i dwie – mówi.

Już chcę zapytać: „Po co ci w takim razie dziecko?”, ale coś mnie powstrzymuje. Coś, co mi mówi, że ostatnią rzeczą, jaką powinnam robić, jest ocenianie decyzji innej kobiety w kwestii dzieci.

W drodze do domu Jess zachodzi do małego sklepiku i kupuje test ciążowy. Przegląda tylną część opakowania i informuje mnie, że poczeka z tym do rana, ponieważ wtedy wynik będzie dokładniejszy. Patrzę na nią sceptycznie, wiedząc, że nie ma mowy, aby powstrzymała się od wykonania testu dzisiaj wieczorem. Moim zdaniem nastąpi to mniej więcej godzinę po naszym powrocie.

Zaczynam myśleć, że mogę się mylić, kiedy słyszę, jak Jess rozmawia przez telefon, plując żargonem inwestorów bankowych. Coś o stopach dyskontowych i wycenie metodą mnożników rynkowych. Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mogłaby rozmawiać po portugalsku. Potem słyszę, jak mówi:

– Słuchaj, Schroder. To nie jest przemysł raketowy. Jeśli chcesz się zajmować przemysłem raketowym, idź pracować do NASA. No. Po prostu

dostarcz mi tę prezentację do jutra rano i zrób ją zajeździe dużą czcionką, żeby ta geriatryczna rada zarządu mogła to przeczytać!

Uśmiecham się i myślę, że to niemożliwe, żeby Jess była w ciąży. Chociaż pragnie dziecka, po prostu nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić. Przynajmniej nie teraz.

Jednak po kilku minutach Jess wpada do mojego pokoju z plastikową płytką w dłoni. Siadam na łóżku i z wrażenia zapiera mi dech w piersiach.

– Popatrz. Krzyżyk – mówi, pokazując mi wynik testu. Drżą jej dłonie.

– Jesteś w ciąży? – pytam, nadal nie mogąc w to uwierzyć. Mniejsza o naukowe dowody, które mam przed oczami.

– Będę miała dziecko – mówi Jess ze łzami w oczach. Z tymi łzami, które oznaczają szczęście. Ze łzami, które płyną, gdy stoi się na podium olimpijskim i porusza ustami do słów amerykańskiego hymnu.

– Jeju – mówię, siadając na krawędzi łóżka. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Ja też nie – szepcze Jess.

– Dzwoniłaś do Treya?

– Tak. Nie odbiera.

– Zostawiłaś wiadomość?

– Uhm. Powiedziałam, że to ważne... – milknie.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Boję się – mówi. – Jestem oszołomiona... ale szczęśliwa.

Przytulam ją i szepczę gratulacje. Odsuwamy się od siebie, patrzymy sobie w oczy, a potem na plastikową płytkę i z powrotem na siebie.

– Co ty o tym myślisz? – pyta po trwającej co najmniej minutę chwili milczenia.



Potrząsam głową, czując przyływ mieszanych, ogłupiających emocji. Przede wszystkim boję się o moją najlepszą przyjaciółkę. Wiem, jak wielką ma nadzieję, jak strasznie pragnie, żeby ułożyło jej się z Treyem, i jaka będzie zdruzgotana, kiedy w ciągu najbliższych dziewięciu miesięcy zderzy się z rzeczywistością. Nie potrafię jednak nie czuć odrobiny złości na

Jess za to, że robi sobie taką krzywdę, że w taki sposób wkracza w macierzyństwo. Mam do niej żal, że podejmuje w życiu złe decyzje, i nie potrafię się powstrzymać od myślenia o tym, jak te niewłaściwe decyzje wpłyną na mnie i moje życie. Ja nie chciałam mieć dziecka z Benem, moim mężem, więc z pewnością nie chcę wychowywać dziecka z przyjaciółką. Mimo to okropnie będzie się wyprowadzić, kiedy Jess jest w ciąży i mnie potrzebuje. Okropnie byłoby odsunąć się od niej w tak krytycznej sytuacji.

Jednak pod stosem tych wszystkich oczywistych reakcji kryje się inne dziwne uczucie. Obawa, że moja ewentualna wyprowadzka i oddalenie się od Jess będą miały drugorzędne znaczenie. Że przysłoni je coś nadzwyczajnego. Że życie Jess stanie się czymś o wiele bardziej doniosłym niż moje. To tak, jak gdybym prawie jej z a z d r o ś c i ł a. Co jest absurdalne, ponieważ oczywiście nie chcę mieć dziecka. Nie chcę.

Zaczynam zastanawiać się nad tym, nad czym zastanawiam się zawsze, kiedy ogarniają mnie jakieś irracjonalne i niekontrolowane emocje: Czy to normalne, że czuję się w ten sposób? Czy inni ludzie tęsknią za czymś, czego przecież nie chcą? Mam nadzieję, że odpowiedź brzmi tak, ponieważ świadomość, że nie jest się odosobnionym, zawsze stanowi pewne pocieszenie. Świadomość, że inni ludzie czują to samo co ty. Że jesteś trochę popieprzona, ale mimo to n o r m a l n a.

Jess kładzie się na moim łóżku i wpatruje się w sufit, podczas gdy ja usiłuję znaleźć jakąś analogię, coś, co nada sens moim uczuciom. Myśli płyną ku pierwszej miłości, ku Charliemu, którego od czasu do czasu spotykam, będąc w Huntington. Charlie pracuje w moim rodzinnym mieście jako strażak – co oznacza, że dni powszednie upływają mu na ratowaniu zblakanych psów i kotów oraz na nauczaniu zasad bezpieczeństwa pożarowego w naszej dawnej podstawówce. W weekendy ogląda mecze Jetsów, wypala mnóstwo cameli light z kolesiami z liceum i bawi się na podwórku z czwórką swoich dzieci. Założę się, że Chanie nie ma paszportu i od czasu ukończenia szkoły nie przeczytał ani jednej książki. Krótko mówiąc, jego życie w ogóle nie przypomina mojego i nigdy by mnie nie zadowoliło. Jednak na jego widok nadal czuję lekki przyływ tęsknoty, przypominając sobie, jak to było mieć szesnaście lat, wychodzić z kina w ciepły letni wieczór i kochać się w samochodzie Charliego, słuchając kasety ze składanką romantycznych piosenek. Mimo to nie myślę tych uczuć z rzeczywistym pragnieniem bycia z Charliem.

Nie chcę również dziecka, lecz pomimo to czuję jakieś ukłucie żalu. Bardzo leciutkie, lecz na tyle silne, że wyrzucam z siebie:

– Gdybym wiedziała, że tak się stanie...

Jess szeroko otwiera oczy. Powoli, pytającym tonem wymawia moje imię.

– Słucham? – mówię niewinnie.

– Zmieniasz zdanie?

– Na jaki temat? – pytam.

– Na temat Bena? Na temat dziecka? Na temat dziecka Bena? – mówi, wyglądając na speszoną, podejrzliwą i pełną nadziei jednocześnie.

– Nie – mówię z przekonaniem. Siłę się na stoicką rzeczową minę. – Nie bądź śmieszna. W tej kwestii nie ma mowy o zmianie zdania.

– No cóż, to chyba dobrze – powoli mówi Jess. – Bo gdybyś jednak zmieniła zdanie, miałabyś teraz dziesięć razy bardziej spięprzone życie niż ja.

Patrzę na nią i powtarzam:

– W tej kwestii nie ma mowy o zmianie zdania.

Następnego ranka leżę w łóżku i chyba po raz piętnasty czytam *Wichrowe wzgórza*. To moja ulubiona książka. I myślę, że teraz, kiedy zakończył się mój związek, uwielbiam ją jeszcze bardziej. W jakiś perwersyjny sposób prawie mi się podoba bycie równie udręczoną jak Cathy.

Odnajduję ulubione fragmenty i czytam je sobie na głos: „Przewodnią myślą mojego życia jest Heathcliff. Gdyby wszystko przepadło, a on jeden pozostał, to i ja istniałabym nadal (...). Jest zawsze, zawsze obecny w moich myślach – nie jako radość (...), ale jak świadomość mojej własnej istoty”. Wzdycham i przerzucam strony do kolejnego poruszającego fragmentu: „Dlatego że nie mogły nas rozdzielić ani nędza, ani poniżenie, ani śmierć, ani żadna siła boska czy szatańska, tyś to uczyniła z własnej woli. Ja ci nie zламаłem życia, sama to uczyniłaś, za jednym zamachem łamiąc i moje”\*.

\* *E. Bronie, Wichrowe wzgórza, tłum. J. Sujkowska, Kraków 2004, s. 63–64, 123 (przyp. tłum.).*

Kiedy już miotam się między namiętnością a rozpaczą, przypominam sobie, jak na początku naszego związku namówiłam Bena do przeczytania tej książki. Jego pierwsze słowa po lekturze brzmiały:

– No cóż. Ten Heathcliff to niezły jajcarz, no nie? – Uśmiecham się na wspomnienie mojego ówczesnego wybuchu śmiechu. I właśnie w tej chwili dzwoni komórka.

Irracjonalnie zakładam, że to Ben, lecz kiedy patrzę na wyświetlacz, widzę, że to tylko Daphne. Odbieram, a ona pyta, co u mnie słyszała. Dopiero w tej chwili dociera do mnie, jak okropnie się poczuje, kiedy dowie się o Jess. Wybieram taktykę najmniejszego oporu i mówię, że u mnie wszystko po staremu. Jess sama może przekazać swoje nowiny. Nie zrobię tego, dopóki naprawdę nie będę musiała.

– A co u ciebie? – zmieniam temat.

– Och, niewiele – mówi.

– Czy przyszły już wyniki Tony'ego? – pytam.

– Tak – mówi. – Przyszły.

– No i?

– Jest zdrowy. Nie ma żadnych problemów – mówi, a jej głos wydaje się dziwnie piskliwy i radosny. Przychodzi mi na myśl, że być może jest w ciąży, ale nie śmiem zapytać. Zamiast tego utrzymuję rozmowę na bezpiecznym gruncie i mówię:

– A co poza tym?

– Och, wiesz, wracam do szkolnego rytmu... Pracuję nad nowymi tablicami informacyjnymi i tego typu rzeczami.

– To dobrze – mówię. – Twoje tablice informacyjne są fantastyczne.

– Och, dzięki, Claudio – mówi.

Zapada długie milczenie, po czym Daphne mówi:

– Claudio, myślisz, że mogłabyś wpaść jutro na kolację? Około siódmej? Chcę poczęstować cię moją lazanią.

– Będzie też Maura? – pytam.

– Nie.

– A mama i tato?

– Nie. Tylko ty. Pomyślałam, że tak będzie fajnie! – mówi.

– Jasne, Daph – mówię, dochodząc do wniosku, że prawdopodobnie nie jest w ciąży. Gdyby była, pewnie zaprosiłaby nas wszystkich. Ale biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, jestem pewna, że nie obędzie się bez rozmowy o dziecku.

Nazajutrz wsiadam do pociągu do Huntington. Po wyjściu na peron widzę Daphne, która macha do mnie ze swojego jaskrawożółtego mini coopera. Idę w tamtą stronę i dostrzegam w jej twarzy coś, co wygląda nienaturalnie i sztucznie. Jak u początkującej aktorki, która udaje, że jest szczęśliwa. Wsiadam do samochodu i mówię:

– Cześć, Daph! – słysząc fałszywą radość w swoim głosie. Zaczynam rozumieć, że bardzo trudno zachowywać się normalnie, kiedy ktoś inny zachowuje się dziwnie.

W drodze do domu Daphne gawędzimy o dzieciach ze szkoły. Z nadmierną wylewnością opowiada mi również o tym, jak bardzo spodobała jej się powieść Dickerson. Mówi, że wybrała ją do swojego klubu czytelnika, chociaż zazwyczaj trzymają się literatury dla kobiet.

– Dziewczyny będą zachwycone – mówi. – Ta książka tak bardzo... skłania do refleksji.

Zerkam na Daphne, myśląc, że to chyba pierwszy raz, kiedy określa swoje myśli jako coś, do czego można skłonić. Moja siostra bynajmniej nie jest głupia, ale nie ma skłonności do introspekcji.

Kiedy docieramy do jej domu, Daphne otwiera pilotem drzwi do garażu. Widzę zaparkowanego w środku czarnego minivana Tony'ego i w myślach wykluczam problemy małżeńskie. Przynajmniej te, które bezpośrednio zagrażają ich związkowi. Z drugiej strony ten dziwny rodzaj wesołości byłby w kontekście rozwodu zupełnie nie na miejscu. Chodzi o coś innego.

– Hop, hop, jestem w domu! – mówi Daphne z nerwowym śmiechem. Dokładnie tak samo mówi mój tato za każdym razem, kiedy parkuje w garażu. Daphne przejęła po nim ten nawyk. Może ja również bym to podłapała, gdybym miała garaż, w którym można zaparkować.

Idę za Daphne do kuchni, mówię „cześć” jej dwóm rozszczękanym yorkom, Annie i Gary'emu, i rzucam okiem na okazałą porcję krabowych ptysiów przygotowanych z angielskich muffinek i mnóstwa masła. Daphne nie jest wybitną kucharką – po prostu wyjątkowo dobrze radzi sobie z podstawowymi przepisami. Tony siedzi przy kuchennym kontuarze, oglądając Metsów, lecz na nasz widok wstaje, podchodzi do mnie i całuje w policzek.

– Wspaniale cię widzieć, Claudio! – wita mnie głosem równie piskliwym, jak głos mojej siostry.

– Ciebie również wspaniale widzieć, Tony – mówię.

Daphne ścisza telewizor i prosi słodkim głosem:

– Mógłbyś włączyć muzykę, kochanie? Spełnia jej prośbę, a ja mówię:

– Jeju, Daph. Krabowe ptysie. Co to za specjalna okazja?

Robi niewinną minę.

– Nie ma żadnej specjalnej okazji. Ja – my – po prostu chcieliśmy cię zobaczyć. To wszystko. Prawda, Tone?

– Uhm – mówi Tony. – Zgadza się.

Czuję, że zaczynam się uśmiechać.

– Uhm.

– Co? – niewinnie pyta Daphne.

Śmieję się.

– Coś się tutaj święci.

Daphne i Tony wymieniają znaczące spojrzenia.

– Napijesz się wina? – pyta Daphne. – Mamy białe i czerwone.

– Uhm. Pozwól, że zgadnę, co trzymasz w lodówce. Czekoladowy mus na deser?

Jej oczy otwierają się ze zdziwienia.

– Skąd wiedziałaś?

– Ponieważ wiem, że ty wiesz, że mus czekoladowy to mój ulubiony deser... No więc, Daphne, po prostu powiedz, o co tu chodzi. Chcecie pożyczyć pieniądze?

Nagle żałuję tego żarciku. Moja siostra nigdy nie prosiła mnie o pożyczkę, ale często muszą z Tonym zaciskać pasa i może rzeczywiście potrzebują trochę pieniędzy na badania w klinice płodności. Na wszelki wypadek dodaję:

– Teraz, kiedy jestem sama, nie mam zbyt wiele wydatków. Tony śmieje się.

– No cóż, tak naprawdę, przydałoby się trochę gotówki. Masz jakieś zbędne pięć tysięcy? Bardzo bym się ucieszył z nowego zestawu kijów do golfa. Albo z motocykla – mówi, wykonując charakterystyczny gest motocyklisty dodającego gazu.

– Nie dostaniesz żadnego motocykla! One są zbyt niebezpieczne – mówi Daphne, powracając na chwilę do swojego normalnego „ja”. Potem

zwraca się do mnie: – Nie bądź niemądra. Nie potrzebujemy żadnych pieniędzy. Ale dziękujemy.

Dziękujemy za propozycję. Jesteś taką hojną i troskliwą siostrą.

Śmieję się i mówię z wiejskim akcentem:

– Dobra. Słuchaj no, paniusiu. Oddawaj mi siostrę. Co żeście z nią zrobili?

Daphne robi swoją najlepszą minę idealnej żony i mówi:

– Nie mam pojęcia, co masz na myśli. – Potem odwraca się, wyciera dłonie w fartuszek i bierze korkociąg, który kilka lat temu Ben podarował Tony'emu, kiedy po raz pierwszy urządziliśmy mikołajkową loterię. Nie mogę uwierzyć, że korkociąg wytrzymał tu dłużej niż sam Ben. Siadam przy kontuarze obok Tony'ego i częstuję się krabowym ptysiem. Jest po prostu idealny.

– Dobra – mówię. – Niech wam będzie. Cieszę się, że traktujecie mnie jak gwiazdę. Te krabowe ptysie są b o s k i e.

Daphne powoli nalewa trzy kieliszki czerwonego wina, a kiedy w końcu się odwraca, po jej twarzy płyną łzy. Zanim mam szansę zapytać, co się stało, mówi:

– Nie chcemy od ciebie pieniędzy, Claudio... Ale chcemy czegoś innego.

Połykam kęs krabowego ptysia i czuję ucisk w żołądku. Z jakiegoś dziwnego powodu myślę, że Daphne potrzebuje nerki. Oczywiście, dam jej jedną z moich.

– Jesteś chora? – pytam, czując, jak obezwładnia mnie strach. Myśl o tym, że jedna z moich sióstr umrze młodo, jest po prostu nie do zniesienia.



– Nie – mówi Daphne łamiącym się głosem. – Jestem zdrowa... Ale moje jajeczka...

– Twoje jajeczka? – pytam, chociaż doskonale wiem, co właśnie powiedziała i o co chce mnie poprosić. Spoglądam na Tony'ego. On również ma w oczach łzy. Przykrywa dłonią dłoń Daphne.

– W zeszłym tygodniu poddałam się badaniom... i nasz lekarz powiedział, że moje jajeczka są niedobre – mówi, szlochając. – Są kompletnie spieprzone.

– Daph... Tak mi przykro – mówię, wstając, żeby ją przytulić.

Unosi dłoń, żeby mnie powstrzymać, po czym ciągnie dalej:

– No więc Tony i ja... zastanawialiśmy się... czy nie moglibyśmy dostać jednego od ciebie?

## ROZDZIAŁ 19

– Dlaczego nie poprosili twojej drugiej siostry? – pyta Richard po wysłuchaniu całej historii o tym, jak urzeczywistniły się najgorsze przeczucia Daphne. O wszystkich badaniach. O ponurym spotkaniu z lekarzem, który oznajmił, że nawet zapłodnienie *in vitro* z jajczkami Daphne byłoby stratą czasu i pieniędzy. Nie zamierzałam opowiadać o tym Richardowi, ale czuję, że muszę z kimś porozmawiać, a nie chcę, żeby tym kimś była Jess. I tak jest przewrażliwiona na punkcie swoich starzejących się jajczek. Poza tym Richard i ja właśnie skończyliśmy się kochać i czuję przyływ bliskości wzbudzającej chęć podzielenia się tym wszystkim z mężczyzną, który właśnie doprowadził mnie do orgazmu. Dwa razy. Richard gładzi moje włosy i mówi:

– Wybór Maury byłby chyba bardziej logiczny, skoro ona ma już dzieci?

Kiwam głową i mówię:

– Mieli kilka powodów... Po pierwsze, ja jestem młodsza. Pewnie chodzi o lepsze jajeczka. Po drugie, myślą chyba, że to byłoby zbyt dziwne – no wiesz, biorąc pod uwagę to, że Maura ma już dzieci. Gdyby wykorzystali jej jajeczka, dzieci byłyby kuzynami oraz rodzeństwem. A przynajmniej przyrodnim.

– To rzeczywiście byłoby trochę dziwne – mówi Richard.

– A ostatnim przemilczanym powodem – dodaję – jest to, że Maura nigdy by się nie zgodziła. Już samo pytanie jej o to byłoby dla Daphne zwyczajną stratą czasu.

– Dlaczego?

– Maura jest chyba... egoistką – mówię i natychmiast żałuję tego komentarza. Czuję się nielojalna i nie chcę, żeby opinia Richarda na temat Maury została skażona, jeszcze zanim ją pozna.

– W jakim sensie jest egoistką? Skąpi własnego czasu? Nie pojechałaby na lotnisko, żeby odebrać przyjaciela? – pyta, zakładając mi za ucho kosmyk włosów.

– Nie... Chyba powinnam była powiedzieć, że jest skupiona na sobie. Ma dobre intencje, ale zdaje się, że odziedziczyła zdolność do empatii po mojej matce – mówię. – Moja matka będzie psioczyć przez wieki, że Chanel wycofało pewien odcień szminki, ale pacjentowi choremu na raka poradzi, żeby po prostu... pozbiierał się do kupy i myślał pozytywnie.

– Tak, znam ten typ – mówi Richard. – Ale mówiąc między nami, wcale nie sędzę, żeby odrzucenie takiej prośby było oznaką egoizmu. Przecież to nie byle co.

– Tak myślisz? – pytam.

– No cóż. Tak – mówi Richard. – Siostry czy nie, to naprawdę wielka prośba.

Miałam nadzieję, że to powie, gdyż sama jestem podobnego zdania – to naprawdę poważna sprawa. Zastanawiam się jednak, czy Richard nie mówi tego tylko po to, żeby podnieść mnie na duchu.

– No więc co jej powiedziałaś? – pyta.

– Jeszcze nic. Powiedziałam, że potrzebuję czasu na zastanowienie.

– Nie mieli nic przeciwko?

– Nie. Przynajmniej tak mi się zdawało. Daphne powiedziała, że to rozumie. Tony podziękował, że w ogóle rozważam ich propozycję. Potem

zmieniliśmy temat i zajadaliśmy się lazanią Daphne. Albo przynajmniej udawałam, że się nią zajadam, bo przez cały czas czułam ucisk w żołądku.

– Zatem ty i Tony musielibyście nad tym popracować? – mówi Richard, żartobliwie dotykając mojej lewej piersi.

– Bardzo zabawne – mówię, odpychając jego dłoń.

– A zgodziłabyś się? Przewracam oczami i mówię:

– Nie bądź głupi... Poddałabym się operacji. Czemuś w stylu usunięcia jajeczka. Dokładnie jak przy zapłodnieniu *in vitro*.

– Musiałabyś poddać się operacji? – mówi Richard, krzywiąc się.

Myślę, że w obliczu bólu mężczyźni zachowują się jak dzieci, ale mówię:

– To najmniejszy problem.

– A na czym polega największy? – pyta.

Myślę przez chwilę, po czym odpowiadam z wahaniem:

– Myślę, że gdyby gdzieś tam żyło moje dziecko, uważałabym je za własne.

Richard mruga i sięga nade mną po swój kieliszek wina, który stoi na nocnym stoliku.

– Uważałabyś je za własne? A może chciałabyś, żeby było twoje?

– A jest jakaś różnica? – pytam, myśląc, że w tym sensie moje jajeczka i mój były mąż mogą mieć ze sobą coś wspólnego.

Wkrótce potem zasypiamy, lecz budzimy się w środku nocy, rozpoczynając ożywioną dyskusję. To zjawisko, które występuje tylko na początku związku, kiedy sen wydaje się mało istotny. Rozmawiamy o audycji radiowej Stevena Gainesa w Hamptons i o tym, że powinniśmy spróbować wysłać do niej jednego z moich autorów. Nagle Richard pyta o moje

trzydzieste piąte urodziny. Nie wspominałam mu o tym, że już się zbliżają, choć pozostały zaledwie dwa tygodnie. Próbuję sobie przypomnieć, czy w ciągu ostatnich lat ludzie z pracy świętowali moje urodziny. Nie sędzę, żeby po trzydziestce wydarzyło się coś podobnego. Nie jestem zwolenniczką urodzinowych imprez, choć wcale nie napawają mnie lękiem. Po prostu mam obojętny stosunek do własnych urodzin. W końcu każdy ma urodziny raz w roku, więc nie rozumiem, o co chodzi z tym całym urodzinowym zamieszaniem, przynajmniej w wypadku kogoś, kto już ukończył dwadzieścia jeden lat.

– Skąd wiesz, że mam urodziny? – pytam. – Michael ci powiedział?

– Nie. Jak dotąd Michael nie powiedział mi nawet tego, że o nas wie.

– W takim razie skąd?

– Możliwe, że zerknęłam do twojego prawa jazdy – mówi Richard.

– Jesteś bardzo zaradny – komentuję. Richard przysuwa się do mnie.

– Potrafię być zaradny... kiedy czegoś chcę – mówi. W ciemności czuję, że patrzy mi w oczy.

– A czego dokładnie chcesz? – pytam i łomocze mi serce, chociaż nie jestem pewna dlaczego.

Richard nie odpowiada na to pytanie, lecz odnajduje moje usta i namiętnie je całuje. Oddaję mu pocałunek, zastanawiając się nad tym, w jaki sposób pragnie mnie Richard. Czy w ten sam pożądlivy sposób, w jaki ja pragnę jego? Czy to wszystko, czego naprawdę chcę? A może raczej dotrzymujemy sobie towarzystwa – wypełniamy pustkę i zabijamy czas? Czy to możliwe, że się w sobie zakochujemy? Czy kiedykolwiek chciałabym być z Richardem w taki sposób, w jaki byłam z Benem? Czy kiedykolwiek chciałabym ponownie spróbować z kimś małżeństwa?

Jak gdyby czytając mi w myślach, Richard nagle przestaje mnie całować i mówi:

– Czy mogę cię gdzieś zabrać w twoje urodziny?

– Tak – mówię. – Bardzo bym chciała.

– Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

– Z tobą mogę pojechać gdziekolwiek – mówię tak pewnym tonem, że prawie zaczynam w to wierzyć.

Rano wracam do mieszkania Jess, żeby przygotować się do pracy. Jess siedzi w salonie w czarnej jedwabnej bieliźnie (Jess nie ma bielizny z bawełny) i smaruje nogi balsamem. W pokoju pachnie wanilią. Jej włosy są jeszcze mokre i nastroszone żelem. Wygląda na szczęśliwą i śpiewa *Perfect World* Liz Phair: „Chcę być fajna, wysoka, bezbronna i ponętna”.

Myślę sobie: no cóż, właśnie taka jesteś. Potem mówię:

– Czy ten palant oddzwonił?

Oczywiście mam na myśli Treya. Oficjalnie jest obecnie znany jako palant. Najpierw był Palantem od wielkiej litery, ale doszliśmy do wniosku, że nie zasługuje nawet na tyle, i zdegradowaliśmy go do przypadkowego pospolitego palanta. Jego asystentka Daria twierdzi, że jest w Tokio. Czujemy, że kazał jej kłamać. Wiemy już, że kłamanie w obronie szefa stanowi integralną część jej służbowych obowiązków.

– Proszę mu powiedzieć, że w Azji też działają telefony – powiedziała Jess, kiedy rozmawiała z nią po raz ostatni. Daria prychnęła i odparła: „Dobrze”, po czym rzuciła słuchawką. Jess oznajmiła, że nie jest do końca pewna, kogo Daria potraktowała z taką pogardą: ją czy swojego szefa. Powiedziałam, że być może Daria również z nim sypia. Zdaniem Jess, to

wcale nie było śmieszne. Zanotowałam w pamięci: w najbliższym czasie powstrzymać się od dowcipów.

– Nie. Nie odezwał się ani słowem – mówi Jess, wzruszając ramionami.

– Pieprzyć go.

Przyglądam się jej twarzy w poszukiwaniu oznak fałszywej brawury. Niczego takiego nie znajduję. Widzę, że naprawdę zaczyna tak uważać. W rzeczywistości wydaje się tak bardzo silna, że powoli dochodzę do wniosku, iż istnieje tylko jedno wytłumaczenie: Jess pragnie dziecka bardziej niż Treya. To coś odwrotnego niż w wypadku mnie i Bena. Czyż mogłabym się bardziej różnić od mojej najlepszej przyjaciółki?

– Pieprzyć go – powtarza. Śmieję się i mówię:

– Właśnie przez coś takiego wpadłaś w te tarapaty.

– Tak. W pewnym sensie to są tarapaty – mówi. – A jednak czuję, że... tak ma być.

Potem informuje mnie, że umówiła się na pierwszą wizytę u lekarza na przyszły czwartek o czternastej.

– Jakie to ekscytujące – mówię i naprawdę tak uważam.

– Pójdiesz ze mną? – pyta niepewnie. – Pielęgniarka powiedziała, że badają bicie serca płodu za pomocą ultrasonografu. Chciałabym podzielić się z kimś tą chwilą... Chciałabym podzielić się nią z tobą.

– Jasne... Pójdę z tobą – mówię i jestem wzruszona, że chce, abym tam była. A ja chcę być tam z nią, lecz mimo to mam pewne wątpliwości. Po pierwsze, jesienią mamy najwięcej pracy, a już sobie wyobrażam, jak godzinami tkwię w poczekalni. Po drugie i najważniejsze, mam wrażenie, że stworzy to niedobry precedens. Czy potem Jess zacznie oczekiwać, że będę z nią chodzić na wszystkie wizyty? Co z samym porodem? Już sobie

wyobrażam, jak prosi mnie o przecięcie pępownicy albo o sfotografowanie pojawiającego się zakrwawionego ciemiączka.

Dziwi mnie ta ironia losu: w ciągu jednego miesiąca kobieta, która nie chce mieć dzieci, zostaje poproszona o użyczenie jajeczka i o odgrywanie roli zastępczego rodzica.

Później tego popołudnia dzwoni do mnie słynna agentka, znana w branży jedynie jako Coral. Nie wiem, czy Coral to jej prawdziwe imię czy tylko jakiś pseudonim, lecz wiem, że uważa się za jedną z największych osobistości w tym biznesie – zresztą chyba słusznie. Ma paru ogromnie ważnych klientów i niemal wszystko, czym się zajmuje, odnosi sukces. W rezultacie wszyscy redaktorzy ślinią się na samą myśl o spotkaniu z nią, a jeśli już do ciebie zadzwoni, czujesz się kimś.

Jakiś rok temu Coral zatelefonowała do mnie po raz pierwszy w sprawie maszynopisu zatytułowanego *Brak plaż dla nudystów*. Czuję się tak, jakbym złapała pana Boga za nogi, kiedy bez przerwy trajkotała o tym, jak bardzo spodoba mi się ta napisana ciętym językiem, lecz sentymentalna i dojrzała historia trzech kobiet podróżujących po Europie po ukończeniu college'u. Coral miała rację – książka mnie zachwyciła, lecz na moje nieszczęście zachwyciła również wszystkich pozostałych i w końcu przegrałam ją w toku bolesnej pięciorundowej licytacji, podczas której przebito oferowaną przeze mnie zaliczkę o pięćset tysięcy dolarów. Był to druzgocący cios, zwłaszcza że książka wybiła się na trzecią pozycję listy „Timesa” – co jest prawie niespotykane w wypadku debiutujących powieściopisarzy. Pamiętam, jak pewnego wieczoru w drodze na kolację zauważyłam tę powieść na wystawie Barnes & Noble przy Union Square.



Byłam tak zrozpaczona, że nie potrafiłam nawet pokazać jej Benowi, ale on również musiał ją zobaczyć, gdyż powiedział:

– Nie przejmuj się. Coral jeszcze się do ciebie odezwie. Zatem oczywiście myślę o Benie, kiedy Rosemary dzwoni

i mówi z przejęciem:

– Claudia, masz na linii Coral!

Z łomoczącym sercem podnoszę słuchawkę i mówię:

– Słucham.

– Claudio, kochanie – mówi Coral. – Gratuluję powieści Dickerson. Jest super owa!

– Dziękuję, Coral. Naprawdę mi miło. Bardzo się cieszymy, że książka tak dobrze sobie radzi... Co u ciebie? – pytam i czuję, że Coral nie dzwoni po to, aby uciąć sobie pogawędkę. Musi coś dla mnie mieć.

– Wszystko dobrze, moja droga... Słuchaj, byłoby cudownie, gdybyśmy umówiły się na lunch... Możliwe, że będę dla ciebie miała coś do poczytania. Coś, co idealnie pasowałoby do ciebie i twojego katalogu.

– Brzmi wspaniale – mówię, czując ogromną radość, chociaż wolałabym, żeby Coral po prostu przysłała gońca z maszynopisem albo dostarczyła mi go e-mailem, podobnie jak inni agenci. Jednak z drugiej strony możliwe, że zamierza dać mi wyłączność i chce załatwić to jak przystało, w cztery oczy. Powtarzam sobie, żeby zachować spokój, kiedy mówię: – Jeśli chodzi o projekt, dzięki, że o mnie pomyślałaś, Coral. Z przyjemnością rzucę na to okiem.

– Fantastycznie – mówi. – Spotkajmy się w przyszły czwartek w Eleven Madison Park... powiedzmy o pierwszej? Wpół do drugiej?

Zerkam do kalendarza, widzę wypisane drukowanymi literami słowa „Wizyta Jess u lekarza” i myślę: niech to cholera, konflikt płodowy.

– Hmm – mówię. – Wygląda na to, że jestem wtedy zajęta, Coral. Pasuje mi każdy inny dzień tygodnia.

– Przykro mi, moja droga. Jestem zawałona pracą przez kolejne kilka tygodni – mówi urażonym głosem.

Myślę sobie: Coral się nie odmawia, i przewracam oczami. Zaczynam ulegać, ale ostatecznie tego nie robię. Zamiast tego oburzam się na jej taktykę. Jestem zbyt zajęta – i doświadczona – na takie gierki. Słyszę swoje słowa:

– No cóż, Coral. W czwartek to niemożliwe. Zaciskam kciuki, żeby rzuciła inny termin albo – jeszcze

lepiej – zaproponowała, że prześle mi maszynopis. Lecz ona mówi tylko:

– Szkoda. Może następnym razem.

Odkładam słuchawkę i tłumaczę sobie, że jeśli telefon od Coral oznacza, że coś znaczysz, to obrażając ją, jesteś naprawdę kimś. Potem przekonuję samą siebie, że nie ma nic ważniejszego niż przyjaźń. Albo dzieci. Albo przyjaciółki z dziećmi. Nie mogę jednak pozbyć się odrobiny żalu, że na moją karierę wpłynęło dziecko – i to w dodatku cudze.

Następnego dnia Jess wchodzi do mojego pokoju w chwili, gdy zaczynam się budzić, i oznajmia:

– Claudio, ja krwawię. – Mówi spokojnym głosem, lecz jej twarz jest napięta i blada.

– Skąd? – pytam, wyobrażając sobie niefortunny wypadek w kuchni.

– Dostałam okres – szepcze Jess. – Już nie jestem w ciąży.

Przez myśl przemyka mi słowo „poronienie”, lecz potrząsam głową i mówię:

– Plamienie na początku ciąży to normalna sprawa. – Mój głos brzmi tak, jak gdybym cytowała jakiś podręcznik medycyny, więc dołączam anegdotyczny dowód: – Maura miała plamienia podczas każdej ze swoich trzech ciąż.

– A czy tryskanie krwią też jest normalne? – pyta Jess drżącym głosem. – Claudio, z całą pewnością nie jestem już w ciąży.

Spoglądam na moją najlepszą przyjaciółkę, bojąc się cokolwiek powiedzieć, bojąc się, że powiem nie to, co trzeba. Słyszałam, że połowa kobiet w którymś momencie życia doświadcza poronienia, lecz sama stykam się z tym po raz pierwszy. Mówię jej, że bardzo mi przykro. Zapewniam, że jakoś przez to przejdzie. Że razem przez to przejdziemy. Mówię jej to, co zawsze mówię Daphne, kiedy dostaje okres – że pewnego dnia będzie matką. Pewnego dnia tak się stanie. Wierzę w to.

Kiedy jednak słyszę, jak wypowiadam te słowa, jakaś bardzo mała część mnie czuje bezwstydną ulgę, że sprawy przybrały taki obrót. Czuję ulgę, że nie będę musiała przechodzić przez te męczarnie razem z Jess. Czuję ulgę, że będę mogła z nią spędzić więcej czasu, zanim zostanie matką. Ale przede wszystkim czuję ulgę ze względu na moją najlepszą przyjaciółkę. Wiem, że teraz oplakuje stratę, lecz mam nadzieję, że któregoś dnia spojrzy wstecz i pomyśli, że to wszystko miało jakiś cel. Że tak było najlepiej. Chcę, żeby miała dziecko ze znaczenie lepszym mężczyzną niż Trey. Z mężczyzną, na jakiego zasługuje. Z takim, który bardziej przypominałby Bena.

## ROZDZIAŁ 20

Mam nadzieję, że moje trzydzieste piąte urodziny powstrzymają falę rozmów o dziecku i ludzie będący częścią mojego życia podarują mi to w prezencie. Jednak w ciągu dni, które zbliżają mnie do wielkiego przełomu, Daphne zostawia mi na sekretarce wiadomości w stylu: „Byłoby super dostać już wkrótce te jajeczka. Jeśli dostaniemy je teraz, będziemy mogli uniknąć amniopunkcji!”

Oczywiście nawiązuje do tego, że większość lekarzy zaleca amniopunkcję w wypadku matek, które ukończyły trzydzieści pięć lat, i chociaż udaje, że to żart, czuję, że mówi poważnie. Pomimo że bardzo wkurza mnie ten cały pomysł z oddawaniem siostrze jednego z moich jajeczek, skłaniam się ku temu, żeby powiedzieć „tak”. Przede wszystkim pragnę skrócić jej cierpienia, ale poza tym naprawdę nie widzę innego wyjścia. Po prostu nie wyobrażam sobie, jak mogłabym odmówić.

Popelniam błąd, dzieląc się tymi wątpliwościami z Jess. Najgorszy etap jej smutku minął po wizycie u lekarza, który potwierdził, że poronienia są straszliwie powszechne. Sprawdził jej również poziom hormonów i orzekł, że wszystko jest w normie. Powiedział, że nie ma powodów, aby spodziewać się jakichś problemów w przyszłości. Mimo to hipochondria Jess miesza się z wieściami na temat Daphne i wpędza ją w rozpaczliwy stan podwyższonej czujności. Z przejęciem rozprawia o zamrożeniu jajeczek, a w pracy poświęca mnóstwo czasu na przesyłanie mi linków dotyczących najnowszych technologii reprodukcyjnych.

Odpisuję jej, oznajmiając, że nigdy w życiu nie słyszałam tyle o jajeczkach, nawet podczas Wielkanocy i niedzielnych obiadek. Gdy tylko

klikam na „wyślij”, zaczynam się martwić, że dowcip był w złym guście albo że ją obrażę, ale ona odsyła mi pogodną, roześmianą buźkę, dostrzega niezbyt subtelną aluzję i skupia się na moich planach urodzinowych. Wyraźnie jej zapowiedziałam (podobnie jak moim siostram), że nie chcę żadnego przyjęcia – ani z niespodzianką, ani bez. Mówię jej, że chciałabym tylko pójść na miłą kolację w małym gronie. Podaję te same imiona co zawsze, pomijając Bena i dodając Richarda.

Kiedy Jess pyta, dokąd chciałabym pójść, mówię, że do Babbo, chociaż było to jedno z tych miejsc, do których najczęściej chodziliśmy z Benem. Nie martwię się już tym, dokąd razem chodziliśmy. Chcę odzyskać mój teren. Zatem Jess wysyła e–maile do Maury i Scotta, Daphne i Tony'ego, Annie i Raya, Richarda i Michaela (którzy, nie licząc jednej wspólnej porannej przejażdżki windą, nie byli jeszcze razem w moim towarzystwie). Wszyscy piszą, że przyjdą, z wyjątkiem Raya. Wykręca się, mówiąc, że nie mogą znaleźć opiekunki do dziecka. Nie wierzę mu – na Manhattanie jest mnóstwo opiekunek – ale w głębi ducha cieszę się, że go zabraknie. Wolę, żeby przyszła tylko Annie. Chcę oszczędzić sobie niezręcznych starań o to, żeby miejsce Bena w naszej czteroosobowej paczce zajął teraz Richard.

Tymczasem Richard planuje trzydniową wyprawę w jakieś tajemnicze miejsce. Nie wiem nawet, czy czeka mnie ciepły czy chłodny klimat, ponieważ do spakowania mojej walizki zatrudnił Jess. Namawiam ją, żeby wyjawiała mi sekret, ale jest twarda jak stal, podobnie jak wtedy gdy nie chce mi powiedzieć, czy film ma dobre czy też złe zakończenie. Kiedy oglądam film, lubię być przygotowana, znajdować się w odpowiednim nastroju. Byłam bardzo wściekła, gdy wspólnie obejrzałyśmy *Pożegnanie z Afryką*, które widziała już wcześniej.

– Powinnaś mi była powiedzieć, że on umrze – wypominałam Jess.

– To popsułoby cały efekt! – odparła.

– Ale skoro sama chcę wiedzieć, nie ma mowy o żadnym psuciu – odpaliłam.

Jess miała inne zdanie na ten temat. Ludzie, którzy lubią niespodzianki, chcą, żeby inni też je lubili.

Więc wszystko, co zdradza mi Jess na temat wycieczki, ogranicza się do tego, że Richard zabiera mnie w „naprawdę świetne miejsce”.

– Byłam tam kiedyś? – pytam.

Mówi, że nie. Potem stwierdza, że skoro już musiałam rozstać się z Benem, dobrze, że przynajmniej zastąpiłam go kimś takim jak Richard.

– Nikt tu nie zastępuje Bena – mówię.

Jess posyła mi spojrzenie, które mówi, że wcale nie jest tego pewna.

– Wydaje się całkiem niezły. Uwielbiam jego głęboki głos. – Próbuje go naśladować, mówiąc: – „Aha, i zapakuj jej jeszcze wibrator, Jess!”

– Dorośnij – mówię.

– Sama dorośnij – ripostuje, stosując swój ulubiony styl odpowiedzi od czasów college'u.

Tylko jedna z nas chce zostać matką, myślę.

W wieczór mojej urodzinowej kolacji Richard proponuje, że przyjedzie po mnie i po Jess. Dziękuję mu, mówiąc, że spotkamy się na miejscu. Zgadza się i przyjmuje przez telefon zamówienie na pierwszego drinka, co wydaje mi się miłym gestem.

Kilka godzin później Jess i ja jesteśmy już wystrojone w małe czarne. Znowu mam na nogach urodzinowe buty. Bierzymy taksówkę do centrum i wysiadamy na rogu Szóstej Alei i Waverly Place. Jest chłodny wrześnieowy

wieczór i kiedy idziemy pół przecznicy w kierunku Babbo, żałuję, że nie zabrałam szala.

– Jest zimniej, niż myślałam – mówię, trzęsąc się. – Denerwujesz się?  
– pyta Jess uszczypliwym tonem.

Wie, że zawsze jest mi zimno, kiedy się denerwuję. – Tym, że przedstawiś wszystkim Richarda?

– Może trochę – przyznaję. – Chcę, żebyście go polubiły: ty, Maura i Daphne.

Gdy tylko to mówię, zaczynam się zastanawiać, dlaczego tak naprawdę zależy mi na tym, żeby uzyskał ich aprobatę. Może to po prostu kwestia dumy. I nie chcę, żeby za bardzo tęskniły za Benem.

– No cóż, już teraz uwielbiam jego głos. Poza tym jeśli ty go lubisz, to ja też – mówi Jess.

Myślę, że odwrotna sytuacja znacznie odbiega od rzeczywistości, ale powstrzymuję się od wspomniania o palancie. Nie rozmawialiśmy o nim już prawie od tygodnia i nie zamierzam zmieniać tego nowego trendu. O ile mi wiadomo, nadal nie raczył do niej oddzwonić.

– Dzięki, Jess – mówię, kiedy nagle daje o sobie znać kolejne zmartwienie, coś, czego nie potrafię nazwać. Może po prostu czuję się nieswojo, ponieważ inaczej wyobrażałam sobie moje trzydzieste piąte urodziny. Myślałam, że będziemy z Benem sami, jedząc gdzieś kolację dla dwojga. A przynajmniej w tej scenie było miejsce dla Bena.

Kiedy jednak wchodzę razem z Jess do gwarnej restauracji i widzę moją rodzinę i przyjaciół zgromadzonych przy barze w wyjściowych strojach i doskonałych humorach, mój niepokój znika i myślę: twoja strata, Ben.

– Cześć! – mówię, całując każdego na powitanie.

Richarda zostawiam na koniec, całując go w usta, co wydaje się nieco dziwne w obecności Michaela, który znacząco się uśmiecha i kręci głową.

– Nie mogę uwierzyć, że właśnie pocałowałaś mojego szefa – mówi do mnie szeptem. A potem dodaje: – Lepiej załatw mi awans.

Richard podaje mi wódkę z tonikiem, co nie uchodzi uwadze moich siostr i Annie. Uśmiecham się i mówię:

– Zadzwoił wcześniej. – To jeden z tych szarmanckich gestów, jakie wzbudzają zazdrość innych kobiet, zwłaszcza żon takich mężczyzn jak Scott, który (co mnie wcale nie dziwi) bez przerwy wisi na telefonie. Pytam, czy wszyscy zdążyli się już poznać. Owszem. Michael dokonał prezentacji. Gawędzimy, czekając, aż nasz stół na drugim piętrze będzie gotowy.

Idziemy na górę. Siadam między Richardem a Michaeliem. Jess siedzi naprzeciwko mnie i zajmuje się kartą win oraz rozmową – dwiema sprawami, w których radzi sobie znakomicie. Kiedy oznajmia nam swój wybór i wszyscy wyrażają zgodę, mówi:

– No, Richard, podobasz mi się. – Następnie rozgląda się wokół i pyta: – Co myślicie o nowym chłopaku Claudii?

Michael mówi:

– To fantastyczny szef. Bardzo sprawiedliwy. Wszyscy się śmieją.

Daphne i Maura posyłają Richardowi identyczne uśmiechy, które mówią: „Jeszcze nie wiemy, czy jesteś odpowiedni dla naszej siostry, ale z pewnością uważamy cię za interesującego faceta”. Zwłaszcza Maura wydaje się przekonana do mojego nowego chłopaka. Lubi wygadanych, bystrych i seksownych facetów, a Richard ma każdą z tych cech. Zauważam, że Scott również ma je wszystkie, i przychodzi mi do głowy, że być może swada, bystrość i seksowność nie wypadają tak wspaniale w kontekście małżeństwa.



Ale to nie ma znaczenia. Przecież ja po prostu dobrze się bawię. A kolacja doskonale do tego wszystkiego pasuje. Jest zabawna i uroczysta. Wszyscy są w dobrych humorach, rozmowa toczy się gładko, jest mnóstwo zabawnych historii, śmiechu, dobrego wina i jedzenia.

Rozmawiamy o zbliżającym się projekcie Annie, który będzie polegał na filmowaniu kobiet w Afganistanie, i o tym, jak ciężko będzie jej znieść rozłąkę z Raymondem Juniorem. Gawędzimy o dzieciach Maury, o tym, co porabiają. A Daphne opowiada anegdoty o dzieciach ze szkoły. Między innymi szczególnie zabawną historię o liściku, który przechwyciła na lekcji matematyki. Oczywiście, przeczytała go. Wszyscy wiedzą, że nauczyciele zawsze czytają liściki, nawet kiedy utrzymują, że jest inaczej – ale to tylko potwierdza powszechną intuicję.

– Najśmieszniejsze jest to – mówi Daphne – że ta dziewczyna, Annabel, jest największym pupilkiem nauczycieli, najdoskonalszym wzorem wszelkich cnót, jaki można sobie wyobrazić, a jednak to ona świntuszyła w liściku skierowanym do tego łobuza o imieniu Josh.

Michael pyta:

– Masz na myśli świntuszenie piątoklasistki czy takie poważne uniwersalne świntuszenie?

Richard śmieje się:

– Sam jesteś świntuchem, skoro tak cię to interesuje. Michael mówi:

– Dajcie spokój. Chcę tylko jeszcze raz przeżyć swoją młodość.

Daphne mówi:

– No cóż, najpierw pisała, że pragnie, aby zrobił jej „cycuszkowi tornado”, a potem poinformowała go, że w Internecie występuje pod pseudonimem „Dużadupcia”.

Wszyscy zwijamy się ze śmiechu.

– Naprawdę ma dużą dupcię? – pyta Annie.

– Nie! – mówi Daphne. – To najbardziej absurdalna część całej historii.

Ta dziewczyna to chucherko. Niebieskookie, rumiane maleństwo.

– Ale najwidoczniej i tak jest dupciastyczna – mówi Michael.

Znowu się śmiejemy, a ja rozmyślam o tym, jakie to szczęście, że mam takich wspaniałych przyjaciół i rodzinę, którzy pomagają mi wypełnić pustkę pozostawioną przez Bena.

Jednak gdzieś między kolacją a deserem powracamy do tematu dzieci – znowu – kiedy Jess oznajmia, że myśli o złożeniu wizyty w skandynawskim banku spermy w centrum miasta.

– W skandynawskim banku spermy? – pyta Daphne.

– Tak. Cała sperma pochodzi od duńskich dawców... Ich slogan brzmi: „Gratulacje, to wiking!” – mówi Jess ze śmiechem. – Mają reklamę, w której dziecko przechwala się, że jego przodkowie przegonili Kolumba aż do Ameryki Północnej. Podpis głosi: „Lepiej spraw mu mocne łóżeczko”. Czy to nie komiczne?

Richard, Michael i Maura wyglądają na rozbawionych. Tony i Daphne wydają się zaintrygowani, lecz sceptyczni. A Annie jest pełna dezaprobaty. Scotta ominęła cała rozmowa, ponieważ wstał od stołu, żeby odebrać kolejny telefon. Nie jestem pewna, jakie wrażenie robi na mnie ten temat, ale trochę wkurzam się na Jess za to, że w ogóle go poruszyła.

Richard i Michael zaczynają nabijać się z Duńczyków – mówią coś o śledziach, Hagarze Straszliwym i Hamlecie.

Czuję, że za chwilę wypłynie na wierzch wojownicza natura Annie – badaczki kobiecej natury – kiedy mówi:

–Mówisz poważnie, Jess?

Jess kiwa głową.

– Jasne. Dlaczego nie? Przecież ci duńscy dawcy są fantastyczni. Wszyscy prezentują klasyczną skandynawską urodę. Są wysocy, mają atletyczną budowę, mały nos, niebieskie oczy, jasną skórę...

– Zatem szukasz czegoś w rodzaju modnego dziecka? –pyta Annie.

– Modne dziecko! – mówi Jess, specjalnie ignorując drwiący ton Annie.

– To takie słodkie. Tak. Chyba właśnie tego mi trzeba.

Annie ciągnie dalej:

– Czy nie wydaje ci się to nieetyczne?

– Nieetyczne? Co masz na myśli? – pyta Jess. Widzę, że Annie działa jej na nerwy, co często zdarzało się już w college'u.

Annie mówi:

– Ponieważ obowiązuje stereotyp, zgodnie z którym niebieskie oczy, jasna skóra i spory wzrost są nieco bardziej cenione. Moim zdaniem to komercjalizuje ludzi.

– Tak! To kompletna bzdura – mówi Michael ze śmiechem. – Dlaczego nie zajrzysz do banków spermy dla czarnoskórych?

Annie ignoruje żart Michaela i mówi do Jess:

– Chodzi mi o to, że w zasadzie wspierasz inżynierię genetyczną. Eugenikę.

– Co to takiego eugenika? – pyta Daphne. Annie mówi:

– To filozofia społeczna, która propaguje selektywny rozród. Przede wszystkim ulepszanie ludzkich cech dzięki interwencji społecznej.

– A co w tym złego? – pyta Jess.

– Właśnie – mówi Richard. – Skoro w ten sposób można stworzyć bardziej inteligentnych ludzi, jestem za. Głupcy przysparzają temu światu wielu problemów...

– Całkowicie się zgadzam – mówi Michael. – Przez idiotów reszta z nas ma przesrane.

Annie nie daje się zbyć żarcikami.

– Eugenika może doprowadzić do sponsorowanej przez państwo dyskryminacji... Nawet do ludobójstwa.

– Och, nie bądź taka melodramatyczna – mówi Jess. – Tylko dlatego że moim zdaniem małe duńskie dziecko byłoby słodkie, porównujesz mnie do nazistów?

– Ile to kosztuje? – wtrąca się zaintrygowana Daphne. Tony spogląda na nią z zaskoczeniem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Mojemu nasieniu niczego nie brakuje, kobieto!”.

– Nie jestem pewna... Prawdopodobnie dosyć dużo. – Jess wzrusza ramionami. Pieniądze nie grają dla niej roli. Potem odwraca się do Annie i mówi: – Poza tym jaka jest różnica między tym, że wybrałaś Raya na ojca twojego dziecka, a tym, że ja wybieram Henrika z Danii na ojca mojego? To osobisty wybór. Odzwierciedla selekcję naturalną.

– No cóż, po pierwsze, wcale nie wybrałam Raya na ojca mojego dziecka – mówi Annie. – Wybrałam Raya na mojego męża. Zdecydowaliśmy się na dzieci znacznie później.

Teraz jestem wkurzona również na Annie. Jej odpowiedź uderza nieco zbyt blisko mnie. Splatam ręce na piersi i czuję, jak ogarnia mnie napięcie.

– No cóż, niektóre kobiety mają to szczęście, że znajdują męża, którego kochają, i mogą mieć dzieci w tradycyjny sposób – mówi Jess.

– Właśnie – mówi Daphne. – Nie widzę problemu w wykorzystaniu nauki w celu urodzenia dziecka.

– Zgadzam się – mówi Maura, po czym rzuca mi zatroskane spojrzenie, jak gdyby chciała powiedzieć: „Trzeba bronić siostry”.

Annie mówi:

– No cóż, po prostu myślę, że cała ta sprawa ze spermą wikingów jest odrażająca.

Zaczynam się zastanawiać, czy Annie uznałaby przekazanie jajeczka siostrze za równie odrażające. Założę się, że tak. A jednak chyba mogłabym przyznać jej rację. W pewnym sensie to jest odrażające.

– Słuchajcie. Rozwiążę ten problem raz na zawsze – mówi Michael, kiedy sytuacja robi się naprawdę nieciekawa.

Jess spogląda na niego i pyta: – Jak?

Michael sugestywnie unosi brew.

– No, sama powiedz. Nie wolałabyś raczej dzidziusia o karmelowej skórze i brązowych oczkach? – Następnie spogląda na Annie i mówi: – Jestem pewien, że nie miałabyś nic przeciwko takiemu wynikowi naszej dyskusji?

Wszyscy się śmieją, łącznie z Annie, a ja myślę: dobry stary Michael. Jak można nie kochać przyjaciela, który potrafi rozładować napięcie podczas etycznej debaty na temat eugeniki?

Maura mówi do Jess:

– Myślę, że powinnaś przyjąć jego propozycję.

Michael mruga do Maury i porusza ustami w bezgłośnym:

„Dzięki”.

Patrzę na Michaela i mówię:

– To j a ci dziękuję.

Czuję, że Michael wie, co mam na myśli – to, że jestem mu wdzięczna za zmianę tematu – gdyż puszcza mi oczko i mówi:

– Żaden problem.

Annie i Jess wymieniają pojednawcze uwagi, jak gdyby chciały pokazać, że mogą wdać się w zaciekłą sprzeczkę, lecz mimo to pozostają przyjaciółkami. Nawet smutna mina Daphne znika, kiedy Tony obejmuje ją ramieniem i szepcze jej coś do ucha. Uśmiecha się. Ja też się uśmiecham. Potem znowu się odprężam, gdyż powracamy do innych tematów niż sperma, jajeczka i ich planowane spotkania.

RS

## ROZDZIAŁ 21

Później tego wieczoru, po podziękowaniu wszystkim gościom i powiedzeniu Richardowi, że spotkamy się rano, zostaję wezwana do pokoju Jess, która radośnie demonstruje mi internetową stronę z dziećmi wikingów. Mam ochotę powiedzieć, jak bardzo mam jej za złe to, że poruszyła temat dzieci podczas mojej urodzinowej kolacji, ale powstrzymuję się. Wiem, że nie kierowały nią złe intencje. Nic nie poradzi na to, że ma obsesyjną osobowość i jednotorowy umysł.

Klika na link, który pokazuje zdjęcia różnych jasnowłosych i niebieskookich dawców. Jeden z nich kopie piłkę i szeroko się uśmiecha. Nazywa się Ian Janssen. Natychmiast przypomina mi się, że Tucker ma na nazwisko Jansen, a kiedy zauważam drugie „s” w nazwisku Iana, dociera do mnie, że podczas pierwszych poszukiwań w Google mogłam zrobić literówkę. Notuję w pamięci, żeby przeprowadzić kolejne poszukiwania z drugim „s”. Potem mówię sobie: niczego takiego nie zrobisz. Nie zmieniaj się w psychola!

Zastanawiam się, która część mnie wygra w tej bitwie – dobrze przystosowana, patrząca w przyszłość Claudia czy może ta stęskniona, rozpamiętująca i zapatrzona w przeszłość. Niestety, ciężko powiedzieć.

Nazajutrz, kiedy Richard przyjeżdża czarnym lincolnem, Jess wręcza mi bagaż – mój przerośnięty wiśniowy worek od Toda, który po prostu uwielbiam. Mówi:

– Udanej zabawy. Wiem, że będzie udana!

Jadąc windą na dół, rozsuwam zamek torby, zerkam do środka i widzę mój paszport. Teraz jestem naprawdę podekscytowana. Chociaż z drugiej strony paszport może być tylko zmyłką.

Kiedy wsiadam do samochodu, Richard całuje mnie w policzek. Wygląda na szczęśliwego. Mówię:

– Jess powiedziała mi, dokąd jedziemy.

Odpowiada:

– Myślisz, że dam się nabrać na coś takiego?

– Tak? – mówię, po czym wyciągam okulary z futerału i wsuwam je na nos.

– Nie dam się.

– Wędkarstwo muchowe w Kolorado?

Śmieje się.

– Nie. Nie sprawiasz wrażenia wielbicielki zabaw na świeżym powietrzu.

– Bo nią nie jestem – mówię, przypominając sobie te wszystkie chwile z dzieciństwa, kiedy moja matka mówiła, żebym odkleiła się od książki i wyszła na dwór.

– To dobrze – mówi Richard. – Bo nie lubię biwakować. W lesie wszystko mnie swędzi. – Potem robi inną minę i mówi: – Jak bardzo wkurzyłaś się wczoraj wieczorem? Przez tę całą rozmowę o dzieciach?

Zastanawiam się, czy nie zignorować tego pytania, lecz zamiast tego mówię:

– Dosyć mocno.

– Wcale ci się nie dziwię – mówi.

Uśmiecham się z wdzięcznością, po czym pytam:



– Dokąd jedziemy?

– Tego nie mogę ci powiedzieć – mówi. – Ale mogę powiedzieć coś innego: byłem tam już kilka razy i jak dotąd nie spotkałem w tym miejscu ani jednego dziecka.

Patrzę na niego i uśmiecham się, myśląc: to się nazywa doskonała odpowiedź.

Godzinę później jesteśmy na lotnisku Kennedy'ego i podchodzimy do stanowiska odprawy dla pasażerów międzynarodowych lotów pierwszej klasy American Airlines.

– Mediolan? – pytam, gdy dostajemy karty pokładowe. – Uwielbiam Mediolan.

– Dobrze wiedzieć – mówi Richard – ale nie lecimy do Mediolanu.

Richard dochowuje tajemnicy przez cały lot, podczas którego pijemy szampana, jemy, oglądamy babski film z Kirsten Dunst i śpimy. Dopiero następnego ranka, po wylądowaniu w Mediolanie, odprawie celnej i odebraniu wynajętego samochodu, Richard wręcza mi kartkę pocztową z Villa d'Este nad jeziorem Como. Natychmiast ją rozpoznaję, ponieważ chciałam tam pojechać, odkąd w wieku jakichś piętnastu lat zobaczyłam album pełen barwnych zdjęć Helmuta Newtona zrobionych na jej terenie.

I nie mogę powstrzymać myśli o Benie, ponieważ jezioro Como było miejscem, do którego zamierzaliśmy wyruszyć z okazji naszej piątej rocznicy. „Oszczędzaliśmy” je na tę chwilę. Wydawało się zbyt wyjątkowe na przypadkową wycieczkę. Zrewidowałam moją filozofię na temat „oszczędzania” różnych rzeczy. Nie ma sensu. Coś takiego przypomina moją prababkę, która przykrywała folią nową kanapę, chociaż nie miała szansy jej zniszczyć.

Rzecz jasna, Jess wiedziała o tych rocznicowych planach. Zatem pomimo że Richard bywał już w Villa d'Este, podejrzewam, że to ona przyłożyła rękę do jego decyzji. Zastanawiam się tylko, czy w rozmowie z Richardem była szczerą, czy też zwyczajnie wrobiła go w te wakacje. Z pewnością jest zdolna do jednego i drugiego. Dochodzę do wniosku, że zadanie takiego pytania byłoby w złym guście, więc tylko się uśmiecham i mówię:

– Jedziemy do Villa d'Este?

Kiwa głową i wygląda na zadowolonego z siebie. Potem mówi:

– Jess mówiła, że nigdy nie byłaś nad jeziorem Como.

– To prawda – mówię.

– Uznałem, że trzeba to nadrobić. To raj na ziemi. Jak powiedział Shelley: „To jezioro przewyższa wszystko, co kiedykolwiek dostrzegałem w pięknie”.

Podobają mi się mężczyźni recytujący poezję i czuję, że się rumienię, kiedy mówię:

– To zdecydowanie zbyt hojny prezent.

– No cóż, nie jestem taki bezinteresowny. W końcu jadę tam z tobą – mówi. Następnie wskazuje okno z widokiem na wodę mieszczące się na trzecim piętrze i mówi: – I od razu zamierzam cię przelecieć w tym pokoju.

Patrzę na niego, myśląc, że gdyby Ben powiedział, że zamierza mnie przelecieć, jego słowa brzmiałyby prostacko, obojętnie. W ustach Richarda są seksowne. Zastanawiam się, dlaczego tak jest, ale żadna odpowiedź nie przychodzi mi do głowy.

Kilka minut później przejeżdżamy obok włoskich pagórków. Wszystko jest takie piękne, że nie wiem, w którą stronę patrzeć.

– Czy świadomość, że jesteś we Włoszech, nie wydaje ci się cudowna?

– pytam Richarda.

Kiwa głową i mówi:

– Jersey się nie umywa.

Podróż jest zaskakująco krótka – trwa niecałą godzinę – i szybko docieramy do małego miasteczka o nazwie Cernobbio. Nasz wspaniały hotel stoi tuż za miastem. Richard zatrzymuje się przed głównym budynkiem i niski schludny mężczyzna z wąsikami otwiera przede mną drzwi. Kiedy wita nas lekkim ukłonem, nagle przychodzi mi do głowy, że mam zbyt wysokie wymagania – że jezioro Como nie będzie w stanie im sprostać. Jednak po kilku sekundach z ulgą odkrywam, że istnieją rzeczy, które rzeczywiście są wyśmienite. Okolica i ogrody są cudowne. Widoki na niebieskie góry i spowitą mgłą wodę zapierają dech w piersiach. Wszystko jest jak ze snu. Mówię to Richardowi, a potem myślę, że nigdy wcześniej nie używałam takiego porównania, chyba że akurat kogoś przedrzeźniałam albo naśladowałam Marcie Brady.

Idziemy do recepcji i Richard wita się ze wszystkimi donośnym amerykańskim „cześć”. Podoba mi się to, że jesteśmy w jednym z najznakomitszych hoteli na świecie, a on mimo to pozostaje sobą – jest przyjacielski, bezpretensjonalny i niemal arogancki. Z kolei moje zachowanie we wspaniałych hotelach i restauracjach ulega zmianie. Nie mogę się powstrzymać od mówienia ściszonego głosem i dbania o zachowanie idealnej postawy.

Kiedy się meldujemy, Richard spogląda na sufit i mówi:

– Popatrz.

Patrzę w górę i mówię:

– Oooch. Piękny.

Nagle ogarnia mnie tęsknota za Benem – jak zawsze, kiedy widzę piękne budynki albo przypominam sobie romantyczny język architektury, którego mnie nauczył, na przykład takie słowa jak wieżyczki widokowe, ornamenty w stylu *fleurde lis*, zdobione listwy, łuki Mary Hart, spandrele, *vousoir vaults* i łabędzie gzymsy. Myślę o tym, jak bardzo urzekłby go ten hotel i jego wszystkie śliczne detale. Może będzie mógł tu przyjechać na miesiąc miodowy. Postarać się o dziecko podczas tego pobytu.

Drogę do pokoju wskazuje nam piękna młoda kobieta – należąca do rodzaju tych, od których nie możesz oderwać wzroku, więc z pewnością nie możesz mieć pretensji o to, że gapi się na nią również twój chłopak. Bo właśnie na tym przyłapuję Richarda, kiedy kobieta z gracją pokazuje nam minibarek, automatyczne rolety i sejf. Potem wita nas po raz ostatni, uśmiecha się i wychodzi.

Kiedy zamykają się za nią drzwi, mówię:

– No cóż, była paskudna.

Richard znacząco się uśmiecha i mówi:

– Naprawdę? Nie zauważyłem.

Wcale nie jestem zazdrosna, ale mimo to rzucam mu takie spojrzenie, jak gdybym była.

W odpowiedzi on prawie rozbiera mnie wzrokiem. Mówię:

– Słucham?

A on odpowiada:

– Chodź do mnie.

Uprawiamy seks, a potem śpimy kilka godzin. To głęboka drzemka – w rodzaju tych, które przydarzają się tylko po długiej podróży samolotem albo w chorobie. Kiedy się budzimy, Richard pyta:

– Myślisz, że jest za zimno, żeby pójść na basen?

– Chyba tak – mówię. – Ale chodźmy.

Przebieram się w łazience, zastanawiając się, jak to możliwe, że nie chcę tego robić w obecności mężczyzny, z którym spalam co najmniej dwadzieścia razy. Oczywiście, upłynęły trzy lata, zanim zdobyłam się na siusianie przy Benie – na samym początku musiałam odkręcać wodę albo kazałam mu głośno śpiewać – więc moja wstydlivość ma chyba jakieś głębsze źródło. Grzebię w bagażu i z radością odkrywam, że Jess spakowała mój najbardziej twarzowy kostium kąpielowy – czerwone bikini, które po raz ostatni miałam na sobie w St. John z Benem. Dociera do mnie, że nie wyprałam go po powrocie. Zatem nadal nosi ślady Karaibów. A może nawet Bena. Zbliżam do niego twarz i wdycham zapach, lecz czuję jedynie woń kostiumu kąpielowego, który zapomniałam wyprać. Nie czuję Bena. Ale może po prostu dlatego że w moim nosie nadal króluje zapach wody kolońskiej Richarda.

Richard i ja spędzamy popołudnie na wylegiwaniu się na drewnianych leżakach nad najładniejszym basenem, jaki kiedykolwiek widziałam – wypełnionym błękitną wodą, która wpada prosto do granatowego jeziora. Otaczający nas ludzie są nadziani i nieco starsi. Richard miał rację: nie ma tu żadnych dzieci. Sączymy lemoniadę, a ja trochę pracuję. Zazwyczaj obiecuję sobie, że nie będę pracować w wakacje, lecz w ten weekend jest to nieuniknione. W dniu powrotu muszę oddać autorowi maszynopis. W pewnej chwili śmieję się i pukam w kartkę piórem.

– Aż takie dobre? – pyta Richard.

Kiwam głową.

Uśmiecha się znacząco i mówi:

– Masz niezwykły dar odkrywania talentów.

Czuję, że to żart i że ma na myśli samego siebie, więc kładę dłoń na jego nagiej piersi, trzepoczę rzęsami i mówię:

– O, tak. Z pewnością.

Pochyla się do przodu i całuje mnie, a ja myślę: nie tęsknię za Benem, chcę być tutaj. Obiektywnie patrząc, gdyby ktoś odpoczywający nad jeziorem Como powiedział mi, że pragnie znaleźć się gdzie indziej, pomyślałabym, że ma nierówno pod sufitem. Prawdziwym sprawdzianem poziomu uczuć w związku byłoby, gdybym odpowiedziała sobie na pytanie: Czy jestem szczęśliwa, siedząc teraz w jakimś podrzędnym hoteliku w Little Rock?

Po lunchu nad basenem gramy w tenisa na korce położonym wysoko na wzgórzu z widokiem na całą posiadłość i jezioro. Mówię Richardowi, że gra w tenisa w takiej scenerii wydaje mi się niemal marnotrawstwem.

Mówi:

– Nie ociągaj się. I przygotuj się na dotkliwą porażkę.

Odpowiadam:

– Żebyś się nie zdziwił.

Okazuje się, że mam rację. Lata lekcji tenisa nie poszły na marne. Jestem o wiele lepsza od Richarda. Zupełnie nie radzi sobie z serwisem – odbija piłkę i uderza. Śmieję się, mówiąc:

– Nie wiesz, jak się serwuje?

Krzyczy:

– Ja gram w bejsbol, skarbie.

Mocno odbijam piłkę. Zamierza się i pudłuje. Piłeczka trafia w linię.

– Boisko – mówię. – Czterdzieści do zera, kochanie.

Mówi:

– Czyżbyś właśnie powiedziała, że mnie kochasz? Myślę sobie: jeszcze nie. Ale mówię:

– Uhm.

– To dobrze – krzyczy. – *Ti amo anche.*

Nie znam włoskiego, ale bez większego problemu mogę się domyślić, co właśnie powiedział.

Tamtego wieczoru jemy kolację na werandzie. Temperatura spadła, lecz Jess spakowała mój czerwony szal z kaszmiru. Richard ma na sobie sportową marynarkę – jednak mimo to przypomina raczej przystojnego kowboja niż biznesmena. Prowadzimy jedną z naszych ulubionych dyskusji: kto z pracy o nas wie?

Zazwyczaj Richard posiłkuje się informacjami opartymi na pogawędkach w windzie lub podczas lunchu. Dziś wieczorem mówi:

– Wszyscy wiedzą.

– Neeee... Tak myślisz? – pytam, udając zaniepokojenie. Ja powiedziałam tylko Jacqueline, która przyrzekła zachować milczenie, ale w głębi serca chcę, żeby wiedzieli o tym wszyscy. Jestem dumna, że umawiam się z Richardem.

Kiwa głową.

– Wszyscy wiedzą.

– Nikt mi o niczym nie mówił – stwierdzam.

– Mnie też nikt o niczym nie mówił.

– W takim razie dlaczego jesteś taki pewny, że ludzie o nas wiedzą?

Mówi:

– Nie wiem... Chyba dlatego że zasadniczo ludzie nie komentują czegoś, co uważają za chwilowy romans.

Kiwam głową, zjadam trochę moich gnocchi i analizuję jego słowa: „czegoś, co uważają”. Czy to oznacza, że tak naprawdę jest to coś bardziej poważnego niż chwilowy romans? Nadal zastanawiam się nad tym sformułowaniem po powrocie do pokoju, kiedy kończymy uprawiać seks – ten ostry, który prawie wywołuje ból. Długo po tym, jak mówimy sobie dobranoc i odsuwamy się od siebie, żeby zapaść w sen, nadal nie jestem pewna, co chciał powiedzieć Richard. Powtarzam sobie, że to bez znaczenia. Jest, jak jest. Jesteśmy tym, kim jesteśmy.

Następny dzień upływa równie błogo, jak pierwszy, a Richard i ja udowadniamy, że jesteśmy mistrzami w wylegiwaniu się, jedzeniu, piciu i uprawianiu seksu. Późnym popołudniem wybieramy się w dwugodzinny rejs po jeziorze, mijając po drodze dom George'a Clooneya i willę rodziny Versace. Sam widok tych budynków sprawia, że ja też czuję się bogata i sławna. Zatrzymujemy się w malowniczej wiosce Bellagio, znanej jako „perła jeziora”, gdzie kupuję skórzaną torbę na zakupy, a Richard wybiera parę skórzanych sandałów. W drodze powrotnej rozpoczyna rozmowę z kilkoma innymi hotelowymi gośćmi. Należy do tych ludzi, którzy wszędzie znajdują przyjaciół. Dochodzę do wniosku, że to jedna z jego najlepszych cech.

Budzę się trzeciego i ostatniego dnia naszego pobytu we Włoszech – w moje urodziny – i myślę: mam trzydzieści pięć lat, jestem o krok od czterdziestki. Po raz pierwszy w życiu czuję się stara i nie jest to przyjemne uczucie.



Odwracam się na drugą stronę i widzę, że Richard już wstał i siedzi na tarasie, gdzie czyta gazetę i sączy kawę. Ma na sobie biały frotowy szlafrok i z jakiegoś powodu myślę o Richardzie Gere w *Pretty Woman*. Obydwaj Richardowie dobrze prezentują się w białych szlafrokach.

Wstaję i idę do łazienki, gdzie myję zęby i szczotkuję włosy. Potem wychodzę na zewnątrz w szlafroku z niebieskiego jedwabiu. Richard składa gazetę na pół, kładzie ją na stolik i wstaje, żeby pocałować mnie w policzek.

– Dzień dobry! – mówi radośnie.

– Dzień dobry – mówię, spoglądając na mgłę, która spowija jezioro. – Piękny dzień.

– To prawda – mówi Richard. – Wspaniały dzień na urodziny.

Siadam i uśmiechamy się do siebie.

– Kawy? – pyta.

Kiwam głową, a on nalewa kawę z małego dzbanka do mojej porcelanowej filiżaneczki wielkości naparstka. Następnie wskazuje koszyk stojący na srebrnej tacy i mówi:

– Śniadanie kontynentalne. Jesteś głodna?

– Nie bardzo – mówię. – Jeszcze nie.

– Mimo to poczęstuj się ciastkiem – nalega. – Musisz coś jeść.

Wzruszam ramionami i po odchyleniu bawełnianej serwetki odkrywam małe niezapakowane pudełeczko wetknięte pomiędzy muffinkę i rogalik. W środku niewątpliwie jest pierścionek. Zaczynam czuć niepokój. Być może dlatego że poprzednim razem po otrzymaniu pierścionka powiedziałam Benowi, że zostanę jego żoną. Być może dlatego że ta cała wycieczka sprawia wrażenie zbyt hojnego prezentu.

– No, zajrzyj do środka – zachęca mnie Richard.

– Nie powinieneś był – mówię i naprawdę tak uważam. Lekceważąco macha dłonią i mówi:

– Otwórz.

Wyciągam pudełeczko z pieczywa i podnoszę wieczko. W środku spoczywa sporej wielkości pierścionek z zielonymi i różowymi kamieniami osadzonymi w złocie. Takie pierścionki podziwiam zwykle na palcach innych kobiet, lecz nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby je kupić.

– Jeju – mówię, wsuwając go na serdeczny palec prawej dłoni. Pasuje jak ulał, zapewne dzięki Jess. – Jest cudowny.

– To ty jesteś cudowna – mówi i biorąc moją dłoń, całuje ją w staromodnym hollywoodzkim stylu.

Dziękuję Richardowi – i mam nadzieję, że moje podziękowania odnoszą się zarówno do pierścionka, jak i do komplementu. Wobec jednego i drugiego czuję jednak odrobinę złości. To przesada. Słowo „cudowna” po prostu nie należy do przymiotników, które do mnie pasują. Jestem dosyć atrakcyjna. Mogę być nawet ładna, kiedy się postaram i wszystkie elementy znajdą się na właściwym miejscu. Ale nie jestem cudowna – i wcale nie wierzę w to, że Richard tak o mnie myśli. Po raz pierwszy patrzę na niego i dostrzegam brak szczerości. Nie potrafię przestać myśleć o tym, ile kobiet nazwał cudownymi. Jestem pewna, że to trzycyfrowa liczba.

– Naprawdę nie powinieneś był – powtarzam. Ponieważ nie mam nic innego do powiedzenia.

– Ale chciałem – mówi. Następnie dodaje: – Zresztą to nic wielkiego.

Patrzę na niego i dostrzegam całą prawdę płynącą z tego oświadczenia. Dla Richarda to naprawdę nic wielkiego. Pierścionek. Villa d'Este. Seks. Ja. Żadna z tych rzeczy nie jest dla niego czymś wyjątkowym. Chyba wiedziałam

o tym od samego początku. Wiedziałam, że to wszystko było tylko częścią jego libertyńskiego życia. Wydawało mi się, że ja również pragnę żyć tak jak on.

Mimo to gdzieś po drodze, być może podczas tej urodzinowej wycieczki, zaczęłam chyba liczyć na coś więcej. Może nawet miałam nadzieję, że znajdę w Richardzie to, co dzieliłam z Benem. Lecz nagle wszystko stało się bardzo jasne: Richard wcale się we mnie nie zakochuje, a ja nie zakochuję się w Richardzie. Nie tworzymy niczego trwałego ani wyjątkowego. My tylko dobrze się ze sobą bawimy. To jest przelotny romans – tak jak powiedział wczoraj wieczorem – przelotny romans, który jeszcze nie ma określonego końca. Czuję ulgę, że to wszystko stało się jasne. Czuję ulgę, wiedząc, że obydwójce podchodzimy do tego tak samo. Jednak poza tym mam poczucie głębokiego rozczarowania. Rozczarowania sobą i sposobem, w jaki toczy się moje życie. Mój pierścionek odbija promienie słońca, a ja myślę: może jestem bardziej podobna do Richarda niż do Bena. Jestem tutaj dlatego, że bardziej przypominam Richarda niż Bena.

## ROZDZIAŁ 22

Tamtego wieczoru podczas powrotnego lotu do Nowego Jorku potrafię rozmyślać jedynie o moim związku z Richardem. Dochodzę do wniosku, że podarowanie pierścionka dziewczynie, z którą nie tworzy się poważnego związku, w pewnym sensie przypomina robienie laski facetowi, do którego tak naprawdę nic się nie czuje. Sprawia, że wszystko wydaje się trochę tandetne. Poniża tego, który daje, oraz tego, który bierze. Nie chcę myśleć w ten sposób o pierścionku Richarda (ani o robieniu laski). Pragnę być postępową, nowoczesną, niezależną i wyzwoloną seksualnie. Powtarzam sobie, że Richard i ja mamy do siebie identyczny stosunek. Nikt nikogo nie wykorzystuje – a może obydwójce wykorzystujemy się w równym stopniu. Nie ma żadnego oszustwa, żadnych fałszywych roszczeń. Richard jest dorosłym mężczyzną z wielkim doświadczeniem i sam potrafi decydować o tym, w jaki sposób wydawać własne pieniądze. A ja mogę wybierać, z kim chcę się wiązać. Jednak pomimo moich mistrzowskich racjonalizacji ten związek po prostu przestaje się wydawać czymś właściwym. Za każdym razem, kiedy spoglądam na mój nowy pierścionek, ogarniają mnie mdłości.

Gdy lądujemy w Nowym Jorku i zamawiamy taksówkę do centrum, mój nastrój udziela się Richardowi i nasza rozmowa staje się wyraźnie niezręczna. Już dwukrotnie zapytał, czy coś się stało – co jest bardzo dalekie od typowego lekkiego tonu naszych pogawędek. W obydwu wypadkach mówię, że nie, ponieważ nie można powiedzieć osobie, która nie traktuje cię poważnie, że ty również nie traktujesz jej poważnie, lecz mimo to czujesz się nieco nieswojo. Jakbyś zadzwoniła do byłego chłopaka i oznajmiła mu, że już się z niego

wyleczyłaś. Albo powiedziała szefowi, który właśnie cię zwolnił, że od wielu tygodni nosiłaś się z zamiarem rzucenia tej roboty. To po prostu... dziwne.

Poza tym ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest okazanie niewdzięczności. Jestem wdzięczna. Nasza wycieczka podobała mi się tak bardzo, jak tylko może się podobać wycieczka w towarzystwie osoby, której nie darzy się miłością. Kiedy zatrzymujemy się przed mieszkaniem Jess, całuję go i jeszcze raz mu dziękuję.

Mówi:

– Dziś wieczorem będę za tobą tęsknił.

– Ja za tobą też – mówię.

To pierwsze kłamstwo, jakie kiedykolwiek mu powiedziałam. Teraz tęsknię tylko za jednym człowiekiem, który wcale nie ma na imię Richard.

– No i? – pyta Jess, kiedy otwieram drzwi. Ma na sobie za dużą męską koszulkę i parę krótkich dżinsowych spodenek z czasów college'u. Z postrzępionych nogawek zwisają długie nitki. – Jak było?

– Było niesamowicie – mówię. – To miejsce zapiera dech w piersiach... i doskonale mnie spakowałaś. Ta koronkowa bielizna bardzo się przydała...

– Ale? – pyta. Najlepsza przyjaciółka zawsze wyczuje zbliżające się „ale”.

– Ale chyba nie chcę spotykać się już więcej z Richardem.

Jess szeroko otwiera oczy i pyta:

– Dlaczego? Co się stało?

– Sama nie wiem – mówię. – Naprawdę nie wiem. Było wspaniale i cudownie, a wtedy on dał mi to. – Unoszę dłoń z pierścionkiem.

Chwyta mnie za rękę, identyfikując szlachetne kamienie jako różowe turmaliny otoczone dwoma oliwinami. Potem przyznaje, że dała mu mój

rozmiar, lecz upiera się, że pierścionek wybrał sam. Ona nie przyłożyła do tego ręki. Potem mówi:

– Poczekaj. Nie rozumiem. Nie podoba ci się czy co?

– Podoba mi się – mówię.

– Zatem w czym problem?

– Nie wiem... Ten związek... Przez niego czuję się tak, jakbym... dryfowała.

– Dryfowała? Co ty, u diabła, wygadujesz? Czytasz za dużo książek.

Nie oczekiwałam zrozumienia, lecz i tak próbuję jej to wyjaśnić. Mówię, że mam wrażenie, że Richard spotyka się ze mną dla zwykłego zabicia czasu, a zabijanie czasu nie wydaje się na miejscu, kiedy ma się trzydzieści pięć lat.

– Cholera – mówi, krzywiąc się. – Zapomniałam, że dzisiaj jest ten dzień. Mam tu gdzieś kartkę z życzeniami i jeszcze jeden mały prezencik... Wszystkiego najlepszego. Jak się czujesz?

– Niezbyt wspaniale – mówię.

– Dlaczego? – pyta.

– Czuję się staro.

– I co z tego? Przecież nie chcesz mieć dzieci.

Myślę o poprzednim razie, kiedy powiedziała mi, że mój wiek nie gra roli tylko dlatego, że nie chcę mieć dzieci. Tym razem odpowiadam.

– Wiem, że nie chcę mieć dzieci... Ale to nie oznacza, że nie chcę niczego.

Jess wygląda na urażoną, kiedy mówi:

– Masz mnie.

– Oczywiście, że mam ciebie, Jess – mówię. – I kocham cię nad życie...

Ale wiesz, że przyjaciele to nie to samo.

Nie próbuje się ze mną spierać. Zamiast tego mówi:

– No cóż, masz jeszcze Richarda.

– Richard też mi nie wystarczy – mówię. – Chcę czegoś więcej. Chcę tego, co miałam z Benem.

Jess bierze głęboki wdech, jak gdyby za chwilę miała przekazać mi jakąś życiową mądrość, której z pewnością nie posiada. Powstrzymuje się jednak i mówi tylko:

– Jak my wszystkie, kochana... Jak my wszystkie.

Wieczorem dzwoni moja komórka i budzi mnie z dość głębokiego snu. Odbieram zdezorientowana i mówię „halo”.

– Spodziewałem się automatycznej sekretarki.

To męski głos – i na początku myślę, że dzwoni Richard, jednak potem dociera do mnie, że to Ben.

Siadam na łóżku i próbuję się skupić. Żadna część mnie nie spodziewała się telefonu od Bena, bez względu na to, czy akurat mam urodziny, czy nie. Wymawiam jego imię i czuję intymną atmosferę, ponieważ leżę w łóżku i otacza mnie ciemność. Zerkam na zegarek. Jest dopiero dziewiąta.

Ben mówi:

– Wszystkiego najlepszego z okazji trzydziestych piątych urodzin.

– Dziękuję – mówię. Łomocze mi serce, a ja się uśmiecham. Nie, śmieję się od ucha do ucha. Przed chwilą Ben uszczęśliwił mnie bardziej niż jakikolwiek pierścionek i którykolwiek człowiek.

– Jak minął dzień? – pyta.

– W porządku – mówię. Następnie odważnie dodaję: – Teraz jest jeszcze lepiej.

– Co porabiałaś? – pyta.

Waham się, po czym mówię:

– Nic szczególnego.

– Annie mówiła, że twój chłopak zabrał cię na jakąś wycieczkę? – pyta Ben i nagle zauważam, że jest pijany. Zdradza go śmiałość tego pytania, lecz przede wszystkim słowa, które są odrobinę bełkotliwe i zlewają się ze sobą. Poza tym podobnie jak potrafię zgadnąć, która jest godzina, na podstawie wpadających przez okno porannych promieni słońca, potrafię również zgadnąć, że Ben wypił pięć, góra sześć piw. Nie wiem jednak, czy wypił je sam czy może z Tucker.

– Och, naprawdę? Naprawdę? – mówię, zastanawiając się, czy Annie kierowała się moim dobrem czy może dopuściła się sabotażu, kiedy przekazywała mu tę informację. Potem zamierzam powiedzieć, że Richard wcale nie jest moim chłopakiem, ale nie jestem do końca pewna, czy chcę, aby Ben to usłyszał. Wszystko zależy od tego, czy on kogoś ma, czego oczywiście nie wiem. Najwidoczniej plotkarstwo Annie działa tylko w jedną stronę. Bez względu na jej intencje, prawie postanawiam zerwać z nią kontakty.

– Dokąd w takim razie wybrałaś się ze starym Richardem? – pyta Ben. – Bo naprawdę uważam, że jest stary.

– Upiłeś się? – zmieniam temat. Nie chcę mu mówić, gdzie byłam.

– Możliwe – mówi. – W końcu musiałem uczcić urodziny mojej byłej żony.



– Z Tucker? – pytam, udowadniając, że w przeciwieństwie do Bena nie potrzebuję pięciu lub sześciu piw, aby zadawać niedojrzałe, zaczepne pytania.

Ben mówi:

– To zależy od tego, dokąd pojechałaś z Richardem.

– No cóż, albo spędziłeś z nią moje urodziny, albo nie – mówię.

– Rzeczywiście, spędziłem – oświadczam.

– To fantastycznie – mówię, dziwiąc się temu, że jedna osoba może mnie uszczęśliwić i zdenerwować w ciągu zaledwie kilku sekund. Nagle ogarnia mnie taka wściekłość, że zaczynam rozważać zmianę decyzji w sprawie Richarda. Być może prześpię się z nim jeszcze kilka razy. W każdym razie jutro zamierzam pójść do pracy z pierścieniem na palcu.

Ben milczy, więc mówię:

– W jaki sposób świętowałaś ze swoją dziewczyną moje urodziny?

– To pozostanie między mną a Tucker – mówi Ben. – Podobnie jak tajemnicze miejsce tego szczególnego wypadu ze starym Richardem, które najwidoczniej pozostanie waszą tajemnicą.

Słowa „między mną i Tucker” są jak cios nożem w pierś. Ból jest tak ostry, że wypalam:

– Richard zabrał mnie nad jezioro Como. Ściśle mówiąc, do Villa d'Este. Było cudownie.

Słyszę kliknięcie i dociera do mnie, że mój pijany były mąż rzucił słuchawką, wyprzedzając mnie o kilka sekund.

Nazajutrz pędzę do pracy, włączam komputer i natychmiast szukam przez Google Tucker Janssen – w wersji z dwoma „s”. Od około czwartej rano myślę tylko o niej: pojawia mi się w koszmarnym śnie, który sprawia, że po przebudzeniu czuję się jak paranoiczka i jestem wściekła. Ogarnia mnie

niepokój, kiedy pokazuje się sześć linków, lecz zaczynam martwić się jeszcze bardziej, gdy klikam na pierwszy z nich i na ekranie ukazuje się jej roześmiana gęba wraz z artykułem z gazety wydawanej w jej rodzinnym mieście (Naperville w stanie Illinois – wiedziałam, że pochodzi ze środkowego zachodu). Podpis głosi: „Dziewczyna z sąsiedztwa, studentka medycyny na Harvardzie, ratuje umierającego mężczyznę”. Artykuł pochodzi sprzed czterech lat – co oznacza, że Tucker nie jest już studentką medycyny. Jest prawdziwą praktykującą lekarką. Przeglądam artykuł i czytam jej słowa: „Udzielania pierwszej pomocy nauczyłam się już w szkole średniej, więc tak naprawdę nie zastosowałam żadnych nowych umiejętności. Jednak ten wypadek sprawił, że podjęłam decyzję o pracy w pogotowiu ratunkowym”.

Jestem zdruzgotana, kiedy chwytam słuchawkę i wciskam klawisz szybkiego wybierania dla służbowego numeru Jess.

Odbiera z głośnomówiącego aparatu z radosnym „cześć”.

– Przełącz mnie na słuchawkę – mówię z niecierpliwością, którą naprawdę czuję.

Słyszę szelest towarzyszący podnoszeniu słuchawki, a potem:

– Co się dzieje?

– Ona jest lekarką, Jess.

– Co? – mówi Jess.

– Jeszcze raz poszukałam jej przez Google. Jest lekarką i pracuje na pogotowiu.

– Tucker? – pyta.

– Tak – mówię, próbując powstrzymać łzy.

Słyszę, jak Jess pisze na swojej klawiaturze. Potem mówi:

– Gdzie ty to widzisz?

– Napisz Janssen przez dwa „s” – mówię. – Tak jak nazwisko twojego dawcy spermy, Iana.

Znowu rozlega się klikanie, a potem:

– Oooh. Tak. Jest... Rzeczywiście, dosyć niefortunna sprawa...

Czekam na coś więcej, na jakieś małe przemówienie na temat tego, że praca redaktorki jest równie szlachetna jak praca na pogotowiu. Może i Tucker ratuje ludzkie życia, ale ja je wzbogacam.

Jess znajduje coś jeszcze. Coś lepszego.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. To nie dowód, że się ze sobą spotykają. A już z pewnością nie gwarantuje, że jest dobra w łóżku.

– Muszę się dowiedzieć, Jess – mówię, myśląc o mojej niedawnej rozmowie z Benem. – Muszę się dowiedzieć, co się właściwie dzieje.

– Dobra – mówi Jess. – Próbowalaś wyszukać ich nazwiska łącznie? W tym samym podejściu? To zawsze wykrywa pary małżeńskie i narzeczonych.

– Jezu! Myślisz, że mogli się zaręczyć?

– Nie. Uspokój się. Mówię tylko... Poczekaaj chwilę... Daj mi sekundę...

– Rozlega się kolejne klikanie, a potem zapada cisza. Po chwili słyszę szept Jess: – Niech mnie cholera.

– Co? – pytam. – Co znalazłaś?

– Jest jedno trafienie – mówi.

– Wpisałaś Benjamin czy Ben? – pytam.

– Ben – mówi. – To ci się nie spodoba.

Trzęsą mi się dłonie, kiedy obok „Tucker Janssen” przez dwa „s” wpisuję „Ben Davenport” w cudzysłowie. Oczywiście, ja też znajduję tę stronę. Wyniki maratonu w Chicago. Mają taki sam czas: trzy godziny,

czterdzieści dwie minuty i pięćdziesiąt pięć sekund. Imponujące, zwłaszcza w wypadku kobiety. Zatem jest lekarką i sportsmenką. Zdecydowanie najgorsze jest to, że mają identyczny czas. Oznacza to, że przekraczając linię mety, trzymali się za ręce (coś, co Ben zawsze obiecywał mnie). Mam zatem pełen obraz: wiem, że wspólnie trenowali, razem polecieeli do Chicago, odwiedzili jej rodzinę w pachnącym szarlotką miasteczku, razem wypruwali sobie flaki podczas maratonu i razem go ukończyli, trzymając się za ręce. To znacznie więcej niż Villa d'Este. Jess również o tym wie, na co wskazuje nietypowe dla niej milczenie. Jess nie daje tak łatwo za wygraną, zwłaszcza gdy chodzi o mój honor. Lecz teraz została pokonana.

– I pomyśleć – mówię – że czegoś takiego można się dowiedzieć z Google.

– Tak – smutno mówi Jess. – Będzie lepiej, jeśli podarujemy sobie kolejne poszukiwania ze słowem „dziecko”, prawda?

## ROZDZIAŁ 23

Tamtego popołudnia mój ojciec przyjeżdża do centrum, żeby zjeść ze mną lunch w Mayrose Diner. Proponował, że zabierze mnie w jakieś miłsze miejsce, ale po pobycie w Villa d'Este jestem raczej w nastroju na laminowane menu niż na lniane serwetki. Siedzimy w naszym boksie i gawędzimy o Włoszech. Mówię, że musi dodać jezioro Como do swojej listy rzeczy, które pragnie zobaczyć przed śmiercią.

– Nie mam takiej listy – mówi, przenosząc cebulę, sałatę i pomidora z talerza do bułki.

– Powinieneś ją stworzyć – mówię.

Patrzy na mnie tak, jakby się nad tym zastanawiał. Właśnie wtedy mówię mu o moich poszukiwaniach w Google. Jego twarz wykrzywia się w grymasie współczucia.

– Przykro mi, maleńka.

– Tak – mówię. – Koszmarna sprawa, prawda?

– Myślę, że naprawdę nadszedł czas, żeby pozwolić mu odejść – mówi.

– Chyba nie chcesz stać się równie zgorzkniała, jak twój staruszek.

Wyciągam rękę i klepię go po dłoni.

– Tato, wcale nie jesteś zgorzkniała – mówię. Jednak gdy tylko padają te słowa, dociera do mnie, że jego radosne rutynowe zachowanie może być tylko przykrywką. Może nadal tęskni za moją matką. Nagle przychodzi mi do głowy, że należy ona do tego typu ludzi, z których, jeśli masz pecha i zdarzy ci się w nich zakochać, można się już nigdy nie wyleczyć. Kiwa głową i mówi:

– W pewnym sensie jestem... Ale już za późno, żebym mógł się zmienić. Za to ty masz przed sobą całe życie... No więc jak idzie ci z tym Richardem? Sprawa wygląda dosyć poważnie, skoro zabiera cię do Włoch.

Kręcę głową. Czuję się nieco dziwnie, przyznając przed własnym ojcem, że pojechałam do Włoch z mężczyzną, którego nie traktuję poważnie, lecz mimo to mówię:

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby coś z tego wyszło.

– A to dlaczego? Czy on też chce mieć dzieci?

Nie jestem pewna, czy to żart czy nie, ale śmieję się, a potem wycieram usta serwetką.

– Nie. Nie chce. Pod tym względem jest dla mnie idealny.

Tato próbuje jeszcze raz:

– Zatem w czym problem?

– Nie kocham go – mówię. – Nigdy nie będzie mi na nim zależało w taki sposób... Myślałam, że tak jest w porządku. Ale w końcu zaczęłam się przy nim czuć trochę pusta.

Tato odkłada bułkę i mówi:

– Czyż nie byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli sami wybierać ludzi, których pokochamy?

– Tak – mówię. – Albo po prostu sprawić, żeby ludzie, których kochamy, pragnęli tego samego co my.

– Tak – mówi. – To też byłoby niezłe.

Jess dzwoni do mnie tego popołudnia i mówi:

– Wyjdźmy gdzieś wieczorem.

– Nie mogę – mówię. – Muszę iść na siłownię i przebiec kilka dziewięciominutowych serii, ale wielkie dzięki.

– Dziś wieczorem nie pójdziesz na siłownię.

– Słyszałam, że ćwiczenia poprawiają samopoczucie – mówię, myśląc, że tak naprawdę zawsze dochodziłam do przeciwnego wniosku. Przeważnie wpadam we frustrację, kiedy kilka kolejnych treningów nie przynosi widocznych efektów.

Jess mówi:

– Potrzebujesz paru drinków.

Kusząca propozycja, lecz parę drinków w towarzystwie Jess prawie nigdy nie oznacza paru drinków. Zwłaszcza wtedy gdy jedna z nas zмага się z jakimś przygnębiającym zawodowym, osobistym lub rodzinnym epizodem. Zazwyczaj oznacza to parę drinków, a potem długą kolację i kilka kolejnych drinków. Następnie, jeśli tragedia jest wystarczająco wielka, są jeszcze tańce w najbardziej kiczowatym klubie, jaki zdoła znaleźć Jess. Faktycznie bywa to bardzo terapeutyczne, więc kusi mnie, żeby jej ulec, lecz myślę o kacu, który czeka mnie następnego dnia, i podejmując decyzję trzydziestopięciolatki, stwierdzam, że nie warto.

Mówię:

– Chciałabym... ale mam zbyt duże zaległości w czytaniu. We Włoszech prawie niczego nie zrobiłam.

– Och, daj spokój. Zawsze masz zaległości w czytaniu –mówi Jess.

– Tak, ale teraz mam niebezpieczne zaległości – mówię. Jess mówi:

– Trudno. Dziś wieczorem wychodzimy. Spotykamy się w Tempie Bar punktualnie o siódmej.

Potem odkłada słuchawkę, zanim udaje mi się odpowiedzieć.

Tempie Bar był jednym z pierwszych barów, które razem odwiedziłyśmy po przeprowadzce do Nowego Jorku. Poleciała go nam jedna z

przyjaciółek rodziny Jess, dziewczyna o imieniu Caroline, która zamieszkała w centrum kilka lat wcześniej niż my. Dała nam listę zatytułowaną „Fajne miejsca do zobaczenia na Manhattanie”, do której zaglądałyśmy przed wieczornymi wyjściami, stawiając gwiazdki przy naszych ulubionych klubach. Tempie Bar zdobył dwie. Nawet pomimo tego, że ceny drinków nie mieściły się w naszym tradycyjnym cenniku *happy hour* i musiałyśmy dużo zapłacić za taksówkę, żeby dostać się do NoHo, zawsze było warto. Tam czułyśmy się świetnie –tak jak gdybyśmy odnosiły sukcesy na Manhattanie.

Pewnego dnia chłopak Jess, zabawny prawnik o imieniu Stu, natknął się na tę listę w naszej kuchni. Jego związek z Jess należał do rodzaju tych, których znakiem rozpoznawczym jest bezlitosne przekomarzanie się. Odnosiło się wrażenie, że żadne z nich nie wyrosło jeszcze z podwórkowego etapu ciągnięcia za włosy. W każdym razie to znalezisko sprawiło mu wielką przyjemność.

– Fajne miejsca do zobaczenia? – powiedział Stu, machając listą w powietrzu, podczas gdy Jess goniła go po całym mieszkaniu. – Co za dziwny język. Kto to napisał?

Jess udała głupią i powiedziała:

– Ach, chodzi ci o tę starą kartkę? Napisała ją jakaś znajoma moich rodziców... Nasi ojcowie razem pracują. Prawie jej nie znam. Powiedz mu, Claudio.

– Prawie jej nie znamy – powtórzyłam jak echo.

– No cóż, jedyną dziwniejszą rzeczą niż napisanie takiej listy jest jej przechowywanie – powiedział, zanosząc się od śmiechu i rysując palcem na czole literę G jak głupia. – A potem stawianie na niej znaczków i robienie jakichś notatek!



Jess poczerwieniała na twarzy, mówiąc:

– A ty jesteś tym głupkiem, który był ze mną w połowie tych miejsc!

Natychmiast zmięła kartkę i wrzuciła ją do kosza na śmieci, lecz do tego czasu Tempie Bar został już zdecydowanie uznany za ulubione miejsce naszych wieczornych wypadów.

Od tamtych dni upłynęło mnóstwo czasu. Kiedy stałam się trzydziestopięcioletnią starszą redaktorką, a Jess prawie tak samo starą dyrektorką generalną znanej firmy z Wall Street, nie bywałyśmy już zbyt często w okolicach Village i NoHo. Nie lubiłyśmy też takich miejsc jak dawniej i zdecydowanie wolałyśmy restauracje, gdzie ludzie mają odwagę pokazać się w innych kolorach niż czerń. Jednak niczym piosenka nierozzerwalnie związana z pewnym okresem w życiu, Tempie Bar wzbudza wielką tęsknotę za czasami, w których miałyśmy po dwadzieścia kilka lat.

Zatem zawsze gdy widzę szyld z jaszczurką, który zdobi wejście przy ulicy Lafayette, a potem wchodzę do romantycznie oświetlonego, obitego czerwonym aksamitem wnętrza w stylu *art deco*, czuję się tak, jakbym miała dwadzieścia trzy lata i była taka biedna, że przez cały wieczór muszę męczyć jednego drinka (kiedy zaczęłam pracować w Elgin, zarabiałam dziewiętnaście tysięcy rocznie). Przypominam sobie również, jak się wtedy czułam – straszliwie onieśmielona i jednocześnie zauroczona centrum, przepelniona poczuciem zbliżającej się porażki i jednocześnie pełna nadziei. A przede wszystkim pamiętam nasze liczne niefortunne przygody dwudziestoparolatek, niemal zawsze spowodowane przez przedstawiciela płci przeciwnej.

To akurat nadal pozostaje aktualne, myślę, dostrzegając przy stoliku w rogu Jess popijającą cosmopolitana. Prawie nie pija już cosmopolitanów, lecz

napój ten pozostał częścią rytuału Tempie Bar (rytuału, który zapoczątkowała znacznie wcześniej, niż na ekranach pojawił się *Seks w wielkim mieście*). Wręcza mi mojego osobistego faworyta z Tempie Bar, martini z kroplą wermutu, i mówi:

– Jak się czujesz?

– W porządku – odpowiadam.

– Naprawdę?

Kiwam głową, lecz po chwili mówię:

– Nie. Niezupełnie.

– Dobra. Posłuchaj. Tak sobie myślałam. Ten cały maraton i tak nie jest w twoim stylu – mówi Jess.

Myślę sobie: jeśli to najlepsza rzecz, jaką udało ci się wykoncypować przez cały dzień, to naprawdę jestem w tarapatkach, ale mówię:

– Zawsze chciałam pobiec w maratonie.

– Tak. Tak. Tak. Tak mówisz – odpowiada Jess. – Tak samo jak ja wyobrażam sobie siebie jako dziewczynę, która lubi jeździć na desce snowboardowej, skakać na bungee i uczestniczyć w spływach górskimi potokami. Chciałabym lubić sporty wyczynowe. Ale wiesz co? Nie lubię ich. Są przerażające. Nie zabawne. Zatem dzięki, ale nie skorzystam... A ty możesz myśleć, że chcesz wystartować w maratonie, ale daj spokój, czy naprawdę chcesz przebiec czterdzieści dwa kilometry? Naprawdę chcesz wstawać bladym świtem i trenować? Nie. Nie chcesz. Zatem pozwól, aby to marzenie umarło.

– Chyba masz rację – mówię. – Sama nie wiem... Wiem, że nie powinnam tak bardzo się tym przejmować. Tak naprawdę nic się nie zmieniło od czasu wyjazdu z Richardem do Włoch... ani od rozmowy z Benem... ani od

chwili, w której zobaczyłam te wyniki w Google. Jestem dokładnie w tym samym miejscu, w którym byłam zawsze albo od czasu rozvodu z Benem. Więc naprawdę nie wiem, dlaczego teraz czuję się tak fatalnie...

– No cóż, podejrzewanie, że Ben kogoś ma, to jedna sprawa. Uzyskanie potwierdzenia to już coś zupełnie innego. To trudne. Rozumiem cię.

– Wiem. Ale naprawdę myślałam, że mam to już za sobą – mówię, przypominając sobie przemowę mojego taty podczas lunchu. – Myślałam, że podjęłam właściwą decyzję.

– Podjęłaś właściwą decyzję, Claudio. Naprawdę podjęłaś właściwą decyzję – mówi. – Po prostu w dalszym życiu zdarzają się czasami małe komplikacje. Musiałaś zastąpić Bena Richardem. Musiałaś przejmować się dziewczyną, którą Ben zastąpił cię. Bo prawdopodobnie na dłuższą metę Tucker nie jest dla niego nikim więcej. Ale bez względu na to, czy rzeczywiście tak jest, czy nie, ty żyjesz dalej.

– Tak samo jak ty żyjesz dalej i powoli zapominasz o Treyu? – mówię z nadzieją.

– Właśnie! – odpowiada z szerokim uśmiechem. – W przyszłym tygodniu Trey przyjeżdża do Nowego Jorku. Zostawił mi wiadomość. Ale nie oddzwoniłam.

Posyłam jej wąpiące spojrzenie.

– Przysięgam, że tego nie zrobiłam. I nie mam zamiaru. Skończyłam z nim. A ty musisz skończyć z Benem.

Kiwam głową i mówię:

– Dobra.

– Zatem za nowe życie – mówi, unosząc kieliszek.

– Za nowe życie – mówię, myśląc, że tym razem prawie w to wierzę.

Potem obie się upijamy i naprawdę czuję się jak za dawnych czasów, kiedy kilka koktajli w modnym miejscu potrafiło rozwiązać dosłownie każdy problem.

Nie wspominam o Benie i Tucker przez kilka kolejnych dni, aż w końcu jeden z moich autorów, Ethan Ainsley, wpada, żeby się przywitać. Ethan przeprowadził się niedawno z Londynu do Nowego Jorku, co bardzo mnie ucieszyło, ponieważ jest jednym z nielicznych autorów, którzy osiągają idealny wynik na mojej czteropunktowej liście, a mianowicie: (1) lubię go, (2) lubię jego twórczość, (3) jego książki się sprzedają i (4) można na nim polegać. Zazwyczaj lubię autora i jego twórczość, ale książki nie odnoszą takiego sukcesu na rynku, na jaki liczyłam. Albo lubię jego twórczość i książki dobrze się sprzedają, lecz sam autor jest bufonem i nie można na nim polegać.

Zatem kiedy w moich drzwiach staje uśmiechnięty Ethan, ja również się do niego uśmiecham i mówię, żeby wszedł do środka i usiadł.

– Popatrz, co przyszło dziś rano – mówię, podając mu model obwoluty jego kolejnej książki, który nieco wcześniej dostałam od kierownika działu artystycznego. – Co o tym sądzisz?

Ethan spogląda na surową granatową okładkę ozdobioną jedynie małą białą poduszką i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Jest cudowna – mówi. – Taka prosta... lecz doskonała.

– Wiem – mówię. – Myślę, że jest naprawdę dobra.

– Ci kolesie z działu artystycznego są wspaniali – mówi. – Trzymajmy kciuki, żeby ludzie oceniali moją książkę po tej okładce.

Uśmiecham się i mówię:

– Co porabiasz? Byłeś w okolicy?

– Tak. Byłem w Paragonie i kupowałem sprzęt narciarski... Zabieramy chłopców na małą wycieczkę.

– Brzmi ciekawie – mówię.

– Tak. Myślę, że będą się dobrze bawić – mówi.

– Co u twojej rodziny?

– Wszystko dobrze. John i Thomas właśnie zaczęli chodzić do przedszkola... a jeśli chodzi o większe nowiny, to spodziewają się siostrzyczki! – mówi rozpromieniony Ethan.

– Ethan! To wspaniała wiadomość! – mówię, naprawdę ciesząc się jego szczęściem. – Darcy bardzo pragnęła córki, prawda?

Nagle zdaję sobie sprawę, że mogę mylić jego żonę z postacią o imieniu Ellen z jego pierwszej książki. W wypadku książek Ethana często zdarza mi się coś podobnego, ponieważ podczas jednej z naszych pierwszych rozmów, tuż po tym jak kupiłam jego maszynopis, przyznał, że powieść bardzo odzwierciedla jego własne życie i małżeństwo. Ściśle mówiąc, wyznał mi, że podobnie jak bohater książki zakochał się w dziewczynie pomimo bagażu jej doświadczeń, pomimo jej wad i własnego gorącego pragnienia wolności, nieskrępowania i błogiej samotności. Zapomniał o tym wszystkim. Po prostu musiał z nią być. Nie trzeba dodawać, że byłam zafascynowana, kiedy poznałam żonę Ethana podczas podpisywania jego pierwszej książki, i po zaledwie pięciominutowej rozmowie zrozumiałam, dlaczego tak bardzo się w niej zakochał. Była czarująca, bezpretensjonalna i zabójczo piękna. Ethan mówi:

– No cóż, Darcy uparcie twierdziła, że to nie ma znaczenia, ale podczas badania USG była niezwykle szczęśliwa. Chyba czuła w domu naszą liczebną przewagę... Zresztą w głębi duszy ja również pragnąłem dziewczynki.

– W takim razie to naprawdę wspaniała wiadomość – mówię, myśląc, że potrafię cieszyć się czyimś szczęściem, jeśli wiadomość o poczęciu jest normalna, zwyczajna oraz wolna od dramatu i kontrowersji. – Gratuluję!

– Dzięki – mówi. – A co u ciebie? Jak się miewasz?

Ethan wie o moim rozwodzie. Niedawno przedstawiłam mu skróconą wersję wydarzeń, które doprowadziły do rozstania („Ja nie chcę dziecka – on chce”). Mówię zatem:

– Och, wszystko w porządku... Po prostu staram się czymś zająć... no wiesz. – Zastanawiam się, czy nie powiedzieć mu o tym, że przez jakiś czas z kimś się spotykałam, ale zmieniam zdanie, kiedy przypominam sobie, że Richard pracował przy jego książkach. Nawiasem mówiąc, jeśli nie liczyć kilku e-maili, nie rozmawiałam jeszcze z Richardem po naszym powrocie z Włoch. Zaczynam się zastanawiać, czy doszedł do takich samych wniosków jak ja.

Ethan waha się, po czym pyta:

– Rozmawiałaś ze swoim byłym mężem?

To pytanie nie powinno zbić mnie z tropu – taka szczerłość jest u Ethana normalna. Jednak zbija mnie z tropu i w końcu opowiadam mu całą najnowszą historię o Tucker i o maratonie. Mówię to wszystko autoironicznym, zabawnym tonem, lecz twarz Ethana pozostaje poważna. Kiedy kończę, mówi:

– I co o tym wszystkim myślisz? Wzruszam ramionami, próbując go zbyć.

– Połączenie lekarki ze sportsmenką jest zdecydowanie denerwujące – mówię z uśmiechem.

– Zatem to tylko standardowe ukłucie żalu po rozstaniu? –pyta.

– Mniej więcej.

– Ale nie chcesz, żeby wrócił, prawda?

Myślę o rozmowie z Jess w Tempie Bar. Potem o przyczynie, dla której ze sobą zerwaliśmy – i o tym, że od tamtego czasu nic się nie zmieniło. Myślę, że doskonale wiem, jak powinna brzmieć odpowiedź. Mimo to przeżywam szok, słysząc własne słowa:

– No cóż, chcę. Pewnie, że chcę, żeby wrócił. Teoretycznie.

– W takim razie go odzyskaj – rzeczowo mówi Ethan.

– Nie mogę – mówię.

– Pewnie, że możesz.

– Jest za późno. On ma dziewczynę. Poza tym wiesz, jest jeszcze ta kwestia z dziećmi.

– Obydwa problemy można rozwiązać.

– Niezupełnie... To znaczy jeśli chodzi o Tucker, to kto wie? Ale kwestii dzieci z pewnością nie da się rozstrzygnąć.

– Pewnie, że się da.

Patrzę na Ethana i myślę o tym, co właśnie mówi. Mówi mniej więcej tyle, żebym urodziła dziecko, aby odzyskać Bena. To chyba najgorsza rada, jaką kiedykolwiek usłyszałam – podobna do nieuczciwej próby Jess, która zamierzała usidlić Treya.

Kręcę głową i mówię:

– Nie mogę urodzić dziecka tylko po to, żeby odzyskać Bena.

– No cóż – mówi powoli. – W takim razie on nie jest chyba twoją bratnią duszą. To powinno cię pocieszyć, kiedy będziesz sprawdzała wyniki przyszłych maratonów.

– Dlaczego tak mówisz? – pytam, czując się dziwnie urażona. Chociaż nie chcę tęsknić za Benem, nie podoba mi się sugestia, że to, co nas kiedyś łączyło, nie było prawdziwe.

– No cóż, dlatego – mówi Ethan – że zrobiłabyś wszystko, żeby odzyskać swoją bratnią duszę, prawda?... Chodzi mi o to, że taka jest natura bratnich dusz. No wiesz, Romeo

1 Julia połknęli truciznę, żeby być razem... Zatem gdyby Ben naprawdę był dla ciebie tym jedynym, czy nie uważasz, że postanowiłabyś urodzić to dziecko?

RS



## ROZDZIAŁ 24

Nie wydaje mi się, żeby Ethan zamierzał wygłosić jakąś głęboką albo górnolotną przemowę. Nie sądzę też, aby próbował udzielić mi sercowej porady. Wydaje mi się, że po prostu dorzucił swoje zwykłe trzy grosze na temat natury prawdziwej miłości. W gruncie rzeczy powiedział to, co każdy z nas słyszał milion razy: miłość przewycięża wszystko.

Zatem nie jestem do końca pewna, dlaczego jego słowa zrobiły na mnie takie wrażenie. Może dlatego że nie powiedział mi morałów. Może chodziło o podobieństwo do fabuły jego książki – o dostrzeżenie sztuki, która naśladuje życie naśladujące sztukę. Może o wyrazistość, z jaką słyszy się coś od przypadkowego posłańca, gracza niezaangażowanego w twoje życie, kogoś spoza wewnętrznego kręgu.

Jestem pewna tylko tego, że słowa Ethana trafiły mi prosto w serce i sprawiły, że ujrzałam mój związek z Benem w najmniej skomplikowanych i najprostszych kategoriach. Ujrzałam nagą istotę naszego rozstania. Bolesną prawdę o całej sprawie. Niemal w ciągu sekundy zdałam sobie sprawę, że nie przemawia już do mnie propaganda o związkach, które kończą się dlatego, że powstały w nieodpowiedniej chwili, że istnieją różnice charakterów i przeszkody takie jak pragnienie posiadania dziecka lub brak takiej chęci. Dziecko jest ogromnie ważne – co do tego nie ma żadnych wątpliwości – ale podobnie jest z religią, wiekiem, miejscem zamieszkania, małżeństwem, toczeniem sporów o domy oraz z wieloma innymi z pozoru nieprzewyciężalnymi przeszkodami, które ludzie napotykają i pokonują, jeśli naprawdę się kochają.

Zatem siedząc w biurze, dochodzę do wniosku, że chociaż brzmi to zbyt prosto i naiwnie, naprawdę wierzę, że prawdziwa miłość zwycięża wszystko. Zatem prawdziwy musi być również jeden z dwóch wniosków: albo mój związek z Benem nie był tym, za co go uważałam, albo nasze rozstanie było wielką, straszną pomyłką.

Albo jedno, albo drugie. Nie istnieją żadne inne wyjaśnienia.

Wiem, jakie jest moje zdanie na ten temat. Mam tylko nadzieję, że Ben uważa tak samo.

Po południu dzwonię do Daphne i pytam, czy mogę u niej przenocować.

– Pewnie! – mówi. – Tony wychodzi z chłopakami, więc wybrałaś idealny moment.

– Niczego nie gotuj – mówię. – Zamówimy pizzę, dobra?

– Od Papa John's? – pyta z nadzieją w głosie.

W jej domu toczy się zaciekle debata na temat wyższości pizzy Papa John's nad pizzą Domino, połączona z wieloaspektową analizą obejmującą jakość sera, ciasta, sosu, czasu dostawy i stosunku jakości do ceny.

– Doskonale – mówię, czując przyływ sympatii do mojej uroczej siostry z przedmieścia.

Wracam do mieszkania Jess i szybko pakuję parę rzeczy. Kiedy wynoszę z łazienki szczoteczkę do zębów, słyszę charakterystyczne, wyraźne odgłosy świadczące o tym, że moja najlepsza przyjaciółka właśnie uprawia seks z obdarzonym równie ognistym temperamentem, niezbyt subtelnym mężczyzną. Niewiele rzeczy potrafi wyprowadzić z równowagi bardziej niż słuchanie, jak bliska przyjaciółka uprawia seks (jest to tylko odrobinę mniej wstrząsające niż usłyszenie własnych rodziców w podobnej sytuacji). Jednak symfonia tych jęków staje się jeszcze bardziej odpychająca, kiedy

przypominam sobie, że w mieście jest Trey. Przepelnia mnie coś bardzo zbliżonego do wściekłości – na niego za to, że traktuje ją jak zabawkę, lecz w większym stopniu na Jess za to, że jest aż tak głupia. Niech lepiej użyje prezerwatywy, myślę, wybiegając na korytarz przy akompaniamencie długiego, przeciągłego jęku.

Jakieś dwie godziny później przyjeżdżam do Daphne i wchodzę bocznymi drzwiami bez pukania. Daphne siedzi na podłodze na dużej poduszce i sprawdza klasówki ubrana we flanelową piżamę i kapcie z podobizną Snoopy'ego.

– Cześć! Właśnie przyjechała pizza – mówi. – Zamówiłam pepperoni. Mam nadzieję, że ci odpowiada?

– Jasne – mówię.

Odkładam torbę i siadam obok niej, podnosząc jedną kartkę ze sterty ocenionych klasówek. Należy do Annabel Partridge, która zasłużyła na piątkę z plusem i komentarz o treści „Dobra robota” z trzema wykrzyknikami i uśmiechniętą buźką.

– Poczekaj – mówię. – Czy to Annabel „Dużadupcia”?

Daphne śmieje się i mówi:

– Tak.

– O kurczę. Piątka z plusem przy takim bogactwie pozalekcyjnych zajęć... To chyba naprawdę jakaś anomalia, co?

– Tak – mówi Daphne, kręcąc głową. Sięga na spód sterty i wyciąga klasówkę Josha McCalla opatrzoną czerwonymi znaczkami, wielką dwójką i komentarzem „Stać cię na więcej” (z jednym wykrzyknikiem i zmarszczoną buźką).

– To jej chłopak? – pytam.

– Uhm – przyznaje, kręcąc głową, po czym odkłada klasówki. Następnie odchrząkuje i mówi: – Posłuchaj, Claudio, wiem, co chcesz mi powiedzieć...

– Naprawdę? – pytam.

Kiwa głową i mówi:

– Nie chcesz być naszą dawczynią jajeczek, prawda?

W jej słowach i wyrazie twarzy nie kryje się żadna pretensja ani gorycz. Wręcz przeciwnie, wygląda tak, jak gdyby mnie przeproszała. Jak gdyby doskonale rozumiała moją decyzję – a nawet w pewnym sensie się ze mną zgadzała.

Pochylam się i przytulam ją.

– Przykro mi – mówię. – Po prostu... po prostu nie mogę tego zrobić.

– Domyśliliśmy się – mówi. – W porządku, Claudio. Naprawdę nic się nie stało.

– Czy mogę ci to wyjaśnić? – pytam.

– Nie musisz.

– Chcę.

– To dla ciebie zbyt dziwne? – pyta.

Biorę głęboki oddech i pocieram powieki.

– Chyba po części właśnie o to chodzi.

– Miałabyś wrażenie, że to dziecko jest twoje i Tony'ego? – mówi, próbując się uśmiechać.

– No cóż, możliwe – mówię. – Może trochę...

– Wiem – mówi. – Tony czuł się chyba podobnie. Nie dostrzegałam tego, dopóki nie zapytał, jak bym się czuła, gdyby sytuacja była odwrotna i użylibyśmy mojego jajeczka i spermy jego brata Johnny'ego. Powiedziałam

wtedy: „To nie uczciwe porównanie. Claudia jest piękna i mądra, a Johnny to podły popapraniec, który zbierał naprawdę niskie wyniki w szkolnych testach kwalifikacyjnych”, ale mimo to zrozumiałam, o co mu chodzi... A z pewnością nie chcę zrobić czegoś, czego ty albo Tony moglibyście żałować. To zbyt ważna sprawa.

– Dziękuję, że tak o mnie mówisz, Daphne – mówię. – To naprawdę miłe. Dziękuję.

– No cóż, właśnie taka jesteś – mówi. – I nie uważam, że podejmując taką decyzję, postępujesz samolubnie. Wcale nie.

– Dobra – mówię, czując się jeszcze gorzej z powodu jej wyrozumiałości. – Po prostu... czuję się tak, jak gdybym naprawdę zostawiała cię na lodzie. Co wy teraz zrobicie?

– Są inne możliwości – mówi. – Wiemy, że będziemy mieć dziecko. Dziecko, które jest nam pisane. Każde, które w końcu zostanie nam dane, będzie tym odpowiednim. Będzie nasze. Wiemy, że trzymając je na rękach, będziemy myśleć: gdyby nasza droga była łatwa, nie mielibyśmy ciebie.

– To prawda – mówię, czując się niezwykle dumna z mojej siostry. Pytam, czy zastanawiają się nad adopcją.

– Tak – mówi. – W tym tygodniu ponownie zaczęliśmy szukać agencji adopcyjnych... A moja przyjaciółka Beth właśnie wróciła z Chin z prześliczną malutką dziewczynką... Poza tym interesujemy się tym naprawdę fajnym programem o nazwie Płatek Śniegu. Słyszałaś o nim?

Kręcę głową.

Wyjaśnia mi, że dzięki temu programowi para może zaadoptować embrion spłodzony przez biologicznych rodziców w drodze zapłodnienia *in vitro*.

– To taka kontrowersyjna chrześcijańska organizacja.

– Dlaczego jest kontrowersyjna?

– Och, nie wiem. Chyba dlatego że ci rodzice zasadniczo wierzą, że embriony to dzieci. Właśnie dlatego nazywają to adopcją, a nie dawstwem... Ale Tony'ego i mnie naprawdę nie obchodzi to, jak na to mówią.

– No cóż, brzmi wspaniale... Dzięki temu będziesz mogła doświadczyć ciąży i porodu.

– Tak – mówi. – Z jakiegoś powodu noszenie dziecka w brzuchu jest dla mnie ważniejsze niż DNA... Zatem jesteśmy naprawdę pełni optymizmu i podekscytowani tym, że jakoś idziemy naprzód.

– Cieszę się, Daphne. Dziękuję za zrozumienie. – Potem waham się, wiedząc, że nie będzie można cofnąć tego, co zamierzam powiedzieć. Pragnę jednak, aby Daphne była pierwszą osobą, która to usłyszy.

– O co chodzi? – pyta Daphne.

– No cóż... Ja... chciałam ci tylko powiedzieć, że jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogłam zostać twoją dawczynią jajeczek...

– Co to takiego? – pyta.

– Cóż, chyba... Chyba w końcu powinnam sama zdecydować się na dziecko.

Patrzy na mnie z otwartymi ustami.

– Chcesz mieć dziecko?

– Chcę mieć Bena.

– No więc jak? Wróćcie do siebie?

– Nie wiem – mówię. – Ale niczego więcej nie pragnę.

– A potem urodzisz dziecko? – pyta.

– Jeśli będzie trzeba – mówię. – Zrobię wszystko, żeby go odzyskać.

## ROZDZIAŁ 25

Nazajutrz planuję iść do pracy prosto od Daphne, ale okazuje się, że zostawiłam w domu biustonosz. Poszłabym bez niego, lecz mam na sobie obcisłą bluzeczkę z bardzo cienkiej, prawie przezroczystej tkaniny. Daphne proponuje mi dla żartu jeden ze swoich biustonoszy, ale obydwie wiemy, że to niemożliwe. Jej piersi są znacznie większe niż moje. Zatem ruszam w stronę domu, żeby dokończyć się ubierać, z nadzieją, że nie natknę się tam na Treya. Na szczęście nie natykam się.

Natykam się jednak na Michaela, który stoi przed telewizorem z pilotem w dłoni, w całej okazałości swojej golizny.

– Cholera! – krzyczymy jednocześnie.

– Co ty tu robisz? – pytam, zdając sobie sprawę z tego, jak głupio brzmi to pytanie. W końcu z pewnością nie leniuchuje tutaj na golasa, oglądając programy sportowe. Odwracam wzrok, lecz przedtem mimowolnie dostrzegam okolicę krocza Michaela, którą z pewnością będę rozślawiać w myślach aż do końca świata. Łączę ten widok z efektami dźwiękowymi z ostatniego wieczoru i myślę: jeju, Michael, a ja myślałam, że jesteś tylko kolejnym pięknołicym publicystą.

W tej chwili z sypialni wychodzi Jess. Wygląda na zadowoloną z siebie.

– Spotkaliście się? – Rzuca Michaelowi ręcznik, a on szybko przewiązuje się nim w pasie.

– Tak. Spotkaliśmy się już parę razy – mówię z uśmiechem. Michael też posyła mi znaczący uśmiezek i mówi:

– Myśleliśmy, że jesteś u Richarda.

– Tak naprawdę byłam u Daphne – mówię, zdejmując płaszcz i przypominając sobie o mojej biustonoszowej sytuacji o sekundę za późno.

– Fajne cylindry, Claudio – mówi Michael. – Wygląda na to, że w Elgin Press będzie dzisiaj jakiś pokaz. Możemy o tym pogadać... Jeśli chcesz.

Z powrotem wkładam płaszcz i mówię:

– Zapomniałam biustonosza. Przepraszam.

– Nie ma za co przepraszać – mówi Michael.

Jess daje mi żartobliwego, lecz dziwnie zazdrosnego kuksańca, który podpowiada mi, że to wszystko może być czymś odrobinę poważniejszym niż tylko jednorazowym bzykankiem. Przynajmniej dla Jess. Instykt nakazuje mi opuścić pokój, a potem uzyskać osobne relacje od każdej ze stron, lecz po chwili dochodzę do wniosku, że równie dobrze mogę po prostu zapytać o to teraz. Mówię zatem:

– A co tu się właściwie dzieje? Od dawna tak się z tym kryjecie?

Jess macha ręką i mówi:

– Odkąd pojechałaś do Włoch, a ja znalazłam mój bank spermy.

Michael śmieje się i mówi:

– Nie słuchaj jej. Używamy prezerwatyw.

Prezerwatyw w liczbie mnogiej, myślę, podczas gdy Jess śmieje się i mówi:

– Ale i tak powoli go na to namawiam.

– Poważnie? – pytam.

– Poważnie – mówi Jess. – Wiesz, ma dobre geny.



Patrzę na Michaela, mężczyznę, który nie może się zdobyć nawet na to, żeby dać kobiecie klucze do swojego mieszkania. Uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Ale poza tym jesteśmy zakochani – mówi Jess. – Więc wszystko jest jak trzeba.

– To prawda – mówi Michael. – Kocham ją.

Patrzę na ich identyczne, zagadkowe miny. Wspaniale bawią się w swoim towarzystwie, lecz wydają się również dziwnie poważni.

Kręcę głową i mówię:

– To wszystko jest zajebiście dziwne. – Potem ruszam w kierunku mojego pokoju, żeby zabrać biustonosz.

Po południu próbuję pracować, lecz przeważnie zastanawiam się nad tym, w jaki sposób powinnam skontaktować się z Benem. Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Domyślam się, że to Michael, który nie pokazał jeszcze swego skruszonego oblicza.

– Proszę! – mówię, rozpierając się na krześle i przygotowując w myślach cięty komentarz.

Otwierają się drzwi i staje w nich Richard paradujący w moim ulubionym literackim wydaniu: tweedowa marynarka, golf i okulary. Cieszę się, że go widzę – i nadal dosyć mocno mi się podoba. Jednak to wszystko zostaje przyćmione poczuciem niezręczności, które wynika z faktu, że jest to nasza pierwsza bezpośrednia interakcja w ciągu dziesięciu dni, które upłynęły od powrotu z Włoch.

– Nie wiedziałam, że nosisz okulary – mówię z nerwowym śmiechem.

– Tylko do czytania – mówi, po czym ściąga je i wsuwa do kieszeni marynarki.

Uśmiecham się i wskazuję krzesło dla gości.

– Usiądź.

Przymyka drzwi i siada.

– No więc, Parr? O co chodzi? – pyta. Posyła mi znaczący uśmiezek, który nie do końca maskuje odrobinę urażonej dumy. Jestem niemal pewna, że Richard nie jest przyzwyczajony do tego, żeby dostawać kosza. – Nie spodobało ci się jezioro Como czy co?

Odchrząkuję i zaczynam się jąkać:

– Po prostu byłam zajęta... Ale nie, nad jeziorem Como bawiłam się cudownie.

– Cudownie? – pyta Richard z rozbawioną miną.

– Wiesz, co mam na myśli. Bawiłam się wspaniale – mówię z większym przekonaniem. – Dziękuję.

– Już mi podziękowałaś – mówi. – Nie ma potrzeby tego powtarzać.

Uśmiechamy się do siebie i mam wrażenie, że trwa to z dziesięć minut, chociaż prawdopodobnie upływa zaledwie trzydzieści sekund. W ciągu tej krótkiej przerwy staje się absolutnie jasne – o ile nie było jasne już wcześniej – że nasz romans dobiegł końca. Wiem, że Richard nie żywi do mnie żadnych głębszych uczuć – i jestem niemal równie pewna, że w jego grafiku figuruje teraz co najmniej jedna inna kobieta, a kilka kolejnych czeka na swoją kolej. Mimo to czuję się w obowiązku wszystko mu wytłumaczyć. Mówię zatem:

– Posłuchaj. Czuję się naprawdę żalśnie, mówiąc ci to, ale...

Richard przerywa mi, mówiąc:

– Ostrożnie. Czasami żalosna kobieta potrafi być czarująca.

Śmieję się i mówię:

– Na pewno nie ja.

– Pozwól, że zgadnę – mówi. – Nadal kochasz swojego byłego męża?

Patrzę na niego i zastanawiam się, skąd wie. Nie przypominam sobie, żebym od czasu chrztu Raymonda Juniora kiedykolwiek wspomniała o Benie. A może właśnie dlatego wie. Zastanawiam się, czy nie udzielić mu pełnych wyjaśnień, lecz zamiast tego oświadczam bezceremonialnie:

– Mówiłam, że to żałosne.

Potem sięgam do górnej szuflady biurka po koktajlowy pierścionek. Nie mogę zwrócić mu wycieczki do Włoch –a proponowanie pieniędzy za moją część wydatków byłoby zbyt krępujące. Mogę jednak symbolicznie zwrócić pierścionek. Mówię:

– Dziwnie się czuję, zatrzymując to. – Kiedy próbuję mu go oddać, niespodziewanie ogarnia mnie uczucie podobne do tego, którego doświadczyłam w liceum, gdy przed wyjazdem do college'u oddawałam Charliemu jego kurtkę szkolnej reprezentacji sportowej.

Richard macha dłonią i mówi:

– O, na miłość boską, Parr. To nic. Nawet nie był taki drogi. Zatrzymaj go.

– Jesteś pewny? – pytam. Posyła mi poirytowane spojrzenie.

Wkładam pudełeczko z powrotem do szuflady i mówię:

– Dobra... dziękuję. Naprawdę bardzo mi się podoba.

– No cóż – mówi, wstając z krzesła. – Właśnie o to chodziło.

Richard stoi, a ja czuję mieszaną ulgę i żal. Ulżyło mi, że ta rozmowa była taka bezbolesna i że nie mam poczucia, iż dalsza wspólna praca będzie niezręczna – co oczywiście stanowi największą obawę w wypadku każdego biurowego romansu. Czuję jednak żal, ponieważ lubię Richarda i będzie mi brakowało naszych spotkań. Szczerze mówiąc, będzie mi też brakować

naszego seksu. Myśl o tym, że w wieku trzydziestu pięciu lat, u teoretycznego szczytu seksualnych możliwości, będę żyła w abstynencji płciowej, nie jest szczególnie przyjemna. Wiem, że grozi mi kompletna samotność. Richard odwraca się w stronę drzwi, po czym spogląda na mnie z lekkim uśmiechem.

– Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Po prostu zadzwoń. Żadnych zobowiązań.

Po jego wyjściu powtarzam w myślach te słowa i dochodzę do wniosku, że chociaż miało to brzmieć jak zachęta, w życiu bez zobowiązań jest coś, co wydaje się niemal tragiczne.

Rzecz jasna, coś naprawdę smutnego tkwi również w skrajnie odmiennym stylu życia – kiedy ludzie są ze sobą tylko ze względu na zobowiązania. Myślę o tym, gdy Maura dzwoni do mnie z parkingu przed szkołą baletową Zoe i mówi:

– On znowu to robi.

Od razu wiem, że ma na myśli Scotta. Znowu ją zdradza.

– Może się mylisz? – mówię. – Pamiętasz, raz naprawdę się myliłaś – wtedy rzeczywiście pracował do późna.

Słyszę, jak bierze głęboki oddech i mówi:

– Zatrudniłam kogoś, żeby go śledził. Mam go na kasecie.

– O Boże, Maura... Tak strasznie mi przykro.

– Niepotrzebnie – mówi. – Przez ciebie tylko się popłaczę. Próbuję porzucić współczujący styl i zamiast tego skupić się na faktach.

– Powiedz mi, co się stało – mówię.

Maura mówi, że zaczęła podejrzewać Scotta o romans na podstawie tradycyjnych, utartych wzorców: praca do późnej nocy, przysyłanie kwiatów, żeby ją udobruchać, roztargnienie, nieustanne sprawdzanie poczty głosowej.

Mówi, że najgorsze zawsze były domysły, więc tydzień temu otworzyła książkę telefoniczną i zadzwoniła do pierwszego prywatnego detektywa, jaki się nawinął – do faceta o imieniu Lorenz, którego opisuje jako „typa o wyglądzie wyrzutka z rodziny Soprano, który jest na tyle czysty, że wygląda jak prawdziwy biznesmen”. Mówi, że zapłaciła mu zaliczkę w wysokości tysiąca dolarów w gotówce i po pięciu dniach miał już dowód – niewyraźne nagranie wideo, na którym Scott spotyka się z tą kobietą w barze w Battery Park City. Wypili po trzy drinki i przytulali się do siebie w boksie w rogu sali.

– Jak bardzo się przytulali? – pytam.

– Daphne nazwałaby to migdaleniem się – mówi. Maura i ja zawsze nabijamy się z Daphne za jej żargon zaczerpnięty z magazynów o sławnych osobistościach.

– Hmm – mówię. – A co było później?

Mówi, że Lorenz wszedł z nimi do hotelowej windy i nagrał dyskretne szepty rozlegające się za jego plecami:

– Proszę, zostań na noc. (Niewyraźna odpowiedź).

– Dlaczego?

– Nie mogę, mała (niewyraźne)... Mam tylko kilka godzin.

– To niewiele.

– Wykorzystajmy je jak najlepiej.

Lorenz poszedł za nimi do pokoju i przez kilka minut podsłuchiwał pod drzwiami. Wrócił nazajutrz i dał pokojówce pięćdziesiąt dolców, żeby wpuściła go do pokoju. Sfotografował dwie puste butelki po szampanie, talerz zjedzonych do połowy truskawek (jaki to banalne) i wepchnął do torby prześcieradło.

– Po co zabrał prześcieradło? – pytam.

– Żeby pobrać próbki nasienia. Profesjonalista, nie? Przetrawiam te wstrętne detale i mówię:

– Kim ona była? Wiesz?

– Nie mam pojęcia – mówi. – Ale kiedy zobaczyłam to nagranie po raz pierwszy, myślałam, że to Jane.

– Twoja najlepsza przyjaciółka Jane? – mówię z przerażeniem.

– Tak. Ale okazało się, że to tylko kobieta o identycznym ciele i włosach. Mogłaby być jej zaginioną zdzirowatą bliźniaczką. Zresztą zawsze podejrzewałam Scotta o słabość do Jane. No więc kiedy zobaczyłam to nagranie, dosłownie stanęło mi serce i pomyślałam sobie: o mój Boże, teraz naprawdę zabiję Scotta, a potem Jane i samą siebie. Jedyną rzeczą, która odwiodła mnie od tego zamiaru, była myśl, która sprawiła, że prawie się uśmiechnęłam. Pomyślałam sobie, że dzięki temu Daphne dostanie trójkę dzieci.

– Poczekaj – mówię najbardziej niewinnie i obojętnie jak potrafię. – W przypadku waszej śmierci Daphne dostanie dzieci?

Widocznie nie jestem wystarczająco subtelna, ponieważ Maura odpowiada urażonym tonem:

– No cóż, ona ma męża, Claudio... i chce mieć dzieci.

– Ach tak, rozumiem – mówię, lecz podobnie jak w dzień chrztu Raymonda Juniora, czuję ukłucie zazdrości i odrobinę oburzenia. Mam nadzieję, że przynajmniej jestem postrzegana jako wsparcie w wypadku śmierci Daphne. Dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie nie jest to najlepszy moment na roztrząsanie kwestii opieki prawnej. Porzucam ten temat i pytam: – Zatem to nie była Jane?

– Nie. To nie była ona. I wiem, że Jane nigdy by tego nie zrobiła. Na świecie zdarzają się jednak dziwniejsze rzeczy. Myślę, że jedynymi osobami, którym ufam, jesteście ty i Daphne. Ale chyba mam szczęście, że jesteście aż dwie, prawda?

Przypomina mi się scena z filmu *Hannah i jej siostry* – jednej z najbardziej niepokojących produkcji filmowych, jakie kiedykolwiek widziałam, właśnie z tego powodu. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że Daphne lub Maura mogłyby mnie zdradzić w taki sposób. Albo na przykład Jess. Jednak, jak zauważyła Maura, ta lista jest krótka.

Maura ciągnie dalej:

– No więc myślę, że ten cały początkowy wstrząs wywołany myślą, że Scott romansuje z Jane, zadziałał na moją korzyść. Bardzo mi ulżyło, kiedy w końcu zobaczyłam twarz tej dziewczyny i okazało się, że to nie jest Jane. Prawie jak gdybym odniosła zwycięstwo w małej bitwie w środku wojny, którą sromotnie przegrywam... Poza tym w pewnym sensie nie dowiedziałam się niczego nowego. Już wiedziałyśmy, że Scott to nielojalny dupiek. Zatem teraz mam jedynie do czynienia z kolejnymi etapami tego stanu rzeczy. Jest odrobinę większym i bardziej konsekwentnym dupkiem, niż myślałam – śmieje się.

Uśmiecham się, podziwiając zdolność mojej siostry do zachowania poczucia humoru.

– Powiedziałaś mu o tym? – pytam. – Wie, że o wszystkim wiesz?

– Nie... I wierz mi, naprawdę niesamowicie jest patrzeć, jak w domu zgrywa niewiniątko i udaje cudownego mężusia. – Naśladuje go: – Mauro, chcesz, żebym zrobił parę naleśniczków z jagodami?

– Ohyda – mówię, wiedząc, że bez względu na to, co stanie się z małżeństwem mojej siostry, nie mogę dalej utrzymywać pozorów sympatii dla Scotta.

– Tak, rzeczywiście. Ale jakaś mała część mnie czerpie perwersyjną przyjemność z przyłapania go na gorącym uczynku. To tak, jak gdybym to ja śmiała się ostatnia, wiesz? Jakbym mogła powiedzieć: „I kto tu jest głupi?”.

– A co będzie dalej? – pytam.

– Nie obrałam jeszcze konkretnej strategii. Nie chcę działać pod wpływem emocji. Co myślisz o tym, żeby dać mu szansę na przyznanie się do winy?

– Chcesz mu powiedzieć, że podejrzewasz, że coś nie gra, i sprawdzić, czy się przyzna? – pytam.

– Tak. Coś w tym stylu. No wiesz, nie mówiąc mu o tym, że mam dowody.

– Dobry pomysł – mówię. – A jeśli się przyzna?

Bierze głęboki oddech i mówi:

– Nie wiem. Chyba czeka mnie więcej sesji terapeutycznych. Może zgłosimy się do *Rozmów w toku*?

Śmieję się.

– Nie zrobiłabyś tego, prawda? Mówi:

– Nie! Nie wyobrażam sobie, dlaczego ludzie tak się obnażają. Przecież chyba najgorsze jest w tym wszystkim upokorzenie.

Myślę sobie, że jeśli upokorzenie wydaje jej się w tym najgorsze, to w takim razie naprawdę nie kocha już Scotta. Pytam, czy rzeczywiście tak jest.

– Cholera, nie wiem – mówi. – Taką analizę mam już dawno za sobą. To znaczy chyba Kocham mężczyznę, za którego go uważałam. Albo tego,



którym kiedyś był. Od czasu do czasu nadal czuję do niego odrobinę miłości, kiedy widzę go z dziećmi. Jest wspaniałym ojcem, o ile można być wspaniałym ojcem, robiąc rodzinie coś takiego...

Urywa, a ja myślę o naszej matce. Maura chyba też o niej myśli. Nie mogę uwierzyć, że moja siostra musi przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

Ciągnie dalej:

– Ale nie, nie kocham go już w sposób, który masz na myśli. Nie potrafię kochać mężczyzny, który zmienił moje życie w taką ohydę, chociaż ja nie zrobiłam mu nic złego. – Po raz pierwszy załamuje jej się głos, więc próbuję powstrzymać te łzy, mówiąc rzeczowym tonem, niczym matka przemawiająca do dziecka, które właśnie się przewróciło, i zastanawia się, czy nie zacząć płakać:

– Dobra, a co, jeśli wszystkiemu zaprzeczy?

Moja strategia skutkuje, ponieważ Maura znowu mówi mocnym głosem:

– Nie wiem. Ale chyba po prostu spakuję dzieci i ruszę w drogę.

– Powinnaś wygonić jego. Z takim nagraniem z pewnością dostaniesz dom.

– Nie wiem, czy rzeczywiście chcę go zatrzymać – mówi Maura. – Nasze życie w tym domu to farsa.

Siedzimy w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym Maura mówi:

– Daphne powiedziała mi o sprawie z jajeczkami. I o Benie. Przez krótką, niezręczną chwilę zastanawiam się, czy Maura ma żal o to, że Daphne i ja zwierzyłyśmy się najpierw sobie. Zastanawiam się, ile będziemy miały

lat, kiedy w końcu przestaniemy ze sobą rywalizować w naszym trójosobowym kręgu. Potem mówię:

– Tak. Ciężko było jej odmówić, ale musiałam.

– Dlatego że chcesz odzyskać Bena?

– Między innymi... Ale szczerze mówiąc, ten powód był najważniejszy... Myślę, że popełniłam błąd. Naprawdę mi go brakuje.

– Tak – mówi Maura. – Wcale nie jestem zaskoczona. Spodziewałam się, że możesz zmienić zdanie.

To „a nie mówiłam” jest subtelne, lecz denerwujące. Przychodzi mi do głowy, że mogłabym jej powiedzieć to samo. Mogłabym powiedzieć, że Scott wydawał mi się podejrzany już od samego początku. Że uważałam go za zbyt czarującego i miłego, aby mógł być wiarygodny. Myślę o ich zaręczynach, kiedy to Scott wynajął samolot, który przeleciał wzdłuż wybrzeża East Hampton, ciągnąc za sobą napis: „Czy zostaniesz moją żoną, Mauro?” Pamiętam, jak powiedziałam Jess, że nie wierzę żadnemu mężczyźnie, który zmienił oświadczyzny – osobiste, intymne wyznanie miłości – w coś tak upublicznionego. Zastanawiałam się wtedy, czy nie powiedzieć tego Maurze – czy nie wyrazić obawy, że poślubia bezwstydnego pozera, mężczyznę, który czerpie przyjemność z pogoni i polowania. Ale nie sądzę, aby to cokolwiek zmieniło. I jaki byłby sens mówienia jej o tym wszystkim teraz? W głębi duszy Maura musi wiedzieć, że poślubiając Scotta, popełniła błąd. Podobnie jak ja wiem, że popełniłam błąd, rozstając się z Benem. Zatem mówię:

– Tak. Chyba czasami trzeba się o tym przekonać na własnej skórze...

– Masz zamiar powiedzieć mu, co czujesz?

– Tak – mówię. – Kiedy tylko zbiorę wystarczająco dużo odwagi.

Maura wzdycha i mówi:

– Czy to nie dziwne, że jedyną rzeczą, która was poróżniła, było dziecko? A w moim wypadku wygląda na to, że dzieci są jedyną rzeczą, która trzyma mnie przy Scotcie?

– Tak – mówię. – Powinnam była urodzić dziecko, skoro trafiłam na właściwego faceta.

– A ja urodziłam je niewłaściwemu – mówi, potwierdzając moją teorię, że kobiety zawsze, przynajmniej podświadomie, wiedzą o swoich wielkich życiowych pomyłkach. Czasami po prostu nie warto zbyt dokładnie im się przyglądać. Jednak czasami, kiedy te pomyłki można jeszcze naprawić, to może się opłacać.

– No cóż – mówię, zastanawiając się, czy dla mnie i mojej siostry nie jest już za późno. – Dobrana z nas para, co?

– O tak – mówi Maura, cichutko się śmiejąc. – Naprawdę dobrana.

## ROZDZIAŁ 26

Przez następne dwa tygodnie zadreczęm się tym, w jaki sposób skontaktować się z Benem. Czy powinnam do niego wpaść bez zapowiedzi? Czy powinnam zadzwonić na jego domowy numer? Na komórkę? Do biura? Czy powinnam wysłać do niego e-mail? Przesłać mu haiku?

*Zerwij z Tucker*

*Ona nie jest dla Ciebie!*

*Urodzę Ci dziecko*

Haiku to oczywiście żart, ale sęk w tym, że naprawdę układam je w głowie, piszę e-maile na odwrocie zabieranych do domu menu, a pod prysznicem trenuję szczere monologi. Jednak im dłużej myślę o moim kolejnym kroku, tym bardziej jestem niezdecydowana. Zaczynam również popadać w coraz większą paranoję i nieustannie myślę, że – mówiąc słowami Jess – związek Bena i Tucker może „gwałtownie się umacniać”. Ona wie o tym najlepiej, myślę, patrząc, jak zakochuje się w Michaelu. To niemal widoczny proces – przypomina obserwowanie kwiatka rozwijającego płatki na ekspozycji poklatkowej. Wielokrotnie widywałam zakochaną Jess, lecz po raz pierwszy intensywności jej emocji nie towarzyszy dramat i lęk. Nie ma żadnych bitew na SMS-y. Żadnego wybiegania z barów. Żadnego oszukiwania. Żadnych wybuchów zazdrości związanych z byłymi chłopakami. Zamiast tego wszystko w ich związku wydaje się normalne, zdrowe i cudownie odwzajemnione, co potwierdza się za każdym razem, kiedy Michael wpada z wizytą do mojego biura. Wydaje się jeszcze szczęśliwszy niż zwykle – a nasza rozmowa zawsze zmierza w stronę Jess. Zadaje mi otwarte ujmujące pytania o moją najlepszą przyjaciółkę – na

przykład: „Jaka była w college^?”. Pragnie wszystkich szczegółów i historii, które chce chłonąć zakochujący się człowiek.

Ja oczywiście jestem zachwycona ich romansem, ponieważ dzięki niemu zaczynam spędzać czas z dwójką moich najlepszych przyjaciół jednocześnie. To wydajny, wygodny i satysfakcjonujący układ.

Pewnej deszczowej listopadowej soboty cała nasza trójka odziana w dresy leniuchuje, czytając gazety. Nagle Jess podnosi wzrok i mówi do mnie:

– Wiesz co, Claudio, naprawdę powinnaś zadzwonić do Bena przed Świętem Dziękczynienia.

– Dlaczego? – pytam.

Mówi:

– Dlatego. Święto Dziękczynienia to jedna z przełomowych chwil w roku. Chyba nie chcesz, żeby z niej skorzystali.

– Z czego mieliby skorzystać? – pytam.

– Z okazji do wspólnego spędzenia świąt... Jeśli zmierzają w tym kierunku, musisz wkroczyć do akcji i popsuć im szyki.

Michael opuszcza dodatek gospodarczy i puszcza do mnie oczko.

– Tak. Ona ma rację, Claudio. Zaproszenie kogoś do domu na Święto Dziękczynienia to poważny krok. Znacznie ważniejszy niż tylko poznanie czyichś rodziców.

Patrząc, jak wymieniają pełne uwielbienia spojrzenia, zdaję sobie sprawę, że zaproszenie na Święto Dziękczynienia zostało już nie tylko wysłane, lecz również przyjęte. Ze zdziwieniem patrzę na Jess. Mnie nie wspomniała ani słowem o swoich świątecznych planach. Zaczynam rozumieć, że po raz pierwszy nie omawia ze mną każdego najmniejszego aspektu swojego związku. Nie ma żadnych strategicznych sesji, żadnych

spekulacji na temat tego, co myśli Michael, żadnych analiz tego, co zrobił (lub nie), i tego, co ma na myśli (lub nie). Być może dzieje się tak dlatego, że nigdy wcześniej nie spotykała się z moim przyjacielem i nie chce stawiać mnie w niezręcznej sytuacji. Jednak bardziej prawdopodobne jest to, że znalazła się w szczerym związku, w którym raczej podąża się za głosem intuicji, niż na każdym kroku konsultuje z przyjaciółkami.

– Poczekajcie – mówię z udawanym zdumieniem. – Macie zamiar spędzić razem Święto Dziękczynienia? W Birmingham?

Jess rozpromienia się i zaczyna mówić słodkim głosem:

– Tak. Michael jedzie ze mną do domu. Spoglądam na Michaela i mówię:

– Och, naprawdę? To wielki krok jak na kogoś takiego jak ty. Mówi:

– Jakbym nie wiedział. Jadąc tam, ryzykuję życie. Jess przewraca oczami i mówi:

– Przestań w końcu to powtarzać! – Zwraca się do mnie: – Zachowuje się tak, jakby cofał się do lat pięćdziesiątych, żeby przekroczyć linię Masona–Dixona.

Michael śmieje się.

– Po prostu nie chcę zostać zlinczowany, kiedy pokażę się tam z blondynką.

Jess marszczy brwi. Jest bardzo dumna ze swoich południowych korzeni, chociaż nie ma zamiaru wracać do Alabamy.

– Skończyłeś już? – pyta go.

Michael bierze ją za rękę.

– Przepraszam, skarbie. Wiesz, że nie mogę się doczekać chwili, w której poznam twoją rodzinę i zobaczę twoje ulubione miejsca z dzieciństwa.

Jess wygląda na całkowicie udobruchaną. Michael pochyla się i całuje ją. Ich usta lekko się otwierają, jak gdyby nie było mnie w pokoju. Spuszczam wzrok na gazetę, wyobrażając sobie, że Ben robi to samo z Tucker. Jess i Michael mają rację, myślę. Muszę skontaktować się z Benem jeszcze przed Świętem Dziękczynienia.

Nazajutrz przyjeżdżam do pracy z postanowieniem, że skontaktuję się z Benem przed końcem dnia. Dochodzę do wniosku, że biorąc pod uwagę naszą ostatnią gwałtowną rozmowę telefoniczną, najlepszym rozwiązaniem będzie e-mail. Kolejne pół godziny spędzam przy biurku, układając powitanie. Zmieniam „Drogi Benie” na „Witaj, Ben”, a potem na „Cześć, Ben” i zwyczajne „Ben”. Stawiam dwukropek, potem go kasuję i zastępuję przecinkiem, a następnie decyduję się na mojego osobistego faworyta – rzeczowy myślnik. Nawiasem mówiąc, średnik również należy do moich ulubionych znaków interpunkcyjnych, co pewnego razu zauważył Ben, kiedy wymienialiśmy pierwsze e-maile. Napisał coś w stylu: „Myślisz, że wstawiłaś tu wystarczająco dużo średników? Musisz kochać tego małego kolesia”. Odpisałam mu: „Kocham średnik; Ciebie też kocham”. Wtedy napisałam te słowa po raz pierwszy. Zatem być może ostrożnie umieszczony średnik zmiękczy mu serce i przypomni, jacy kiedyś byliśmy. Kiedy zastanawiam się nad zdaniem numer dwa, dzwoni telefon. To Maura. Podnoszę słuchawkę, wdzięczna za to, że mi przerwała.

– Cześć – mówię. – Co słyszać?

– Zaprzeczył – mówi.

– Naprawdę? – pytam. Nie wiem, dlaczego tak mnie to zdziwiło.

Dlaczego urodzony kłamca z licznymi osiągnięciami nagle miałby spuścić z tonu i powiedzieć prawdę?

– Tak – mówi Maura zmęczonym głosem. – I zrobił to tak stanowczo... i z takimi szczegółami. Był taki dobry, że prawie zaczęłam mu wierzyć. To szaleństwo, biorąc pod uwagę to, że widziałam kasetę i słyszałam nagranie. Jest przerażająco dobry.

Mówię:

– Powiedziałaś mu, że masz dowody?

– Jeszcze nie – mówi. – Ale mam zamiar powiedzieć mu o wszystkim w ten weekend. Zamierzam powiedzieć, że chcę rozwodu... Że męczy mnie życie w kłamstwie. Nie mogę z nim zostać tylko ze względu na dzieci... Zresztą nie sądzę, żeby służyło im dorastanie w takiej atmosferze. Dzieci zawsze wyczuwają, że coś jest nie tak. My to zauważaliśmy.

– Wiem – mówię, przypominając sobie, jaki czułam smutek, kiedy nocowałam u przyjaciółek, które miały naprawdę kochających się rodziców. Zazwyczaj potrafiłam przekonać samą siebie, że moja rodzina jest w porządku, dopóki nie dowiedziałam się, jak naprawdę wygląda szczęście.

Maura ciągnie dalej:

– Chyba naprawdę nie mam innego wyboru... Myślę, że będę musiała po prostu spuścić głowę i jakoś przez to przejść.

– Przykro mi, Mauro. Chciałabym, żeby to wszystko ułożyło się inaczej.

– Wiem – mówi. – Dzięki.

– Dać ci nazwisko mojej prawniczki? To prawdziwa pirania – mówię. – Zdobędzie dla ciebie wszystko, czego zechcesz.

– Mam nadzieję, że uda nam się uniknąć tej całej awantury. Chcę wykorzystać naszego rodzinnego prawnika jako mediatora – o ile Scott zachowa się rozsądnie. Zamierzam mu powiedzieć, że chcę sprzedać dom i



wszystko podzielić. Poza tym chcę oczywiście uzyskać prawo do opieki nad dziećmi... To może być największy problem.

– Jesteś pewna, że właśnie tego pragniesz? – pytam, czując przyływ wielkiego smutku na myśl o tych trojgu dzieciach kursujących pomiędzy dwoma domami. O Maurze, która będzie żegnać się z nimi w bożonarodzeniowy ranek, kiedy wyruszą, aby otworzyć prezenty od tatusia. Zastanawiam się, czy to możliwe, aby Scott mógł się jeszcze zmienić. Aby Maura dała mu jakimś cudem jeszcze jedną szansę. A może myślę po prostu o pośpiechu, z jakim sama brałam rozwód, i o tym, jak wielką rolę w podjęciu tej szybkiej decyzji odegrały złość i przekonanie o własnej nieomyślności. Czyżbym za bardzo skupiła się na swoich racjach i karaniu Bena za złamanie umowy? Czy Maura robi teraz coś podobnego? Odchrząkuję i mówię łagodnym tonem:

– Nie uważasz, że to wszystko dzieje się trochę za szybko? Na pewno przemyślałaś całą sprawę?

– To trwało już bardzo długo, Claudio – mówi Maura. – Dosyć znaczy dosyć.

– Co zamierzasz powiedzieć dzieciom? – pytam.

– Jeszcze nie wiem – mówi. – Chłopcy są zbyt mali. To chyba dobrze.

– Tak – mówię, myśląc, że zachowają niewiele wspomnień o wspólnym życiu ich rodziców albo i nie zachowają ich wcale.

– Daphne weźmie chłopców do siebie w piątek wieczorem i miałam nadzieję, że ty mogłabyś wziąć na weekend Zoe.

– Oczywiście – mówię.

– Dziękuję – mówi.

Obydwie długo milczymy. Potem Maura odchrząkuję i mówi radośnie:

– No i po wszystkim. Państwu Stepford pozostało jeszcze tylko pięć wspólnych dni.

W sytuacji Maury jest coś, co sprawia, że jeszcze rozpaczliwiej pragnę porozmawiać z Benem. Zatem gdy tylko odkładam słuchawkę, wystukuję resztę e-maila. Piszę:

*Ben – mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Przykro mi, że nasza ostatnia rozmowa zakończyła się w taki sposób; nie znoszę się z Tobą kłócić. Zastanawiałam się, czy nie moglibyśmy się niedługo spotkać. Chcę z Tobą o czymś porozmawiać. Daj znać...*

*Claudia*

Biorę głęboki oddech i klikam na „wyślij”, zanim zdążę zmienić zdanie. Następnie kryję twarz w dłoniach i modłę się, żeby Ben szybko położył kres moim męczarniom. Mija dziesięć minut i nie przychodzi żadna odpowiedź. Idę do łazienki i parzę sobie kubek kawy, pamiętając o tym, co zawsze mówiła Jess: „Obserwowany telefon nie dzwoni”. Wracam i zastaję pustą skrzynkę. Chwilę później rozlega się dźwięk nadchodzącej wiadomości. Ale jej autorem nie jest Ben. Podobnie jak następnej i kolejnej. Ściszam dźwięk w komputerze i ustawiam krzesło z dala od monitora. Pozwalam sobie tam zerkać tylko raz na pół godziny. Nadal nic.

Z upływem czasu przestaję się denerwować i robię się straszliwie wredna. Czuję irracjonalną złość na każdego przyjaciela, który wybiera sobie właśnie ten dzień na przywitanie się ze mną lub rzucenie jakiegoś żarciku. A kiedy Jess przesyła mi żartobliwą korespondencję między sobą a Michaeliem, opatrzoną tytułem: „Czyż nie jest słodki?”, czuję pierwsze ukłucie zazdrości o ich związek. Nie jestem jeszcze zupełnie zgorzkniała, ale zdecydowanie odrobinę zazdrosna. To nie *fair*, myślę, po czym natychmiast przestaję siebie

lubić za to, że przyszła mi do głowy jedna z najbardziej niewłaściwych i przynoszących efekt odwrotny do zamierzonego myśli, które mogą nawiedzić kobietę przechodzącą kryzys. Życie jest nie *fair*, myślę sobie. Wie o tym każdy, kto skończył dziesięć lat. Potem czuję, jak ściska mi się serce, kiedy do głowy przychodzi mi jeszcze smutniejsza i bardziej otrzeźwiająca myśl: możesz za to winić jedynie samą siebie.

RS

## ROZDZIAŁ 27

Mijają cztery koszmarne dni, podczas których Ben nie odzywa się ani słowem. Wyobrażam sobie całą gamę przygnębiających scenariuszy. Ben jest tak doskonale obojętny, że pozwala, aby mój e-mail przysypały inne wiadomości z jego skrzynki, i w ogóle zapomina mi odpisać. Ben prychna na ekran komputera i z obrzydzeniem usuwa mój e-mail. Ben przesyła mój e-mail Tucker i obydwójce śmieją się do rozpuku z rozpaczliwego brzmienia moich słów. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Annie i zapytać, czy z nim rozmawiała, czy wie coś o jego obecnym życiu. W końcu z pewnością nie kryła przed nim szczegółów mojego związku z Richardem. Jednak po prostu nie chcę iść tą drogą. Nie chcę, żeby cokolwiek przepadło w tłumaczeniu. Poza tym nie do końca wierzę w to, że Annie kieruje się moim dobrem. Wiem, że jestem jej przyjaciółką, ale jednocześnie Annie jest przyjaciółką Bena – a teraz może już nawet przyjaźnić się z Tuckerem.

Jess przyznaje mi rację.

– Po prostu porozmawiaj z Benem – mówi.

– A co będzie, jeśli nigdy się nie odezwie? – pytam.

– Odezwie się... Prawdopodobnie nie ma go w biurze, pracuje w terenie czy coś w tym stylu. Albo chodzi o to, albo chce potrzymać cię w niepewności. A jeśli chce potrzymać cię w niepewności, to znaczy, że nadal mu zależy.

– Masz rację – mówię, lecz w duchu przygotowuję się na to, że na dobre straciłam swoją szansę. Że mogę już nigdy nie porozmawiać z Benem.

W piątek po południu, po długim lunchu z jednym z moich ulubionych agentów, przysiadam, żeby przeczytać kilka niezamawianych maszynopisów

znanych również jako „breja”, ponieważ większość z nich to byle jakie, sztamkowe bioto. W rzeczywistości są takie okropne, że większość wydawnictw i redaktorów nawet ich nie przyjmuje. Po prostu nie są warte czasu ani poświęcania ograniczonych redakcyjnych zasobów. Jak dotąd, po trzynastu latach czytania „brei” wzięłam tylko jeden maszynopis na zebranie w redakcji i w jakieś sześć minut starto go na miazgę.

Kiedyś Ben zapytał mnie, dlaczego zawracam sobie głowę czymś, co ma tak marne szanse.

– Nie kupujesz kuponów na loteriach, nie uprawiasz hazardu – powiedział – więc dlaczego czytasz „breję”?

Wyjaśniłam mu, że nie jest to do końca racjonalne zachowanie. Powiedziałam, że po części wywodzi się z głęboko zakorzenionej nerwicy, której nabawiłam się na początku pracy w wydawnictwie: z pragnienia bycia staranną i wypełniania wszystkich obowiązków. Nigdy nie wiadomo, gdzie czai się kolejna wielka powieść. Ale poza tym powiedziałam mu, że po prostu podoba mi się sama idea „brei”.

– Jak to? – zdziwił się, rysując palcem wyjątkowo brutalny znak zapytania na moim ramieniu. – Podoba ci się idea nudnych fabuł i mnóstwa błędów gramatycznych?

– Trudno to wytłumaczyć – powiedziałam mu. – Po prostu chodzi o to, że „breja” jest taka demokratyczna. Podoba mi się idea dawania szansy autorowi, który walczy o uznanie.

Podoba mi się idea, zgodnie z którą najslabsze jednostki wbrew wszelkim oczekiwaniom mogą odnieść wielki sukces.

– No cóż, cieszę się, że tak uważasz – powiedział Ben, całując mnie. – Bo w pewnym sensie sam pochodzę z „brei” randek w ciemno.

Roześmiałam się i powiedziałam, że to rzeczywiście prawda.

– Popatrz tylko, co bym straciła, gdybym olała tamtą randkę.

Od tamtego dnia za każdym razem, kiedy Ben włożył dwie różne skarpetki, miał szczególnie paskudnego kaca, spalił grzanekę albo zrobił coś bez zastanowienia, nazywałam go brejowym mężem. To był jeden z tych żarcików, które rozumieliśmy tylko my dwoje.

Zatem wszystko układa się we właściwy wzór: w końcu Ben odpisuje w chwili, gdy przeglądam kilka brejowych maszynopisów, które Rosemary uznała za najbardziej obiecujące z fatalnego grona. Podnoszę wzrok na dźwięk nadchodzącej wiadomości i przeżywam wstrząs, gdy w końcu widzę jego imię w mojej skrzynce. Siedzę tak z łomoczącym sercem i lekko rozdziawionymi ustami, sparaliżowana strachem. Jest coś złowieszczonego w napisanym pogrubioną czcionką nazwisku Benjamin Davenport. A może to wina braku tematu? Nagle nabieram pewności, że jego słowa będą lakoniczne i ponure: „Nie widzę sensu w spotykaniu się z Tobą; nie mam Ci nic do powiedzenia”.

Mija pełna godzina, zanim zbieram się na odwagę i otwieram jego e-mail. Czytam te trzy zdania dwa razy, szukając w nich znaczenia:

„W przyszłym tygodniu mam mnóstwo pracy. Może po Świącie Dziękczynienia? Pasuje Ci w poniedziałek?”.

Nic. Dosłownie nic nie potrafię wydobyć z tego e-maila, ale to, że pominął moje imię i jakiegokolwiek cieplejsze pożegnanie, z pewnością nie brzmi obiecująco. Poza tym po prostu nie mogę uwierzyć, że musiałam czekać cztery dni na trzy zdania. Ale w gruncie rzeczy czuję ulgę. Jest lepiej, niż mogło być.

Nadal tkwi we mnie isierka nadziei, kiedy wysyłam odpowiedź: „Jasne. W Pete's Tavern o dwunastej?”.

Jako działający do dziś najstarszy pub Nowego Jorku, Pete's przypomina trochę mekkę turystów, ale Ben i ja i tak bardzo lubimy to miejsce. Wiele razy siedzieliśmy tam do późnej nocy, przytulając się przy barze, więc gdy tylko klikam na „wyślij”, zaczynam martwić się tym, co sobie pomyśli o moim sentymentalnym wyborze. Jednak jego odpowiedź nadchodzi niemal natychmiast. „Zatem do zobaczenia. Miłego Święta Dziękczynienia”.

„Szczzerze wątpię”, myślę i wielkimi czerwonymi literami piszę na cennym maszynopisie jednego z autorów: „odrzucony”.

Wieczorem, wracając z pracy do domu, dostrzegam Maurę i Zoe, które pędzą chodnikiem w kierunku mieszkania Jess. Maura trzyma Zoe za rękę, a w drugiej dłoni niesie jej dziecięcy śpiwór i opatrzoną inicjałami płócienną torbę L. L. Bean. Różowe tenisówki Zoe mają rozwiązane sznurówki, które ciągną się za nią po mokrym chodniku. Kiedy w końcu mnie dostrzega, piszczy:

– Ciocia Claudia! – jak gdybym była jakąś gwiazdą. Zoe ma cudowny wpływ na moją samoocenę.

– Cześć, Zoe! – wołam. – Przyszłaś spędzić ze mną weekend?

– Uhm! – krzyczy w odpowiedzi. – Mamusia powiedziała, że mogę kłaść się spać, kiedy zechcę, i jeść wszystko, czego zapragnę.

Spoglądam na Maurę, żeby się upewnić, czy to rzeczywiście prawda. Moja siostra ze zmęczeniem wzrusza ramionami. Wygląda na przygnębioną i zrozpaczoną – jak gdyby nie miała już sił walczyć o porę chodzenia spać i słodzone płatki zbożowe. Zastanawiam się, czy nie jest to początek zjawiska

„przekup dziecko” charakterystycznego dla rozwiedzionych rodziców. Każde dziecko wie, że jedyną dodatkową korzyścią związaną z posiadaniem rozwiedzionych rodziców jest to, że można grać na ich poczuciu winy, wyczerpaniu i duchu rywalizacji, aby wyciągnąć maksimum zysków od obydwu stron. Pamiętam, jak liczba i wartość prezentów świątecznych dla mnie dwukrotnie wzrosła po odejściu matki.

Zoe puszcza dłoń Maury i przepycha się w moją stronę. Pochylam się, żeby zawiązać jej sznurówki. Potem całuję ją w zimny różowy policzek i szepczę jej do ucha:

- Zgadnij, co dla ciebie mam.
- Co? – pyta podekscytowana Zoe.
- Nadziewane ciasteczka!

Truskawkowe ciasteczka to ulubiona potrawa Zoe – ale może je jeść tylko na specjalne okazje. Do tej pory Maura karmiła ją wyłącznie organicznym jedzeniem.

- Jaki smak? – pyta z zaciekawieniem.
- Truskawkowy. Z lukrem i posypką – mówię. – Ha!

Zoe promienieje. Miło zadowolić kogoś w tak prosty sposób. Żałuję, że nie potrafię rozwiązać również problemów Maury. Wstaję i obejmuję ją. Pod jej trenczem marki Burberry wyczuwam żebra i ostre łopatki.

- Jesteś taka koścista, Mauro – mówię. – Martwię się o ciebie...

Maura wzdycha i dotyka policzka.

- Wiem. Nędznie wyglądam, prawda?

- Nie ujęłabym tego w ten sposób – mówię. – Jesteś tylko... zbyt chuda.

Musisz o siebie zadbać...



– Zabawne – mówi Maura. – Aż do tego tygodnia zawsze uważałam, że nigdy nie można być zbyt bogatym ani zbyt chudym... Teraz nie jestem tego taka pewna... Wolałabym być biedna, gruba i szczęśliwa...

Wtrąca się Zoe:

– Czy Jess też jest w domu? Mogę przymierzyć jej buty?

– No pewnie! Wszystkie sto par! – mówię, myśląc, że jeśli w oczach Zoe jestem drugorzędną gwiazdą, to Jess ma status Madonny. Nawet sześciolatka potrafi wyczuć różnice w urodzie i stylu.

Maura zerka na zegarek Cartiera i wzdycha.

– Dobra. Chłopcy są u Daphne... Scott oczekuje mnie o ósmej... Lepiej pojedę już do domu.

– Powodzenia – mówię. Potem dotykam jej ramienia i mówię, że ją kocham. Ja i Maura rzadko to sobie mówimy, chociaż nigdy nie podajemy tego w wątpliwość.

– Ja też cię kocham, Claudio. Dziękuję. – Następnie przykłęka przed swoją córką i odgarnia jej włosy z twarzy. – Ciebie też kocham, pączusiu.

– Kocham cię, mamusiu – mówi Zoe, ściskając Maurę za szyję.

– Bądź grzeczna u cioci Claudii – mówi Maura.

– Będę, mamusiu.

Maura uśmiecha się do swojej córki. Potem wstaje i patrzy mi w oczy.

– Zadzwoń, kiedy tylko będziesz mogła – mówię.

Kiwa głową, odwraca się i lekkim krokiem idzie w stronę swojego srebrnego range rovera, a jej wysokie obcasy stukają o chodnik. Obserwuję ją przez kilka sekund, czując, jak ogarnia mnie niepokój. W porównaniu z weekendem, który ją czeka, mój zbliżający się lunch w Pete's Tavern wydaje

się banalnym spotkaniem. Myślę, że wielkie znaczenie w tym równaniu ma troje niewinnych dzieci.

Kiedy spoglądam na Zoe, widzę, że ona również wygląda na zmartwioną. Mruży oczy, patrząc, jak jej matka zapuszcza silnik i oddala się od krawężnika. Maura macha na pożegnanie i lekko naciska na klakson. Zoe też jej macha i szepcze:

– Pa, mamusiu.

Nigdy nie widziałam, żeby moja siostrzenica była aż taka smutna, i zastanawiam się, czy przypadkiem nie czuje, iż coś jest nie tak – a może po prostu nadal jest jeszcze trochę za mała, żeby przebywać poza domem przez dwie noce. Mierzwię jej włosy i mówię:

– Jesteś gotowa opuścić to zimno, moja posiniała Zoe? Kiwa głową i bierze mnie za rękę. Potem mówi:

– Ciociu Claudio? – Jej głos przybiera wysoki, pytający ton.

– Słucham, kochanie? – mówię, denerwując się tym, co za chwilę powie.

Zgodnie z przewidywaniami zadaje jedno ze swoich typowych pytań:

– Dlaczego mamusia jest taka smutna?

Zatem udzielam jej jednej z moich błyskotliwych odpowiedzi:

– Czasami mamusie bywają smutne. Tak już jest... Zoe wzdycha i mówi:

– Wczoraj w samochodzie powiedziała słowo na „ch”. A potem się rozplakała.

– Czasami mamusie mówią brzydkie słowa. I czasami są przygnębione – mówię. – Ale nic jej nie będzie. Wszystko będzie w porządku.

– Obiecujesz? – mówi, a w jej szeroko otwartych niebieskich oczach maluje się niepokój.

Wpadam w panikę, zastanawiając się, jak powinna brzmieć odpowiedź. Czy mam prawo dać jej taką obietnicę? Co to znaczy „w porządku”? Z pewnością nie chcę kłamać Zoe. Nagle przypomina mi się jeden niepokojący epizod z *Familiady*, którą oglądałam w wieku około siedmiu lat. Ostatnie, decydujące polecenie brzmiało: „Wymień pięć kłamstw, które usłyszałeś od rodziców”. Pamiętam, jak się nad tym głowiłam, próbując sobie coś przypomnieć, podczas gdy rodzina Johnsonów z łatwością udzielała odpowiedzi. „Ankietowani powiedzieli... Święty Mikołaj! Wielkanocny Króliczek! Gwiazdka!” To była druzgocąca chwila. Po części dlatego że odkryłam smutną prawdę o trójce moich ulubieńców, lecz również dlatego że właśnie otrzymałam odręcznie napisany list z bieguna północnego –już wiedziałam, że jest fałszywy. Zdarłam go z mojej tablicy i zażądałam od rodziców wyjaśnienia tych kłamstw.

Mimo to ostrożnie rozważam pytanie Zoe i dochodzę do wniosku, że wszystko będzie dobrze. Zatem mówię:

– Tak, Zoe. Obiecuję ci.

Posyła mi pełen nadziei uśmiech. Potem wsuwa małą dłoń w moją i mówi:

– Czy teraz możemy już zjeść nadziewane ciasteczka? Na kolację?

– Doskonały pomysł – mówię. – Nadziewane ciasteczka na kolację. I nadziewane ciasteczka na deser!

– I na przystawkę? – pyta.

– Tak. Na przystawkę również – mówię z uśmiechem. –Cóż mogłoby być lepsze niż nadziewane ciasteczka?

Kiedy kończymy elegancki posiłek z trzech dań złożonych z ciasteczek z truskawkowym nadzieniem, Jess wraca z pracy. Ściska Zoe i całują się na powitanie, a ja dyskretnie pytam, czy później przyjdzie do niej Michael. Kręci głową i mówi, że chce pobyć z nami. Cieszy mnie to, ponieważ nie byłam pewna, jak wyjaśnić Zoe, że u Jess nocuje mężczyzna, który nie jest jej mężem. W tym momencie Zoe zwraca się do Jess i pyta:

– Kto to jest Michael? Twój chłopak?

– Tak – mówi Jess z uśmiechem. – To mój chłopak.

W odpowiedzi Zoe wypala:

– Kochasz go?

Jess spogląda na mnie i śmieje się.

– Nie owija w bawełnę – mówię.

– Co to znaczy? – pyta Zoe.

– Że zadajesz bardzo dobre pytania – mówię.

– Aha – mówi Zoe, po czym kieruje wyczekujące spojrzenie na Jess.

– Tak – mówi Jess. – Kocham go.

– Dlaczego? – docieka Zoe.

– No cóż. Jest inteligentny. I miły. I zabawny. I bardzo, bardzo przystojny.

Zoe marszczy swoje jasne brwi, analizując te dane. Potem zadaje pytanie, nad którym wszystkie się zastanawiamy:

– Poślubisz go?

Teraz Jess wygląda na zbitą z tropu.

– Hmm. No cóż, Zoe, nie wiem. Zobaczymy.

– Kiedy zobaczymy?

– Nie wiem. Trudno powiedzieć.

– Dlaczego trudno powiedzieć?

– Dlatego że czasami kogoś kochasz, ale to może nie być odpowiednia osoba. Przekonanie się o tym zabiera trochę czasu – wyjaśnia Jess, o wiele lepiej niż potrafiłabym to zrobić ja sama.

– Mam nadzieję, że wyjdiesz za twojego chłopaka – mówi Zoe. – To byłoby naprawdę romantyczne.

Jess uśmiecha się i przykrywa dłonią dłoń Zoe.

– Tak, to byłoby romantyczne – mówi. – Pomyślmy życzenie, żeby wszystko szczęśliwie się zakończyło.

Zoe zamyka oczy i w milczeniu wypowiada życzenie. Kiedy otwiera je z powrotem, ma poważną minę.

– Wujek Ben i ciocia Claudia wzięli rozwód – mówi, jak gdyby nie było mnie w pokoju.

– Wiem – mówi Jess, nie patrząc w moją stronę.

– Ale ciocia kochała wujka Bena – mówi Zoe, a potem spogląda na mnie. – Prawda, ciociu Claudio?

– Prawda – mówię. Potem stawiam wszystko na jedną kartę i mówię: – I zawsze będę go kochać.

Zoe rozpromienia się.

– Może w takim razie znowu go poślubisz?

Wspaniale, myślę sobie. Moja jedyna wielka nadzieja wydobyta i ukazana przez dziecko. Zastanawiam się nad odpowiedzią. Rozważam powiedzenie, że to możliwe. Że bardzo bym tego chciała. Że tęsknię za Benem całym sercem i uważam, że popełniłam wielki błąd, nie biorąc pod uwagę możliwości urodzenia mu dziecka. Że popełniłam błąd, ponieważ

byłam uparta, nieustępliwa, mściwa i myślałam tylko o sobie. Że mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

Jednak boję się wypowiedzieć na głos którekolwiek z tych zdań. Nie chcę zapeszyć. Zamiast tego odpowiadam jej niewyraźnym i mało entuzjastycznym:

– No cóż, Zoe, lepiej nie czekaj na to z zapartym tchem.

Zoe, która wszystko bierze dosłownie, dramatycznym gestem nabiera powietrza i wstrzymuje oddech, aż jej wydęte policzki robią się czerwone.

– Oddychaj! – mówię ze śmiechem. Kręci głową, a kąciki jej ust zaczynają podrygiwać w uśmiechu.

– Zoe, oddychaj! – powtarzam i łaskoczę ją dotąd, aż w końcu ze śmiechem wypuszcza powietrze. Kiedy w końcu dochodzi do siebie, mówi: – Ciociu Claudio?

– Słucham, Zoe?

– Jeśli znowu poślubisz wujka Bena, mam nadzieję, że stanie się to już wkrótce. Wiesz dlaczego?

Patrzę na nią z niepokojem, koncentrując się na mrowieniu w okolicach krzyża. Taka mała dziewczynka z pewnością nie wie o starzeniu się jajeczek. Z pewnością nie wie, że zamierzam zaproponować Benowi dziecko za samą nadzieję na odzyskanie go. W końcu mówię:

– Dlaczego, Zoe?

– Dlatego że jeśli będziesz za długo zwlekać, będę za stara, żeby sypać kwiatki na waszym ślubie.

Uśmiecham się z uczuciem ulgi.

– Hmm. Naprawdę słuszna uwaga, Zoe. Starzejesz się.

– Więc nie czekaj zbyt długo – mówi. – I nie bierz tym razem tajemnego ślubu.

– Potajemnego – mówię.

– Potajemnego – powtarza.

– Och, dobrze. Hmm. No cóż. Zobaczymy – mówię, zastanawiając się, jak długo Zoe jest w stanie zarzucać mnie pytaniami. Jeśli nie będę ostrożna, może wyciągnąć ze mnie informacje o korespondencji z Benem i naszej randce oraz o mojej szczerzej nadziei, że Ben nie zakochał się jeszcze po uszy w dziewczynie o imieniu Tucker.

Szykuję się na kolejne pytanie, które okazuje się cudownie niewinne:

– Czy możemy teraz poprzymierzać buty? – pyta mnie.

– Oczywiście – mówię, czując ulgę, że nie muszę mówić mojej siostrzenicy o Tucker: wysportowanej, pięknowłosej, płodnej lekarce, która w żadnym razie nie może kochać Bena tak jak ja.

## ROZDZIAŁ 28

Nazajutrz budzę się i widzę ubraną w nocną koszulę w lawendowe grochy Zoe, która stoi na paluszkach z nosem i rączkami przyciśniętymi do okna mojej sypialni. Przyglądam się jej poważnemu profilowi i naelektryzowanemu kosmykowi włosów, który sterczy z tyłu głowy.

W końcu przerywam jej skupienie i mówię:

– Co tak bardzo cię tam interesuje, Zoe? Odwraca się, podbiega do łóżka i mówi:

– Pada śnieg, ciociu Claudio!

– Naprawdę? – pytam.

– Tak! Chodź zobaczyć – mówi.

Podchodzę do okna, przypominając sobie, jak bardzo fascynował mnie śnieg, kiedy byłam dzieckiem. Teraz oznacza jedynie niedogodności, zwłaszcza w mieście, gdzie szybko zmienia się w brudną, brejowatą i wolno znikającą ciapę. Kiedy jednak patrzę przez okno wraz z moją siostrzenicą, zapominam o tym wszystkim. Czuję nawet ukłucie rozczarowania, widząc jedynie kilka rozproszonych płatków i brak śladów na ziemi.

– Nic z niego nie zostanie – mówię. – To tylko typowy listopadowy żart.

Zoe wygląda na zawiedzioną, a ja myślę o tym, jak czułyśmy się ja i moje siostry, kiedy w jakiś śnieżny poranek budziły się w nas nadzieje, które potem przekreślał pan z radia, oznajmiając wielce radosnym tonem: „Wszystkie szkoły będą otwarte!”. Albo – co gorsza – kiedy wymieniał szkoły, które były zamykane, a potem ogłaszał, że nasza należy do wyjątków, i na pociechę mówił o zaledwie jedno- lub dwugodzinnym opóźnieniu.



Jednym z najszcześniejszych dni mojego dzieciństwa był ten, w którym moja matka oznajmiła, że bojkotuje taką kiepską decyzję:

– Nie mam zamiaru narażać moich dzieci na niebezpieczeństwo, wsadzając je do autobusu. Niniejszym ogłaszam dzień śniegu! – Istniały pewne korzyści związane z posiadaniem matki, która nie przestrzega żadnych reguł.

– A czy jeśli zostanie trochę śniegu, będziemy mogły pojeździć w parku na sankach? – pyta Zoe.

– Pewnie – mówię, myśląc o tym, że w dzieciństwie emocje są o wiele bardziej intensywne. Radość jest bardziej porywająca, rozczarowania bardziej druzgocące, nadzieja bardziej namacalna. – Chcesz wykonać taniec śniegu, żeby spadło go trochę więcej?

Zoe jeszcze raz się ożywia i pyta:

– A co to za taniec?

Wskakuję na materac i zaczynam pisać w żywiołowym plemiennym tańcu, który ona naśladuje. Wymachujemy nogami i rękami, dopóki starcza nam sił. Potem mówię:

– Dobra! Ruszmy się! Mamy przed sobą ciężki dzień!

– Co będziemy robić, ciociu Claudio? – pyta Zoe.

Przedstawiam jej nasz grafik, który obejmuje popołudniówkę w teatrze, wycieczkę do wielkiego sklepu z zabawkami i przejażdżkę bryczką w Central Parku. Zoe wygląda na rozradowaną.

– No cóż, w takim razie lepiej pójdę włożyć sukienkę. Uśmiecham się i mówię:

– Tak. Tak będzie najlepiej. Poza tym myślę, że dziś przydałaby ci się odrobina makijażu, nie sądzisz?

Zoe uśmiecha się jeszcze szerzej. Jest prawdziwą małą damą i nieustannie domaga się takich rzeczy jak dziurki w uszach, golenie nóg i makijaż. Maura zabiłaby mnie, gdybym zaprowadziła Zoe na przekłucie uszu albo dała jej jedną z moich maszynek do golenia, lecz odrobina różu i błyszczycy do ust to zupełnie inna historia. Zoe idzie sztywnym krokiem do łazienki i mówi, naśladowując głos dorosłej kobiety:

– Oczywiście, ciociu Claudio. To wspaniały pomysł.

Kilka godzin później, po porywającym spektaklu *Król Lew*, wychodzimy z New Amsterdam Theater przy Czterdziestej Drugiej ulicy. Świeci słońce i nigdzie nie widać śladu śniegu, lecz dzień nadal jest wietrzny i wokół panuje świąteczna atmosfera. Miasto zostało już udekorowane białymi światełkami i wieńcami, a na ulicach roi się od świątecznych turystów. Zoe wkłada swój nowy puchaty różowy beret i rękawiczki do kompletu, a ja szybko zatrzymuję taksówkę i proszę kierowcę, żeby zawiózł nas do Plazy położonej naprzeciwko wielkiego sklepu z zabawkami. Przez całą drogę śpiewamy w kółko *Halama Matata*. Melodia łatwo wpada w ucho. Z tej całej wesołości prawie zapominam o ukrytej przyczynie wizyty Zoe. Zastanawiam się, czy pewnego dnia odkryje całą prawdę o naszym weekendzie. Czy spoglądając wstecz, na ten wspólnie spędzony czas, będzie czuła więcej gorzkości niż radości.

Wysiadamy przed wejściem do Plazy. Płacę kierowcy i przytrzymuję drzwi Zoe. Wyskakuje z taksówki, zapominając zachowywać się jak dama w swojej sztruksowej sukieneczce i modnym płaszczku. Potem pokazuje mi mima z pomalowaną na niebiesko twarzą, który tkwi w dziwnym bezruchu obok fontanny przed hotelem.

– Mogę iść go zobaczyć? – domaga się głośno.

– Jasne – mówię, przypominając sobie słowa Bena: „Jak można uważać coś takiego za talent? Kto zawracałby sobie głowę ćwiczeniem stania bez ruchu?”. Najwidoczniej wiele osób ma inne zdanie na temat mimów, ponieważ człowieka o niebieskiej twarzy obserwuje i nagrywa na wideo całkiem spory tłumek.

Zoe przeciska się w stronę mima, a ją zatrzymuję się obok hotelowych Schodów i wyciągam z torebki telefon. Chcę sprawdzić, czy nie dzwoniła Maura z jakimiś nowymi wiadomościami. Jest jedna nowa wiadomość, ale to tylko Daphne. Nie spuszczam wzroku z Zoe, słuchając, jak moja siostra opowiada, że właśnie upiekła babkę cytrynową i chłopcy oblizują trzepaczkę. Potem mówi, że nie miała żadnych wieści od Maury.

– Trzymaj kciuki, żeby wszystko dobrze się skończyło – dodaje na koniec.

Dochodzę do wniosku, że wersja dobrych wiadomości Daphne prawdopodobnie różni się od mojej. O ile w rodzinie nie ma przemocy, Daphne uważa, że małżeństwa posiadające dzieci powinny być razem. Moim zdaniem szczęście jest ważniejsze. I nie chodzi tu o szczęście widoczne na bożonarodzeniowym zdjęciu, lecz o to prawdziwe, które czuje się głęboko w sercu.

Kończę odsłuchiwać wiadomość Daphne i otwieram bardzo starą wiadomość od Bena, której nie miałam serca usunąć po naszym rozwodzie. To jedyne nagranie jego głosu, jakie posiadam. Nie ma w nim nic szczególnego – przekazuje mi tylko numer telefonu naszego optyka – ale wzrusza mnie samo brzmienie jego głosu i czuję, jak mocniej bije mi serce. Żałuję, że nie mogę z nim porozmawiać wcześniej niż w przyszły

poniedziałek. Na końcu mojego języka tkwi już obietnica: „Urodzę ci dziecko, Ben. Zrobię wszystko, żeby cię odzyskać”.

Zachowuję jego wiadomość w skrzynce i ponownie spoglądam na Zoe, która nadal stoi zafascynowana mimem. Trzyma beret w dłoni i w jej włosach połyskują promienie słońca, dzięki czemu włosy wyglądają na bardziej rude niż zazwyczaj. Przez jeden wspaniały moment wypełnia mnie poczucie błęgiego spokoju.

A potem wszystko zmienia się w ciągu jednej chwili.

Najpierw dostrzegam chłopca, chuderlawego deskorolkowca w workowatych szortach, wysokich trampkach i pomarańczowym kasku. Zastanawiam się, jak zdołał wyjść z domu bez kurtki w taki dzień jak ten. Ma najwyżej dwanaście lat i pomimo płynnych, wykonywanych z pewnością siebie akrobacji w jego ruchach czai się charakterystyczna dla nastolatków niezdarność. Wyraźnie się popisuje, ale udaje, że nie widzi kilku fanów, których zmęczyło już oglądanie mima. Musi być typem samotnika, myślę, chłopcy w jego wieku zazwyczaj chodzą w grupach. Patrzę, jak zjeżdża po schodach, lekko ląduje i nabiera prędkości. Właśnie wtedy dostrzegam Zoe, która biegnie w moją stronę, prosto pod koła deskorolki. Zamieram bez ruchu, wiedząc, co się za chwilę wydarzy, lecz nie jestem w stanie temu zapobiec. Czuję się tak, jakbym oglądała straszną scenę filmu na tle złowrogiego podkładu muzycznego. Tak jak się obawiałam, chłopak sunie w stronę Zoe, krzycząc:

– Hej! Hej! Uważaj! – Widzę, jak jego ciało napina się, żeby zmienić kierunek, i modlę się o to, żeby jego umiejętności zwyciężyły. Kiedy jednak wykonuje zwrot, ześlizguje się z deskorolki i z impetem uderza w Zoe, która zostaje odrzucona niczym mała lalka i z przerażającym odgłosem pada na

chodnik. Chłopiec leży obok niej i wydaje się bardziej speszony niż poturbowany.

Słyszę swój krzyk, czuję, jak w uszach pulsuje mi krew. Potem mam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Przeciskam się przez tłum i klękam obok Zoe. Ma posiniąłą twarz i zamknięte oczy, a po jej lewym policzku płynie krew, która kapie na biały płaszczyk z króliczego futerka. Ogarniają mnie strach i przerażenie, kiedy sprawdzam, czy oddycha. Oddycha. Mimo to myślę: co będzie, jeśli ona umrze? Z wściekłością mówię sobie, że chyba oszalałam: dzieci nie umierają od zderzenia z deskorolką. To tylko mały wypadek. Jednak potem myślę: wstrząśnienie mózgu, urazy głowy i szyi, uszkodzenie mózgu, paraplegia. Myślę o innych dziwacznych wypadkach, na przykład o tym chłopcu, którego widziałam w *Sześćdziesięciu minutach* – został on sparaliżowany podczas zwykłej gry w hokeja. Przemyka mi przez myśl obraz Zoe jadącej na studniówkę na inwalidzkim wózku.

Weź się w garść, mówię sobie, zacznij działać i przestań dramatyzować! Jednak wszystko, co jestem w stanie zrobić, ogranicza się do wołania imienia Zoe i delikatnego potrząsania jej za ramiona. Nie reaguje. W głowie wirują mi zasady udzielania pierwszej pomocy, których nauczyłam się dawno temu, kiedy byłam skautką, i podczas szkolenia w liceum. „Nigdy nie ruszaj osoby, u której podejrzewasz uraz głowy lub szyi. Sprawdź jej źrenice. Zastosuj ucisk, żeby zatamować krew. Zadzwoń na pogotowie. Wołaj o pomoc”.

Wyciągając z torebki chusteczkę, czuję na sobie spojrzenia i słyszę przejęte szepty. Kiedy przyciskam chusteczkę do głowy Zoe, ona mruga i otwiera oczy. W przyływie wdzięczności wypowiadam jej imię. Jęczy i dotyka swojej twarzy. Na widok krwi widniejącej na różowej rękawiczce wydaje z siebie pisk. Potem odwraca się na bok i wymiotuje. Gdzieś, w

jakimś odległym miejscu umysłu, świta mi, że wymioty są oznaką wstrząsu mózgu, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak poważnym urazem jest wstrząs mózgu. I nie mam pojęcia, jak należy potraktować osobę, która go doznała.

Zoe siada i zaczyna płakać za Maurą i Scottem:

– Mamusiu! Tatusiu! Ja chcę do mamusiiiiii!

Zbliża się do nas utykający deskorolkowiec i mamrocze jakieś przeprosiny.

– Przepraszam – mówi. – Weszła mi prosto pod koła. – Widać, że boi się ewentualnych kłopotów. Chcę zrzucić na niego całą winę, nawrzeszczyć na niego za to, że jechał na deskorolce w tłumie ludzi, lecz mówię tylko:

– W porządku. – Oddała się chyłkiem z deskorolką wetkniętą pod pachę, zmierzając ku dalszej części swojego popołudnia.

Kiedy znowu skupiam się na Zoe, nie wiadomo skąd zjawia się jakiś starszy mężczyzna i kuca obok nas. Jest dobrze ubrany i ma niski, kojący głos. Delikatnie pyta, czy to moja córka.

– Jestem jej ciotką – mówię, ogarnięta poczuciem winy. To stało się na moich oczach.

– Wezwałem dla pani taksówkę – mówi, wskazując samochód stojący kilka metrów dalej, przed wejściem do hotelu. – Kierowca zawiezie panią do Uniwersyteckiego Centrum Medycznego. Prawdopodobnie trzeba tylko założyć kilka szwów.

Zoe jęczy na wiadomość o szwach, a potem rozpaczliwie protestuje, kiedy mężczyzna próbuje podnieść ją z chodnika.

– Pozwól temu panu się zanieść, skarbie – mówię.

Ulega. Kilka sekund później wsiałam do taksówki. Mężczyzna podaje mi Zoe wraz z miękką białą chusteczką ze swoimi inicjałami: WRG.

– Nic ci nie będzie, skarbie – mówi. Nie jestem pewna, czy mówi do mnie czy do Zoe, ale mam ochotę pocałować tego miłego, siwowłosego nieznanego, którego imię zaczyna się na W. Mężczyzna podaje taksówkarzowi adres szpitala i zamyka drzwi. Kiedy pędzimy Piątą, Zoe kuli się na siedzeniu obok mnie i cichutko szlocha. Przyciskam chusteczkę do rany obok jej włosów, która ma postrzępione krawędzie i cała lepi się od krwi. W którejś chwili zdaję sobie sprawę, że zostawiłam jej beret na chodniku, i czuję kolejny przyływ poczucia winy. Najpierw pozwoliłam, żeby t o się stało, a potem zgubiłam jej ulubione nakrycie głowy. Już sobie wyobrażam, co pomyśli Maura, kiedy powiem jej, co się stało: „Wiem, że kochasz Bena, ale czy jesteś pewna, że nadajesz się na matkę?”

Dzwonię do niej od razu – do domu i na komórkę – i czuję ulgę, kiedy odzywa się poczta głosowa. Nie jestem gotowa na to wyznanie – a poza tym nie chcę załamywać mojej siostry, która i tak ma za dużo problemów na głowie. Potem próbuję pocieszyć Zoe, powtarzając słowa tego mężczyzny. Mówię, że nic się nie stało, że wszystko będzie w porządku. W odpowiedzi słyszę jedynie:

– Ja chcę do mamusi.

Gdy dojeżdżamy do szpitala, krwawienie Zoe jest mniej obfite, a ja nie martwię się już paraliżem ani permanentnym uszkodzeniem mózgu. Mimo to wołają ją niemal natychmiast po zarejestrowaniu się w recepcji. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy pojechałam na pogotowie z Benem, który złamał kostkę podczas gry w piłkę, i spędziliśmy w poczekalni siedem godzin. Albo wtedy kiedy zjadłam zepsute sushi i myślałam, że umrę z bólu brzucha, lecz mimo to musiałam poczekać, aż przyjmą faceta, który wyglądał na członka

wszystkich gangów Nowego Jorku, oraz całą chmarę koleśków z Hell's Angels.

Zatem czuję ogromną ulgę, kiedy przyjmują Zoe poza kolejnością i prowadzą nas do gabinetu. Pielęgniarka pomaga jej przebrać się w piżamę, mierzy jej ciśnienie, a chwilę później zza parawanu wyskakuje pogodny lekarz, który przedstawia się jako doktor Steve. Doktor Steve to połączenie Doogiego Howsera i George'a Clooneya z *Ostrego dyżuru*. Jest niepokojąco młody, lecz mimo to pewny siebie i charyzmatyczny. Od razu zauważam, że spodobał się Zoe, a jemu udaje się ją uspokoić podczas zadawania pytań o wypadek i objawy, w które zręcznie wplata wątki dotyczące szkoły i jej zainteresowań. Po krótkim badaniu spogląda na Zoe i mówi:

– Dobra, Zoe, miałaś dosyć poważny wypadek, więc teraz zrobimy tak... Zlecimy prześwietlenie twojej główki i założymy ci kilka małych szwów tuż za uchem.

Zoe wpada w panikę na wspomnienie o szwach (trzeba znaleźć dla nich jakąś inną nazwę – która dziewczynka nie wystraszyłaby się na myśl o tym, że jej skóra zostanie zszyta za pomocą igły?), lecz doktor Steve ukazuje w uśmiechu dołączki i przekonuje ją, że zakładanie szwów nie tylko nie boli, ale że w dodatku użyje różowej nici, która rozpuści się jak zaczarowana w ciągu kilku dni. Zoe zostaje przekupiona.

– Po co jest prześwietlenie? – pytam, gdyż nadal trochę obawiam się jakiegoś poważnego urazu głowy.

– Tylko na wszelki wypadek – mówi doktor Steve, zwracając swoje dołączki w moją stronę. – Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby to było coś więcej niż jedynie powierzchowna rana.



Kiwam głową i dziękuję mu. Doktor Steve wychodzi, żeby zlecić prześwietlenie Zoe i przynieść różową nić, a ja znajduję w torebce kawałek kartki i rozpoczynam emocjonującą grę w wisielca.

Po dwóch godzinach i maleńkim dramacie prześwietlenie Zoe potwierdza prognozy doktora Steve'a, a ona sama wygląda jak nowo narodzona z pięcioma różowymi szwami, którym towarzyszy poważne zauroczenie świeżo poznanym lekarzem. Doktor Steve daje jej lizaka – takiego dobrego, z czekoladą w środku – i mówi:

– No cóż, Zoe, lubię cię i w ogóle, ale naprawdę mam nadzieję, że nigdy więcej cię tu nie zobaczę. – Uśmiecha się, okazując nietypową dla siebie nieśmiałość. – No więc jak, Zoe? Obiecujesz trzymać się z daleka od rozpedzonych deskorolkowców?

Zoe mówi, że się postara, a on przybija jej piątkę.

Zastanawiam się, czy doktor Steve przeszedł jakieś szkolenie z podejścia do małego pacjenta, czy też to wszystko przychodzi mu zupełnie naturalnie. Może coś takiego wymaga praktyki. Może uda mi się znaleźć poradnik zatytułowany

„Jak obchodzić się z dziećmi w sytuacji kryzysu spowodowanego nagłym wypadkiem?”.

Potem myślę o Benie. Jeśli będę miała wystarczająco dużo szczęścia, aby go odzyskać, nie będę musiała być doskonała. Będziemy mogli uczyć się tego razem. Wyobrażam sobie naszą małą córeczkę, która przybiega z jakąś okropną drzazgą wbity w palec. Użyję pesety i stanę u jego boku, trzymając bandaż z wizerunkiem Garfielda. Stworzymy zgraną drużynę. Kiedyś taką byliśmy. I będziemy nią znowu.

Jednak wtedy, właśnie w chwili gdy zmierzamy wraz z Zoe w stronę wyjścia z wypisem ze szpitala i dodatkowymi lizakami w dłoni, za moimi plecami rozlega się brzącający znajomo głos, który mówi:

– Claudia? To ty?

Czuję ucisk w żołądku, kiedy kojarzę ten głos z osobą. Potem powoli się odwracam i spoglądam prosto w duże zielone oczy Tucker Janssen.

RS

## ROZDZIAŁ 29

– Cześć, Tucker – mówię, patrząc na jej idealnie wyprasowany biały lekarski fartuch, niebieską koszulę i lśniący stetoskop. I oczywiście na długą jasną grzywę upiętą w charakterystyczny kucyk. Jest ładniejsza, niż ją zapamiętałam. Chociaż być może na tym polega różnica między kimś, kto właśnie skończył biegać, a osobą z odrobiną makijażu. Drzę na myśl o tym, jak mogłaby wyglądać, gdyby wystroiła się przed uroczystą kolacją. Tracę wszelki zapał i zerkam w stronę wyjścia, mając nadzieję, że nasza rozmowa będzie krótka. Pomimo że łączy nas jedna bardzo ważna sprawa, nie mam jej nic do powiedzenia.

– Cześć, Claudio – mówi, sprawiając wrażenie zupełnie wyluzowanej.

Przypominam sobie, że właściwie nie powinnam wiedzieć, że jest lekarką. Zatem odgrywam całą scenę z udawaniem zdziwienia.

– Jesteś lekarką? – pytam.

– Tak – mówi z fałszywą skromnością. – Jestem chirurgiem dziecięcym.

– Och – mówię. – Fajnie.

– Co tutaj robisz? – pyta, zerkając na Zoe. – Wszystko w porządku?

Jej troska wydaje się szczerą, lecz mimo to bardzo mnie irytuje. Wiem, że to irracjonalne, ale mam wrażenie, że mnie osądza. Ocenia wielkość mojego zaniedbania. I dochodzi do wniosku, że rzeczywiście byłabym kiepską, nieudolną matką.

Mówię:

– Moja siostrzenica miała mały wypadek, to wszystko. Ale teraz czuje się już dobrze.

– Biedactwo – mówi Tucker melodyjnym głosem.

Zoe, która odzyskała swoją ekspresywną osobowość, wtrąca się do rozmowy:

– Mam pięć szwów!

Wpadam w panikę, zastanawiając się, co jeszcze powie Zoe. Modłę się, żeby Tucker nie wspomniała o Benie, ponieważ to wywołałoby lawinę. Już słyszę słowa Zoe: „Skąd pani zna mojego wujka Bena? Ciocia Claudia rozwiodła się z nim, bo nie chciała mieć dzieci. Ale ciocia Claudia mówi, że zawsze będzie go kochać. A jeśli znowu wezmą ślub, będę sypała im kwiatki!”.

Zgodnie z oczekiwaniem komentarz Zoe daje Tucker przyzwolenie na rozpoczęcie rozmowy z moją siostrzenicą. Jak gdyby właśnie dzieliła się jakąś wielką tajemnicą, pochyla się, puszcza oczko i pyta:

– Te różowe?

Zoe rozpromienia się.

– Uhm. Te różowe.

Tucker mierzwi włosy Zoe i posyła jej czuły uśmiech. Następnie prostuje się i mówi do mnie:

– Jest cudowna.

– Dzięki – mówię, chociaż nie jestem pewna, czy powinnam dziękować za komplementy dotyczące cudzego dziecka, nawet jeśli to dziecko jest moją siostrzenicą. Przeszuję z nogi na nogę. Mam pustkę w głowie i znowu spoglądam w kierunku wyjścia. Rozpaczliwie pragnę uniknąć poruszania kolejnych tematów, takich jak maratony albo Ben. Zastanawiam się, czy Tucker wie o moich planach spotkania się z jej chłopakiem. Przypuszczam, że tak, ponieważ pamiętam, jak Ben powiedział mi, że jego była dziewczyna

Nicole przysłała mu prezent urodzinowy jakiś rok po tym, jak zaczęliśmy się ze sobą spotykać. Pamiętam, jak siłąc się na obojętny ton, powiedziałam:

– Aha. To miło... Co ci podarowała?

– Tomik poezji – odpowiedział rzeczowo, jak gdyby nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Tymczasem ja nie potrafiłam sobie wyobrazić bardziej złowróbnego prezentu niż książka, nie wspominając o tomiku poezji, i musiałam użyć całej siły woli, żeby nie zapytać, jaki tomik i jakiej poezji. Zamiast tego wymamrotałam obojętne i, och, jakże pewne siebie:

– No cóż, to bardzo wielkoduszne z jej strony. Ben powiedział:

– Tak. Mniejsza z tym, To nic wielkiego. Chciałem ci tylko powiedzieć, mając na względzie zasadę pełnej szczerości.

Właśnie taki jest Ben – bezpośredni i uczciwy. Zatem jestem pewna, że był bardzo otwarty w kwestii naszej popołudniowej randki.

Zgodnie z przewidywaniem, Tucker pyta:

– Jak się ostatnio miewasz, Claudio?

Jej słowa są dosyć niewinne, lecz w głosie pobrzmiwa nutka protekcjonalizmu i współczucia. Poza tym bardzo subtelnie zgłasza pretensje dotyczące swojego mężczyzny. Zachowuje się dokładnie tak, jak zachowałabym się ja sama, gdybym natknęła się na Nicole na początku mojej znajomości z Benem. Jest uprzejma i pełna godności, lecz mimo to wyraźnie pokazuje, kto tu rządzi.

– W porządku. A ty? – mówię krótko i oficjalnie. Nie zamierzam dać się zawstydzić. Byłam żoną Bena. Maraton czy nie, nie zasłużyła sobie na prawo do takiej zaborczości.

– Wspaniale – rzuca lekkim tonem. Równie dobrze mogłaby dodać: „I wcale się ciebie nie boję”.

Moje skrepowanie zmienia się w żal, gdy analizuję jej odpowiedź. Nie ma wątpliwości: wspaniale przebija w porządku. Ta suka po prostu musiała być lepsza. Wszelki kredyt zaufania, jakiego kiedykolwiek jej udzieliłam, właśnie trafił szlag. Mam ochotę uderzyć ją w twarz albo chlusnąć w nią zimną wodą. Zrobić jedną z tych rzeczy, które zawsze robią bohaterowie sitcomów.

Jednak to wszystko dzieje się, zanim jej dłoń wędruje w górę, aby przenieść ten nieszczęsny kucyk z lewego ramienia na prawe, i dostrzegam jej pierścionek.

Pierścionek z diamentem.

Pierścionek z diamentem na serdecznym palcu lewej dłoni.

Nie jestem pewna, czy pokazała go celowo, lecz nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że widziała, jak na niego patrzę. Zatem nie mam innego wyboru, jak tylko się do tego przyznać. Biorę głęboki oddech i zbierając każdą cząstkę mojej silnej woli, patrzę mniej więcej w stronę jej głowy i mówię:

– Gratuluję.

Uśmiecha się triumfalnie i zerka na swoją dłoń, po czym wkłada ją do kieszeni fartucha. Następnie rumieni się i mówi:

– Dziękuję, Claudio. To... stało się szybko.

– Tak... No cóż... Gratuluję – powtarzam, czując tak obezwładniającą rozpacz, że z trudem widzę na oczy, o poruszaniu się nie wspominając.

Tucker zaczyna wypytywać o moje plany na Święto Dziękczynienia, ale przerywam jej i mówię, że naprawdę musimy już iść. Potem biorę Zoe za rękę

i wyprowadzam ją na zewnątrz, gdzie pakujemy się do taksówki. Podaję kierowcy nasz adres. Patrząc na rozmazane przecznice za oknem, dochodzę do wniosku, że ten dzień na zawsze pozostanie najgorszym dniem w całym moim życiu. W tym wypadku nie będzie niczego takiego jak ocena z perspektywy czasu. Czas tego nie naprawi. Już na zawsze będę napiętnowana tą chwilą w szpitalu. Ona stanie się częścią mnie samej. Tak naprawdę już się nią stała. Próbuję skupić się na wdychaniu i wydechaniu powietrza, powtarzając sobie, że nie mogę płakać, lecz przegrywam tę walkę. Czuję, jak niemożliwy do opanowania smutek zaczyna ścisnąć mnie w gardle. Gdzieś pomiędzy szpitalem na East Side a mieszkaniem mojej najlepszej przyjaciółki kompletnie się rozklejam na oczach mojej sześciolatniej siostrzenicy.

– Co się stało, ciociu Claudio? – pyta Zoe głosem drżącym ze strachu.

Nigdy wcześniej nie widziała, jak płaczę. – Dlaczego jesteś smutna?

– Bo boli mnie serduszko – mówię, ocierając łzy brzegiem dłoni.

– Dlaczego? Dlaczego boli cię serduszko? – pyta i teraz sama jest już na granicy łez.

Nie potrafię jej odpowiedzieć, więc powtarza pytanie. Bez końca.

W końcu silę się na:

– Dlatego że kocham wujka Bena.

– Dlaczego tak bardzo cię to smuci? – pyta, a jej drobna dłoń spieszy, by dotknąć mojej.

– Dlatego, Zoe – mówię, zbyt zrezygnowana, aby naginać prawdę albo próbować ją chronić – dlatego że Ben zamierza poślubić kogoś innego.

– Tamtą młodą lekarzkę? – pyta Zoe, otwierając z przerażeniem oczy.

Kiwam głową, zalewając się nowymi łzami, i szepczę:

– Tak.

Resztę popołudnia spędzam na próbach wyjaśnienia Zoe jednej z najsmutniejszych prawd o miłości i życiu: czasami przegapiasz odpowiedni moment – i zdarza się, że zaczynasz wszystko rozumieć, kiedy jest już za późno. Mówię jej, że rozwód z Benem był wielką pomyłką. Chciałam, żeby moje życie wyglądało w pewien sposób, i kiedy Ben przestał pasować do tego planu, dałam sobie z nim spokój. A teraz tego, na czym najbardziej mi zależy, już nie ma. Teraz Ben należy do kogoś innego. Ben należy do Tucker. Do młodej lekarki.

Być może Zoe naprawdę pojmuję to, co do niej mówię, a przynajmniej udaje, że rozumie, i jej twarz przybiera niemal komicznie filozoficzny wyraz. Czuję się trochę winna, że obarczam tym wszystkim dziecko z urazem głowy i rodzicami, którzy stoją o krok od ostatecznej katastrofy. Ale nie mogę się powstrzymać. W jej towarzystwie i niewinnych komentarzach jest coś kojącego.

– Po prostu bądź szczęśliwa, ciociu Claudio – mówi w pewnej chwili. Jak gdyby to była najprostsza rzecz pod słońcem.

Uśmiecham się i mówię:

– Postaram się.

Lecz w głębi duszy myślę: nigdy, już nigdy nie będę naprawdę szczęśliwa.

Wkrótce do domu wracają Jess i Michael. Kiedy przedstawiam Zoe Michaelowi i wymieniają uścisk dłoni, dostrzegam, że Jess zauważyła moje zaczerwienione oczy.

– Co się stało? – bezgłośnie porusza ustami nad głową Zoe, błędnie zakładając, że ratowałam moją siostrzenicę przed jakimś niebezpieczeństwem.



Mówię:

– Wyobraź sobie najgorszą rzecz na świecie.

Jess myśli przez chwilę, po czym prawie trafia w dziesiątkę:

– Ben ożenił się z Tucker?

– Blisko – mówię.

– Zaręczyli się? – mówi z przerażeniem.

Ponuro kiwam głową.

Opada jej szczeka, a Michael wypala:

– O kurwa, nie żartuj.

Jess rzuca mu wściekłe spojrzenie i pokazuje na Zoe. Wiem, że Maura dostanie raport na temat przeklinania, chociaż biorąc pod uwagę wydarzenia dzisiejszego dnia, jedno słowo na „k”, które się komuś wymknęło, wcale nie wydaje się takie destrukcyjne.

– Przepraszam – mówi do mnie Michael, krzywiąc się.

– Już kiedyś to słyszałam – mówi Zoe, splatając ręce na piersi.

Wyraźnie delektuje się rolą, jaką odgrywa w tym dramacie dorosłych.

– Dzwonił do ciebie? – pyta Jess. – Annie ci powiedziała?

– Nie – mówię, pozwalając sobie na odrobinę śmiechu. – Tak naprawdę natknęliśmy się na Tucker na pogotowiu.

– Na pogotowiu? – pyta Jess. Ona i Michael wyglądają na oszołomionych, kiedy wraz z Zoe częstujemy ich krwawymi szczegółami wypadku i wizyty w szpitalu. Jess i Michael oglądają szwy Zoe i parę razy chwala ją za odwagę, po czym Jess wraca do tego, co w jej oczach najwyraźniej stanowi sedno sprawy: Jak wyglądał pierścionek? Czy ustalili już termin? Czy moim zdaniem Tucker może być w ciąży?

Trzykrotnie wzruszam ramionami, a na ostatnie pytanie odpowiadam:

– To i tak bez znaczenia.

– O, nie, to wcale nie jest bez znaczenia – mówi Jess. –Może nie wszystko jeszcze stracone.

– Słuchaj jej, siostrze – mówi Michael, obejmując Jess ramieniem.

Wpatruję się w uroczą parę targaną porywami wczesnej namiętności – w dwoje ludzi, którzy nie potrafią sobie wyobrazić, że ktoś może czuć się teraz inaczej niż oni.

– Och, wszystko stracone – mówię, zerkając na moją pomagierkę w poszukiwaniu potwierdzenia. – Prawda, Zoe?

Ponuro kiwa głową i mówi:

– Tak. Wszystko poszło nie tak.

Kiedy Jess i Michael wychodzą na kolację, kulimy się z Zoe na kanapie i oglądamy oryginalną wersję *Nie wiercie bliźniaczkom* z Hayley Mills. W dzieciństwie był to jeden z moich ulubionych filmów i Zoe, jako porządne dziecko, co najmniej raz oświadcza mi, że woli tę „starodawną” wersję od tej z Lindsay Lohan.

Kiedy dzwoni telefon, zerkam na wyświetlacz. To Maura. Staje mi serce na myśl o kolejnym rodzinnym dramacie. A oprócz sprawozdania, które dla mnie przygotowała, naprawdę boję się powiedzieć jej o wypadku Zoe.

– To twoja mama – mówię, wciskając pauzę na pilocie, po czym podnoszę słuchawkę.

– Cześć, Mauro – mówię z wahaniem. Będę musiała zadawać szyfrowane pytania, ponieważ obok mnie siedzi Zoe.

– Chcę porozmawiać z mamusią! – mówi Zoe, a jej głos staje się dziecinny i płaczliwy.

– Sekundkę, Zoe – mówię, a następnie pytam Maurę, jak się czuje.

– Dobrze – mówi Maura z większym przekonaniem, niż mogłabym się spodziewać.

– Co się dzieje? Jak poszło? – pytam.

– Wszystko w porządku, ale nie bardzo mogę teraz rozmawiać. Jest w kuchni – mówi ściszym głosem.

– Możesz opowiedzieć mi przynajmniej w skrócie? – mówię, podczas gdy Zoe nadal głośno domaga się słuchawki.

– No cóż, krótko mówiąc, jest mu okropnie przykro. Tak przykro, że błaga mnie i płacze. Ciągłe powtarza, że nie wie, dlaczego tak postępuje. Mówi, że potrzebuje pomocy. Pragnie pójść do mojej terapeutki Cheryl: to coś, na co nigdy wcześniej nie chciał się zgodzić. Mówi, że zrobi wszystko, żeby nasza rodzina nadal była razem – szepcze. – Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Jest inaczej niż dawniej. To chyba dlatego że... tym razem ja jestem inna. Ani razu nie płakałam.

Zerkam na Zoe i ostrożnie dobieram słowa:

– Próbuje powiedzieć, że to jakiś rodzaj... uzależnienia?

– No cóż, nie użył dokładnie takich słów... Po prostu myślę, że on jest... bardzo nieszczęśliwy.

Możliwe, myślę, ale to nie daje mu prawa do łajdaczenia się po całym Manhattanie i unieszczęśliwiania reszty rodziny. Jednak nie do mnie należy wydawanie sądów – albo podejmowanie decyzji za moją siostrę – więc mówię tylko:

– Jak się czujesz?

– Sama nie wiem – mówi. – Ale wiem tyle, że mam przewagę i chcę wszystko zmienić... A to z pewnością miłe uczucie.

Zapada długie milczenie, po czym pyta, jak miewa się Zoe.

– Siedzi obok mnie i cierpliwie czeka, aż będzie mogła z tobą porozmawiać. Za chwilę dam jej słuchawkę. – Potem biorę głęboki oddech i mówię: – Ale najpierw muszę ci o czymś powiedzieć...

Maura wpada mi w słowo:

– O Boże, co się stało?

Podziwiam matczyną intuicję, zapewniając ją, że Zoe nic nie dolega. Następnie przedstawiam jej najmniej melodramatyczną wersję wypadków. Pomijam część dotyczącą Tucker i kończę, mówiąc:

– Naprawdę mi przykro, że do tego dopuściłam.

– Nie bądź niemądra – mówi Maura, ale jej głos lekko drży. – Wypadki się zdarzają. To nie twoja wina... Pozwól mi z nią porozmawiać.

– Jasne – mówię, wręczając słuchawkę Zoe, która, jak można się było domyślić, na dźwięk matczynego głosu natychmiast uderza w płacz. To chyba naturalny odruch podczas rozmowy z osobą, którą kocha się najbardziej na świecie. Co oznacza, że będzie lepiej, jeśli podaruję sobie lunch z Benem. Już sobie wyobrażam, jak szlocham w barowym boksie.

Po przedstawieniu własnej interpretacji wydarzeń, czyli wyprawy do szpitala, doktora Steve'a i szwów, Zoe przechodzi do zaręczyn Bena i Tucker. Nie mam siły jej powstrzymać ani zainterweniować. Zresztą jej raport jest całkiem trafny – nie zapomina nawet o „jasnym kucyku” i „dużym, błyszczącym diamentowym pierścionku”.

Kiedy w końcu biorę słuchawkę, Maura pyta:

– Czy to prawda?

– Obawiam się, że tak – mówię. – Wyobraźnia Zoe nie jest aż tak bujna.

– Boże. Bardzo mi przykro – mówi.

– Wiem – odpowiadam. – Mnie też.

W świetle wypadku Maura postanawia, że Zoe powinna wrócić do domu.

– Musi być teraz z nami – mówi. To „my” nie uchodzi mojej uwagi, podobnie jak fakt, że Maura i Scott przyjeżdżają razem. Zastanawiam się, czy to oznacza, że Maura zamierza dać Scottowi „jeszcze jedną szansę”. A może chce w ten sposób pokazać Zoe, że obydwójce rodzice bardzo ją kochają, nawet jeśli nie kochają już siebie.

Jestem jednak pewna, że Maura wygląda o wiele lepiej niż dwadzieścia cztery godziny temu, kiedy przywiozła do mnie Zoe. Wydaje się silna – ma idealną posturę i odpowiedni kolor policzków. Natomiast Scott ma ziemistą cerę i zachowuje się jak wystraszony, skrepowany człowiek.

Zaczynam rozumieć, że sprawy mogły z łatwością przybrać inny obrót. Scott mógł zareagować obojętnym: „W porządku. Przyłapałaś mnie. A teraz weźmy rozwód”, albo, co gorsza, mógł powiedzieć: „Kocham tę kobietę i chcemy się pobrać”.

Przynajmniej to Maura musi teraz wybierać. A osoba, która podejmuje decyzje, zawsze czuje się silniejsza. Cieszę się, że moja siostra zyskała chociaż tyle. Chciałabym, żeby w moim wypadku było podobnie.

Całuję Zoe na pożegnanie co najmniej cztery razy i mówię jej, że chyba musimy umówić się niedługo na kolejne spotkanie, żeby pójść do wielkiego sklepu z zabawkami i przejechać się bryczką.

– Może następnym razem spadnie nawet śnieg – mówię i chociaż jeszcze się nie rozstałyśmy, już zaczynam za nią tęsknić.

– Będę mogła niedługo tu wrócić, mamusiu? – pyta Zoe, patrząc na Maurę.

– Oczywiście – mówi Maura.

Kiedy Scott bierze Zoe na rękę, Maura dotyka mojej dłoni, ściska ją i cicho mówi:

– Dbaj o siebie.

– Ty też – mówię.

Gdy za Zoe i jej rodzicami zamykają się drzwi, mówię do siebie, wkładając w te słowa tyle sarkazmu, ile tylko potrafię:

– Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia. – To banał, którego nigdy nie lubiłam, zarówno ze względu na jego oczywistość, jak i przez presję, jaką wywiera na człowieka, nakazując mu spędzić dzień w pożyteczny i fantastyczny sposób. Postanawiam oczywiście zrobić dokładnie odwrotnie. Poddaję się i włączę do łóżka, nie zadając sobie nawet trudu, żeby najpierw wziąć prysznic i zmyć ze skóry zarazki szpitala i Tucker.

## ROZDZIAŁ 30

Przez kilka kolejnych dni oscyluję między niemym niedowierzaniem a wywracającą wnętrzności rozpaczą. W pracy nie ma wielkiego ruchu, jak zwykle przed Świętem Dziękczynienia, więc przeważnie redaguję w domu, zazwyczaj nie wychodząc z łóżka. Jess informuje mnie, że nadmiar snu jest oznaką depresji – jak gdyby to była jakaś wielka nowina. Cały czas wygłasza do mnie podniosłe i zagrzewające do dzieła turboprzemowy w stylu Richarda Simmonsa. Zbywam ją, mówiąc, że nic mi nie będzie. Jednak wcale nie jestem tego taka pewna.

Najgorsza chwila przychodzi w środku nocy, kiedy budzę się ze snu z ostatnią sceną z *Absolwenta* w głowie. Wszystko jest dokładnie tak jak w filmie, z tym że ja jestem Dustinem Hoffmanem, a Ben nie zostawia będącej w bardzo zaawansowanej ciąży Tucker przed ołtarzem. Zamiast tego on i cała jego rodzina patrzą na mnie jak na wariatkę, aż w końcu Annie i Ray chwytają mnie za ręce, wywlekają z kościoła i wsadzają do autobusu, zupełnie samą. Budzę się złana potem. Chce mi się płakać i jestem taka wściekła, że zaczynam się bać samej siebie.

Nazajutrz zastaję Jess w jej pokoju, gdzie kończy się pakować przed wyprawą z Michaelem do Alabamy. Wbrew zdrowemu rozsądkowi opowiadam jej o moim koszmarze.

Mówi:

– No cóż. Na szczęście będziesz próbowała odzyskać Bena przed ślubem.

Posyłam jej puste spojrzenie, a ona mówi:

– W poniedziałek?

Kręcę głową i mówię:

– Nie będzie żadnego odzyskiwania... I nie mam zamiaru pakować się w to poniedziałkowe spotkanie.

– Co? – mówi.

– Odwołuję je – mówię z przekonaniem.

– O, nie. Niczego nie odwołasz – mówi z jeszcze większym przekonaniem.

– Nie ma sensu – mówię z apatycznym wzruszeniem ramion osoby, która prawdopodobnie potrzebuje prozacu.

– Właśnie że jest sens – mówi. – Posłuchaj, Claudio. Fakt, że się zaręczyli, tak naprawdę niczego tu nie zmienia.

– Owszem, zmienia – mówię.

– Wcale nie! – mówi. – Jeśli Ben może wziąć rozwód z miłością swojego życia, to tym bardziej może zerwać zaręczyny.

– Skąd wiesz, że to ona nie jest miłością jego życia?

– Bo t y nią jesteś – mówi. – A coś takiego zdarza się tylko raz.

– Od kiedy tak uważasz? – pytam.

– Odkąd w końcu poczułam prawdziwą miłość.

– No cóż. Mam dla ciebie złą wiadomość, Jess. Ben kocha Tucker – mówię. – Nie oświadczyłby się, gdyby było inaczej. Pragnie dziecka, ale nie aż tak.

– W porządku. Może kocha ją w jakiś ograniczony sposób. Ale ciebie kocha bardziej i dobrze o tym wiesz... Nie poznał jeszcze wszystkich informacji. Musisz mu o wszystkim powiedzieć. Kiedy się dowie, że chcesz mieć dzieci, będzie musiał z nią zerwać.

– Wcale nie chcę dzieci.



– Owszem, chcesz.

– Nie, nie chcę – mówię. – Teoretycznie mogłabym chcieć urodzić jego dziecko.

– Na jedno wychodzi.

– Niezupełnie.

Energicznie zapina torbę od Toda i mówi:

– No cóż. Chyba będzie najlepiej, jeśli zadecyduje o tym Ben. Zgoda?

Tymczasem moje plany na Święto Dziękczynienia stoją pod znakiem zapytania aż do jedenastej. Maura prawie zawsze organizuje kolację u siebie w domu, lecz z oczywistych powodów w tym roku robi wyjątek. Logicznym rozwiązaniem awaryjnym jest Daphne, ponieważ mój ojciec – co zrozumiale – nie chce odwiedzać domu Dwighta i mamy. Kiedy jednak mówimy o tym planie matce, zaczyna swoją tradycyjną przemowę pod tytułem „Nigdy mnie tu nie odwiedzacie”. Następnie przeskakuje na inny temat i skupia się na tym, że nigdy tak naprawdę nie zaakceptowałyśmy Dwighta. Nie jestem w nastroju na te brednie, więc szybko studzę jej zapędy, mówiąc:

– Słuchaj, Vera. Idziemy do Daphne. Ty nie potrafisz nawet gotować.

– Możemy coś zamówić – proponuje.

– Mamo. Daj spokój. Decyzja jest już podjęta.

– Kto tak powiedział? – pyta głosem małej dziewczynki.

– Ja – odpowiadam. – Zatem przyłącz się do nas albo nie. To zależy wyłącznie od ciebie.

Odkładam słuchawkę i dochodzę do wniosku, że jedyny prawdziwy urok stoczenia się na samo dno polega na tym, że nic nie jest w stanie naprawdę cię speszyć ani rozzłościć. Nawet własna matka.

Kilka minut później dzwoni do mnie z pojednawczym:

- Claudio?
- Tak? – mówię.
- Podjęłam decyzję.
- No i?
- Przyjdę – mówi potulnie.
- Grzeczna dziewczynka.

Poranek Święta Dziękczynienia jest ponury, szary i dżdżysty, lecz również nietypowo ciepły, co tworzy przygnębiającą świąteczną kombinację. Muszę zebrać każdą odrobinę silnej woli, żeby wstać z łóżka, wziąć prysznic i się ubrać. Przez myśl przelatuje mi jedna z życiowych zasad mojej matki: „Jeśli się wystroisz i będziesz ślicznie wyglądać, poczujesz się lepiej”. I chociaż zasadniczo się z tym zgadzam, lekceważę tę radę i decyduję się na przedpotopowy golf i parę wytartych na kolanach lewisów. Mówię sobie, że lepsze to niż włożenie dresów i tenisówek, którym opieram się tylko dlatego, że wyobrażam sobie „chodzenie w dresach i tenisówkach w Święto Dziękczynienia” figurujące na broszurce pod tytułem *Samobójstwo – sygnały ostrzegawcze*.

Nie mogę znaleźć taksówki, więc muszę iść do Penn Station piechotą i ledwie zdążam na południowy pociąg. Jestem zmuszona tkwić na miejscu zwróconym tyłem do kierunku jazdy, co zawsze wywołuje u mnie chorobę lokomocyjną. Potem, gdzieś w połowie drogi do Huntington, dociera do mnie, że zostawiłam swoje wspaniałe, warte dwadzieścia osiem dolarów ciasto z dyni z Balthazar na kuchennym blacie. Głośno mówię „cholera”. Starsza kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia odwraca się i mierzy mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Bezgłośnie mówię „przepraszam”, chociaż tak naprawdę myślę sobie: nie wtrącaj się w nie swoje sprawy,

paniusiu. Przez kolejne dwadzieścia minut martwię się, że niedługo zmienię się w zgorzkniałą kobietę, która nie lubi starszych ludzi. Albo – co gorsza – stanę się rozgoryczoną staruszką, która nie lubi młodzieży.

Kiedy ojciec wita mnie na dworcu, mówię mu, że musimy wpaść po drodze do sklepu i kupić ciasto.

– Pieprzyć ciasto – mówi tato, co w wolnym tłumaczeniu oznacza: „Słyszałem o zaręczynach Bena”.

– Nie. Naprawdę, tato – mówię. – Obiecałam Daphne, że przyniosę ciasto z dyni.

W wolnym tłumaczeniu: „Jestem kompletną ofiarą. Jedyne, co mi pozostało, to słowo honoru”.

Tato wzrusza ramionami i kilka minut później zatrzymujemy się na parkingu przed Waldbaumem. Wbiegam do środka, chwytam dwa szpetne ciasta z dyni, które zostały już przecenione, i kieruję się do ekspresowej kasy z napisem „Dwanaście artykułów i mniej”.

„Albo” mówię do siebie, myśląc o tym, jak bardzo rozśmieszałam Bena, poprawiając językowe błędy na różnych szyldach. „Dwanaście artykułów albo mniej”, do cholery. Mam szczerą nadzieję, że Tucker ma matematyczny umysł naukowca w ścisłym sensie i bez przerwy pieprzą jej się części mowy. Ukończyła Harvard, więc wiem, że jej błędy nie są tak rażące jak w: „Mama i tata idzie na zakupy”, ale przy odrobinie szczęścia może mieć skłonność do popełniania innych pomyłek – takich jakie zdarzają się inteligentnym ludziom wierzącym, że są inteligentni. Na przykład gdy nieprawidłowo odmieniają wyraz „cudzysłów”, mówiąc „w cudzysłowiu”.

Cały urok takiej sytuacji będzie polegał na tym, że za każdym razem Ben pomyśli wtedy o mnie. Pewnego dnia może nie wytrzymać i podzielić się

z Tucker sposobem, którego nauczyłam go dawno temu: „Cudzysłów odmienia się tak samo jak rów. Zatem skoro leży się w rowie, a nie w rowiu, to mówi się w cudzysłowie, a nie w cudzysłowiu”. Być może Tucker zmruży wtedy oczy i na jej twarzy pojawi się posepna mina.

– Nauczyła cię tego twoja była żona? – zapyta z pogardą zrodzoną z zazdrości i poczucia, że nie zdołała mi dorównać. Bo chociaż potrafi składać ludzi z powrotem do kupy, nigdy nie uda jej się przedstawić zdania w postaci wykresu.

Potem, płacąc za dwa żalösne ciasta i jakiś gotowy deser, dostrzegam Charliego, mojego chłopaka z liceum, który właśnie staje za mną w kolejce. Zazwyczaj lubię go spotykać, podobnie jak innych przyjaciół z liceum, lecz mój rozwód wszystko zmienił. Nie jest to wiadomość, o której ma się ochotę wspominać podczas pogawędek, lecz jednocześnie raczej trudno całkowicie ją pominąć. Zresztą w tym tygodniu wyczerpałam już limit przypadkowych spotkań i nie jestem w stanie być uprzejma. Spuszczam głowę i podaję dziewczynie przy kasie dwudziestkę.

Kiedy myślę, że uda mi się uciec, Charlie mówi:

– Claudia? To ty?

Przychodzi mi do głowy myśl, żeby udać, że nie słyszałam, albo iść dalej, ale lubię Charliego i nie chcę wyjść na snobkę z miasta – o co kiedyś mnie oskarżył – zatem odwracam się, uśmiecham i prezentuję moje najlepsze wcielenie szczęśliwej, doskonale przystosowanej kobiety.

– Cześć, Charlie! – mówię. – Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia!

– Nawzajem, Claudio! – mówi, popychając kupione w ostatniej chwili produkty: opakowanie tamponów, karton pełnego mleka i trzy puszki sosu z żurawiny. – Jak leci?

– W porządku! – mówię wesoło, patrząc na synka Charliego, który potrząsa opakowaniem pomarańczowych tic taków. Wygląda dokładnie jak Charlie na zdjęciu z przedszkola, które stało oprawione w ramkę w korytarzu jego domu przez cały czas, kiedy ze sobą chodziliśmy. Chłopczyk patrzy na ojca i pyta:

– Możemy wziąć jeszcze to, tato?

Spodziewam się odpowiedzi w stylu: „Nie, odłóż to”, która stanowi standardową reakcję rodziców w sklepie spożywczym, lecz Charlie mówi:

– Jasne. Czemu nie? – i rzuca tic taki na taśmę.

Uśmiecham się, przypominając sobie, co najbardziej lubiłam w moim pierwszym chłopaku – jego automatyczną odpowiedzią było zawsze: „Czemu nie?”. Był nieskomplikowany, optymistyczny i prosty. W pewnym okresie mogłabym uznać, że takie cechy czynią z niego głupka, ale teraz myślę, że po prostu przekładają się na szczęście. W końcu Charlie ma rodzinę. To on kupuje higieniczne produkty swojej żonie. A ja jestem rozwiedziona i w samochodzie na parkingu czeka na mnie ojciec.

– No więc co słyhać? – pyta Charlie z szerokim uśmiechem.

– Niewiele – mówię i próbuję zmienić temat, skupiając się na jego synku. – To twój najstarszy?

– Nie! – mówi Charlie. – To najmłodszy, Jake... Jake, to jest Claudia.

Wymieniamy z Jake'em uścisk dłoni i modlę się, żeby to był koniec naszego spotkania, lecz wtedy Charlie pyta:

– Co u Bena?

- Rozwiedliśmy się – mówię.
- Przykro mi.
- Niepotrzebnie – mówię. – Niedługo Ben żeni się ponownie.

Potem śmieję się z własnego dowcipu. Charlie również się śmieje, lecz jest to niezręczny, współczujący śmiech, a nie radosne „ha, ha”. Wymieniamy jeszcze kilka uprzejmości i obydwójce obiecujemy przekazać pozdrowienia rodzinom. Przez cały czas czuję, co myśli sobie Charlie: „Wiedziałem. Wiedziałem, że czeka ją smutny los, kiedy po studniówce powiedziała mi, że nie chce mieć dzieci”.

Daphne panuje nad sytuacją, kiedy wraz z ojcem przyjeżdżamy do jej domu. Mówiąc o panowaniu nad sytuacją, nie mam jednak na myśli lśniącej perfekcji w wersji Maury. Wręcz przeciwnie, dom Daphne znajduje się w stanie gwarnechaos. W kuchni panuje bałagan, a mecz Tony'ego rywalizuje z piosenkami Enrique Iglesiasa z ulubionego albumu Daphne oraz ze szczekaniem ich rozentuzjasmowanych yorków. Mimo to wszystko ładnie pachnie i panuje przyjemna atmosfera. Daphne stoi przy kuchence, na której płoną wszystkie cztery palniki. Ma na sobie fartuszek z napisem „Lubisz węglowodany?” i wygląda na odprężoną. Mój ojciec dołącza do Tony'ego w salonie, a ja wkładam ciasta i deser do lodówki, mówiąc:

- Mam nadzieję, że przygotowałaś jakiś awaryjny deser.
- Jasne – mówi Daphne i uśmiechając się z dumą, wskazuje na świeżo rozwałkowane kruche ciasto, które leży na kuchennym blacie.
- Rozmawiałaś z Maurą? – pytam, sadowiąc się na taborecie. – Czy on przyjdzie?

Daphne wie, że mam na myśli Scotta. Zaczyna obierać zielone jabłko i mówi, że dziś rano Maura nie była jeszcze zdecydowana, czy zabrać go ze

sobą, czy też zostawić samego w domu. Ucieszyła się na wieść, że rodzice Scotta i rodzina jego siostry wykupili już świąteczną wycieczkę do Disneylandu – więc jeśli postanowi go zostawić, nie będzie miał żadnego rezerwowego planu.

Chwilę później pod drzwiami rozlegają się głosy mojej matki i Dwighta.

– Czeeeść – świergocze Vera, wchodząc do kuchni lekkim krokiem. Jest mocno wyperfumowana i ma na sobie zwiewny kostium od St. Johna i granatowe czółenka. Jej strój odzwierciedla ideę „swobodnej elegancji”, stanowiącej kwintesencję jej ulubionego stylu, któremu hołduje podczas własnych przyjęć. Pomimo alergii na psy podnosi yorki Daphne i pozwala im lizać się po twarzy.

– Cieść, Gary! Cieść, Anno! – nuci dziecięcym głosikiem, a ja myślę, że takie rozmawianie z psami jest tylko odrobinę bardziej denerwujące niż seplenienie do małych dzieci.

Dwight również hołduje „swobodnej elegancji”. Paraduje w mokasynach z frędzelkami, przeciwsłonecznych okularach Ray-Ban i marynarce z błyszczącymi złotymi guzikami. Zdejmuje okulary i podaje Daphne butelkę merlota. Potem pociera dłonie z energią, której starczyłoby na rozpalenie ogniska.

– No, moje panie, co tam słyszeć? – pyta, oglądając bulgoczące garnki.

– Ładnie pachnie, Daph!

Patrząc, jak dostojnym krokiem przemierza kuchnię, myślę o tym, jak Ben naśladował jego ruchy i pytał: „Zauważyłaś, że kiedy Dwight wchodzi do pokoju, jego miednica pojawia się tam jakieś pięć minut wcześniej niż reszta ciała?” Zawsze lubiłam, kiedy żartował z Dwighta, lecz myśl, że mógłby dzielić się takimi spostrzeżeniami na temat mojej rodziny (nawet na temat

męża mojej matki) ze swoją przyszłą żoną, wywiera przedziwny efekt, tworząc lojalność tam, gdzie jej wcześniej nie było. Dwight nie jest złym człowiekiem, myślę, całując go na powitanie, co prawdopodobnie jest pierwszym takim wypadkiem w historii. Czekam, aż moja matka wypuści psy, umyje ręce i użyje inhalatora. Potem ściskam również ją.

– Jak dobrze, że się wystroiłaś – szepcze mi do ucha. Uśmiecham się i mówię:

– Tak. Ale ucieszysz się, kiedy ci powiem, że jeśli zdarzy się jakiś wypadek i lekarz będzie musiał mnie rozebrać, mam na sobie moją najlepszą bieliznę.

Uśmiecha się, jak gdyby chciała powiedzieć: „Dobrze cię wyszkoliłam”.

Rozlega się dzwonek do drzwi i wszyscy nerwowo na siebie zerkamy, a w powietrzu wisi pytanie: „Czy Scott przyjdzie wraz ze swoją rodziną?”.

Nawet moja matka wydaje się nieco przygaszona.

– Otwórz drzwi – mówi Daphne, nerwowo odwiązując fartuszek.

Ruszam w kierunku drzwi. Kiedy je otwieram, czuję autentyczne zdziwienie na widok Scotta. Naprawdę myślałam, że Maura skłania się ku wygnaniu go z domu. Przychodzą mi do głowy słowa Hillary Clinton na temat Billa: „Tego psa trudno utrzymać na werandzie”. Najwyraźniej to samo można powiedzieć o Scotcie. A jednak oto on: z powrotem na werandzie z Maurą.

– Cześć – mówię, pochylając się, żeby najpierw uściskać dzieci. Zoe pokazuje swoje szwy – a raczej miejsce gdzie kiedyś były.

– Zniknęły – mówi. – Dokładnie tak, jak powiedział doktor Steve!

Uśmiecham się i jeszcze raz ją przytulam.



Kiedy wstaję, patrzę prosto w oczy Scotta. Tym razem nie ma w nich pewności siebie i nie świdruje mnie wzrokiem. Jest za to bardziej rozgoryczony i skruszony niż w sobotę wieczorem. A Maura wygląda jeszcze bardziej kwitnąco. Myślę sobie: beztroska, pewna siebie i lubiana dziewczyna na randce z wdzięcznym aspiratorem do drugiej szansy. W ich wypadku to odwrócenie ról przepełnia mnie nostalgią, kiedy przypominam sobie, że właśnie taka była moja siostra, zanim poznała Scotta. Co się stało? – zastanawiam się. Czy zachowanie Scotta zmieniło Maurę w ofiarę i sprawiło, że zaczęła żyć w wiecznej niepewności? A może jej priorytety uległy jakiemuś wypaczeniu, aby pozwolić komuś takiemu jak Scott wkroczyć w jej życie.

Witam go oschłym „cześć”, po czym całuję moją siostrę. Kolejne pełne napięcia słowa powitania padają w kuchni. Potem wszyscy przenosimy się do salonu, żeby obejrzeć mecz, który tak naprawdę interesuje tylko Tony'ego. Dallas Cowboys grają z jakąś inną drużyną, którą dopingują skąpo odziane cheerleaderki. Obserwując Scotta i Maurę, zapominam o Benie. Scott nieustannie dogadza żonie – dolewa jej wina, masuje plecy, zajmuje się dziećmi, kiedy zachowują się zbyt głośno – a ja przypominam sobie jedną z teorii Annie na temat związków, którą nazywa „teorią łaskawego dyktatora”. Annie twierdzi, że w idealnym związku władza jest równo podzielona. Jeśli jednak ktoś musi mieć jej więcej, to tym kimś powinna być kobieta. Argumentuje to tym, że większość mężczyzn skupiających władzę nadużywa jej i ulega swoim wrodzonym wyrachowanym i egoistycznym instynktom. Natomiast kobiety, które mają władzę, zazwyczaj wykorzystują ją w interesie rodziny, a nie własnych potrzeb. Dlatego w społeczeństwach matriarchalnych

panują spokój i harmonia, a społeczeństwa kierowane przez mężczyzn giną w wojnach.

Rzecz jasna, kiedy Annie po raz pierwszy podzieliła się ze mną tą teorią w college'u, próbowałam ją obalić opowieścią o moich rodzicach. Powiedziałam jej, że moja matka skupiała całą władzę i dbała tylko o własne potrzeby – podczas gdy ojcem kierowały dobre intencje. Jednak rozglądając się teraz wokół, muszę niechętnie przyznać, że Annie rzeczywiście miała trochę racji i że moja rodzina była najwidoczniej wyjątkiem od reguły. Przyjaciółki z rozbitych rodzin prawie zawsze miały za matki bierne męczennice, a te, których rodzice tworzyli zgrane małżeństwa, posiadały silne matki i kochających mężów.

Obserwuję teraz Maure, wyobrażając sobie jej koronację na „łaskawego dyktatora”. Na władczynię, która mogłaby okrutnie zostawić Scotta w domu z mrożoną kolacją po uprzednim strąceniu go z tronu. Zamiast tego przyprowadziła go na naszą rodzinną ucztę. Okazała mu odrobinę litości i przynajmniej na jakiś czas został ułaskawiony. Ktoś mógłby uznać, że to czyni z niej idiotkę albo tchórza. Sama mogłabym tak powiedzieć jeszcze tydzień temu. Jednak teraz, kiedy na nią patrzę, myślę, że ma to większy związek z siłą ducha, z pragnieniem podjęcia decyzji, która będzie najlepsza dla jej dzieci, oraz próbą dowiedzenia się, jak powinna brzmieć ta decyzja. Mimo to, pomijając dzieci, wiem również, że dotarła już do kresu wytrzymałości. Jeśli Scott będzie miał na tyle szczęścia, żeby przetrwać ten wypadek, jestem pewna, że Maura nie będzie tolerować kolejnych zdrad, nawet tych maleńkich. To ostatnia, ostatnia szansa na odkupienie. Czuję, że Scott również o tym wie.

Zastanawiam się tylko, czy zwykła wola wybaczenia wystarczy, aby w życiu mojej siostry i jej rodziny wszystko wróciło do normy. Bo przecież władza to jedno, a miłość to już coś zupełnie innego.

Kiedy indyk jest już gotowy, przenosimy się do jadalni, chociaż Tony domaga się, żebyśmy obejrzelі końcówkę meczu i zjedli przed telewizorem. Daphne nie zaszczycą tej prośby odpowiedzią. Ignoruje go i mówi:

– Bierzcie napoje i chodźmy do stołu!

Dwight rusza przodem z kieliszkiem wina w jednej dłoni i puszką dietetycznego Dr. Peppera w drugiej. Kiedy skręca za róg, mówi tubalnym głosem:

– Jeju! Patrzcie! Karteczki z imionami!

Zgodnie z przewidywaniami, Daphne poustawiała na stole małe karteczki z imionami, zrobione z szarego kartonika i naklejek. Mniejsze egzemplarze postawiła na stoliku dla Zoe, Patricka i Williama.

Maura w skupieniu okrąża stół, czytając imiona jak weselny gość. Szybko chwyta karteczkę Scotta i zamienia ją miejscami z karteczką Dwighta, żeby nie siedzieć obok męża. Scott obserwuje to ze zmarszczonymi brwiami, a reszta z nas udaje, że niczego nie widzi, i zajmuje miejsca.

Tony odmawia modlitwę, a potem Daphne nalega, abyśmy uczynili zadość naszej rodzinnej tradycji – każde z nas musi wymienić coś, za co jesteśmy wdzięczni. Osobiście uważam to za niezwykle niebezpieczny pomysł, biorąc pod uwagę niepewne okoliczności, w których znaleźliśmy się w ten szczególny czwartek. Jednak wcale nie mam zamiaru mieszać jej szyków. Zamiast tego gorączkowo szukam jakichś mało konkretnych słów, które będą mogła wykorzystać. Daphne kończy instrukcje:

– Pamiętajcie. Żadnych powtórzeń. – Potem mówi: – Dwight, możesz zacząć.

Dwight uśmiecha się i mówi:

– W porządku. Jestem wdzięczny za jedzenie zgromadzone na tym stole, które przygotowała dla nas Daphne. Wszystko wygląda wspaniale!

– A niech cię, Dwight – mówię. – Podkradłeś mi pomysł. Dwight śmieje się i mówi:

– Poza tym jestem wdzięczny, że mogłem wypowiedzieć się pierwszy!

Zoe domaga się głosu. Mówi, że jest wdzięczna, że zagoiła jej się głowa i że w zeszły weekend tak dobrze bawiła się z ciocią Claudią. Uśmiecham się do niej. Potem Zoe mówi, że podziękuje również w imieniu Patryka i Williama. Mówi, że jej bracia są wdzięczni za wszystkie swoje zabawki i książki.

Moja matka kontynuuje podziękowania przy stole dla dorosłych. Spogląda w sufit, jak gdyby rozważała swoje liczne błogosławieństwa. Zawsze można na nią liczyć, jeśli chodzi o nieoczekiwane i skupiające uwagę świąteczne przemowy. Pewnego roku było to: „Jestem wdzięczna, że Rossowi Perotowi tak dobrze poszło w tegorocznych wyborach”. Innym razem: „Jestem wdzięczna, że mój mąż Dwight już wie, że prezenty z Kohl's i innych tego rodzaju sklepów, choć kupowane w dobrej wierze, są nie do przyjęcia”.

W tym roku wybiera egoistyczną drogę i mówi:

– Jestem wdzięczna za twórczą energię, którą obdarzył mnie nasz Pan, ponieważ rozpoczęłam moją ekscytującą nową karierę w dziedzinie fotografii.

Staram się nie parsknąć śmiechem, w czym pomaga mi fakt, że teraz wstaje Scott. Ma zamknięte oczy, jak gdyby się modlił. Pamiętam, że rok temu był wdzięczny za to, że rynek akcji w końcu się ożywił i gospodarka znowu wracała do normy. Tym razem odchrząkuję i mówię:

– Jestem wdzięczny, że mogę tu być i siedzieć przy tym stole.

To proste oświadczenie jest najszczerzym i najbardziej pokornym wyznaniem, jakie kiedykolwiek usłyszałam z jego ust, i nie mogę powstrzymać wzruszenia. Daleko mi do tego, żeby mu wybaczyć, ale zaczynam rozumieć, że empatia może być pierwszym krokiem na tej drodze. I naprawdę niemal mi go szkoda. Za to Maura wydaje się zupełnie niewzruszona, kiedy mówi:

– Jestem wdzięczna za moje piękne dzieci, wspierających rodziców i lojalne siostry.

Oho, myślę.

– A co z tatusiem? – pyta Zoe. To dziecko niczego nie przeoczy.

– Ach, tak, Zoe, dziękuję – mówi Maura. – Jestem wdzięczna, że masz tatusia, który kocha ciebie i twoich braciszków.

Wygląda na to, że te słowa ją udobruchały, więc przechodzimy do mojego ojca. Po jego standardowych podziękowaniach za zdrowie wszystkich osób przy stole przychodzi kolej na mnie.

Wiem, że jest wiele rzeczy, za które mogłabym być wdzięczna, ale potrafię myśleć tylko o Benie. O tym, jakie u b o g i e jest bez niego moje życie. Myślę jeszcze przez chwilę, patrząc na twarze osób zgromadzonych przy stole. Kiedyś tworzyliśmy z Benem naszą małą rodzinę, lecz teraz osoby siedzące w tym pokoju są jedyną rodziną, jaką mam. I prawdopodobnie jedyną, jaką kiedykolwiek będę mieć. Mówię zatem:

– Jestem wdzięczna za miłość panującą w tym pokoju. Za świadomość, że pomimo wszelkich problemów, jakie mogą nas spotkać, zawsze będziemy się wspierać.

Przez chwilę wszyscy milczymy. Nawet William i Patrick mają posępne miny.

– To tyle – mówię. – Daph?

Wszyscy patrzymy na moją siostrę. Tony bierze ją za rękę i obydwój się do siebie uśmiechają. Od razu wiem, że mają nam do przekazania jakąś wspaniałą wiadomość. Że wszyscy dostaniemy coś, z czego naprawdę można się cieszyć.

Zgodnie z przewidywaniami, moja siostra błogo się uśmiecha i mówi:

– W tym roku Tony i ja chcemy podziękować za coś wspólnie. – Następnie rozgląda się wokół i mówi: – Jesteśmy wdzięczni, że Bóg w końcu pobłogosławił nas dzieckiem.

Moja matka wydaje z siebie stłumiony okrzyk.

– Dobry Boże! Jesteś w ciąży! To cud!

– Nie, mam – szybko mówi Daph. – Nie jestem w ciąży... Ale masz rację. To jest cud.

Załamuje jej się głos, jak gdyby za chwilę miała się rozplakać, więc Tony kończy za nią:

– Adoptujemy dziecko. Chłopczyka. Ma się urodzić dwudziestego drugiego grudnia.

Na chwilę wszystkim odbiera mowę, po czym nasz wspólny szok przekształca się w najczystsza formę radości, która przekłada się na jednoczesną eksplozję śmiechu i łez. Daphne dochodzi do siebie i mówi, żebyśmy jedli, zanim wystygnie.

– Jak gdybym mogła coś teraz przełknąć! Podziel się z nami jakimiś szczegółami – mówi Maura, po czym wstaje, żeby uściskać Daphne i ucałować Tony'ego.

Wszyscy idziemy za jej przykładem, ustawiając się w kolejce, żeby pogratulować dumnym przyszłym rodzicom. Nawet Scott zapomina o tym, że jest w niełasce, i przybija Tony'emu piątkę.

Potem, kiedy wszyscy wracamy na miejsca i wspólnie jemy świąteczny posiłek, Daphne opowiada o brzemiennym w skutki spotkaniu z biologiczną matką swojego syna w sklepie Easy Spirit w centrum handlowym w Huntington. Wszyscy śmiejemy się z początku tej opowieści, gdyż zaprzyjaźnianie się z nieznanymi jest bardzo w jej stylu.

– W Easy Spirit? – mówi Maura, po czym przedrzeźnia firmowe motto: – „Wygląda jak czólenko, a nosi się jak tenisówka!”.

Daphne uśmiecha się i mówi do Maury:

– Wiem, jesteś przerażona moimi obuwniczymi upodobaniami, ale te buty są takie wygodne... Poza tym wcale nie próbuję imponować obuwem piątoklasistom.

Mój ojciec wyrzuca ręce w górę z udawaną złością i mówi:

– Dosyć o butach! Powiedz nam, co się stało!

– Dobra – mówi Daphne. – No więc mierzę buty, a obok siada urocza, młoda dziewczyna w ciąży. Zauważam, że nie ma na palcu obrączki, i zaczynam się zastanawiać, czy jej dłoń po prostu spuchła w ciąży i przestały na nią pasować pierścionki, czy może nie ma męża i zaszła w ciążę przez przypadek. Myślę jednak, że to był raczej przypadek, bo, no wiecie, jest bardzo młoda. Wtedy, przyznaję, czuję to ukłucie gorzycy i myślę: to nie

*fair!* Jak to możliwe, że niektóre kobiety tak łatwo zachodzą w ciążę, chociaż wcale się nie starają i tak naprawdę tego nie chcą?

– Daphne! – Maura i ja przerywamy jej chórem. Daphne słynie w naszej rodzinie z najwolniejszego i najbardziej zawilego opowiadania historii.

Daphne śmieje się i przyspiesza opowiadanie. Mówi, że ona i ta dziewczyna – która ma na imię Amber – zaczęły rozmawiać o tym, jak wygodne są buty Easy Spirit. Amber powiedziała Daphne, że nocami pracuje jako kelnerka i cały czas bołą ją nogi. Daphne powiedziała Amber, że jest nauczycielką i doskonale wie, czym są bolące stopy. Okazało się, że Amber uczy się w college'u i studiuje pedagogikę. Daphne zapytała w którym. Amber powiedziała, że w Hofstrze, gdzie uczyła się również Daphne. Potem rozmawiały na temat wspólnych profesorów, kursów, na które uczęszcza Amber, i o tym, w której szkole chciałyby kiedyś pracować.

Później Daphne zapytała ją o dziecko i po kilku minutach uprzejmej pogawędki na temat płci i terminu porodu Amber otwarcie opowiedziała Daphne resztę historii: że zaszła w ciążę przez przypadek (pękła prezerwatywa) i jej chłopak –obecnie były chłopak – chciał, żeby ją usunęła. Podobnie jak jej rodzice. Jednak Amber powiedziała, że po prostu nie potrafiła tego zrobić. Mimo to w głębi serca wie, że nie jest gotowa do bycia matką i że podejmowanie tej próby byłoby nie *fair* wobec dziecka. Chce, aby jej syn miał lepsze życie. Zatem postanowiła oddać dziecko do adopcji. Odwiedziła kilka agencji i w końcu zapisała się do jednej z nich, w Westchester, która ułatwia otwarte adopcje. Powiedziała, że poznała kilka par, ale po prostu nie znalazła jeszcze odpowiedniej. Powiedziała, że wszyscy byli przemili, ale zawsze coś jej nie pasowało. Jednak dziecko przychodzi na świat już niebawem, więc zostaje coraz mniej czasu.



Daphne przerywa na chwilę, żeby napić się wody. Potem mówi:

– Wtedy ja się rozplakałam, dokładnie w chwili gdy sprzedawca o imieniu Bo pomagał mi włożyć parę czekoladowych mokasynów... Następnie zwierzyłam się Amber, opowiadając jej o wszystkich naszych staraniach. Kiedy skończyłam, spojrzałyśmy na siebie. Prosto w oczy. I w tej chwili obie już wiedziałyśmy, że to spotkanie było nam pisane... Zatem w końcu kupiłyśmy takie same buty i poszłyśmy do restauracji, żeby dalej rozmawiać. Tamtego wieczoru Amber przyszła do nas na kolację, poznała Tony'ego i również się zaprzyjaźnili. Prawda, Tony?

Tony kiwa głową.

– Tak. Naprawdę ją lubię. Ma głowę na karku.

– I wielkie serce – dodaje Daphne.

– Jak wygląda? – pyta Maura.

Daphne mówi:

– Jest śliczna. Ma proste brązowe włosy, ciemne oczy i słodki uśmiech. Jest wysoka... co najmniej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu.

– Sprawa wzrostu jest tu bardzo istotna – mówi Tony. Tony nie należy do wielkoludów i często ubolewa nad swoim wzrostem w kontekście sportu. Daphne twierdzi, że Tony doskonale panuje nad piłką i tak dobrze rzuca za trzy punkty, że w college<sup>^</sup> mógłby grać w drużynie. Gdyby tylko był nieco wyższy.

– Wiesz coś o... ojcu? – pytam.

– Tak. Widzieliśmy zdjęcie biologicznego ojca – mówi Daphne, subtelnie mnie poprawiając i informując nas wszystkich, że to Tony będzie jedynym ojcem, a nie jakiś przyszczaty nastolatek, który zapłodnił Amber, a

potem ją zostawił i namawiał do aborcji. Nie popełnię tego błędu po raz kolejny. Daphne ciągnie dalej:

– Wygląda na normalnego, zwykłego faceta. On też uczy się w Hofstrze...

– I ma metr osiemdziesiąt osiem – mówi Tony ze śmiechem.

– Na czym dokładnie polega otwarta adopcja? – pytam.

Daphne odpowiada, że Amber będzie częścią życia ich syna. Mówi:

– Chcemy, żeby znał biologiczną matkę.

– Zatem to już postanowione? – pyta mój ojciec.

Daphne kiwa głową i informuje, że wraz z Tonym załatwili już większość formalności i uregulowali opłaty. Potem mówi:

– To niesamowite... i wszystko dzieje się tak szybko... Mamy tyle do zrobienia w ciągu nadchodzących tygodni!

Moja matka wygląda na zmartwioną, kiedy zadaje pytanie, nad którym sama się zastanawiam, lecz którego nigdy nie wypowiedziałabym na głos:

– Skąd wiecie, że Amber nie zmieni zdania i nie będzie próbowała odzyskać dziecka?

Odpowiedź Daphne jest cierpliwa, lecz przekonująca, jak gdyby kiedyś miała podobne wątpliwości, lecz teraz widziała to we właściwym świetle. Mówi:

– W rzeczywistości, mamo, biologiczni rodzice, którzy decydują się na otwartą adopcję, rzadziej zmieniają zdanie. Są bardziej pogodzeni ze swoim wyborem, ponieważ sami widzą, że dziecko jest szczęśliwe... Można nawet powiedzieć, że w pewnym sensie otwarta adopcja jest lepsza również dla dziecka, gdyż nie musi przez całe życie zastanawiać się, kto jest jego biologiczną matką.

Vera nie wygląda na przekonaną.

– A czy nie będzie żadnych... ograniczeń? Tony mówi:

– Ta agencja jest naprawdę wspaniała, Vero. Pomogli nam stworzyć indywidualny plan i wytyczne dotyczące wizyt, listów i telefonów. Pracujemy nad tymi szczegółami... Ale wyraźnie widać, że pragniemy tego samego co Amber. Ona chce go widywać kilka razy w roku – a nie bywać tutaj codziennie czy coś w tym rodzaju. Pragnie mieć własne życie.

– Tak, ale co powiecie synowi? – pyta moja matka. – Czy przez tę całą sprawę nie będzie... zdezorientowany?

Zdumiewa mnie ta ironia: taka niekonwencjonalna matka nie może się pogodzić z nietradycyjnym rozwiązaniem. Widząc minę Maury, domyślam się, że myśli o tym samym. Jednak Daphne nie traci cierpliwości. Mówi:

– Pomyśl, mamó. Czy jeśli częścią życia dziecka jest ciotka, wujek albo babcia, dziecko jest zdezorientowane?

– Nie... – mówi moja matka. Przerywa jej Tony:

– No cóż, z tymi ludźmi też łączą je więzy krwi... Ale nie ma mowy o żadnej dezorientacji, rozumiesz?

Moja matka kiwa głową.

– Rodzice są rodzicami. Dzieci wiedzą, kto jest ich matką i ojcem... A cały sens otwartej adopcji polega na tym, że biologiczna matka to popiera. To ona wybrała nas. Amber nie chciałaby zrujnować własnego planu, ingerując w życie naszego syna.

Daphne kończy, mówiąc:

– Biologiczna rodzina dziecka jest częścią jego istoty... Bez względu na to, czy znalazłbyśmy Amber, czy nie, tak właśnie by było. Poza tym chcemy, żeby nasz syn ją znał. Uważamy, że tak będzie najlepiej dla wszystkich...

Wiem, że w teorii może to brzmieć dziwnie, ale gdy tylko poznacie Amber, zobaczycie, że tak będzie dobrze dla wszystkich zaangażowanych stron.

Wiem, co Daphne chce przez to powiedzieć. Wiem, dlaczego mówi, że coś może się wydawać zupełnie inne w teorii niż wtedy, gdy realizujesz to we własnym życiu i życiu ludzi, którzy je z tobą dzielą. Siedząc przy stole, myślę o kilku przykładach tego zjawiska... Być może teoretycznie moje siostry i ja – a nawet mój ojciec – powinniśmy nienawidzić mojej matki, lecz wcale tak nie jest. Tolerujemy ją, a nawet kochamy, bez względu na to, jaka jest... Być może teoretycznie kobieta powinna zostawić mężczyznę, który ją zdradza. Jednak w wypadku Maury nie musi to być właściwe rozwiązanie... Być może teoretycznie nie chciałam mieć dzieci. Być może nadal nie chcę. Kiedy jednak patrzę, jak moja siostra i Tony się w siebie wpatrują, myślę o tym, jak by to było wrócić do Bena i oczekiwać dziecka. Naszego dziecka. I po raz pierwszy w całym moim życiu rzeczywiście prawie go pragnę.

## ROZDZIAŁ 31

Daphne próbuje mnie namówić na spędzenie wieczoru Święta Dziękczynienia u niej w domu, ale mówię jej, że mam zbyt dużo pracy. Tak naprawdę po prostu chcę być sama, żeby kontynuować moją imprezę bóleści w samotności. Zatem przez kolejne trzy dni nie robię niczego innego. Pławię się w rozmyślaniach typu „co by było gdyby”, „jak mogłoby być” i „jak nigdy nie będzie”.

W którymś momencie każdego dnia biorę prysznic i myję zęby, ale na tym kończą się moje zabiegi pielęgnacyjne. Zamawiam jedzenie do domu – im tłustsze, tym lepiej. Topię smutki w winie, otwierając butelki przed zmrokiem. Słucham smutnych piosenek albo wesołych, które przypominają mi o Benie i w związku z tym również mogą uchodzić za smutne. Czytam stare gazety. Przeczesuję wszystkie nasze albumy ze zdjęciami i pudełka wypchane teatralnymi plakatami, odcinkami biletów i zwyczajnymi notatkami, które zostawialiśmy dla siebie na kuchennym blacie. Są tam takie banalne słowa jak: „Wracam za godzinę. Kocham cię, Ben”. Ponownie odświeżam wszystkie wspólne wspomnienia, najdłużej i najmocniej skupiając się na krótkich, intymnych i z pozoru mało znaczących chwilach. Chwilach, których miało nam nigdy nie zabraknąć.

Nie odbieram telefonu i nie wychodzę z mieszkania aż do niedzielnego popołudnia. Lokalne wiadomości i widok za oknem informują mnie, że jest chłodno i mokro, lecz mimo to rezygnuję z rękawiczek, szalika i kapelusza, wkładając jedynie podszytą futerkiem dżinsową kurtkę. Kiedy zamykają się za mną ciężkie przedwojenne drzwi, wdycham zimne powietrze. To boli i jednocześnie sprawia przyjemność. Nie mam żadnego celu, więc tylko

włóczę się prawie pustymi ulicami i w końcu ląduję na ławce w parku Waszyngtona. Przy stoliku obok dwóch starsuszków gra w szachy. Wyglądają jak bracia, ale być może po prostu wszyscy starsuszkowie wydają mi się podobni. W każdym razie ci są do siebie podobni jak dwie krople wody: obydwaj mają takie same grube plamiste dłonie, bure czapki z daszkiem i czarne ortopedyczne buty, odwrócone noskami od ich składanych krzeseł. Znam jedynie podstawy szachów – wiem, jak porusza się każda figura – ale udaję, że kontempluję ich strategię. Marszczę brwi i kiwam głową, jak gdybym chciała powiedzieć: „Aach. Ładnie. Teraz go masz!”. Starsuszkowie ignorują swoją jednoosobową publiczność, dzięki czemu czuję się niewidoczna jak powietrze i jeszcze bardziej opuszczona. Upływa chyba godzina, zanim jeden z nich w końcu odnosi milczące zwycięstwo, nie wymawiając nawet słów „szach i mat”.

Wstaję, idę do domu przez targaną wiatrem ciemność i jestem w stanie myśleć jedynie o Benie i Tucker, którzy śmieją się teraz w jakimś ciepłym i jasnym miejscu, rozkoszując się swoimi zaręczynami.

Tamtego wieczoru podnoszę słuchawkę i dzwonię do Bena, żeby odwołać nasz lunch. Przygotowałam wymówkę w rodzaju „coś mi wypadło”. Być może użyję nawet jednego z bankierskich powiedzonek Jess: „muszę ugasić ogień”. Pamiętam, jak pewnego razu Ben przekomarzał się z Jess, mówiąc:

– To obraza dobrych mężczyzn i kobiet ze wszystkich straży pożarnych.  
– A potem, odnosząc się do mojego chłopaka z liceum: – Nie ubliżaj Charliemu.

W trakcie wybierania numeru odkładam jednak słuchawkę, postanawiając poczekać z tym ostatecznym telefonem do rana. Nie mogę

ryzykować, że dziś wieczorem zastanę Bena w towarzystwie Tucker. Myśl o tym, że czai się gdzieś w tle –siedząc wystarczająco blisko Bena, aby słyszeć mój głos – byłaby po prostu nie do zniesienia. Dodatkowo pogorszyłaby sprawę – jeśli w ogóle można ją jeszcze pogorszyć.

Kilka bezsensownych godzin później leżę w łóżku i próbuję zasnąć. Kiedy zapadam w sen, słyszę, jak Jess i Michael wracają ze swojej wycieczki, śmiejąc się szczerym śmiechem świeżo upieczonych kochanków. Nadal znajdują się w błogim początkowym etapie związku, który aż roi się od żarcików zrozumiałych tylko dla nich samych. Przykrywam głowę poduszką i myślę sobie, że to chyba niemożliwe, aby Tucker była na dodatek zabawna. Życie nie jest sprawiedliwe, ale kiedyś odkryłam, że Bóg bardzo stara się równo rozdzielić poczucie humoru i ładne włosy. To musi być moja ostatnia świadoma myśl, ponieważ kiedy się budzę, pamiętam sen o Tucker. W tym śnie jeszcze raz szukam jej nazwiska przez Google i dowiaduję się, że w sobotę wieczorem daje solowy występ w Village. Według dostępnej w sieci czterogwiazdkowej recenzji jej numer składa się z przezabawnych powiedzonek o macierzyństwie i z dobrodusznym przytyków pod adresem jej kochającego męża.

Za oknem nadal panuje zupełna ciemność, więc domyślam się, że jest druga albo trzecia, lecz gdy patrzę na zegarek, okazuje się, że jest dokładnie piąta. Gdyby było po czwartej, zostałabym w łóżku, lecz piąta to już wystarczająco późno, żeby poddać się naporowi dnia.

Wstaję i biorę długi, gorący prysznic. Potem ubieram się, jak gdybym wcale nie zamierzała odwołać lunchu z Benem.

Przyrównuję to do golenia nóg przed pierwszą randką, chociaż tak naprawdę wiesz, że zdjęcie majtek nie figuruje w programie. W końcu do

będzie, jeśli nie uda mi się dodzwonić do Bena? Nie mogę tak po prostu go wystawić. I co, jeśli jakaś bardzo mała część mnie, która chce zobaczyć Bena bez względu na okoliczności, weźmie górę nad zdrowym rozsądkiem?

Zatem wkładam mój najładniejszy kostium i buty na najwyższym obcasie. Układam nienaganną fryzurę i bardzo starannie robię makijaż. Maluję usta czerwoną pomadką, ponieważ czerwona pomadka zawsze dodaje pewności siebie. Na koniec wsuwam na palec lewej dłoni pierścionek od Richarda. Wiem, że ładnie wyglądam – co potwierdzają miny Michaela i Jess, kiedy wychodzę z pokoju.

– Cholera, dziewczyno – mówi Michael, spoglądając znad miseczki otrębów z rodzynekami. – Dobrze wyglądasz.

Jess ściska mnie i mówi:

– Tak. Przynajmniej startujesz z mocnej pozycji.

Jej komentarz nie uchodzi mojej uwagi. Pomimo górnolotnych przemówień na temat prób pokrzyżowania zaręczynowych planów Bena wygląda na to, że ona również się poddała. Zastanawiam się, co uległo zmianie w czasie Święta Dziękczynienia. Może chodziło o to, że spędziła ten czas z Michaelem i wyobraża sobie, że Ben robił to samo z Tucker i jej rodziną.

– Dzięki, Jess – mówię.

Posyła mi smutne spojrzenie i mówi:

– Bądź dzielna.

Michael kiwa głową i powtarza jej słowa. Są zgodni pod każdym względem. Zastanawiam się, czy z upływem czasu nie zaczną również podobnie wyglądać. Byłoby to nie lada osiągnięcie jak na dwurasową parę, ale w ich przypadku wszystko jest możliwe.



Idę do pracy i powtarzam sobie, że zadzwonię do Bena około dziesiątej. Okazuje się jednak, że w wydawnictwie mam prawdziwe urwanie głowy i naprawdę muszę gasić pożary. Zatem zbliża się jedenasta, a sprawa telefonu nadal nie jest załatwiona. Dochodzę do wniosku, że odwoływanie spotkania na godzinę przed umówioną porą jest w złym guście – i że muszę zachować się jak duża dziewczynka i twarda zawodniczka. Muszę zjawić się o czasie, spojrzeć mu prosto w oczy i pogratulować zaręczyn. Tak powinnam zrobić.

Zatem czterdzieści pięć minut później jadę taksówką do Pete's Tavern na rogu Irvinga i Osiemnastej, ćwicząc słowa:

– Gratulacje z okazji zaręczyn, Ben. Cieszę się waszym szczęściem i życzę wam wszystkiego, co najlepsze. – Kiedy jednak wchodzę do pubu, który udekorowano już świątecznymi białymi gałązkami, czerwonymi światełkami i mnóstwem Świętych Mikołajów, widzę Bena, który czyta gazetę, i wszystkie ćwiczone zdania ulatują mi z głowy.

Jesteśmy wystarczająco wcześnie, żeby uniknąć najgorszych tłumów w porze lunchu, więc Benowi udało się zająć najszynniejszy boks w Nowym Jorku, ten, w którym O. Henry prawdopodobnie napisał *Dar Trzech Króli*. Kiedy robię kilka kroków w kierunku mojego byłego męża, przypomina mi się zdanie, w którym O. Henry mówi, że życie składa się z „łkań, szlochów i uśmiechów, choć przeważają szlochy”. Zdecydowanie miał rację.

Ben zerka znad gazety i nawiązujemy kontakt wzrokowy, uprzejmie kiwając głowami. Składa gazetę i odsuwa ją na bok, a ja zdejmuję kurtkę, po czym idę usiąść i się przywitać. Trzęsą mi się dłonie i mój głos brzmi jakoś obco.

– Witaj – mówi Ben tonem, którego nie potrafię określić. Sprawia wrażenie szczęśliwego i jednocześnie smutnego. Wygląda inaczej, a jednak

dokładnie tak samo jak dawniej. Nigdy nie widziałam, żeby miał takie długie włosy: są jednak długie celowo, a nie długie długością, która domaga się fryzjera. Nie chcę, żeby spodobał mi się jego nowy wygląd, ale i tak mi się podoba. Ma na sobie zieloną bluzę z kapturem, którą kupił, jeszcze zanim się poznaliśmy. Przypominam sobie dotyk miękkiej bawełny i mam wielką ochotę wyciągnąć dłoń i musnąć jej rękaw. Nagle dociera do mnie, że Ben nie przyszedł tu z pracy – jest ubrany swobodnie, lecz nie jest to swoboda w wersji nadającej się do pracy. Pije kawę i jego kubek jest już prawie w połowie opróżniony. Zatem pytam:

– Długo tu siedzisz?

– Jakiś czas – mówi Ben.

– Umówiliśmy się na południe, prawda? – pytam.

– Tak.

– Przyszedłeś z pracy?

– Nie – mówi Ben. – Dzisiaj mam wolne.

Zamierzam powiedzieć, że mogliśmy spotkać się gdzieś indziej, dzięki czemu nie musiałby jechać aż z Upper West Side, ale powstrzymuję się, gdy zdaję sobie sprawę, że Tucker może mieszkać w okolicy Gramercy. Zamiast tego kiwam głową i mówię:

– Po prostu wzięłeś urlop?

– Tak – mówi, rozsuwając nieco zamek bluzy, wystarczająco, żeby pod spodem ukazała się jego kultowa koszulka z koncertu REM. Wiem, że kupił ją w wieczór, kiedy prawie udało mu się złapać harmonijkę Michaela Stipe'a. Wiem również, że w lewym rękawie jest dziura, w którą dawniej wkładałam palec.

Po chwili przychodzi kelnerka i pyta, czy jesteśmy gotowi złożyć zamówienie. Mówimy, że tak – chociaż nie zaczęłam jeszcze nawet myśleć o jedzeniu. Ben zamawia kanapkę z wędzoną pierśią indyka.

– Poproszę o to samo – mówię, ponieważ wymaga to mniej wysiłku niż cokolwiek innego.

– Coś do picia? – pyta.

– Poproszę colę – mówię, chociaż kofeina jest ostatnią rzeczą, której teraz potrzebuję.

Kiwa głową, bierze od nas menu i radośnie odchodzi, a ja myślę: i co teraz?

Ben przerywa milczenie, mówiąc:

– Posłuchaj, Claudio. Wiem, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać.

– Naprawdę? – pytam, myśląc, że nawet ja nie jestem pewna, dlaczego chciałam się z nim spotkać. Żeby pogratulować mu zaręczyn? A może żeby wybić mu je z głowy? Patrzę na niego wyczekująco, z nadzieją, że po prostu to za mnie powie.

– Tak – mówi i przeczesując włosy palcami, spuszcza wzrok na stół. – I myślę, że to naprawdę szlachetne z twojej strony.

– Naprawdę? – pytam, zdając sobie sprawę, że chodzi o to pierwsze. Że myśli, iż przyszedłam tu po to, aby osobiście udzielić mu błogosławieństwa. Że uważa, iż jego była żona jest dojrzała i uprzejma. Myślę sobie, że muszę sprostać tym oczekiwaniom.

Ben kiwa głową. Następnie do końca rozpina bluzę i ściąga ją. Moje spojrzenie pędzi w kierunku znajomej dziury. Siłę się na lekki uśmiech i mówię:

– No cóż, dzięki.

Wiem, że powinnam powiedzieć coś więcej – wymówić konkretne słowa, których ode mnie oczekuje – ale nie potrafię ich wydusić. Zwyczajnie nie potrafię zmusić się do dania mu błogosławieństwa i do ostatecznego pożegnania.

Zamiast tego silę się na słabe:

– Chcę, żebyś był szczęśliwy.

Może to przyjąć lub nie. To najlepsze, co jestem w stanie zrobić.

Zapada długa cisza, podczas której Ben bawi się opakowaniem słodziku, a ja poprawiam kurtkę, którą ułożyłam na krześle obok. Spoglądamy na siebie w tej samej sekundzie i z zaskoczeniem widzę smutek na jego twarzy.

– Ja też chcę, żebyś była szczęśliwa, Claudio. Naprawdę... Ale po prostu nie mogę ci pozwolić tego zrobić.

Próbuję zrozumieć jego słowa, ale są zupełnie bez sensu.

– Czego zrobić? – pytam.

– Poślubić Richarda – mówi, wskazując pierścionek na palcu mojej lewej dłoni.

– Co? – pytam, już zupełnie pogubiona. Mówi cicho, a jego słowa padają szybko.

– Wiem, że przyszedłaś tu po to, żeby powiedzieć mi o swoich zaręczynach z Richardem. I wiem, że myślisz, że odnalazłaś w nim coś, czego my nie mieliśmy. Obietnicę takiego życia, jakiego pragniesz... życia, na jakie zasługujesz... Wiem również, że się spóźniłem. Bardzo się spóźniłem. Że przysięgi zostały złamane, a mosty spalone. Ale chcę ci tylko powiedzieć, Claudio... Muszę ci powiedzieć, że kocham cię całym sercem i zrobiłbym wszystko, żeby cię odzyskać. Nie potrzebuję dziecka. Nawet go nie chcę, jeśli

matką ma być ktoś inny niż ty... Nie chcę nikogo i niczego z wyjątkiem ciebie.

Jestem oszołomiona i brakuje mi słów. Zwyczajnie nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. To moje słowa – te, które zamierzałam powiedzieć Benowi tak wiele razy, przynajmniej do chwili, w której zobaczyłam pierścionek Tucker. Jest tego zbyt wiele naraz, więc zaczynam od prostego pytania. Patrzę na niego i mówię:

– A co z Tucker?

– Co masz na myśli? – pyta Ben, wyglądając na równie osłupiałego, jak ja się czuję.

– Nie masz zamiaru jej poślubić? – pytam.

Śmieje się i mówi, że nie.

– Ale widziałam pierścionek – mówię.

– Claudio. Ona jest zaręczona z jakimś facetem o imieniu Steve – mówi.

– Z lekarzem z jej szpitala... Dlaczego, na Boga, przyszło ci do głowy, że ten pierścionek jest ode mnie?

– Przecież wy... biegliscie razem w maratonie – mówię, czując się głupio w obliczu tego marnego dowodu z Internetu.

– No cóż. Właśnie od tego są partnerzy w bieganiu – mówi Ben. – Startują razem w maratonach.

Czuję tak wielki przyływ ulgi, że prawie graniczy z radością. Jak gdybym żyła ze śmiertelną chorobą i właśnie odkryła, że postawiono błędną diagnozę. Że jednak mam przed sobą długie życie. Coś wydobywa się z mojego gardła, ale nie jestem pewna, czy to śmiech, czy płacz. Chyba jedno i drugie.

Mówię:

– No cóż. Wcale nie wychodzę za Richarda, Ben. Już nawet nie spotykam się z Richardem.

– Nie spotykasz się z nim? – pyta. – Ale Annie mówiła, że dał ci pierścionek.

– Bo rzeczywiście tak było – mówię, ściągając go z palca i wrzucając do torebki. Potem ocieram łzy i mówię: – Ale to nie był pierścionek zaręczynowy... To było... nic.

Na twarzy Bena pojawia się uśmiech, kiedy mówi:

– Poczekaj... W takim razie jesteś wolna?

– Tak – mówię. – A ty?

Kiwa głową, nadal się uśmiechając. Potem robi się poważny i sięga po moje dłonie. Podaję mu je. Wypełnia mnie ciepło i szczęście, które sprawiają, że nie mogę wydusić słowa. Rozpaczliwie chcę powiedzieć Benowi, że doszłam do tego samego wniosku na nasz temat. Że zrobiłabym wszystko, żeby go odzyskać, nawet jeśli oznaczałoby to urodzenie dziecka. Że mogę nawet prawie chcieć mieć z nim dziecko. Że wszystkim, czego pragnę, jest dzielić z nim życie, bez względu na to, jaką to życie przyjmie postać.

I powiem mu to wszystko. Już wkrótce. Teraz jednak po prostu ściskam jego dłonie i patrzę w oczy jedyne go mężczyzny, którego naprawdę kocham.

Milczymy przez dłuższą chwilę, aż w końcu mówię:

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś wolny.

– Tak – mówi Ben. – Ale zamierzam zaprosić kogoś na randkę.

– Och, naprawdę? – mówię, uśmiechając się. – A kogóż to?

– Moją byłą żonę – mówi Ben. – Myślisz, że się zgodzi?

– Myślę, że to możliwe – mówię. – Myślę, że zrobiłaby dla ciebie wszystko.

## ROZDZIAŁ 32

Jest Wigilia i prawie zapad! już mrok – to chyba moja ulubiona chwila w roku.

Siedzimy z Benem w samochodzie i jedziemy mostem Triborough, zmierzając do domu Daphne i Tony'ego. Mamy poznać ich syna Lucasa, który urodził się dwa dni temu, zgodnie z planem, i był najbardziej boskim prezentem choinkowym, jaki można sobie wyobrazić.

Radio jest przyciszone i Nat King Cole śpiewa *I'll Be Home for Christmas*. Dłonie Bena trzymają kierownicę na godzinach dziesiątej i drugiej, w idealnej pozycji prezentowanej na kursach prawa jazdy. Zazwyczaj prowadzi z większą swobodą, nawet przy dużym ruchu, i dociera do mnie, że może się denerwować ponownym spotkaniem z moją rodziną. Pytam go o to, przyznając, że odrobinę stresuje, mnie wizyta u jego rodziny, zaplanowana na następne popołudnie.

Jak gdybym trafiła w sedno, Ben łapie kierownicę jedną ręką na godzinie szóstej i mówi:

– Możliwe, że trochę się denerwuję... Ale głównie cieszę się, że wszystkich zobaczę.

Uśmiecham się i mówię:

– Nawet moją zwariowaną matkę?

– Nawet starą zwariowaną Verę – mówi, kręcąc głową. – Kocham wszystko, co ma jakiś związek z tobą.

Przechyliłam się i całuję go w policzek. Jesteśmy razem dopiero od miesiąca i nadal zachwycają mnie tego typu drobne rzeczy. Takie jak dotyk

jego ostrego zarostu zaledwie kilka godzin po goleniu. Siedzenie z nim w samochodzie. Słuchanie świątecznych piosenek. Wszystko, co robię w towarzystwie Bena, wydaje się nowe, uświęcone i wzruszające. Podejrzewam, że będzie tak jeszcze przez długi czas. Być może zawsze.

Pół godziny później zjeżdżamy z drogi ekspresowej Long Island i zbliżamy się do Huntington. Teraz jest już zupełnie ciemno. Ben wskazuje rąbek księżycy i mnóstwo gwiazd, których nie widać na Manhattanie.

– Gwiazdy to najlepsza część przedmieść – mówię na głos. Ben przyznaje mi rację, ale po chwili dodaje:

– To jednak nie jest powód, żeby wyprowadzić się z centrum.

Od czasu naszego pamiętnego lunchu często rzuca takie subtelne, pojednawcze uwagi. Robimy to oboje, choć nadal trzymamy się z dala od prawdziwej przyczyny naszego rozvodu. W ogóle nie rozmawiamy na takie poważne tematy, chyba że opowiadamy przyjaciółom i rodzinie historię tamtego pamiętnego dnia w Pete's Tavern. Pewnie dziś wieczorem poproszą nas, żebyśmy ją powtórzyli. Jestem pewna, że przewrócimy oczami i powiemy: „Znowu?”, chociaż w głębi ducha będziemy delektować się każdą częścią tej historii – naszej historii. Straszne godziny prowadzące do naszego spotkania, powolne przejrzenie na oczy i radosna jazda taksówką do mojego dawnego mieszkania tuż po lunchu. Jestem pewna, że dziś wieczorem dodamy jakiś nowy szczegół, jak za każdym razem. Być może nasycę to wszystko literacką doniosłością, która nigdy nie uszła mojej uwadze: „Siedzieliśmy w boksie O. Henry'ego, odgrywając własną wersję *Daru Trzech Króli*.”

Każde z nas chciało poświęcić coś dla tego drugiego, dla miłości”. Taki zwrot akcji idealnie pasuje do świątecznej atmosfery.



Kiedy przyjeżdżamy, Zoe czeka na nas w drzwiach. Otwiera je na oścież i krzyczy:

– Wujek Ben! – wybiegając na podjazd bez płaszcza i butów. Ben porywa ją na ręce i mówi:

– Zobot! Dobrze znowu cię widzieć, mała!

– Tak bardzo za tobą tęskniłam, wujku Benie! – mówi, patrząc na niego z uwielbieniem.

– Ja też za tobą tęskniłem, skarbie – mówi.

– Wiedziałam, że wrócisz! – mówi Zoe i dociera do mnie, że pewnego dnia będzie się musiała nauczyć, iż nie wszystkie zakończenia są radosne. Przy odrobinie szczęścia jej rodzice oszczędzą jej takiego przykładu. Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że posuwają się do przodu bardzo niepewnym krokiem.

– No cóż, jesteś mądrą dziewczynką – mówi Ben, stawiając ją na frontowej werandzie. – A teraz wejdźmy do środka. Zamarzniesz tu na śmierć.

Zoe rozpromienia się i bierze go za rękę.

– Tak! Wejdź do środka i zobacz małego Lucasa!

– Hej, Zoe, a kim ja dla ciebie jestem? Siekaną wątróbką? – mówię, udając, że naprawdę przeszkadza mi rola drugich skrzypiec.

Zoe uśmiecha się, oglądając się przez ramię.

– Cześć, ciociu Claudio! Ty też możesz iść z nami!

Cała rodzina z wyjątkiem Daphne i Lucasa zgromadziła się już w korytarzu i wita nas szerokimi głupkowatymi uśmiechami.

– Cześć wszystkim – mówi Ben, uśmiechając się z zażenowaniem.

Mój ojciec przyjmuje rolę patriarchy i oficjalnego rzecznika rodziny.

– Witaj z powrotem, koleś! – mówi, wyciągając prawą dłoń.

– Dobrze znowu tu być, Larry – mówi Ben i wymieniają uścisk dłoni, a moja matka robi im zdjęcie. Pstryka następane, gdy mój ojciec mówi pod nosem:

– A co tam – po czym wita Bena uściskiem, który zazwyczaj rezerwuje się dla człowieka wracającego z długiej wojny w dalekim kraju.

Pozostali ustawiają się w rzędzie, czekając na swoją kolej. Najpierw Maura, Scott i chłopcy. Potem Dwight. Następnie Tony.

– Gratulacje – mówi do niego Ben.

– Nawzajem, stary – mówi Tony.

Tymczasem moja matka fotografuje każdy uścisk, pstrykając jak opętana. Pozwalam jej na to – ponieważ nie chcę psuć jej nastroju i mam wrażenie, że będę powracała do tych chwil jeszcze przez długie lata.

Moja matka uroczyście wręcza aparat Dwightowi, zostawiając siebie na sam koniec.

– Ben, kochanie – mówi i milknie dla uzyskania bardziej dramatycznego efektu. – Gdzieś ty się podziewał?

Ben śmieje się i mówi:

– Nie wiem, Vero. Byłem głupi.

– Owszem, byłeś – mówi moja matka ze łzami w oczach. Następnie wskazuje na mnie i dodaje: – Podobnie jak moja córka.

– Dobra. Dobra. Dostyc! – mówię, udając, że denerwuje mnie ten nadmierny entuzjazm mojej rodziny. – Mamy tu poznać pewne dziecko!

– Tak! Chodźcie tutaj – woła Daphne z salonu.

Skrećamy za rogiem i widzimy moją siostrę, która w lekkim blasku kominka trzyma swojego nowo narodzonego syna.

– Ben, Claudio, to wasz nowy siostrzeniec Lucas – mówi Daphne. – Lucas, poznaj ciocię Claudię i wujka Bena!... Bo chyba tak powinien cię nazywać, prawda, Ben?

Ben bierze mnie za rękę i mówi:

– Tak, Daph. Właśnie tak powinien mnie nazywać.

– No cóż, chodźcie lepiej mu się przyjrzeć – mówi z dumą Daphne, odsuwając niebieski kocyk z twarzy Lucasa.

Myślałam o tej chwili od Święta Dziękczynienia. Czy będę się czuła inaczej niż wtedy, gdy Maura urodziła trójkę swoich dzieci? Boję się, że tak. Jednak gdy tylko spoglądam na Lucasa, z ulgą dochodzę do wniosku, że czuję się dokładnie tak samo. Przepęłniają mnie duma, zachwyt, wdzięczność i ciekawość tego, co przyniesie przyszłość.

– Jest piękny – mówię.

Zbyt wspaniały, żeby mógł być prawdziwy. A jednak jest prawdziwy.

– Wiem – mówi Daphne. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Ciociu Daphne, czy mogłabym potrzymać małego Lucasa? – głośno domaga się Zoe, co stanowi znak dla Williama i Patricka, aby i oni zaczęli upominać się o pozwolenie na potrzymanie dzidziusia.

– Jeszcze nie teraz – łagodnie odpowiada im Maura. – Teraz Lucas potrzebuje swojej mamusi.

Daphne spogląda na Maurę z wdzięcznością. Widzę, że nie jest jeszcze gotowa na rozstanie z dzieckiem. Zbyt długo czekała na ten wieczór.

Jak my wszyscy.

Późnym wieczorem wracamy z Benem do naszego starego mieszkania. W końcu znowu zaczynam czuć się tam jak w domu – i bardzo dobrze, ponieważ w styczniu do Jess wprowadza się Michael. Nazywają to „jazdą

próbna", lecz ja wiem lepiej. Czasami łatwiej dążyć do celu drobnymi kroczkami.

Podobnie jak teraz ja i Ben. Przeniosłam do Bena mniej więcej połowę ubrań i teraz szperam w szufladach, szukając czerwonej flanelowej pizamy.

Ben śmieje się, a ja pytam:

– O co chodzi?

– Wiedziałem, że etap kobiecej bielizny nie będzie trwał wiecznie.

– Jest Wigilia! – mówię. – Ma być przytulnie, a nie seksownie.

– W takim razie muszę ci coś powiedzieć – mówi Ben.

– Słucham? – pytam z uśmiechem.

– Jest zarówno przytulnie, jak i seksownie.

Uśmiecham się, idąc do łazienki, żeby umyć zęby. Potem długo się waham przed połknięciem pigułki. Wracam do sypialni, gdzie czeka na mnie Ben ubrany w spodnie od zielonej flanelowej pizamy. Gasimy światło i wchodzimy pod kołdrę. Z początku nasze pocałunki są równie mięciutkie jak pizamy, lecz szybko stają się nagłe i bardziej łapczywe.

– Jak to możliwe, że tak bardzo cię kocham? – pyta w pewnym momencie Ben.

To jedno z tych pytań, na które po prostu nie można odpowiedzieć. Jest jak próba wyjaśnienia magii, cudów lub wiary.

– Nie wiem. – Oddycham, myśląc, że jest mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie wiem. Nie wiem, czy kiedykolwiek przezwycięzę lęk przed macierzyństwem. Czy kiedyś będę matką. Czy jestem w stanie sprawdzić się w tej roli. Ale teraz mamy święta Bożego Narodzenia, jestem z Benem i chyba tylko to się liczy. Zatem mocno go przytulam i szepczę jego imię. Jak pragnienie i obietnicę tego, co przyniesie przyszłość.

## PODZIĘKOWANIA

Bardzo dziękuję mojej rodzinie i przyjaciołom za ich miłość i wsparcie w ciągu ostatniego roku. Jestem szczególnie wdzięczna Mary Ann Elgin, Sarah Giffin i Nancy LeCroy Mohler, które, jak zawsze, były przy mnie od samego początku tej historii i służyły nieocenionymi uwagami. Nie wyobrażam sobie lepszej matki, siostry i przyjaciółki.

Wyrazy nieprzemijającego uznania dla mojej wyjątkowej wydawczynie Jennifer Enderlin oraz dla wszystkich pracowników St. Martin's Press, w tym dla: Kim Cardascii, Sally Richardson, Matthew Sheara, George'a Witte'a, Jeffa Capshewa, Andy'ego Lecounta, Toma Siino, Giny Wynn, Briana Hellera, Christine Jaeger, Jeffa Cope'a, Jeffa Willmanna, Roba Renzlera, Matta Baldacciego, Carrie Hamilton–Jones, Nancy Trypuc, Anne Marie Tallberg, Josha Zachariasa, Johna Murphy'ego, Dori Weintraub, Tommy'ego Semosha, Jenn Taber, Christiny Ripo, Harriet Seltzer, Christiny Harcar, Kerry Nordling, Mike'a Storringsa, Elizabeth Catalano, Kelly Too i Nicole Liebowitz. Dziękuję również Kari Atwell i dobrym ludziom z H. B. Fenn.

Specjalne podziękowania składam Lisie Reed, Julie Porterze, Allyson Wenig Jacoutot, Jennifer New, Ericowi Kieferowi, Brianowi Spainhourowi, Selinie Cicognie i Stephenowi Lee za przyjaźń i hojny wkład w tę książkę. Wiele zawdzięczam Stephany Evans, doskonałej agentce i jeszcze doskonalszej przyjaciółce. Cieszę się również, że współpracuję z Carrie Minton –najlepszą asystentką na świecie.

Ciepłe podziękowania dla wszystkich uprzejmych klubów czytelników i księgarni, które miałam okazję odwiedzić, oraz dla osób, które przychodziły na wieczorki autorskie lub poświęciły czas na przesłanie mi bardzo miłych i inspirujących e–maili.

Na koniec dziękuję mojemu mężowi Buddy'emu Blaha oraz naszym synom Edwardowi i George'owi za to, że nadają temu wszystkiemu sens.

RS